

REBECCA BRANDEWYNE

SEN O DRODZE

*Mojej agentce,
Meg Ruley,
za to, że znajdowała mądre słowa wtedy,
kiedy najbardziej ich potrzebowałam.
Z ogromnym uczuciem i poważaniem.*

PROLOG

Wszystkie drogi będą

Czy droga pnie się w górę, ciągle bez ustanku?

Tak, przyjacielu, aż do końca.

Czy będę szedł do nocy, choć zacznę o poranku?

Tak, bo cały dzień trwa dzień wędrowca.

Christiana Rosetti, *Ku górze*

Droga do domu

*Jak ktoś, co po odludnej drodze
Strwożony idzie w nocy,
Raz obróciwszy się, już tylko
Przed siebie zwraca oczy;
Bo wie, że przeraźliwy diabeł
Tuż za nim stale kroczy.*

Samuel Taylor Coleridge, *Pieśń o starym żeglarzu*
(przełożył Zygmunt Kubiak)

Boczna droga na Środkowym Zachodzie USA Czasy współczesne

Kiedyś, dawno temu, myślał, że jeśli tylko zdoła biec szybko i wytrwale, ucieknie od przeszłości, zostawiając za sobą jej szary, dławiący pył, który tak bardzo go prześladował. Że ucieknie, a potem odwróci się i roześmieje się jej w twarz, gdyż wreszcie będzie od niej wolny.

Ale teraz, kiedy prowadziły go różne drogi, wiedział, że przeszłość nadal depta mu po piętach i że będzie ścigać go do końca. Wiedział, bo nauczył się, że bez względu na

to, jak długo i wytrwale się biegnie, nigdy nie można uciec od samego siebie.

Stara droga - ta, która była niegdyś pierwszą, a teraz miała być ostatnią - wiodła go na strome wzniesienie, wijąc się mozolnie piaszczystą i twardą, wypaloną w słońcu koleiną, której złoto-czerwony odcień tak dobrze wciąż pamiętał. Upływ czasu zatarł kontury wielu obrazów w jego pamięci, ale nie wspomnienie tej drogi. Monotonia widoku niekończących się wzgórz, na które się uparcie pięła, zapach pyłu w nozdrzach, jego zgrzytliwy posmak w wyschniętych ustach, gorący dotyk piachu pod stwardniałymi podeszwami bosych stóp i dźwięcząca w uszach cisza wielkiej, pustej, samotnej przestrzeni - wszystko to było zapisane w najgłębszych pokładach jego pamięci. I jeszcze to rytualne uniesienie kciuka w górę w odwiecznym geście autostopowicza, który zaklina nim szczęście, gdy wyrusza w drogę.

Ta cisza i ta droga ciągle go prześladowały.

Dawniej nie było jeszcze autostrady, prowadzącej do leżącego u końca drogi miasteczka. Później władze stanowe wybudowały dwupasmówkę, której czarny asfalt pękał od słońca i pstrzył się łatami, jakimi kłajstrowano szczeliny. Pomimo to wybrał nie wygodną autostradę, ale właśnie ten stary trakt, wiodący trudnym, okrężnym szlakiem.

Zrobił to, bo musiał sobie udowodnić, że w końcu odważy się stanąć z nim twarzą w twarz; udowodnić, że nie jest on przerażającym wężem z jego własnych sennych koszarów, podstępny gadem, wijącym się ohydnie w nieskończonej ilości splotów, który otwiera paszczę, by ukąsić go śmiertelnie. Przez całe lata budził się z takich snów zlany

zimnym potem - częściej, niż pragnąłby się do tego przyznać.

Gdy wreszcie ujrzał ją na własne oczy, przez długą chwilę wpatrywał się w nią, zaskoczony jej zwyczajnością, i nie był w stanie zrozumieć, jakim cudem ta stara, pylista, nie uczęszczana boczna droga mogła dręczyć go aż tak bardzo. Wreszcie poczuł upragniony przypływ ulgi i omal nie roześmiał się głośno na myśl o dawnym obłędzie i strachu. Jeszcze przed chwilą ten strach dręczył go suchością w ustach i wypalał gardło, podobnie jak ów pył, który cienką warstwą okrył jego zmierzwione wiatrem ciemne włosy, szczupłą, spaloną słońcem twarz i muskularne, mokre od potu, nagie ramiona.

Teraz jednak strach ustąpił, a on poczuł się pewniej. Mocniej docisnął pedał gazu. Czerwony, sportowy kabriolet, który kupił kilka lat temu i któremu pracowicie przywrócił dawną świetność, zareagował od razu - przyśpieszył i gładko połykał przestrzeń.

Aż trudno było uwierzyć, że przed laty uciekł z leżącego na końcu drogi miasteczka, że był biednym chłopakiem, który zbłądził i musiał uciekać przed prawem, mając tylko parę łachów na grzbiecie i kilka dolarów w kieszeni.

Gdy czasami przypominał sobie tego zaszczutego, zdesperowanego młodego człowieka, jakim wtedy był, miał wrażenie, że patrzy na siebie z boku, oglądając film ze swego życia oczami kogoś obcego. Tamte trudne lata złamałyby kogoś słabszego, ale on nie dał się złamać i teraz wiedział, że były najlepszą szkołą życia. Po takim treningu gotów był na wszystko, co jeszcze mogło go spotkać.

Ta myśl wzbudziła podniecający dreszcz oczekiwania,

a wraz z nim nagły przypływ adrenaliny, która przyspieszyła jego puls, tak jak przyspieszył czerwony wóz, gdy jeszcze mocniej dodał gazu. Ogon pyłu, jaki wyrósł za czerwonym cielskiem kabrioletu, przypominał ogon smoka, potwora, jakiegoś utkanego z pyłu demona drogi, który gnał jak strzała do miasteczka - kresu podróży.

Tak oto po ponad dziesięciu latach miał się zamknąć krąg jego wędrówki.

Renzo Cassavettes wracał do domu.

KSIEGA PIERWSZA

Z naszych początków

*Posłuchaj, młodości, co wiek dojrzały głosi;
Ze swych początków możemy odgadnąć swe losy.*

John Denham, *O rozwadze*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Miłość dawno temu stracona

*Choć mi nic tego nie przywróci rana,
Gdy trawa w lunie, kwiat w szkarłatnej dumie
Jarzył się - teraz w tym, co pozostało,
Szukajmy pokrzepienia.*

William Wordsworth, *Oda o przeczuciach nieśmiertelności czerpanych ze wspomnień o wczesnym dzieciństwie*
(przełożył Zygmunt Kubiak)

*Małe miasteczko, Środkowy Zachód USA
Czasy współczesne*

- Alex, pospiesz się, proszę! - zawołała po raz kolejny Sara Kincaid, zerkając z korytarza na wąskie, kręcone schody swojego starego farmerskiego domostwa.

Odczekała długą chwilę, po czym westchnęła ze złością i desperacją. Syn jak zwykle nie raczył się pojawić ani nawet odpowiedzieć na jej wołanie.

- Alex, spóźnię się do fryzjera! Jeśli nie zejdziesz, będziesz musiał tu zostać sam!

Znów cisza. Jeśli nawet ją słyszał, musiał to zignorować.

- Alex, bo wejść tam i wyciągnę cię siłą! - zagroziła, czując własną bezsilność i narastającą wściekłość.

Miała wrażenie, że z każdym dniem stawał się coraz bardziej obojętny, humorzasty i krnąbrny. Zresztą od początku był trudnym dzieckiem. Jednak jako malec miał w sobie przynajmniej tę uroczą dziecięcą słodycz i ciekawość świata. Wówczas łatwo przychodziło wybaczyć mu różne wybryki i upór, zwłaszcza gdy skruszony wdrapywał się matce na kolana i wtulał ciemną główkę w jej pierś. Gęste, długie rzęsy zasłaniały brązowe oczy, zasypiał słodko i problemy same znikwały.

Lecz teraz Alex miał jedenaście lat i Sarze zdawało się, że rodzony syn staje się dla niej z wolna kimś obcym; że gdzieś po drodze utraciła dziecko, które tak kochała. A kochała Alexa bardziej niż cokolwiek na świecie. Wciąż pamiętała, jak budziła się nocami, nasłuchując jego oddechu, jak serce ścisnęło się jej z lęku, że mógłby umrzeć w łóżeczku w czasie snu. Pamiętała i wiedziała, że zawsze będzie pamiętać tę cudowną gładkość jego ciepłego policzka, który głaskała rano, zanim się obudził, zachwycona samym faktem istnienia tak wspianiałej istoty. Teraz zaś cieszyła się, gdy Alex kładł się spać, bo wreszcie mogła mieć tę upragnioną chwilę dla siebie.

Westchnęła ciężko i ruszyła po schodach na górę, przygotowując się na kolejną konfrontację z synem. Przeszła korytarzem do jego pokoju, mimowolnie wzdrygnęła się, otworzywszy drzwi. Pokój wyglądał jak pole bitwy albo rumowisko - stos brudnych naczyń spiętrzonych na biurku, nieświeże ubrania porozrzucane po podłodze, choć w kącie stał specjalny, ale pusty, kosz, plakaty, pokrywające każdy

kawałek ściany. Kolorowe pisaki, kartki z notesów, komiksy, ulotki reklamowe, figurki z filmów, pluszowe zwierzątka i kasetki z grami Nintendo.

Sam Alex leżał na wciąż nie zasłanym łóżku i hipnotycznie wpatrywał się w ekran telewizorka, dzierżąc w dłoniach dżojstik do gier komputerowych. Jego kciuki szybko i wprawnie skakały po strzałkach i przyciskach, a po ekranie latały hordy wojowników i humanoidów, walące się na odlew i kopiące w brutalnej walce.

Sara wzięła głęboki oddech, po czym z determinacją wkroczyła do tej jaskini, torując sobie ostrożnie drogę wśród rupieci, jakby stąpała po polu minowym. Gwałtownym ruchem wyłączyła telewizor, kończąc tym samym grę.

- Mamooo! - zawył z wściekłością Alex, podrywając się z łóżka jak sprężyna. - Prawie zabiłem tego potwora na końcu!

- Nic mnie to nie obchodzi! - odparowała Sara, zwalczając w sobie chęć wytargania go za uszy albo potrząśnięcia nim tak, żeby aż zadzwoniły mu zęby. - Nie słyszałeś, jak cię wołałam? Już pół godziny ternu powinieneś być na dole! Obudziłam cię wystarczająco wcześniej, żebyś się zdążył przygotować! W dodatku mówiłam ci, że mam zamówione czesanie w Shear Style o jedenastej. A ty nawet nie raczyłeś włożyć skarpetek, nie mówiąc już o butach. O zęby nie mam nawet co pytać, prawda? Więc co, chcesz ze mną jechać do miasta i iść na gry do Penny Arcade, czy nie?

- No dobra - odpowiedz była krótka i arogancka, co jeszcze bardziej ją rozwścieczyło, a jednocześnie pogłębiło ból w sercu.

Wiedziała, że zamiast nagradzać go za takie zachowanie,

powinna ukarać. Trzeba było mu kazać zostać w domu i posprzątać pokój. Ale to wzburzyłoby i tak już groźne wody i doprowadziło do jeszcze większej wrogości między matką a synem. Kiedy pozbawiała Alexa przyjemności weekendowej wyprawy do salonu gier, stawał się albo buntowniczy i agresywny, albo demonstracyjnie urażony i obojętny, co oczywiście również wytrącało ją z równowagi. Tego zaś dnia Sara nie czuła się na siłach, by z nim walczyć.

- W takim razie rusz się wreszcie - nakazała szorstko, zmuszając się, by bez drgnienia powieki wytrzymać jego spojrzenie. - Odjeżdżam równo za dziesięć minut i nie będę czekać!

Wymknęła się z jego pokoju, z trudem ukrywając targające nią emocje. Na korytarzu, gdzie Alex nie mógł jej widzieć, oparła się o ścianę, walcząc ze wzbierającą w niej falą łez. Zagryzła w ustach zaciśniętą pięść, by stłumić napływ gniewu, bezsilności i rozpacz, które dusiły jej gardło.

Tak, kochała syna. Był dla niej wszystkim, co miała na tym świecie, i szczerze nienawidziła tych awantur. Coraz częściej narastała w niej jednak obawa, że ponura przepowiednia ludzi z miasteczka, którzy przewidywali, że chłopak wyrośnie na łobuza, zaczyna się sprawdzać. I że Alex oddała się od niej coraz szybciej, tak szybko, że być może nigdy już nie zdoła go zatrzymać.

Nie chciała myśleć, że mogła po prostu źle wychować własnego syna, drażniła nieustannie umysł Sary. Broń Boże, nie żałowała wcale, że w ogóle go urodziła! Była dumna z tego, że nie poddała się woli rodziców i nie zrobiła skrobanki, do czego z początku usiłowali ją zmusić. Niech Bóg wybaczy jej, jeśli w ogóle pomyślała o kolejnej możliwości,

do jakiej ją namawiali - podpisania papierów zezwalających na adopcję. Nie, niczego takiego nie zrobiła, bo wolała zatrzymać to dziecko na dobre i złe niż stracić je na zawsze.

Było jej trudno, straszliwie trudno wytrzymać ich presję i chodzić po miasteczku z dumnie uniesioną głową, nie zważając na znaczące spojrzenia i poszeptywania mieszkańców. Nawet teraz, po latach, ciągle wracały do niej tamte bolesne plotki.

- Słyszałaś już o Sarze Kincaid? Siedemnastak, bez męża i w ciąży!

- Co ty powiesz! A to była taka miła, pilna i dobrze ułożona dziewczyna! Kto też jest ojcem?

- Nikt nie wie, a ona nie chce powiedzieć. Albo po prostu nie może, biedaczka. Pewnie nie przepuściła żadnemu chłopakowi w liceum, znamy takie, no nie? To dziewczucha z górniczego osiedla, a wiesz, jakie to kocmołuchy! Powinni już dawno zamknąć te wszystkie kopalnie i wypędzić stąd całą tę hołotę, żeby nie bruździła porządnych ludziom. Ale co się poradzi przeciwko takiemu Nickowi Genovese? Nie bez powodu nazywają go „Papa Nick”, no nie? Tak długo, jak trzyma w ręku swoje kopalnie, ta plaga raz po raz będzie zatruwać nam życie.

- Jasne, i będą się mnożyć, żeby wyprodukować jeszcze więcej takich puszczalskich dziwek, jak Sara Kincaid! A swoją drogą, kto by się tego po niej spodziewał? Nieciekawe pochodzenie, ale jednak robiła lepsze wrażenie.

- Gadanie! Nie znasz tego przysłowia? Cicha woda brzegi rwie. Musiała zdrowo narozrabiać, skoro dyrektor wyrzucił ją z liceum.

Właśnie to najbardziej bolało Sarę - że z powodu ciąży

została natychmiast i nieodwołalnie wylana ze szkoły, choć była jedną z najlepszych uczennic w klasie. Kiedy zaś urodziła Alexa musiała stoczyć ciężki bój o prawo do dalszej nauki. W rezultacie udało się jej nie tylko skończyć szkołę, ale i zdobyć prestiżowe stypendium na uniwersytecie stanowym. Jej matka, choć niechętnie, zajmowała się Alexem, a Sara dzień w dzień chodziła na zajęcia. Gdy je kończyła, biegła do restauracji, by wieczorami dorabiać do stypendium jako kelnerka i mieć pieniądze na opłacenie nauki oraz utrzymanie ukochanego synka.

Udało się - w końcu zrobiła dyplom z dziennikarstwa i dodatkowo specjalizację z historii sztuki.

Później też wiodło się jej nie najgorzej. Dostała dobrą pracę szefa promocji i reklamy w Field-Yield, Inc., firmie wytwarzającej nawozy, pestycydy i inne produkty dla rolnictwa, zaś niedługo potem zaangażowano ją w kampanii senatorskiej byłego gubernatora, J.D. Holbrooke'a, właściciela Field-Yield, Inc. Sara nie miała pojęcia, z jakich powodów Holbrooke dostrzegł ją i wyróżnił, w każdym razie była mu bardzo wdzięczna. Były gubernator należał do najbogatszych ludzi w mieście i zamożnością ustępował jedynie Nickowi Genovese. Wysoka pozycja u boku J.D. pozwoliła wreszcie Sarze strząsnąć z siebie odium skandalu i społecznej dezaprobaty. Teraz nikt już nie śmiał nazwać jej „puszczalską dziwką”. A jeżeli nawet, to tylko po cichu i tak, by nigdy to do niej nie dotarło.

- Mamo, dobrze się czujesz? - głos Alexa wyrwał ją z zamyślenia.

- Nie... to nic... po prostu jestem trochę zmęczona.

Sara wprostowała się gwałtownie, zastanawiając się, ile

czasu mogła tak stać, oparta o ścianę. Dostrzegła, że Alex zdążył już włożyć buty i że ma teraz zdziwioną, a może nawet zatroskaną minę. Znała go dobrze i wiedziała, że jego pytanie stanowiło formę przeprosin. Choć silny i wysoki jak na swój wiek, Alex był tylko jedenastolatkiem, w którym nadal krył się słodki mały chłopiec. W momentach takich jak ten, kiedy ów chłopiec się w nim ujawniał, w Sarę wstępowała nowa nadzieja, że go odzyska, zanim nie będzie za późno. Teraz było podobnie - wcześniejszy gniew natychmiast się ulotnił. Kto wie, pomyślała, może spędzą ten dzień miło?

Uśmiechnęła się czule do dziecka, burząc ręką jego ciemną czuprynę.

- Szybko, żabko, bo czas leci. Umyj zęby i jedziemy. Uczeszę się, a potem zjemy coś we „Fritzchen's Kitchen”, co? A później pojedziemy na zakupy do Wal-Martu, chcesz?

- Ekstra! - powiedział Alex z większym niż ostatnio entuzjazmem dla jej towarzystwa. - A będę mógł sobie kupić nowego Power Rangera?

- Zobaczymy. Pospiesz się teraz. Nie chcę się spóźnić do fryzjera. Jeśli Lucille będzie na mnie czekać, rozbije sobie cały dzień. Poza tym robi się wtedy tak wściekła, że gotowa mnie oskalpować, a nie ostrzyć!

Alex uśmiechnął się i serce Sary znów drgnęło w przyływie szczęścia i niepokoju zarazem. Z każdym dniem ten dzieciak coraz bardziej przypominał swojego ojca. Dziwiła się, że ludzie tego nie zauważają i niczego się nie domyślają. Ale ojca Alexa od dawna nie było już w miasteczku i zaczęto o nim pomału zapominać. Jednak Sara nie zapomniała, choć mówiła sobie wiele razy, że przecież ten człowiek

nigdy już tu nie wróci i że najlepiej byłoby wymazać go z pamięci.

Czy mogła jednak wymazać z pamięci swoją pierwszą i jedyną miłość?

To, że nadal go pragnęła, było żałosne i straszne. Pragnęła go i tęskniła za nim, choć jej wspomnienia pełne były żalu, urazy i gniewu za to, że kochał się z nią tak cudownie, a potem ją zostawił - tamtego pięknego letniego dnia, wiele lat temu, kiedy chyłkiem wymknął się z miasta, gdyż sprawiedliwość deptała mu po piętach.

Złe nasienie, mówili o nim potem ludzie z miasteczka. Czego można oczekiwać od syna gangstera z wielkiego miasta? Oczywiście, wdał się w tatusia i popełnił morderstwo. Jeśli nawet w porę nie wsadzono go za kratki, to i tak wcześniej czy później skończy marnie, porzucony w kanale w jakimś wielkomijskim gettcie albo podziurawiony jak rzeszoto w czasie wojny gangów.

Ale on przechytrzył ich wszystkich.

Daj spokój, upominała się gniewnie, po co o tym wszystkim rozmyślasz? Nie ma sensu rozpaczać nad tym, co mogło być, ale nie było i nigdy nie będzie. Ojciec Alexa przez wszystkie te lata ani razu nie przypomniał sobie o niej ani o synu. Gdyby kochał, dałby przecież jakiś znak, sam zresztą obiecywał, że tak zrobi. Tymczasem zniknął z jej życia na zawsze i właściwie powinna się z tego cieszyć. Wykorzystał jej niewinność, nadużył ufności, a ona zapłaciła gorzką cenę za głupotę i naiwność. I jeżeli w ogóle powinna o nim myśleć, to tylko dlatego że Alex coraz bardziej potrzebował męskiej ręki. W tym sensie żałowała, że samotnie wychowuje dziecko, w każdym innym - nie.

Tak bardzo pragnęła, by Alex miał w życiu lepiej niż ona. Kiedy zaczęła dobrze zarabiać, mogła mu stworzyć warunki, których nigdy nie byli w stanie zapewnić jej rodzice. Jednocześnie im był starszy, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że syn musi zapłacić cenę za ten dobrobyt; za dostatek i wygodę zapłacić niedoborem uczuć. Jako matka pracująca rzadko miała dla niego czas, kiedy jej potrzebował, więc z poczucia winy rozpieszczała go nadmiernie. Gdy zaś Alex urósł, zrozumiał, co na tym może wygrać, i korzystał chętnie z tej wiedzy. Zrozumiał również, jaka jest jego prawdziwa pozycja wśród rówieśników. Niejeden raz wracał ze szkoły, żaląc się, że inne dzieci dokuczały mu, nazywając go bękartem. Cóż miała robić? Znowu starała się go dopieścić, a on coraz bardziej wchodził jej na głowę.

Jedno musi wiedzieć na pewno - pocieszała się w trudnych chwilach Sara - że go kocham. Przecież widzi, jak poświęcam się dla niego, jak walczę zębami i pazurami, by miał wygodne życie; przecież nie robiłabym tego, gdybym nie kochała go tą szaloną miłością matki, dla której dziecko jest jedyną istotą, jaką ma na świecie.

Skręciła do kuchni, zabierając torebkę i kluczyki. Alex już czekał przy drzwiach wejściowych. Patrząc na niego, zapominała o wszelkich zgryzotach - tak był ładny i dorodny, opalony, szczupły, niemal tak wysoki, jak ona. Tylko wypięty dziecięcy brzuszek przypominał jej, że nie ma jeszcze do czynienia z młodym mężczyzną.

Żartobliwie poklepała chłopca po daszku czapki, który sterczał na bok pod dziwacznym kątem, i spytała:

- Gotowy? - Przytaknął. - W takim razie, jazda! - Zamknęła drzwi domu i wsiadła z Alexem do jepea, zapar-

kowanego na kolistym, żwirowym podjeździe. Kupiła ten wóz, kierując się względami praktycznymi, zarówno z uwagi na boczne drogi Środkowego Zachodu, jak i tutejsze śnieżne zimy. - Zapnij pas - poleciła synowi, przekręcając kluczyk.

Opony zapiszczały na żwirze. Sara wyprowadziła wóz przez wysadzaną drzewami aleję na gruntową drogę, która łączyła się z dwupasmową autostradą do miasta. Poza okresem zimowym, kiedy drogi były zalodzone i zawiane śniegiem, cała jazda zajmowała nie więcej niż dziesięć minut i Sara prowadziła wóz odruchowo. Uwielbiała swój piękny, stary wikotriański dom o białych murach i wielki teren wokół niego. Kupiła tę posiadłość, gdy Alex miał siedem lat, po śmierci właścicielki, wdowy Lovell. Dom leżał na tyle blisko miasta, by Sara nie czuła się zbyt odizolowana, a jednocześnie na tyle daleko, by miała poczucie prywatności w okolicy, gdzie każdy z reguły wiedział, co się dzieje u sąsiada.

Nawierzchnia wyłożona kostką parowała w narastającym upale poranka, przez otwarte okna do wnętrza wozu wdzierał się aromat kwitnących jabłonek, pomieszany z suchą wonią traw i spieczonej w słońcu ziemi. Na dalekim horyzoncie narastała chmura pyłu, którą suchy, dokuczliwy wiatr miał zaraz roznieść po całej okolicy. W takich chwilach Sara tęskniła za szarymi, deszczowymi dniami wczesnej wiosny, które z kolei wywoływały w niej zawsze pragnienie lata.

Z radia popłynęły nieznosne dźwięki muzyki, którą nadawała ukochana stacja Alexa. Sara dla dobrej sprawy nauczyła się nazw modnych zespołów - Pearl Jam, Smashing

Pumpkins, Red Hot Chili Peppers - lecz mimo dobrych chęci nie była w stanie ich rozróżnić. Wiedziała tylko, że „pokolenie X” - jak współczesną młodzież nazywali dziennikarze - słucha ich z zapamiętaniem. Czuła się dziwnie, gdy żurnaliści mówili o pokoleniach i wyróżniali je kolejnymi, bardziej bądź mniej trafnymi, określeniami. Na przykład jej pokolenie nazywali „pokoleniem zagubionym”. Właściwie dlatego „zagubionym”, zastanawiała się.

Z drogiej strony, nie miała przecież pojęcia o prawdziwym życiu swojej generacji - w szkole średniej i na studiach, gdy inni jeszcze się bawili, ona już była matką. Nie wiedziała, czego słuchali jej rówieśnicy i jakie były ich problemy. Sama lubiła eklektyczną mieszankę jazzu, bluesa i rock and rolla, a jej głównym problemem było - jak zarobić na utrzymanie swoje i Alexa.

Wjechali już na obrzeża miasta i zmierzali teraz ku centrum - ku staromodnemu, ocienionemu drzewami placykowi z pyszniącym się pośrodku kwietnikiem. Po zachodniej stronie wznosił się okazały budynek sądu, który mieścił również ratusz. Sklepy, restauracje, biura i siedziby firm ciągnęły się wzdłuż trzech pozostałych pierzei placu. Ze wszystkich czterech stron stały parkometry, a miejsca do parkowania, zamiast równoległe, jak w większości miast, ustawione były pod kątem.

Sara pomyślała, nie po raz pierwszy, że na to miasto rzucono jakieś zaklęcie, które pozwoliło mu przetrwać w niezmienionej postaci przez lata. Zatrzymała się przed salonem gier Penny Arcade, w którym jak zwykle tłoczył się tłumek dzieciaków i młodzieży.

- Wrócę tu po ciebie kwadrans po dwunastej - za-

powiedziała. - Tylko nigdzie nie odchodź. Dać ci trochę forsy?

- Nie trzeba - z trzaskiem odpiął pas, wypuszczając jednocześnie balona z gumy. - Mam jeszcze resztę kieszonkowego. Zresztą umiem wygrywać, mam - niecierpliwie otworzył drzwiczki i zniknął, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Popatrzyła przez chwilę, jak znika za szybą, a potem odjechała w boczną uliczkę, pod Shear Style, gdzie czekała już groźna Lucille.

- Ostatni moment! - burknęła fryzjerka, witając ją u wejścia salonu. - Już myślałam, że każesz mi na siebie czekać.

- Ależ skąd, Lucille, przecież wiesz, że kiedy mam się spóźnić, zawsze dzwonię - uspokajała przymilnie Sara, sadowiac się pospiesznie przy umywalce i podgarniając ciemne, sięgające do ramion włosy, by fryzjerka mogła zawiązać jej nieprzemakalną pelerynę wokół szyi.

- Kiedyś musi być ten pierwszy raz - powiedziała sentencjonalnie Lucille, odkręcając wodę. Sprawdziwszy temperaturę, zmoczyła włosy Sary i zaczęła obficie zraszać je szamponem.

Chuda i żylasta, pod pięćdziesiątkę, z na wpół wypalonym papierosem wiecznie zwisającym z kącika ust, Lucille określana była przez mieszkańców jako „cioteczka”. Choć do wszystkich odnosiła się szorstko, a nawet obraźliwie, było powszechnie wiadomo, że w tej chudej piersi bije prawdziwie złote serce. Mocne ręce „cioteczki” były zadziwiająco delikatne i zręczne, a co do sztuki fryzjerskiej, to nie miała sobie równej.

Nawiasem mówiąc, jej wiedza o klientach była równie imponująca jak fryzjerski talent.

- Rozumiem, że ciężko ci z tym dzieciakiem. W ogóle teraz nie jest łatwo chować dzieci, a już zwłaszcza samotnie.

- Święta prawda - westchnęła Sara. - Właśnie miałam tego przykład.

Sara wiedziała, że nie tylko Lucille, ale i inni w mieście zdają sobie sprawę z trudności wychowawczych, jakie sprawia Alex. Trudno byłoby zresztą ukryć, że uczęszcza do letniej szkoły, żeby uzupełnić zaległości z całego roku szkolnego. I że jeśli oceny nie polepszą się do końca lata, będzie musiał powtarzać szóstą klasę, o czym Sara myślała ze zgrozą.

- Powiem ci coś, Sara. Chłopak potrzebuje ojca, a ty potrzebujesz mężczyzny - zauważyła spokojnie Lucille, okrywając jej włosy odżywką i masując energicznie skórę głowy. - Nie mogłabyś się wreszcie przekonać i wyjść za Bubbę Holbrooke'a? - J.D. Holbrooke junior, zwany „Bubką”, był synem gubernatora i w jego imieniu szefował Field-Yield, Inc. - Przecież on cię kochał jeszcze od szczenięcych lat, każdy w mieście to wie. Zresztą, co ci będę mówić, przecież pamiętasz sama, że dosłownie stawał na głowie, żeby zwrócić twoją uwagę. I jestem pewna, że zrobiłby wszystko, gdybyś tylko dała mu szansę.

- Wiem, Lucille, ale... no, po prostu nie mogę się na niego zdecydować. Nie wiem, jak ci to inaczej wytłumaczyć.

Jasne, jak mogłaby to zrobić, skoro nie była w stanie zrozumieć samej siebie? Bubba Holbrooke był najbardziej pożądaną partią w mieście - przystojny, bogaty, opromieniony sławą uczelnianej gwiazdy rugby, cieszący się wysoką

i pewną pozycją w firmie ojca, dziedzic jego bajecznej fortuny. Każda inna kobieta byłaby nieludzko szczęśliwa i zaszczyczona, mogąc odwzajemnić jego zainteresowanie, nie mówiąc już o włożeniu na palec zaręczynowego pierścionka. Każda, ale nie Sara Kincaid. Sara bowiem doskonale wiedziała, że ludzie z miasteczka uważają, iż Bubba zgłupiał kompletnie, zakochując się w matce nieślubnego dziecka, w dodatku pochodzącej z kopalnianych „dołów”.

- Wstań - nakazała Lucille, owinąwszy luźno ręcznik wokół głowy Sary. - Chcesz, to dam ci radę - mówiła dalej, sadowiac swoją klientkę przed lustrem. - Pewnie nie chcesz, ale i tak ci ją dam, bo to jest jedyne, co masz za darmo w tym zakładzie. Zresztą, jakoś dziwnie cię lubię, sama nie wiem, dlaczego - przyznała szorstko, odwijając ręcznik i szykując grzebień, nożyczki oraz klipsy. - Może dlatego, że sama nie mam dzieci, choć zawsze chciałam mieć córkę, a gdybym już ją miała, to chciałabym, żeby była podobna do ciebie. Tb co, posłuchasz mnie teraz, Sara? Dziewczyno, ja naprawdę chcę ci pomóc, czy masz na to ochotę, czy nie. Za długo jesteś sama. Może to i dobre dla takiej starej żyły jak ja, która dawno ma za sobą swoje najpiękniejsze dni i tych para facetów w życiu... A nie myśl sobie, było kiedyś na co popatrzeć.

Lucille uśmiechnęła się smętnie i wszystkowiedząco, zakrtusiła się głośnym kaszlem nałogowego palacza, a potem chciwie zaciągnęła się papierosem. Jej ręce przez cały czas pracowały, wprawnie podpinając, strzygąc i przeczesując pasma włosów.

- Mówię ci więc - podjęła swoją przemowę - że to dobre dla starych bab, ale nie dla ciebie. Jestem cholernie pew-

na, że takie ładne dziewczyny nie powinny szarpać się same z życiem i spać w pustym łóżku. Dlatego radzę ci z całego serca: przestań się głupio nadymać i kiedy następnym razem wielki Bubba znów do ciebie uderzy, powiedz „tak”. - Lucille urwała, a potem, rozejrzawszy się po zatłoczonym salonie, dodała ściszym głosem: - Powiem ci jeszcze coś, Sara. Latka lecą, ani się obejrzyysz, a nie będziesz już lepszą partią niż inne. Bo przecież sama wiesz, że ojciec twojego Alexa uciekł stąd i raczej się nie zapowiada, żeby wrócił.

Serce podeszło Sarze do gardła. W trójskrzydłowym lustrze jej nagle rozszerzone oczy napotkały uważne spojrzenie fryzjerki.

Ona wie, pomyślała w panice.

Ona wie, kto jest ojcem Alexa!

- N-nie mam pojęcia, o czym mówisz - wybąkała.

- Jasne. - Lucille wzruszyła ramionami i sięgnęła po suszarkę. Maszyna posłużyła jej jako znakomita zagłuszarka. Teraz mogła mówić swobodnie. - Nie spodziewałam się, że powiesz coś innego, bo wiem, jak wytrwale przez te wszystkie lata strzegłaś swojej tajemnicy. Ale nie martw się, może ja dużo gadam, jak to w tym fachu, ale potrafię trzymać język za zębami, kiedy trzeba. Tylko pamiętaj, że nie jestem jedyną osobą w tym mieście, która ma oczy i umie kojarzyć ze sobą fakty, Jak długo będziesz w stanie to ukryć, skoro chłopak z każdym dniem robi się coraz bardziej podobny do ojca? Zresztą po co miałybyś wiecznie ukrywać prawdę? Alex musi w końcu się dowiedzieć, kto jest jego ojcem, nie uważasz?

- Alex jest mój! Ja go urodziłam i wychowałam - sama! Bez żadnego telefonu, listu, nie mówiąc już o pienią-

dzach. Nie chcę, żeby mój syn dowiedział się, co zrobił jego ojciec!

- I sama w to wierzysz, Saro? - ton Lucille był miękki, lecz nieustępliwy. - Naprawdę? A może po prostu nie chcesz, żeby ojciec Alexa wiedział, że ma syna. Syna, któremu o nim nie powiedziałaś i którego ukrywałaś przed nim przez wszystkie lata?

Sara przymknęła oczy, jak gdyby chciała się odciąć od tego drażącego jej duszę głosu.

A jeśli Lucille ma rację?

Ma, pewnie, że ma. Gdyby ona, Sara, była ze sobą szczerą, musiałyby to przyznać.

- On nie ma prawa wiedzieć - powiedziała, uparcie potrząsając głową. - Żadnego prawa.

- Sara... Sarenko... - głos Lucille, ochryply po latach palenia, stał się łagodny, gdy wymawiała to zdrobnienie z dzieciństwa. - Przecież on miał tylko dwadzieścia dwa lata i był śmiertelnie tym wszystkim przerażony.

- Och, dobrze. Myślisz, że tego nie wiem? Ale przecież mógł zabrać mnie ze sobą! - Emocje, jakie przyniosła napływająca fala wspomnień, były tak silne, że słowa ledwo przechodziły przez ściśnięte gardło Sary. - Pojechałabym z nim, choćby na koniec świata, bez namysłu! - wyrzucała z siebie. - Tak go kochałam, Lucille! Mógł mnie zabrać ze sobą... - powtórzyła z bólem.

- Musisz się nauczyć, że mężczyzna myśli głównie o swojej cholernej dumie. Nie miał ci wtedy nic do dania, musiał odejść. Ale teraz pewnie ma, tylko że...

- Nie! Nic od niego nie chcę i nigdy nie będę chciała!

- Zgoda, ty nie. Ale co z Alexem? Pomyśl o nim,

o swoim synu. "Właśnie to próbuję ci przez cały czas powiedzieć.

Lucille wyłączyła suszarkę i włożyła ją w uchwyt. Potem z pomocą szczotki i grzebienia zaczęła układać gęste fale włosów Sary, odgarniając je na bok, aż załśniły jak ciemne, wypolerowane dębowe drewno i opadły falą do ramion. Wreszcie wręczyła młodej kobiecie okrągłe lustro i obróciła fotel, by Sara mogła podziwiać efekt jej pracy.

- Należy mi się siedemnaście dolarów, jak zwykle. Porady, jak już mówiłam, były za darmo.

Sara ciągle jeszcze drżącymi rękami otworzyła torebkę, wyjęła książeczkę i wypisała czek, który jak zwykle opiewał na dwadzieścia dolarów - należność powiększoną o trójdolarowy napiwek. Normalnie po czesaniu zostałaby jeszcze kilka minut, napiła się coli z automatu i pogawędziła z innymi klientkami, jednak dzisiaj marzyła, by jak najszybciej stąd uciec.

- Muszę już lecieć, Lucille. Alex czeka na mnie w Penny Arcade.

Ku jej uldze fryzjerka skinęła tylko głową. W chwilę później Sara stała już na chodniku przed salonem, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu okularów słonecznych. Wreszcie znalazła je i ruszyła w stronę jeepa.

Włożyła kluczyk w drzwi, ale nie przekreśliła go, gdyż jej uwagę przyciągnął błysk jaskrawego koloru, który mignął po południowej stronie rynku. Z początku myślała, że to nowiutka furgonetka Jimmie Deana Thurleya, lecz po dokładniejszym przyjrzeniu się zobaczyła, że jaskrawoczerwone auto to ekskluzywny, zagraniczny kabriolet, jakiego

tutaj jeszcze nie widziano. Nawet Bubba Holbrooke nie mógł pochwalić się takim cackiem..

Samochód zaparkował przez redakcją miejscowego dziennika, „Tri-State Tribune”, silnik ucichł, otworzyły się energicznie pchnięte drzwiczki. Z wnętrza wozu wyszedł, a raczej wyslizgnął się kocim ruchem drapieńczy, wysoki mężczyzna o wysportowanej sylwetce. Podwinęte rękawy białej, przepoconej koszuli odstaniały opalone na brąz przedramiona. Stał, przeciągnął się po długiej jeździe, a potem wyjął z kieszeni paczkę papierosów i powoli wsadził jednego między wargi. Zapalił, przyglądając się fasadzie gmachu redakcji, i zaciągnął się głęboko, zanim wydmuchnął obłok dymu. Ruchy miał precyzyjne, oszczędne i pewne.

Sara miała wrażenie, że śni. Przez chwilę podejrzewała, że to jakieś urojenia wywołane rozmową z Lucille, że to, co widzi, jest tylko iluzją, wybrykiem chorej wyobraźni. Wolałaby, żeby tak było.

Niestety. Obraz przed jej oczami nie chciał się rozpuścić.

Letni dzień w prowincjonalnym miasteczku, promienie słońca złocące rynek, szum liści starych drzew na skwerze, wesołe okrzyki dzieci bawiących się w parku i sobotni, leniwy tłum zapełniający ulice - wszystko to wydało jej się dziwnie nierealne. Widziała tylko kabriolet i jego kierowcę, cała reszta była zaledwie mglistym tłumem.

Cholera, należało jej się chociaż jakieś ostrzeżenie, jakiś znak, który przygotowałby ją na to, co właśnie się stało.

Ale co tak naprawdę się stało? Nic. Tylko jej ciało ogarnęła nagła, nieznośnie gorąca fala, taka sama jak kiedyś, przed ponad dziesięciu laty, kiedy leżała naga na trawie obok opuszczonego kamieniołomu, gdzie kiedyś chodzono się ką-

pać, i czuła ciepły, obiecujący ciężar męskiego ciała, który przygniatał ją powoli.

Boże, myślała, czuję się tak, jakbym wyszła z własnego ciała i obserwowała je, stojąc z boku. I pomyśleć, że wszystko zaczęło się od starego śniadaniowego kufierka.

Nie wiedziała - nie mogła wiedzieć - że dla Renzo Casavettesa wszystko zaczęło się jeszcze dawniej, w obskurnej kamienicy wielkiego miasta, gdzie się urodził; i od motyla, który pokazał mu, że pomimo trudnej i pełnej upokorzeń młodości, będzie mógł któregoś dnia stać się...

ROZDZIAŁ DRUGI

Motyl

*Sam nie wiem, czy bytem wówczas człowiekiem
śniącym, że jest motylem
czy raczej teraz jestem motylem
śniącym, że jestem człowiekiem.*

Chuang-tzu, O zrównaniu wszelkiej rzeczy

*Wielkie miasto, Środkowy Zachód USA
27 lat temu*

Narodziny motyla, których świadkiem był mały Renzo Cassavettes, choć stanowiły zaledwie drobne zdarzenie, zawały na całym jego życiu. Swoją żarliwą, dziecięcą wiarą trafnie przetłumaczył sobie to, co zobaczył, i wracał odtąd wspomnieniem do tej sceny za każdym razem, gdy potrzebował nadziei i pokrzepienia.

Może gdyby urodził się wcześniej i gdyby jego rodzice czy dziadkowie wychowali go w głębokiej katolickiej wierze swoich przodków, uznałby nawet owo przeistoczenie się motyla za znak od samego Boga albo przynajmniej od jakiegoś świętego. Jednak jego młodzi rodzice w porywie

pokoleniowego buntu uznali, że lżej im będzie, gdy zdejmą krzyż z ramion, i pozbyli się swoich Madonn, krucyfiksów, różańców i całego bagażu wiary i obyczajów, które jeszcze zdążyli odziedziczyć, a których nie przekazali już jemu, matemu Renzo, ich jedynemu synowi.

Odrzucili też więzy rodzimie i odcięli się od tych maciek, które więziły ich i wspierały zarazem. Byli jeszcze na tyle młodzi, by ignorować starą prawdę, że nigdy do końca nie można się wyzwolić z tego, co zostało wdrożone i przekazane w dzieciństwie; że są rzeczy, które towarzyszą nam zawsze i które mogą wprawdzie trwać uśpione i zagrzebane głęboko w świadomości, ale które nigdy nie zanikną.

Po ojcu Renzo odziedziczył jedynie na wpół zatarte, dziecięce wspomnienie. Ojciec jawił się w nim jako mężczyzna wysoki jak wieża, prawdziwy gigant, dość chudy, ze szczeciniastym wąsem, o wybuchowych nastrojach i pięściach rwących się do bicia pod byle pretekstem.

Ów gigant miał czarny charakter, wzmacniany przez narkotyki i alkohol. Przy tym wszystkim nie był on dla Renzo jakimś potworem i tyranem, lecz raczej wiecznym chłopakiem-łobuzem, który grał twardego mężczyznę i nie mógł się zdecydować, kim jest naprawdę. Musiały jednak upłynąć lata, by Renzo zrozumiał, że za całą tą ojcowską brawurą i chępliwością, śmiechem i żartami przeplatanyimi napadami wściekłości, kryło się bezradne dziecko, niewiele większe od niego, niepewne, przerażone i zagubione w świecie, który je przerastał. Nie mając innej religii, do której mógłby się przypisać, Renzo długo postrzegał ojca jako Boga i diabła zarazem, obdarzonego charyzmą i ciemną, piekielną uro-

da, dręczonego przekleństwem ponurych żądy i palących ambicji.

Gdy on sam stał się mężczyzną, stłumiona pamięć o ojcu budziła się czasem, usiłując wziąć go w swe władanie, aż przymykał oczy i skupiał całą siłę woli, by ją zwalczyć.

A jednak wracała nieproszona i przemożna, przywołana byle pretekstem - wonią taniej wody kolońskiej czy cienkiego wina; dźwiękiem zatrzaskiwanych tandetnych, siatkowych drzwi jeszcze tandetniejszego domu czy wyciem podrasowanego silnika samochodu, pędzącego po zaśmiecanych ulicach; wzorem tatuaży na nagich opalonych ramionach, szpanem chowania paczki papierosów w podwiniętym rękawie koszuli, widokiem wyzywających młodych punków w jaskrawych bawełnianych koszulkach i podartych džinsach czy młodych Turków, chodzących rozkołysanym krokiem, ubranych w tanie kolorowe garnitury i pobłyskujących złotym blaskiem łańcuszków, zegarków i sygnetów.

Z tym wszystkim kojarzył się jego ojciec - pośledni cwaniaczek z wielkiego miasta, lawirujący na granicy między normalnym życiem a życiem zorganizowanej przestępczości, znanej powszechnie jako mafia, a wśród jej członków - jako *Cosa Nostra* - Nasza Sprawa.

Ojciec Renzo marzył, by zostać *capo di tutti capi*, bardziej legendarnym niż filmowy ojciec chrzestny, Don Corleone. Wyobrażał sobie siebie w szeregach tych, którzy jeżdżą w długich, lśniących czarnych limuzynach, a kiedy w letni dzień każą zatrzymać się przed uliczną kafejką w wielkim mieście, to na ich widok cichnie gwar i śmiechy gości, pochylonych nad swoimi napojami i lodami.

Stało się jednak inaczej. Ojciec Renzo nie zdążył osiągnąć niczego w mafijnej hierarchii, gdyż wcześniej zastrzelił go podobny jemu narwaniec, sfrustrowany swoją niską pozycją. Młode życie niedoszłego mafioso urwało się nagle w pewną sobotnią noc, a jedyny urzędowy fakt, który to poświadczał, zapisany został w szpitalnej karcie przyjęć, gdzie odnotowano, że pacjent zmarł zaraz po przywiezieniu przez karetkę.

W koszmarach, które dręczyły go w dzieciństwie, Renzo jeszcze wiele razy słyszał strzały, widział jaskrawoczerwone plamy rozkwitające w zwolnionym tempie na piersi ojca niczym bukiety kwiatów, słyszał wycie syren, mrużył oczy osłepione światłami ambulansu i policyjnych wozów, które wyłuskiwały z półmroku leżące na chodniku bezwładne ciało. W rzeczywistości nie był jednak świadkiem owych wydarzeń. Miał tylko trzy lata i dopiero później, ukryty w zakamarkach swej kamienicy, wysłuchiwał szeptanych relacji i komentarzy jej mieszkańców.

W ciągu kolejnych dwóch lat Renzo urósł i był wysoki jak na swój wiek. Na chudej szyi kiwała się za duża głowa, w szczupłej twarzy widać było głównie wielkie, ciemne oczy. Później, kiedy chłopak patrzył w lustro, dostrzegał tam zwracającą się ku niemu przystojną twarz ojca. Długie, gęste włosy stanowił tło dla orlich, silnych rysów z wydatnymi kośćmi policzkowymi i mocno zarysowaną, arogancką szczęką. Brunatne oczy o wyrazistym spojrzeniu ocienione były firaną długich rzęs, całości obrazu dopełniały zaś brwi, czarne jak krucze skrzydło, szlachetnie rzeźbiony nos i pełne, jawnie zmysłowe usta, które układały się w cyniczny, gorzki półuśmiech, tak bardzo nie pasujący do mło-

dego wieku; uśmiech, który przypominał mu to, o czym tak bardzo pragnął zapomnieć.

Renzo miał twarz swego ojca, nie nosił jednak jego nazwiska, lecz panieńskie nazwisko swojej grecko-włoskiej matki - Cassavettes. Była to jedna z niewielu rzeczy, jakie mu dała, oprócz samego życia.

Bowiem tak jak ów motyl, który pewnego dnia stał się dla Renzo znakiem, dającym szansę na odmianę jego losu, Sofie Cassavettes była ulotnym, pięknym stworzeniem, które beztrudno sęczy nektar łatwego życia. Oficjalnie nie była nawet żoną ojca Renzo, choć bywało, że przedstawiała się jego nazwiskiem. Gdy jednak tylko zakończył swój żywot i gdy jego zwłoki leżały jeszcze w sterylnej kostnicy miejskiego szpitala, ona - odbywszy stosowny seans płaczu i żalu - szybko wróciła do swojego nazwiska, a nawet nadała je synowi. Wyjaśniła chłopcu, że zrobiła to po to, by dawne winy ojca nie rzuciły cienia na ich życie. Nie wyjaśniła tylko, jakie to były winy.

Wróciła więc do swego nazwiska, ale też do szalonego trybu życia kobiety łatwej i niewybrednej w doborze łóżkowych partnerów, do którego za życia ojca Renzo miała jedynie pewne skłonności. Przyjęła pracę jako kelnerka w nocnym barze i nie odmawiała sobie kolejnych okazji. Wypychała chłopaka do pani Fabrizio, sąsiadki z drugiej strony korytarza, by śmiało móc wpuszczać do mieszkania coraz to nowych mężczyzn, których za każdym razem przedstawiano mu jako „nowych wujków”.

Mały wyczuwał instynktownie, że to nie żadni krewni. Często słyszał ich w nocy, w pokoju matki. Oni mruczeli i sapali, każdy inaczej, a jednak wszyscy tak samo, a ona

krzyczała. Ten przeciągły, zwierzęcy krzyk zawstydzał go i przerażał tak bardzo, że zakrywał sobie głowę poduszką, by go nie słyszeć.

Kiedyś, obudziwszy się z kolejnego koszmaru, jaki dręczył go po śmierci ojca, Renzo zwlókł się z zapadniętej kanapy w brudnym salonie, by iść do matki po pociechę.

Zawołał ją zza zamkniętych drzwi, lecz nie usłyszała, więc pchany przewrotną ciekawością, która przemogła strach przed bezwzględny zakazem wchodzenia, z bijącym sercem przekręcił gałkę u drzwi. Otworzyły się ze skrzypem. Matka leżała naga na łóżku; szeroko rozrzucone śniade uda wyraźnie odznaczały się na pościeli. Głowę miała odchyloną do tyłu, a z jej otwartych ust wydobywał się spazmatyczny oddech. Tłuste cielsko wujka Vinnie górowało nad nią i poruszało się tak, jakby mężczyzna wbijał się w matkę bestialskimi, gwałtownymi ruchami. Renzo nie był w stanie powstrzymać okrzyku przerażenia.

Chwilę potem całe mieszkanie wypełniło się krzykiem przemieszonym z odgłosami razów oraz płaczem małego Renzo. Sąsiedzi zaczęli walić w ściany, potem wezwali policję i wtedy właśnie postanowiono, że chłopaka trzeba odeśłać z miasta.

- Krewni twojego ojca zgodzili się wziąć cię do siebie, Renzo - oznajmiła kilka dni później matka z promiennym uśmiechem. - Mają dom, porządny dom w małym, prowincjonalnym mieście, no i są bezdzietni, więc będziesz miał własny pokój, tylko dla siebie. Chyba się cieszysz, prawda? Nie będziesz musiał dorastać tutaj, w tym smogu, w tej ruderze, wśród tych szcurów i karakonów, które latają nam w nocy po poduszkach. Pójdiesz do porządnej szkoły,

gdzie nikt cię nie będzie bił ani kradł ci pieniędzy na obiad... To wielka szansa, Renzo! Zobaczysz, będziesz tak szczęśliwy, że niedługo zapomnisz o tym cholernym życiu tutaj. Ale o mnie nie zapomnisz, bo oczywiście będę cię odwiedzać...

Renzo przeczuwał, że matka nigdy nie spełni danej obietnicy, i instynkt go nie zawiódł. Podobnie wyczuwał, że jego rodzicielka cieszy się skrycie, że ma okazję się go pozbyć, bo stał się dla niej niewygodny. Był ostatnią więzią ze zmarłym mężczyzną; więzią, którą chciała jak najszybciej zerwać.

I tak wkrótce nadszedł dzień, w którym Renzo z ociąganiem zszedł po popękanych, betonowych schodach domu, który choć zasługiwał jedynie na nazwę rudery, był przecież przez lata jego prawdziwym, jedynym domem.

Tego dnia miał na sobie nowe ubranko, buty i skarpetki, które dzień wcześniej kupiła mu matka za pieniądze wujka Vinnie. Czuł się w tym stroju okropnie - krawat go cisnął, a wysokie sznurowane buciki ze sztywnej skóry już zdążyły mu zrobić na nodze bolesny bąbel. Cały jego dobytek mieścił się w odrapanej walizeczce, którą matka wyciągnęła spod łóżka. W rączce kurczowo ścisnął Teddy'ego, pluszowego brązowego misia o wybrudzonej futerku i bez oka - jedyny prezent, jaki podarowali mu rodzice, gdy się urodził. Renzo kochał misia, gdyż stanowił on jedyny dowód na to, że kiedyś, choćby i krótko, był wyczekiwany i kochany. Teraz chronił tę zabawkę jak jedyny skarb i talizman.

- Nie bój się, Teddy - szeptał, a dolna warga drżała mu niebezpiecznie. - Jedziemy tylko w podróż do naszego nowego domku, wiesz? Tam też będę cię tobą zajmował, obie-

cuję! Mama mówi, że państwo Martinelli są bardzo miii. Pan Martinelli ma gazetę. Mieszkają w takim ładnym miejscu, gdzie jest dużo drzew i jezior, będziemy sobie pływać i łowić ryby, i... i to będzie wielka przygoda! Bo widzisz, Teddy... widzisz... - powtarzał misiowi słowa matki, aż szloch zdławił mu gardło i musiał wtulić twarz w wyleniałe futerko.

Po chwili jednak opanował się dzielnie, bo nie chciał, by widziano, że płacze. Otarł rękawem mokre oczy, potem usmarkany nos, i reżolutnie powiedział sobie, że musi być dzielny jak Batman, Tarzan i wszyscy inni superbohaterowie, zapełniający kartki pochłanianych przez niego namiętne komiksów.

Gdy zaś otarł zapłakane oczy, zauważył kokon. Ktoś kiedyś zasadził dzikie wino przy murze, które wbrew prognozom nie tylko przeżyło, ale i rozrosło się wspaniale, zakrywając brzydkie, ceglany mur. Kokon był przyczepiony właśnie do owego grubego pędu.

Renzo zobaczył wtedy ten kokon i uśmiechnął się niepewnie do siebie. Wiedział już - gdyż otwierał takie kokony - że brzydka, szara skorupa kryje równie brzydką i pokraczną poczwarkę. Wiedział jednak także coś jeszcze; coś, o czym się przekonał, gdy otworzył kiedyś podobny kokon i wcale nie pokazała się poczwarka, lecz wspaniały, barwny motyl. Wiedział, że nie z każdego kokona wychodzi poczwarka i naraz wiedza ta stała się dlań nieoczekiwanym pocieszeniem.

Patrzył niczym urzeczony, jak owad powoli rozkłada piękne, barwne skrzydła i jak porusza nimi nieśmiało, wygrzebując się z resztek kokonu. Jak niespodziewanie wznosi się w powietrze i ulatuje w górę, niknąc w oddali. Patrzył

i z dziwną jak na swój wiek przenikliwością myślał: „Ktoregoś dnia ja również polecę tak wysoko - bo jeśli brzydka poczwarka może zmienić się w pięknego motyla, to kto wie, kim ja się mogę stać, jeśli tylko zechcę?”

Za jego plecami trzasnęły drzwi wejściowe i rozległ się szybki, ostry stukot niebotycznie wysokich obcasów matki. Jej szpilki miały jaskrawoczerwoną barwę, podobnie jak mocno umalowane usta i lśniące, długie, doklejane paznokcie. Popatrzył na nią, z drżeniem wyczekując, że zmieni zamiar i powie mu, by został. Jednak Sofie Cassavettes energicznie wyduła w balon gumę, którą żuła bez przerwy, i nerwowo trąciła jeden z błyszczących klipsów, który tańczył jej przy uchu.

- Zbieraj się, Renzo. Pora jechać - nakazała.

Po chwili przed dom zajechał wujek Vinnie. On również sprawił sobie nowe ubranie, które można było podziwiać dzięki opuszczonemu dachowi jego dwukolorowego kabrioletu. Renzo dobrze wiedział, że ludzie z sąsiedztwa nazywają ten wóz „bryką alfonsa”. Sofie pomachała mu ręką z rozkosznym uśmiechem i ruszyła do wozu, kołysząc pojętymi biodrami w skórzanej mini.

Tuż za nią, zgarbiony, jakby ciężar całego świata spadł mu na chude ramionka, powlókł się Renzo, taszcząc w jednej ręce walizkę, a drugą przyciskając do siebie pluszowego misia.

Bez słowa protestu wgramolił się na siedzenie i nie obejrzał się za siebie, gdy samochód z piskiem opon oderwał się od krawężnika. Mocno zacisnął powieki i próbował przywołać przed oczy obraz motyla, który pewnie i szybko wzlatuje w niebo.

ROZDZIAŁ TRZECI

Papa Nick

*Widziałem, jak występny się pysznił
i rozpierał się jak cedr zielony.*

Księga Psalmów 37,35 (przekł. *Biblia Tysiąclecia*)

Choć wujek Vinnie cisnął gaz do dechy, chłopcu wydawało się, że podróż nigdy się nie skończy. Samochód pędził przez autostrady i pyliste boczne drogi ku małemu, prowincjonalnemu miasteczku, położonemu w rolniczej okolicy. Kiedy jednak pojawiły się znaki sygnalizujące jego granice i wóz wjechał w cień starych drzew rosnących po obu stronach wykładanej kostką alei, wuj Vinnie dziwnie zwolnił i niemal włókł się do przodu. Wreszcie nerwowym ruchem wyłączył nastawione na cały regulator radio, a potem z dezaprobatą spojrział na rozchełstaną bluzkę Sofie, choć wcześniej sam ją rozpiął, by po drodze pieścić śniade piersi kobiety.

- Na litość boską, dziewczyno, doprowadź się do porządku! I zetrzyj z ust tę cholerną szminkę! - warknął. - Wyglądasz jak dziwka!

- Nie mówiłeś mi tego, kiedy wyjeżdżaliśmy - zagru-

chała pokornie Sofie, układając usta w ciup jak mała dziewczynka. - Chyba ci się wtedy podobałam.

- Dobra... to było wcześniej, kiedy nie byliśmy o krok od bram Papy Nicka - powiedział, przejeżdżając palcem pod przepoconym kołnierzykiem, jak gdyby chciał rozluźnić za ciasny krawat. - I nie waż się kręcić tyłkiem przed Mamą Rosą. Biznes to jedna sprawa, a rodzina - druga. I cokolwiek by mówiono, nie wspominaj ani słowem o ojcu chłopaka. Zresztą najlepiej siedź cicho, ja będę gadał. *Capisce?*

- Dobra, Vinnie, jak chcesz. - Wzruszyła ramionami, głośno strzeliła gumą, po czym wyciągnęła chusteczki i zaczęła posłusznie ścierać jaskrawą czerwień z warg. - Ale nie rozumiem, o co ten cały szum. Papa Nick to tylko schorowany staruch, który już dawno temu powinien wpełznąć do jakiejś dziury i tam zdechnąć. Pewnie ledwo się rusza, jak stary pajak, który płacze się we własnej pajęczynie.

- tylko taka idiotka jak ty, Sofie, może wygadywać podobne bzdury. Dlatego radzę ci, zamknij tę swoją jadaczkę choć na parę godzin, bo wreszcie stracę cierpliwość! - wybuchnął, rzucając jej ostre, władcze spojrzenie.

Sofie znów wzruszyła ramionami, ale nie odezwała się więcej. Znała wybuchowość Vnniego i nie miała ochoty znów zarobić śliwy pod okiem, jak kilka tygodni temu.

Renzo, skulony na tylnym siedzeniu, również milczał. Jego duszę dręczyły coraz to nowe obawy. Mama mówiła, że państwo Martinelli to mili ludzie. Ale chyba kłamała, skoro wujek Vinnie się ich bał - przecież wujek Vinnie nigdy nie boi się nikogo. Przeciwnie, to jego wszyscy zawsze się bali. W skórzanej kaburze przypiętej pod pachą nosił pod

marynarką wielki pistolet i w razie czego nie wahał się zrobić z niego użytku. W czasie jakiejś biby w ich mieszkaniu, kiedy młody Carlo obraził Sofie i ośmielił się ją dotknąć, wujek Vinnie bez ostrzeżenia przystawił mu lufę do głowy, celując między oczy. Przerażony Renzo skrył się wówczas w kącie, pewien, że za chwilę zostanie popełnione krwawe morderstwo. Wszystko jednak skończyło się dobrze - Carlo przeprosił skwapliwie, obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem i zgodnie kontynuowali wspólne picie.

Teraz Renzo z obawą spoglądał na potężną, kutą bramę z groźnymi szpicami, która otworzyła się przed nimi posłusznie, gdy wujek zadzwonił z budki telefonicznej, stojącej obok. Po chwili samochód sunął powoli po krętej drodze dojazdowej, aż zza wzgórz ukazał się wreszcie widok imponującego domostwa z czerwonej cegły, usytuowanego na krawędzi wzniesienia. Renzo nigdy nie widział tak wielkiej i wspaniałej rezydencji, drżał więc, znieruchomiały na siedzeniu jak królik pod wzrokiem węża, na myśl o straszliwym „staruchu” i „pajaku”, który w niej mieszka. Był tak przerażony, że ze wszystkich sił musiał się powstrzymać, by nie zrobić w spodnie.

Z liczby samochodów zaparkowanych przy podjeździe można się było domyślać, że wewnątrz odbywa się jakieś przyjęcie. Wujek Vinnie zaparkował swój kolorowy kabriolet i cała trójka wysiadła niepewnie na żwirową drogę. Sofie zerknęła na Renzo, skrzywiła się, wyjęła z torby kolejną chusteczkę, zwilżyła ją śliną i otarła brudną smugę z policzka chłopca. Potem poprawiła mu krawat i przygładziła zwichrzoną wiatrem czuprynę. Tymczasem wujek Vinnie zadzwonił do drzwi i zaraz potem służący w ciemnym uni-

formie przeprowadził ich przez piękne wnętrza ku werandzie w drugim końcu domu.

To, co ujrzeli po wejściu do zielonego ogrodu, onieśmieliło Renzo jeszcze bardziej. Na ogromnym trawniku rozstawiono stoły piknikowe. W dali grano w kule, a w powietrzu unosiły się smakowite wonie pieczonych na rusztach befsztyków i kurczaków. Wokół nich stali grupami mężczyźni, pałac i popijając drinki. Kolorowo ubrane kobiety wędrowały pomiędzy nimi z tackami w rękach, od czasu do czasu oglądając się za dziećmi, które buszowały wśród stołów. Na zaimprovizowanej estradzie grała mała kapela. Powietrze wibrowało muzyką, rozmowami, śmiechami i pokrzykiwaniami.

- Witaj, Papo Nicku - wujek Vinnie z szacunkiem pozdrowił starego człowieka, który tkwił w bujanym fotelu w cieniu werandy. W kąciku ust jarzył mu się ognek cygara, a potężne, okryte plamami dłonie spoczywały na srebrnej, rzeźbionej główce trzcinowej laski. Vinnie przykleknął i ceremonialnie ucałował gruby złoty pierścień na wykrzywionym reumatyzmem palcu. - Przywieźliśmy chłopaka.

Teraz przyszła kolej na powitanie Sofie, która musnęła pocałunkiem ciemny, obwisły policzek Papy Nicka.

- To jest Renzo, Papo - powiedziała, wypychając przed siebie chłopca i obciągając spódniczkę, która nagle nawet jej samej wydała się za krótka.

Choć Papa Nick mógł mieć równie dobrze sześćdziesiąt jak i osiemdziesiąt lat, chłopcu wydawał się po prostu straszliwie stary. Teraz zrozumiał, dlaczego matka nazwała tego człowieka pajakiem.

Rzeczywiście, w Papie Nicku było coś pajęczego, coś

ciemnego i złowieszczego, co zdawało się oplatać jak niewidzialna sieć każdego, kto znajdował się w jego pobliżu. Renzo czuł niemal namacalnie, jak włosy zjeżyły mu się na karku. Później miał się przekonać, że tą złowrogą, paraliżującą siłą, emanującą ze starego człowieka, była jego władza, jego moc decydowania o życiu i śmierci wielu ludzi. Tamtego dnia czuł jednak tylko, że należy się tego bać. Sępie, przenikliwe oczy Papy Nicka były czarne jak węgiel, który stał się podstawą części jego fortuny. Zdawały się przepalać chłopca na wylot.

- Jak oni cię żywili, chłopiec? Toż to sama skóra i kości! A nowe ubranko wisi na ciebie gorzej niż na strachu na wróble!

Głos starego człowieka był zwodniczo łagodny i głęboki, przesycony silnie włoską wymową, której nigdy się nie pozbył i która brzmiałaby śmiesznie, gdyby nie ukryta nuta groźby, świadcząca o możliwościach tego tajemniczego człowieka. Intuicyjnie Renzo zrozumiał, że gniew Papy Nicka nie jest skierowany na niego, ale na jego matkę i wujka Vinnie, którym teraz pot perlił się na czole pomimo wielkich wentylatorów, obracających się nad ich głowami. Poirytowanym machnięciem ręki Papa Nick odprawił ich, a potem skinął na Renzo, by podszedł bliżej.

- Lubi słodyczne, chłopiec? - zagadnął, sięgając do kieszeni i wyjmując owiniętą w złotą folię czekoladkę. - Bierze, to dla ciebie - zachęcił, podsuwając ją chłopcu. - No, bierze - ponaglił, gdy mały się wahał. - Bo cię ugryzę!

Renzo ostrożnie wyciągnął rękę i pochwycił zdobycz, jakby naprawdę bał się ukąszenia. Ku jego zaskoczeniu Papa Nick roześmiał się, aż zatrząsał mu się potężny brzuch.

- A teraz niech idzie - nakazał po chwili burkliwie, celując laską w swego nowego podopiecznego. - Pobawi się z innymi dzieciakami. Zdejmie tę nędzną marynarkę, ściągnie buty i hula sobie. Nie widzi mi się, żebyś ty, chłopiec, był za szczęśliwy. Joe! Madonna! Chodźcie tu no po dzieciaka i zadbajcie o niego jak należy. A podtuczyć go porządnie na naszej włoskiej kuchni!

Para, która kręciła się nieopodal, podeszła natychmiast, przywołana jego wezwaniem. Ich niemłode, lecz sympatyczne twarze promieniały życzliwością. Byli to właśnie, jak stwierdził z ulgą i radością Renzo, państwo Martinelli - jego przyszli opiekunowie.

Madonna, która nie mogła mieć dzieci, przyklękła i zapraszająco wyciągnęła ku niemu ramiona. Ten prosty, akceptujący gest powiedział mu, że ktoś wreszcie gotów jest go pokochać całym sercem i bez zastrzeżeń.

Ściskając więc w spotniałej rączce czekoladkę, Renzo Cassavettes niezgrabnie podszedł do uśmiechniętej kobiety i pozwolił, by ciepłe, macierzyńskie ramiona przycisnęły go do miękkiej piersi. W tej błogiej chwili pojął, że już na zawsze jego domem będzie miejsce w czyimś sercu.

ROZDZIAŁ CZWARTY KUFEREK ŚNIADANIOWY

*Lecz podłe duchy pojąć nie są w stanie,
Co jest prawdziwe, szlachetne kochanie;
Drogi dar niebios, który przed innymi,
Bóg zesłał ludziom na ośłodą ziemi.[...]
Nie z ziemskiej żądzy mocy swej nabiera,
Nie przez nią żyje, i nie z nią umiera.
Lecz jest to związek ducha z duchem, który
Spaja się tajnym ogniwem natury,
I łączy węzłem nie dzielnej jedności,
Dwa serca w życiu, dwie dusze w wieczności!*

Walter Scott, *Pieśń ostatniego minstrela*
(przełożył Antoni Edward Odynieć)

Pierwszy raz Renzo zobaczył Sarę Kincaid, gdy miał dwanaście lat i kiedy zdążył prawie już zapomnieć, jakie było jego życie przedtem, zanim zamieszkał z Josephem i Madonną Martinelli w małym, prowincjonalnym miasteczku. Jeśli czasem myślał o przeszłości, to tylko jako o złym śnie.

Schludny biały bungalow Martinellich przy Elm Street w niczym nie przypominał obskurnej kamienicy w wielkim

mieście, gdzie się urodził. Zresztą ani jego matka Sofie, ani wuj Vinnie nie pojawili się ani razu od czasu, gdy przywieźli go do rezydencji Papy Nicka, toteż i oni stali się wkrótce tylko wyblakłym wspomnieniem. Prawdę mówiąc, Renzo nie potrafiłby chyba przypomnieć sobie, jak wyglądała twarz jego matki. Jej postać składała się głównie z plam krwawej czerwieni ust, paznokci i pantofli na wysokim obcasie.

W ciągu tych pięciu lat Renzo rozrósł się i zmężniał, do czego przyczyniła się głównie świetna włoska kuchnia Madonny Martinelli. Z roku na rok coraz bardziej przypominał swojego nieżyjącego ojca, choć własny widok w lustrze niczego jeszcze mu nie mówił. Dostrzegał tylko gęste, niesforne ciemne włosy, ciemnobrązowe oczy i śniadą skórę, która świadczyła o włoskiej krwi płynącej w jego żyłach. Te właśnie cechy sprawiły, że wyrósł wokół niego niewidzialny mur, oddzielający go od społeczności tego miasteczka, gdzie każdy miał swoje miejsce w hierarchii i wiedział, że nie powinien się poza nie wychylać.

Nie miało żadnego znaczenia to, że Joseph Martinelli z równym powodzeniem prowadził gazetę „T r i — State Tribune”, jak Fritzchen Mueller swoją restaurację - „Fritzchen's Kitchen”. W obowiązującej w miasteczku hierarchii społeczny status Fritza był wyższy niż status Joego - gdyż Fritz miał bielszą skórę i nie był Włochem.

Oczywiście, głośno się o tym nie mówiło. Po prostu rozumiało się samo przez się, że tak zawsze było, jest i będzie. Taki był naturalny porządek rzeczy, ustalony kiedyś i przestrzegany później przez kolejne pokolenia.

Renzo otrzymał zresztą parę razy bolesną lekcję. Tę prawdę wtłoczyli mu w szkole pięściami do głowy synkowie

miejscowych polityków, lekarzy, prawników, bankierów i przedsiębiorców - Bubba Holbrooke, Skeets Granville, Forrest Pierce, Drew Langford, Tommy Lee Archer i Clayton Willoughby.

Dlatego kiedy pierwszy raz śledził Sarę, musiał z początku walczyć ze strachem, który podpowiadał mu, by odwrócić się, wskoczyć na rower i popędzić co siłą, byle dalej od niej. Jednak z jakichś nieznanych przyczyn nogi wrosły mu w ziemię i tkwił tak na skraju lasu, obok opartego o drzewo roweru, kurczowo ściskając w rękach wędkę i kosz na ryby.

Sara Kincaid nie wyglądała jak zwykła dziewczynka, raczej jak baśniowy elf - roztańczona na łące wśród wysokiej, usianej barwnymi kwiatami trawy, która falowała wokół niej jak morze. Długie, jedwabiste włosy Sary były brązowe niczym ciemna kora wielkich starych drzew, których liście, zielone jak jej oczy, cicho szeptały coś na wietrze. Policzki miała zaróżowione i świeże; rumieniec pięknie kontrastował z jasną opalenizną skóry tak delikatnej, jak promienie słońce w ten rozświetlony złocistym słońcem dzień mijającego lata.

Miała na sobie luźną, bladuróżową sukienkę, a jej stopy były białe, podobnie jak u niego. Podskakiwała i wirowała, co chwila schylając się po nowy kwiatek, który dodawała do trzymanego w rączce bukietu. Słyszał jej wysoki, słodki głos, wyśpiewujący radośnie jakąś niedorzeczną piosenkę, i czuł się tak, jakby przez pomyłkę znalazł się wśród aniołów w raju.

Był oszołomiony. Ledwie śmiał oddychać z obawy, że Sara może go zauważyć i wystraszona pognać w las jak

spłoszona sarna. Patrzył więc na nią z bijącym sercem, a ona tańczyła, śpiewała, składała swój bukiet.

W pewnym momencie ujrzała wielkiego, żółtego motyla, unoszącego się nad łąką jak klejnot, i nagle znieruchomiała. Tak się na niego zapatrzyła, że wypuściła bukiet z rąk i kwiaty opadły przed nią, tworząc barwny kobierzec u jej stóp. Uniosła powoli drobne, złożone w muszlę dłonie i tak zamarła z twarzą wzniesioną ku słońcu. Jej oczy były zamknięte, a wargi poruszały się bezgłośnie, jakby modliła się albo wypowiadała jakieś zaklęcie. I oto nagle rzeczywiście stał się cud - motyl delikatnie usiadł jej na dłoniach.

Jakby czując jego ulotne dotknięcie, Sara otworzyła szeroko oczy, a jej usta uformowały się w zdumione i zachwycone „o”. Przez jedną, nieskończenie długą chwilę piękny owad trwał w miejscu i tylko skrzydła drgały mu leciutko, jakby chciał, żeby nacieszyła się jego widokiem. Mogłaby go uwięzić w złożonych dłoniach, ale zamiast tego nagle wyrzuciła je w górę, rozkładając szeroko, po czym zaśmiała się radośnie, kiedy motyl wzleciał i stał się tylko drobną żółtą plamką na tle jaskrawoniebieskiego nieba.

- Sara! - zawołał z daleka jakiś kobiecy głos, wdzierając się w zakłócaną jedynie szelestem wiatru ciszę letniego dnia. - Sarenko, gdzie jesteś? Musisz wracać do domu, szybko. Sara...

Dziewczynka drgnęła na dźwięk swojego imienia i odwróciła głowę.

- Tu jestem, mamó! - odrzyknęła i z wolna ruszyła w stronę nieodległych zabudowań.

W kilka chwil później łąka była już pusta.

Dla Renzo zaś miejsce, w którym zobaczył, jak to prze-

cudne stworzenie wabi do siebie motyla, stało się magiczne. Choć wiedział, że to niemożliwe, wyobrażał sobie, iż jest to ten sam motyl, którego obserwował przed laty - tam, na podwórku odrapanej kamienicy w wielkim mieście. Żółty motyl stał się tajemną więzią łączącą go z dziewczynką o zielonych oczach; sekretem, którego oprócz nich nie znał nikt na świecie.

Wszedł na łąkę, podniósł jeden z kwiatków, które upuściła, i ostrożnie wsunął wąż roślinkę w kieszeń koszulki. Nie wiedział wtedy, dlaczego to zrobił.

Kiedy Renzo zobaczył ją po raz drugi, Sara Kincaid stała na szkolnym boisku, zanosząc się łzami i przyciskając kurczowo do piersi metalowy śniadaniowy kuferek. Przyciskała go zaś w taki sam sposób, w jaki kiedyś on, Renzo, tulił do siebie swego pluszowego misia. Misią, który był wówczas jego jedynym przyjacielem i którego nawet teraz trzymał w nocnej szafce obok łóżka w domu państwa Martinellich.

Motyl. Sponiewierany pluszowy miś. Używany śniadaniowy kuferek. Biedne, małe, kochane przedmioty, od których czasem zależy tak wiele.

Tamtego dnia ani Renzo, ani Sara nie wiedzieli jeszcze, że te małe przedmioty są ważniejsze niż wszystko inne, i że to dzięki nim ich losy splecą się na zawsze i nieodwołalnie, jak pędy dzikiego wina.

Śniadaniowy kuferek, który nieoczekiwanie stał się wówczas własnością Sary Kincaid i od którego zaczęła się ich późniejsza znajomość, był jaskrawokolorowy i tak błyszcząco, że z daleka mógł uchodzić za nowy. Blacha była

wprawdzie troszeczkę wgnieciona i zarysowana, ale tata dziewczynki obiecał, że w wolnej chwili ją wyklepie.

Ucieszyła się, bo nie chciała, żeby namalowana na wieczku twarz czarodziejki pozostała na zawsze skrzywiona, tak samo jak skrzydło zaczarowanego kosmicznego statku. Wewnątrz kufereka znajdowała się kasetka na kanapki i mały termos z wesołą, czerwoną zakrętką-kubeczkim.

- Podoba ci się, Sarenko? Dostałam go od pani Holbrooke - powiedziała Iris Kincaid do swojej córeczki. Nie musiała zresztą pytać - Sara siedziała przy stole, ściskając kuferek kurczowo jak największy skarb. - Holbrookowa zbierała rzeczy na kiermasz dobroczynny w kościele i powiedziała, że mogę sobie je przejrzeć i wybrać coś dla siebie. - Matka mówiła o Zoe Ann, żonie J.D. Holbrooke'a, u której pracowała jako pokojówka. - Nie wiedziałam, czy mogę sobie wziąć ten fant za darmo, czy nie, więc zostawiłam jej na stole pięćdziesiąt centów, bo taką cenę wyznaczyła za ten kufereczek. Chyba dobrze zrobiłam, co, Dell? - Zerknęła niepewnie na swojego małżonka, bojąc się, czy czasem nie popełniła czegoś zdrożnego.

- No chyba - burknął, szeleszcząc stronami gazety. Dym wznosił się cienką spiralą z jego fajki i wyglądało to tak, jakby płachty papieru za chwilę miały zająć się ogniem. - Jakbyś coś zmalowała, Holbrookowa zaraz by dała ci poznać. Ta baba się nie certoli, co pomyśli, to gada od razu.

- To i dobrze - Iris wyraźnie ulżyło.

Rodzice rozmawiali dalej, ale Sara już ich nie słuchała. Prawdziwy śniadaniowy kuferek! Będzie mogła zabierać w nim śniadanie do szkoły zamiast nosić je w tych ohydnych papierowych torbach! Ale fajnie! Żadne z dzieci z sąsiedztwa

takiego nie miało. Inni ojcowie, którzy tak jak jej tata pracowali w kopalniach węgla należących do Papy Nicka Genovese i mieszkali z rodzinami w osiedlu górniczych domków Miners Row, zarabiali za mało, by sprawiać swoim dzieciom takie wydumane prezenty. Papierowe torby z osiedlowego sklepu w zupełności wystarczały. Za kilka zaoszczędzonych dolarów można było przecież kupić dzieciom z przeceny buty albo sukienkę, a na wyprzedazy nawet więcej.

Następnego dnia rano, radosna i drżąca z przejęcia, Sara weszła na stopnie żółtego szkolnego autobusu, który miała ją zawieźć do szkoły podstawowej imienia Jerzego Waszyngtona, a potem odwieźć z powrotem do domu. W ręku dumnie dzierżyła kuferek, załadowany kanapką z masłem i marmoladą, piklami domowej roboty oraz zielonym jabłkiem zerwanym z drzewa, które rosło za domem. W termosie chlupotała zimna lemoniada z lodówki.

- Patrzenie, Sara Beth Kincaid ma kuferek śniadaniowy!
- wykrzyknęła momentalnie Krystal Watkins ku zachwytowi Sary.

Pozostałe dziewczynki natychmiast zerwały się z miejsc i stłoczyły wokół niej, podziwiając i komentując tę niesłychaną atrakcję. Wreszcie kierowca, stary, siwy Murzyn o imieniu Gus, gderliwie zapędził je z powrotem na fotele. Siedzenia były obdarte i wygniecione. Brązową winylową tapicerkę, która popękała w wielu miejscach, niedbale poklecano szarą taśmą izolacyjną.

- Chyba znacie przepisy, nie? Ni ma siedzenia na miejscach, ni ma jazdy.

Wypowiedź Gusa skomentowano zbiorowym, niechętnym jęknieniem. Sara wiedziała jednak, że kiedy wjadą na

ostrzy zakręt koło domu Barlowa, cała ferajna i tak pogna na jeden koniec wozu, w nadziei, że tył zarzuci i zsunie się na żwirowe pobocze. W zeszłym roku udało im się to wprawdzie tylko raz, ale wystarczyło, by doprowadzić dyrektora szkoły, pana Dimsdale, do białej gorączki. Przez ponad pół godziny trzymał ich później zamkniętych w autobusie, robiąc wykład na temat odpowiedzialnego zachowania i bezpieczeństwa w czasie jazdy. W rezultacie na wspólny dziedziniec trzech szkół wszystkich stopni - noszących dumne imiona Waszyngtona, Jeffersona i Lincolna - wjechali spóźnieni o dobrą godzinę.

Wspominając po latach ów dzień, w którym usiadła pośród koleżanek z metalowym kuferkiem w dłoni, Sara była pewna, że wszystko, co ważne w jej życiu, zaczęło się właśnie od niego. Gdyby bowiem nie zamieszanie, jakie zrobiło się wokół niej w autobusie, dzieciaki, upomniane przez Gusa, dojechałyby spokojnie do szkoły.

Tymczasem tak się rozkręciły, że na zakręcie koło Barlowa hurmem rzuciły się na tył autobusu, i tak będącego już niebezpiecznie blisko krawędzi jezdni. Tym razem wóz nie wypadł z drogi, ale jedno z wielkich kół na moment poszorowało po żwirze, nadziejąc się na usianą gwoździami deskę. Z początku powietrze uchodziło wolno, więc Gus dojechał do szkoły nic nie zauważywszy. Dopiero kiedy szykował się do odwożenia dzieci po lekcjach, spostrzegł, że z/tylnego koła zrobił się kapeć. Długo naprawiał usterkę, a dzieci na przystanku przybywało.

I właśnie wtedy Sara, stojąca skromnie pod drzewem przy wielkim trawniku, została dostrzeżona przez Eveline Holbrooke, która kilka minut wcześniej wyszła z lekcji.

Evie, najmłodsze dziecko J.D. Holbrooke'a i jego jedyna córka, wpadła w szal na widok swojego dawnego kuferka śniadaniowego w ręku Sary Kincaid. Jako córeczka miejscowego notabla była bardzo popularna w szkole i każdy, kto marzył, by być kimś, starał się o jej względy. Dlatego też nie zabrakło jej sojuszników, gdy stanęła w wojowniczej pozycji przed Sarą i znaczącymi spojrzeniami zaczęła dawać do zrozumienia, jaki to afront ją spotkał i jak zaraz zabawi się z winowajczynią.

Czując wsparcie licznych wielbicieli obojga płci, odezwała się zaczepnie:

- Ej, Kincaid, ty brudna węglaro! Oddawaj mi ten kufer! On jest mój! Tata przywiózł mi go w prezencie, kiedy wrócił z podróży. Nie masz prawa do niego, ty złodziejko! Twoja matka wykradła go z naszego domu!

- Nieprawda! - Sara z oburzeniem zacisnęła drobne piąstki. Zawsze starała się trzymać z daleka od Evie Holbrooke, która szydziła z niej i dręczyła ją przy każdej okazji, ale teraz nie miała dokąd uciec. Musiała się bronić, choć dobrze wiedziała, że wynik konfrontacji z tą ulubienicą co bogatszych i bardziej wpływowych nauczycieli i rodziców jest z góry przesądzony.

- A właśnie, że prawda! Twoja matka to złodziejka! Ciągle coś od nas kradnie. Teraz mam na to dowód. Powiem mojej mamie, żeby wreszcie ją wylała. A jak moja mama to zrobi, to twoja nigdzie nie znajdzie pracy. Nikt chyba nie będzie chciał wpuszczać do domu złodziejki!

Serce Sary zadrżało ze strachu na myśl, że piekielna Evie może spełnić swoją groźbę. Kincaidom stale brakowało pieniędzy, dlatego mama poszła do Holbrooke'ów, żeby doro-

bić sprzątaniem, praniem i prasowaniem. Trudno było sobie nawet wyobrazić, co by zrobili, gdyby straciła tę robotę. Co gorsza, gdyby szeryf Laidlaw dał wiarę tym oskarżeniom, mógłby nawet ją aresztować!

- Moja mama niczego nie ukradła! Przysięgam! - zawołała Sara rozpaczliwie. Chciała być dzielna, jednak już po chwili łzy popłynęły z jej wielkich, szeroko otwartych oczu, wiotkie ramionka zadrżały, a dłonie ścisnęły kurczowo rączkę blaszanego kuferka.

- Owszem, ukradła. A teraz oddaj mi moją własność - zażądała twardo Evie, dumnym gestem odrzucając na plecy falę jasnych włosów. Jej niebieskie oczy patrzyły zimno na ofiarę spod przymrużonych powiek, a gdy ta nie zareagowała, Eveline postąpiła krok ku niej. - Oddaj, bo zaraz pożałujesz, węglaro!

Zanim roztrzęsiona Sara zdołała coś powiedzieć, nieoczekiwanie odezwał się inny głos, niski i groźny, skierowany do Evie:

- Może byś się stąd zmyła, Holbrook? Najlepiej ze skały, prosto do morza!

Wśród popleczników Evie rozległy się pełne oburzenia pomruki, a ich przywódczynię zatkało. Jeszcze nikt nigdy nie ośmielił się tak jej potraktować.

Sara odwróciła się, chcąc zobaczyć, cóż to za straceniec odważył się wystąpić w jej obronie. I tak jak w chwili, gdy na ulubionej łące na jej dłoniach usiadł motyl, tak i teraz na moment straciła oddech.

Nie знаła tego chłopca, ale wydawał się jej najpiękniejszą istotą, jaką dotąd widziała. Wyglądał, jakby wyszedł wprost z filmowego ekranu. Jego szczupłą twarz zdobiła

grzywa zmierzwionych, ciemnych włosów, brązowe oczy w oprawie czarnych, długich rzęs oraz śniada skóra. Ubrany w wytarte błękitne dżinsy, bawełnianą koszulkę i czarną skórzaną kurtkę, wyglądał niczym buntownik bez powodu, niebezpieczny i pociągający zarazem. Był starszy od niej, ale nie wyglądał jeszcze na ucznia liceum. Musi chodzić do Jeffersona, uznała.

- Renzo Cassavettes, a może ty byś się zmył? Chyba że wolisz postawić się chłopakowi, a nie dziewczynie, jak jakiś tchórz?! - wtrącił się Bubba Holbrooke, który wraz ze swoją bandą obserwował całą tę scenę. Nie przejmował się specjalnie losem Evie, ta smarkula nieraz zasługiwała na porządne lanie, ale w końcu była jego siostrą i wypadało jej bronić. Zwłaszcza jeśli pyskował jej ten włoski wypierdek!

- Rozumiem, że to z tobą mam się bić? Cholernie się cieszę, Bubba - odparł spokojnie Renzo, a jego spojrzenie stało się czujne i skupione. - No, chodź tu, ty upaprany w gnoju leszczu! Ciekawe, czy odważysz się stanąć ze mną sam na sam? Pewnie nie, bo odważny to ty jesteś, ale tylko z kumplami. No co, przekonamy się, kto jest tchórzem? No, chodź, gnoju, chodź bliżej. Śmierdzisz, ale co tam...

Twarz Bubby nabiegła krwią z wściekłości. Wszyscy w miasteczku wiedzieli, że zarabiał na tygodniówkę, pomagając dozorczy w fabryce nawozów swojego tatusia. To było upokarzające! Żeby on - najstarszy syn i dziedzic fortuny J.D. Holbrooke'a - musiał osobiście dotykać się tych cholernych nawozów, chodzić z miotłą, wypróżniać kosze na śmieci i wypełniać wszystkie polecenia tego czarnego durnia, Thaddeusa, dozorczy w ojcowskiej firmie!

A jednak, pomimo protestów Bubby, tata Holbrooke po-

został nieugięty - jego syn musi poznać rodzinny interes od samego dołu, powtarzał, tak jak niegdyś on sam. Nie ma mowy, żeby zbijał baki bez żadnych obowiązków, a potem ot tak, po prostu wskoczył na odziedziczony po tatusiu fotel prezesa i zasiadł przy długim stole z honduraskiego mahoni, przy którym zbierała się rada nadzorcza.

I oto teraz Bubba kłął w duchu siostrę, że przez nią najadł się publicznie wstydu. Poza tym wyzwanie Renzo na pojedynek wcale nie było mu w smak i chętnie by się wycofał. Nie mógł już jednak tego zrobić. Wokół zebrał się tłumek uczniów ze wszystkich trzech szkół i patrzył na niego wyczekująco, ciekaw, czy słynny Bubba podejmie wyzwanie.

Przeniknął go dreszcz strachu. Bez Skeetsa Grenville'a, Caytona Willoughby'ego i reszty jego „Bandy Szczurów”, która zawsze stawała za nim murem, czuł się niepewnie.

- No dobra. Stawaj, makaroniarzu! - wrzasnął wreszcie, nakręcając w sobie zajadłą złość, która dodała mu odwagi. - Chyba, że się puchasz, tchórze! - Cisnął na ziemię spięte paskiem książki, te rozsypały się, a spomiędzy kartek wypadła wkładka z „Playboya”, którą wykradł z kolekcji tatusia. - No, stawaj! Myślisz, że się ciebie boję? Przewróć cię jednym palcem! Pieprz się, Renzo Cassavettes!

- Bubba, nie! Znasz zasady - jak cię złapią na terenie szkoły, zostaniesz zawieszony! - Młodszy brat Bubby, Winston Sonny Holbrooke III, z determinacją wsunął się między przeciwników. - Jak tata się dowie, że znów chcą cię wyrzucić...

- Zamknij się! - warknął Bubba, ze złością odpychając brata, aż ten potknął się o rozsypane książki i padł jak długi

na ziemię. - Ojciec też nie cierpi, kiedy jakieś przybłędy panoszą się na naszej ziemi!

Po takich słowach walka musiała się zacząć. Obaj chłopcy byli wysocy, ale Bubba miał większą masę, więc z początku Sara i reszta byli przekonani, że Renzo nie da mu rady. Na razie okładali się zajadłe pięściami, poszły także w ruch kolana i łokcie, jednak po jakimś czasie stało się jasne, że Bubba wcale nie musi wygrać.

Renzo przeszedł twardą szkołę przetrwania w miejskiej dżungli. Szkoła wujka Vinnie i innych facetów z półświatka, którzy pojawiali się u jego matki, również nie poszła ma marne. I oto przy akompaniamencie wrogich gwizdów i okrzyków, nie zważając na własny krwawiący nos, Renzo najpierw podbił oko Bubbie, potem strzelił go bykiem w żołądek, pozbawiając na moment oddechu, i zanim przeciwnik zdołał dojść do siebie, ukląkł na nim i unieruchomił go, zaciskając mu ręce na gardle.

Nagle zrobiło się cicho. Dwaj przeciwnicy nie zorientowali się jednak, że stało się tak z powodu pana Dimsdale'a, który zjawił się nie wiadomo skąd z grupą nauczycieli, i spostrzegłszy, co się dzieje, ostrym głosem nakazał natychmiast zakończyć walkę. Na próżno. Walczących trzeba było rozdzielać siłą.

Dopiero teraz nadjechał Gus. Sara z ogromną ulgą wsiadła do żółtego autobusu i na wszelki wypadek zajęła miejsce tuż za kierowcą, chroniąc się w cieniu jego władzy. Nie musiała tego robić, bo przecież Evie, której dom leżał przy innej trasie, nie wracała tym samym kursem. Nie była jednak pewna, na co jeszcze stać pannę Holbrooke.

Przez całą drogę nie powiedziała ani słowa, choć kole-

żanki z górniczej osady usiłowały ją pocieszać. Myślała z troską, że chłopak, który wystąpił w jej obronie, zostanie pewnie wyrzucony ze szkoły i że stanie się tak z jej winy.

A ona nawet nie miała okazji mu podziękować!

Wieczorem opowiedziała o wszystkim rodzicom, a już następnego ranka mama z zaciętą miną ruszyła do domu Holbrooke'ów.

- Och, Iris, po prostu nie wiem, co powiedzieć - zaczęła słodko Zoe Ann Holbrooke, zanim Iris Kincaid zdążyła się odezwać. - Myślałam, że Evie znudził się już ten stary, pobijany kuferek. W innym wypadku nie oddałabym nigdy jej zabawki na jakiś dobroczynny jarmark. Poza tym mało go używała, bo jada obiady w szkole. Sama wiesz, jakie ważne jest dla dorastającego dziecka jedzenie ciepłych posiłków... To J.D. uparł się, żeby sprawić jej taki prezent, ja byłam przeciwna. Kanapki to nie to samo, co obiad... Zresztą, po co to wszystko ci mówię? Przecież rozumiesz mnie, Iris, prawda?

- Tak, proszę pani, rozumiem - odparła chłodno Iris Kincaid.

- I oczywiście rozumiesz też, że nie posadzam cię o kradzież?

- Tak, proszę pani, bo niczego nie ukradłam.

- W takim razie zapomnijmy o tym niemiłym wydarzeniu, dobrze? W końcu nie wypada, żebyśmy psuły sobie krew z powodu głupich dziecięcych kłótni. - Zoe Ann okraśliła przemowę protekcyjnym uśmiechem.

- Tak, proszę pani, nie wypada - zgodziła się Iris, po czym z kamienną twarzą położyła kuferek na stole.

Sarze było go trochę żal, ale potem powiedziała sobie,

że noszenie śniadania do szkoły w specjalnym kuferku to tylko głupi pic, w sam raz dla bogatych snobów. Normalnym ludziom wystarczy papierowa torba.

Aha, a Zoe Ann Holbrooke zatrzymała pięćdziesiąt centów.

ROZDZIAŁ PIĄTY

ŁĄKA

*Byliśmy dziećmi, ja i ona,
W królestwie nad mórz-pianą,
A miłowaliśmy się miłością
Nad miłość innym daną.*

Edgar Allan Poe, *Annabel Lee*
(przełożyła Barbara Beaupre)

Choć od tamtego pamiętnego dnia Sara rozglądała się po terenach szkolnych, wszędzie wypatrując Renzo Cassavettesa, nie spotkała go już więcej ani w szkole, ani na boisku. Wiedziała tylko, że Bubba Holbrooke został zawieszony, a nie ostatecznie wyrzucony. Martwiła się, że Renzo, nie mając bogatego ojca, który by go wybronił, nie ujdzie karze - i ta myśl dręczyła ją coraz bardziej.

Wreszcie jednak doczekała się.

Pewnego popołudnia jak zwykle wybrała się na swoją ukochaną łąkę za Miners Row, przy starym sykomorze, gdzie tata zbudował jej domek na gałęziach. Właśnie tam, w górze, nad ziemią, było jej małe królestwo. I tam też zobaczyła Renzo Cassavettesa. Stał, oparty plecami o pień

drzewa, i czytał książkę. Był tak pochłonięty lekturą, że nie zauważył nawet, jak ku niemu podeszła.

- Hej! - zawołała nieśmiało, zatrzymując się o kilkanaście kroków od niego.

- O, hej! - uśmiechnął się do niej i zamknął książkę, założywszy ją uprzednio starannie źdźbłem trawy. - Mam nadzieję, że nie miałaś więcej kłopotów z tym kuferkiem?

- Nie, już go zresztą nie mam. - Sara spoważniała na wspomnienie feralnego dnia. - Wierzę, że pani Holbrooke nie wiedziała, że Evie nie chce się pozbyć swego kuferka. Ale moja mama i tak postanowiła go oddać. I oddała, choć wcześniej zapłaciła za niego pięćdziesiąt centów. Sam rozumiesz, ona pracuje u Holbrooke'ow, sprząta u nich. Gdyby ją wyrzucili, nie mielibyśmy pieniędzy na życie. Ale to już nieważne. Cieszę się, że mam wreszcie okazję, aby ci podziękować. Mam nadzieję, że nie miałeś przeze mnie kłopotów.

- Eee, niespecjalnie. Zawiesili mnie na trzy dni. - Ton miał niedbały, jakby cała sprawa była dla niego niczym. - Poza tym Bubble od dawna się należało. Zawsze mnie wkurzał, on i jego banda.

- Chyba cię rozumiem. Evie i jej przyjaciółki też ciągle mi dokuczają. Przeważnie udaje mi się schodzić im z drogi, ale wtedy nie miałam szczęścia, bo autobus się spóźnił.

Renzo słuchał jej z tak przyjazną i życzliwą miną, że ośmieliła się podejść bliżej. Zawsze zachwycało ją wszelkie piękno, a ten chłopak był naprawdę piękny. Nie mogła się powstrzymać, by na niego nie zerkać. Znów miała przełożone wrażenie, że wyszedł do niej wprost z filmów, które czasem oglądała w miejskim kinie „Imperial” w sobotnie

poranki. Pójście do kina było jednak rzadkim i odświętnym wydarzeniem; przeważnie musiała czekać, aż interesujący ją film pojawi się w telewizji.

Podeszła więc i nie bardzo wiedziała, co dalej powiedzieć, kiedy na powrót dostrzegła książkę w jego dłoni.

- Okropnie gruba książka - zagadnęła. - Jaki ma tytuł?

- „Na wschód od Edenu”. Napisał ją John Steinbeck, a potem nakręcono według niej film z Jamesem Deanem. Strasznie go lubię.

- Kogo? Autora czy aktora?

- Jednego i drugiego! - roześmiał się. - Któregoś dnia kiedy dorosnę, też chciałbym zostać pisarzem i napisać książkę, którą potem ktoś zekranizuje. A bohatera mógłby grać taki gość, jak Dean. Kurczę, kto wie, jakie jeszcze zagrałby role, gdyby nie zginął w tym wypadku.

Sara nie słyszała ani o Johnie Steinbecku, ani o Jamesie Deanie. Jednego wszakże była pewna - mogłaby godzinami słuchać tego chłopaka i patrzeć na jego skrzące się młodzieńczym błyskiem oczy. Nawet głos miał piękny - niski, melodyjny. Nie wiedziała jeszcze wtedy, że tak właśnie brzmi włoski akcent, z powodu którego Renzo tak często miewał przykrości. Nie rozumiała tego. Musiała spytać mamy, co znaczy słowo „makaroniarz” i dlaczego Bubba nazywał Renzo „obcym przybłądą”.

- Nazywasz się Renzo Cassavettes, prawda? - Znów postąpiła ku niemu dwa kroki. - Twój tata wydaje „Tri-State Tribune”? To pewnie dlatego chcesz zostać pisarzem, kiedy dorosisz.

- Joe tak naprawdę nie jest moim ojcem - chłopak uśmiechnął się do niej nieśmiało. - Mój prawdziwy tata nie

żyje. Umarł dawno temu, w wielkim mieście. Dlatego teraz mieszkam u Martinellich. Joe to daleki kuzyn taty, czy coś takiego. Ale jasne, właśnie dlatego chcę pisać. Lubię prasę, dziennikarzy. Może któregoś dnia zostanę sławnym reporterem, jak Carl Bernstein czy Bob Woodward. Kto wie, może nawet zdobędę Nagrodę Pulitzera. A potem napiszę książkę!

- Zazdroszczę ci, że już wiesz, co chcesz robić w życiu - oświadczyła impulsywnie Sara. - Ja sama też lubię pisać... a najbardziej takie bajkowe opowieści... i malować. A, nie powiedziałam ci, że nazywam się Sara Beth Kincaid.

- Wiem. Pytałem w szkole. Joe powiedział mi, że twój ojciec pracuje w kopalni Papy Genovese. Zresztą sam domyśliłem się wcześniej. Evie przezwała cię „węglarą”. Miła jest co nie?

- Och, staram się nie przejmować jej głupim gadaniem. Evie to wstrętne, złośliwe babsko. Cieszę się, że nie jestem taka jak ona, i wcale nie chciałabym mieć takiego domu, takich ciuchów i takiej forsy. Mój tata jest bardzo dobrym człowiekiem - najlepszym! - a że musi zarabiać na życie, grzebiąc się w węglu, to co z tego? Zawsze mi mówił, że nie trzeba się wstydzić uczciwej pracy. I nie wstydzę się. Niczego. Ale wiem - westchnęła - że ci z miasta nazywają nas „smoluchami”, że patrzą na nas z góry. Na was, Włochów, zresztą też. Myślę, że to nie jest w porządku. Wiesz? Mój tata twierdzi, że właśnie tacy jak Bubba, którzy wyzywają i kpią z „ciemnoty”, sami są ciemni i ograniczeni. A mama zapowiedziała, że wyszoruje mi język mydłem, jeśli usłyszysz, że używam takich brzydkich słów jak oni. Tylko że sam wiesz - spojrzała na niego, a jej szczupła twarzyczka

spowaźniała jeszcze bardziej - ciężko jest ciągle być kimś gorszym i pogardzanym,

- Bardzo dobrze o tym wiem. Dlatego właśnie chciałem cię obronić. Mam już dosyć tych Holbrooke'ów. Panoszą się wszędzie, jak gdyby rządzą całym miastem.

- W jakimś sensie nim rządzą.

- Możliwe, ale to jeszcze nie daje im prawa, by pomiatali innymi i traktowali ich jak śmieci! - Napięty mięsień zadrgał mu na szczęce, gniewnie zacisnął zęby.

- Niestety, tak to już jest - Sara uśmiechnęła się do niego smutno. - Ale tata mówi, że nie zajdzie się wysoko, ponizając innych. Wielu ludzi tego nie rozumie, uwielbiają patrzeć na innych z góry i mieć nad nimi władzę. Taki jest świat, ale to wcale nie znaczy, że i my mamy być tacy. Dlatego właśnie przychodzę tutaj sama. Ta łąka jest moim najukochańszym miejscem na świecie. Oczywiście, nie należy do mnie ani do mojej rodziny, tylko do takich starszych państwa Lovell, którzy mieszkają niedaleko, na starej wiktoriańskiej farmie. Łąka należy do nich, ale nie mają dzieci, więc zgodzili się, żebym się tu bawiła. Pozwolili mi nawet zbudować domek na drzewie. O, tam - wskazała na gęstą koronę drzewa nad ich głowami. - Tata zbudował mi go zeszłego lata. To moja specjalna kryjówka, nikt o niej nie wie. Ale ty możesz wejść, kiedy tylko zechcesz.

- Dzięki, nie lubię się napraszać.

- Ależ skąd, wcale mi to nie przeszkadza. Ja nawet... nawet chciałabym, żebyśmy zostali przyjaciółmi - wyjąkała nieśmiało, z bijącym sercem. Bała się, że ten starszy od niej, śliczny chłopiec zacznie się śmiać z propozycji takiej smarkuli. - Pewnie pomyślisz, że to głupie, ale...

- Nie, wcale nie - przerwał jej. - Też jestem samotnikiem i nie mam zbyt wielu przyjaciół - dodał, poruszony tą szczerą, dziecinną propozycją i faktem, że tak zdumiewająco wiele mają ze sobą wspólnego. Czy jednak nie to właśnie przeczuwał od dnia, w którym ujrzał, jak Sara wabi do siebie motyla? - To co? Pokażesz mi twój domek? A w ogóle, jak tam wchodzisz?

- Są szczeble, przybite po drugiej stronie pnia. Chodź! - Roześmiana, szczęśliwa, z błyszczącymi podnieceniem oczami, Sara zerwała się z miejsca, by wyciągnąć do niego rękę. - Zaraz zobaczysz, jak tam pięknie! Zupełnie jakby się siedziało na szczycie świata! Możesz się wpatrywać bez końca w ten cudowny zielony ocean, który zewsząd cię otacza. I są drzwi z zapadką, więc kiedy jestem na górze, mogę albo je zamknąć, albo zrzucić sznur temu, kto zechce do mnie wejść. Czasami wydaje mi się, że ten domek to królestwo na wyspie, a ja jestem księżniczką z bajki. Jak chcesz, to możesz być rycerzem w lśniącej zbroi. W końcu tamtego dnia byłeś moim obrońcą!

Renzo roześmiał się, urzeczony jej dziewczęcym entuzjazmem.

- W takim razie proponuję, żebyś weszła na górę, a ja zostanę na dole, a potem krzyknę do ciebie coś w stylu: „Księżniczko, opuść z wieży swój złoty warkocz!”. Wtedy ty spuścisz mi linę i przyjmiesz mnie w swoim podniebnym królestwie.

- Nie, nie musisz, jeśli naprawdę nie chcesz - Sara znów zaczęła się bać, że Renzo kpi z jej dziecinnych pomysłów. - Zresztą moje włosy wcale nie są złote. Dziewczyny mówią, że mają kolor błota - dodała z żalem.

Drgnęła zaskoczona, gdy Renzo ujął długie pasmo jej włosów i delikatnie przesiał je między palcami.

- Skąd taki głupi pomysł? - zapytał. - Domyślam się, że to znów ta wredna Evie. Nie wierz w ani jedno jej słowo! Twoje włosy wcale nie mają koloru błota. To jest kolor pięknego, ciemnego pnia dębu, a twoje oczy są zielone jak jego liście. Jesteś po prostu leśną nimfą i tylko źli głupcy tego nie widzą. A teraz włącz na górę! Ja zaczekam tutaj. Kiedy usłyszysz, że wołam cię z dołu, będziesz wiedziała, że to ja. Od tej pory będziemy mieli własne, tajemne hasło, chcesz?

- Chcę - szepnęła cichutko, ciągle jeszcze drżąc z lęku, że tę piękną chwilę zniweczy za chwilę jakiś kpiący śmiech.

Wspinała się na górę powoli, z obawą. Wreszcie zatrzasnęła za sobą drzwi, wychyliła się przez niewielkie okno i zawołała nieśmiało:

- Jestem tutaj!

- Saro, słodka Saro, opuść z wieży swój wspaniały warokocz! - zawołał Renzo najbardziej rycerskim głosem, na jaki było go stać.

Fala czystej radości ogarnęła Sarę.

A myślała, że takie szczęście zdarza się tylko w bajkach!

Dzieciństwo i wczesna młodość Sary i Renzo przypadły na burzliwe czasy. Były to lata zakończenia wojny w Wietnamie, afery Watergate i ustąpienia prezydenta Richarda Nixona; czasy działalności Czarnych Panter i procesu murzyńskiej działaczki Angeli Davis oraz indiańskiej rewolty w Wounded Knee.

Na świecie trwała wojna izraelsko-arabska; zaczęły się ata-

ki terrorystyczne i porwania samolotów, zaś na lotniskach wprowadzono bramki z wykrywaczami metalu. Embargo na import ropy naftowej wywołało kryzys energetyczny; została porwana córka słynnego magnata prasowego, Patty Hearst. Trwały zamieszki w Irlandii Północnej, a córka sklepikarza, Margaret Thatcher, została premierem Wielkiej Brytanii.

Urodziło się pierwsze dziecko z próbki, Louise Brown, zaś w Gujanie członkowie sekty Jima Jonesa popełnili zbiorowe samobójstwo. Szach Iranu utracił tron, a rządy przejął fanatyczny ajatollah Chomeini; Związek Sowiecki natomiast zaangażował się w wojnę w Afganistanie.

Były to także lata śmierci wielu znanych postaci - amerykańskiego prezydenta Lyndona B. Johnsona, francuskiego - Georges'a Pompidou, izraelskich premierów Davida Ben Guriona i Goldy Meir oraz chińskiego przywódcy komunistycznego Mao Tse-tunga.

Jednak ze wszystkich tych wydarzeń tylko afera Watergate tak naprawdę poruszyła Sarę i Renzo w ich małym, sennym mieście - a i to jedynie z powodu sławy, jaką zyskali przez nią Carl Bernstein i Bob Woodward. Ci właśnie panowie stali się dla Renzo idolami i żywym ucieleśnieniem ideału dziennikarskiego rzemiosła, o którym coraz częściej i mocniej marzył.

Każdego dnia po szkole pracował w redakcji „Tri-State

Afera Watergate - rok 1972 - prezydent Nixon, republikanin, szykujący się na następną kadencję, kazał założyć podsłuch w siedzibie Partii Demokratycznej w Watergate. Gdy całą sprawę wykryli dziennikarze „The Washington Post”, Woodward i Bernstein, prezydent musiał ustąpić - (przyłum.)

Tribune" u swego przybranego ojca. Z początku wykonywał równie proste prace, co Bubba Holbrooke w rodzinnej fabryce - zmiatanie, opróżnianie koszy, mycie schodów. Stopniowo jednak Joe, widząc, że chłopak jest chętny i bystry, zaczął powierzać mu coraz bardziej fachowe zadania - pomoc przy składzie, łamaniu, a potem redagowaniu krótkich komunikatów czy nekrologów.

Renzo miał wówczas dziewiętnaście lat i ukończył właśnie liceum Lincolna. Był młody, ale już w ciągu następnego roku zaczął pisać naprawdę - nie tylko noty informacyjne, lecz także artykuły problemowe i inne dłuższe teksty - a wszystko to pod nieustającą presją codziennych wydań lokalnej gazety. Uczył się szybko i w wieku lat dwudziestu dwóch kończył już specjalizację dziennikarską na miejscowym stanowym uniwersytecie.

Przez cały ten czas nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby zainteresować się, jakim sposobem Joe i Madonna, którzy żyli w miarę dostatnio, lecz bez luksusów, byli w stanie bez wysiłku płacić za jego chesne i książki. Podobnie nigdy nie zapytał, skąd wzięli pieniądze na harleya (co prawda używanego), którego podarowali mu na szesnaste urodziny.

Maszyna ta stała się zresztą jego wielką miłością i miała szansę stać się kiedyś zabytkiem, gdyż był to rzadki model FXS Low Rider z 1977 roku - istny czarnosrebrny demon, podrasowany i pomalowany w specjalne wzory i kolory.

Renzo pracował nad nim całymi nocami, aż doprowadził go do stanu motocyklowej świetności, jaka jest marzeniem każdego młodego chłopaka. Kiedy mknął później motocyklem przez miasto w swej czarnej skórzanej kartce, ludzie szemrali ponuro, że z każdym dniem coraz silniej odzywa

się w nim krew ojca - utracjusza i mafiosa z wielkiego miasta; wieszcyli też, że czeka go z pewnością taki sam marny koniec. Tymczasem Renzo odczuwał niemal perwersyjną przyjemność, słysząc, co mówią za jego plecami, i przysięgał sobie, że pewnego dnia, kiedy będzie już bogaty i sławny, rzuci całe to miasto na kolana.

Pomimo pięcioletniej różnicy wieku pomiędzy nim a Sarą, wciąż spotykał się z nią na łące, a ich przyjaźń pogłębiała się i umacniała po każdym takim spotkaniu. Na mocy niepisanego, milczącego porozumienia, nie przyznawali się do niej nikomu. Sara, z początku jeszcze naiwna i dziecięca, czuła jednak instynktownie, że Renzo jest pewien, iż miasto nie tylko nie zrozumiałoby ich przyjaźni, ale nawet ją potępiło.

Dopiero kiedy miała czternaście lat, powoli zaczęła nie tylko czuć, ale też rozumieć, dlaczego tak by się stało. Wiedziała już, że ludzie zamieszkujący to marne miasteczko, czekają tylko, by zmieszać kogoś z błotem, i cieszą się za każdym razem, gdy im się to uda. Cóż, amerykańska prowincja twardo opierała się nowym prądom i słyneła z braku tolerancji.

W dusznej atmosferze małego miasta, w którym oboje żyli, Renzo musiał szczególnie uważać, by nie domyślono się, jak wielka łączy ich zażyłość. On - potomek włoskich przodków i syn gangstera o reputacji rozrabiaki - miał prawo się spodziewać, że gdyby ktoś dowiedział się o regularnych spotkaniach na łące państwa Lovell, natychmiast posądziłby go o molestowanie nieletniej, jeśli nie o gwałt. A przecież on szanował ją i traktował tak, jakby była aniołem, a nie dziewczyną z krwi i kości. Dlatego właśnie po-

całował Sarę po raz pierwszy dopiero przy składaniu jej życzeń z okazji siedemnastych urodzin.

Tego też dnia Sara - w pełni, świadomie i całym sercem - zdała sobie sprawę, że kocha Renzo Cassavettesa od czasu tamtego jesiennego popołudnia na jej ukochanej łące, kiedy zawołał do niej: „Saro, słodka Saro, opuść z wieży swój wspaniały warkocz!”.

Tak. Kochała go i mogła patrzeć na niego bez przerwy. Patrzeć i słuchać, kiedy opowiadał o swoich marzeniach, siedząc wraz z nią na krawędzi jednego z licznych w okolicy, opuszczonych kopalnianych wyrobisk, na których dnie połyskiwały małe, lecz obfitujące w ryby jeziora. Albo kiedy czytał jej głośno fragmenty z książek, które wytrwale wypożyczał z miejskiej biblioteki i przynosił do domku na drzewie. Był to nie tylko Steinbeck, ale i Faulkner, Scott Fitzgerald, Hemingway oraz inni słynni autorzy. Czytał jej także sztuki Edwarda Albea, Eugene O'Neill'a i Tennessee Williamsa, a nawet poezje Byrona, Keatsa, Shelleya, Tennysona czy Wordswortha. Renzo nauczył Sarę darzyć słowo pisane tak wielką miłością, jaką darzył je sam, i pokazał, że jej własne, wyimaginowane światy również mogą zostać utrwalone w słowie.

Czasami Sara przynosiła swoje farby oraz papier i malowała akwarele, podczas gdy Renzo czytał jej na głos albo po prostu siedział cicho obok, wypełniając swój notes notatkami, uwagami i przeróżnymi pomysłami. Bywało też, że snuł tęskne bluesy na saksofonie, na którym zaczął grać w wieku trzynastu lat. Czasami Sara przynosiła z domu mały ruszcik i wtedy piekli na nim złowione w jeziorach zębacze.

Na początku znajomości często wspólnie odrabiali lekcje i uczyli się, albo wertowali kolekcję komiksów Renzo, spierając się, kto jest lepszy: Batman czy Barbarella. Były i takie dni, kiedy ani nie czytali, ani nie malowali, a brodzili tylko w płytkich leśnych strumykach czy biegali beztrudnie po trawie, łapiąc liczne na łące motyle.

Później, gdy oboje byli już starsi, Sara lubiła wskakiwać na siodełko harleya, mocno obejmować Renzo w pasie, aż srebrne guzy czarnej skórzanej kurtki wpijały się jej w ciało, i pędzić wraz z nim po pylistych polnych drogach, ciesząc się wiatrem, który rozwiewał jej długie włosy. Śmiała się wtedy głośno, przepełniona radością i szczęściem.

Bo przecież właśnie wtedy była tak naprawdę szczęśliwa. Wtedy i tylko wtedy - o czym miała przekonać się po latach. Tych cudownych dni, tygodni, miesięcy nigdy później nie była w stanie wyrzucić z pamięci - nawet wówczas, gdy Renzo zniknął, zostawiając ją z dzieckiem. Często zastanawiała się, czy jej losy mogły potoczyć się inaczej, i za każdym razem ta sama odpowiedź przychodziła jej do głowy.

Nie. Nie mogło być inaczej.

Stało się to, co było nieuniknione.

Wiedziała zresztą od początku, że oni - Sara Kincaid i Renzo Cassavettes - są sobie przeznaczeni. Także wtedy, gdy siedząc z nim w domku na drzewie, zdmuchnęła siedemnaście świeczek z urodzinowego tortu.

- Powiedz mi, Saro, jakie są twoje życzenia? - zapytał wówczas, patrząc, jak ostrożnie wyciąga ciągle jeszcze dymiące świece z kolorowego tortu, który kupił dla niej w cukierni.

Tego dnia rano Sara zdążyła jeszcze odwiedzić salon piękności Shear Style, gdzie kazała sobie skrócić włosy o dobre dwadzieścia centymetrów. Nadal sięgały poniżej ramion, lecz były ułożone w taki sposób, że nadawały jej wygląd kobiety, a nie dziecka. Miała również polakierowane paznokcie; ich bładły róż uzupełniały puder na policzkach i jaśnioletka szminka na wargach. W uszach błyszcząły drobne, złote płatki - urodzinowy prezent od mamy i taty.

Sara nie była prowokującą pięknoscia, jak Eveline Holbrooke, ale miała własną, spokojną i nie mniej fascynującą urodę. Uroczą dziewczynką stała się interesującą kobietą, a Renzo wiedział, że taką właśnie przemianę przecztał kilka lat wcześniej, kiedy to wołał do niej „Saro, słodka Saro...”. Teraz przyciągał go widok jej gładkiej skóry i krągłych piersi, przęających się pod cienką bawełną sukienką.

-- Jeśli powiem ci, czego sobie życzę, to życzenie się nie spełni - powiedziała lekkim tonem, wręczając mu papierową serwetkę z dużym kawałkiem ciasta.

Z ulgą spostrzegła, że dzięki nowemu uczesaniu kaskada gęstych włosów skutecznie zakryła jej okraszoną nagłym rumieńcem twarz. Żeby ukryć zmieszanie, zaczęła zlizywać z palców czekoladową polewę, zupełnie nie zdając sobie sprawy, jak ta prosta czynność podziała na Renzo.

A Renzo oczywiście patrzył na jej niewinny i zmysłowy zarazem gest. Patrzył i czuł, jak budzi się w nim pragnienie. Pragnął pochwycić jej rękę i sam zlizać tę słodycz. Pragnął zsunąć ramiączka jej sukni i dotknąć wargami kuszących piersi. Jej wiosenna sukienka była tak skrojona, że Sara nie potrzebowała stanika, i był pewien, że go nie nosi, że delikatne sutki kryją się jedynie, za cienką warstwą materiału.

Poczuł skurcz w dole brzucha. Chcąc ukryć własne zmieszanie, burknął głośno:

- Niepotrzebnie obcięłaś tę swoją grzywę!

- Przykro mi, że ci się nie podobam, Renzo. - Spuściła głowę, walcząc z napływem nagłych, gorących łez. - Mama powiedziała, że teraz mogę czesać się, jak chcę, bo jestem już kobietą - tłumaczyła się rozpaczliwie. - I jeśli już musisz wiedzieć, czego sobie życzę, to właśnie TEGO! Żebyś zobaczył, że nie jestem już dzieckiem! Żebyś... żebyś... och, dajmy spokój!

- O nie, nie dam ci spokoju! - Bez ostrzeżenia, zaskakując i Sarę, i samego siebie, Renzo chwycił ją za ramiona i mocno potrząsnął. Oczy mu gorzały, gdy wpatrywał się w nią intensywnie, badawczo, czując, że jest blisko jakiegoś ogromnie ważnego odkrycia, które nie może mu umknąć. - Powiedz mi! Powiedz, Saro! Żebyś... co?

- Żebyś mnie pocałował - wyszeptała cicho, ze wstydem, a w jej wielkich, zielonych oczach, które patrzyły na niego prosząco, dostrzegł łzawe lśnienie.

Renzo gwałtownie wciągnął oddech.

- Boisz się, że nie zechcę cię pocałować? Tak?

- A... zechcesz? - Pytanie było ledwie słyszalne.

Odpowiedzią były jego oczy, nagle pociemniałe od pierwotnego pożądanego. Ich wyraz przeraził Sarę i zarazem sprawił, że serce załomotało dziko w jej piersi. Nagle uświadomiła sobie z przeraźliwą jasnością, jak ciasny, śmieszny i zmurszały jest ten jej domek i jak blisko siebie ma mężczyznę, który jej pożąda.

Renzo miał dwadzieścia dwa lata, cień zarostu nadawał twarde, namiętny wyraz jego śniadej twarzy, w płatku jed-

nego ucha połyskiwał malutki złoty krzyżyk. Czuła męski, ekscytujący zapach, jakim emanowała jego biała koszulka - pomieszane wonie mydła, potu i papierosowego dymu, które wciągała w rozszerzone nozdrza razem z aromatem młodych liści sykomora i słodkim zapachem czekolady z zapomnianego tortu. Pod zachłannym spojrzeniem Renzo drżała z lęku i oczekiwania. Przejęta nieznanym, słodkim dreszczem, przeżywała powolną wędrówkę jego rąk ku policzkom i włosom.

Wreszcie ujął jej twarz w dłonie i przyciągnął ku sobie.

- Saro... słodka Saro... - wyszeptał, a potem łapczywie zagarnął jej usta gorącymi wargami.

Ten pocałunek był pierwszy dla niej, ale nie dla niego. Czuła to instynktownie. Gorzka wiedza boleśnie przeszła jej ciało i myśli, ale wargi Renzo szybko kazały jej zapomnieć o wszystkim, oczyszczając umysł jak gwałtowny wiosenny deszcz. A gdy język mężczyzny delikatnie, lecz stanowczo wślizgnął się pomiędzy jej wargi, doświadczyła kolejnej fali wspaniałych i przerażających zarazem doznań.

Nie zdawała sobie sprawy, że pocałunek może smakować aż tak bardzo, że z powodu jednego dotknięcia wilgotnych, gorących ust może poczuć się tak rozkosznie bezradna we władzy jakiejś ciemnej, nieokiełznanej siły. Bezwiednie wczepiła się palcami w gęstą czuprynę Renzo, zaciskając je w pięści na pasmach jego włosów, jakby bała się, że ten dziki porryw poniesie ją w nieznanne, straszne miejsce, jak tornado, które porwało Dorotkę w „Czarodzieju z krainy Oz”.

Wciąż walczyła o oddech, ale on, nie przerywając pocałunku, już pochylał się nad nią, przyciskając plecami do

podłogi jej ciało. Przez cienki materiał sukienki poczuła szorstkie deski. Nie czuła jednak bólu. Czuła raczej, że coraz szybciej uwalnia się w niej długo tłumione pożądanie czegoś, czego jeszcze nie znała; że pręży się w dole jej brzucha jak rozbudzony wąż, który rozwija swe sploty. Słyszała niskie, zduszone pojękiwania i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że pochodzą one z jej gardła.

Renzo nie przejąłby się chyba nimi, nawet gdyby uznał je za wyraz protestu. Czekał długo - zbyt długo - aż Sara dorośnie, aż zrozumie, że należy do niego i tylko do niego, że zawsze do niego należała. Czekał na nią, miewał inne dziewczyny, zaliczane w pośpiechu na tylnych siedzeniach samochodów, na wąskich łóżkach w akademiku i w innych niewygodnych miejscach.

Ale żadna z nich nie była Sarą - drugą połówką jego duszy. Waśnie ona, Sara Kincaid, smakowała słodziej niż cokolwiek, co był w stanie sobie wyobrazić. Chciał ją wdychać jak tytoniowy dym, wypełniać sobie płuca jej zapachem i nie wypuszczać go, aż pociemnieje mu w oczach i zakręci się w głowie, jak od pierwszego porannego zaciągnięcia się mocnym papierosem.

Niecierpliwym, uwolnił dyszące usta Sary i zaczął gwałtownymi ruchami zsuwać z niej sukienkę, obnażając piersi, nabrzmiałe już i zaróżowione od nowo obudzonej namiętności. Zesztywniał na moment, przymykając oczy, a potem sięgnął po nie dłońmi, drżącymi od młodzieńczej namiętności. Przez chwilę ważył je jak dwa owoce i ścisnął lekko, krążąc kciukami po ciemnych obwódkach wokół nabrzmiałych sutków.

Gwałtowny, zdyszany okrzyk Sary, w którym brzmiało

i zaskoczenie, i szok, i zachwyt, zadźwięczał mu w uszach, działając jak ostroga na gotowego do biegu rumaka. Już po chwili całował jej szyję, dekolt, aż wreszcie zaborczo pochwycił sterczący koniuszek, ssąc go ostro i chciwie.

Porywające jak fala odczucie przeniknęło ciało Sary aż po czubki palców. Drażniąca rozkosz rozchodziła się kręgami, które zagarniały ją całą. Nagle w najtajniejszym miejscu między udami poczuła inny, śliski i gorący przypływ. Razem z nim w głębi ciała narodził się boleśnie nagłący skurcz, domagający się jak najszybszego złagodzenia.

Renzo z gwałtowną siłą przyciągnął ją ku sobie, jakby wyczuł, czego potrzebuje. Po raz pierwszy poczuła jego twardą, nieznaną, groźną i obiecującą męskość. Dłoń Renzo zawędrowała pod sukienkę i niecierpliwie zadarła ją do góry. Palce wpiły się w nagie udo, sunąc wyżej...

Jeszcze chwila, a zedrze z niej wszystko, uczyni naga, a potem rozłoży jej nogi i wedrze się w nią, zabierając niewinność i wypełniając swym nasieniem!

Na tę myśl poczuła ucisk w gardle. Nie była jeszcze gotowa. Wszystko to stało się za wcześnie i za szybko.

Bo jeśli Renzo nie kocha jej tak, jak ona jego, to co?
A jeśli po tym przestanie mu na niej zależeć?

Żyli wprawdzie w czasach tak zwanej „rewolucji seksualnej”, ale Sara została wychowana przez rodziców tradycyjnie, na „dobrą dziewczynę”, która pozostawia swoją cnotę dla męża. Oboje - i ojciec, a zwłaszcza matka - ostrzegali ją, czym grozi zbytnia swoboda.

Przypomniawszy sobie teraz wszystkie te przykazania, ochłoneła gwałtownie i spięła się, by stawić opór Renzo i... samej sobie.

- Renzo, nie... -jęknęła, desperacko odpychając go od siebie. - Nie! - Odchyliła głowę do tyłu, gdy chciał pocałunkiem stłumić jej protesty. - Proszę, przestań! - krzyknęła. - Nie jestem jeszcze gotowa!

- Jesteś - rzucił niskim, zduszonym głosem. - Czuję to, Saro, nie zaprzeczaj. Chcesz tego tak samo, jak ja. Pozwól... Nie bój się, postaram się sprawić ci jak najmniej bólu.

- Nie, Renzo, nie chodzi o ból. - Pokręciła głową, dysząc gwałtownie. - Nie... niezupełnie. Wiadomo, że pierwszy raz musi boleć, tak mi przynajmniej mówiono. Chodzi o to... co będzie, jeśli coś pójdzie źle. Jeśli zajdę w ciążę.

- Nie zajdziesz. Mam coś, co zdejmie kłopot z głowy. Nie martw się. Nic nie będzie, obiecuję! Ochronię cię.

Kondom. Mówił o kondomie, uświadomiła sobie. Nieraz słyszała, jak chłopcy przerzucali się niewybrednymi żartami na ten temat. Renzo powiedział o tym tak swobodnie, niemal odruchowo, jakby przywykł do częstego ich używania. Ta świadomość ubodła ją nadspodziewanie niemiło.

- Rozumiem, że „ochraniałeś” już wiele innych dziewczyn przede mną? - zapytała urażonym tonem.

Teraz dopiero Renzo burknął coś gniewnie, zsunął się z niej i usiadł, wyciągając paczkę marlboro, wsuniętą pod obcisły rękaw koszulki. Gniewnie zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko, podczas gdy Sarą, powstrzymując nagłe łzy, drżącymi rękami poprawiała sukienkę, by zakryć nagie piersi.

Zrobiło jej się głupio i wstyd, że pozwoliła Renzo tak po prostu oglądać je i pieścić. Musiał być pewien, że ją zdobędzie, że stanie się dla niego łatwym łupem. Sama zresztą robiła wszystko, by umocnić się w tym przekonaniu,

poczynając od tej nieszczęsnej sugestii, że mógłby ją pocałować.

- Do diabła, Sara! - powiedział wreszcie, przerywając niezręczną, drażniącą ciszę. - Nie muszę chyba tłumaczyć się ze wszystkiego, co dotychczas robiłem.

- Nie powiedziałam, że musisz.

- Nie, ale równie dobrze mogłaś to zrobić. A więc tak, miałem inne dziewczyny. To chciałaś wiedzieć? Zatem już wiesz. Tylko, na Boga, czego oczekiwałaś? Że będę żył jak mnich, czekając, aż wreszcie dorośniesz? Dziewczyno, przecie jestem mężczyzną! Poza tym tamte dziewczyny nic dla mnie nie znaczyły i nawet nie warto o nich wspominać. Bo tylko ty się liczysz, Saro. Tylko ty. Nie rozumiem, jak możesz tego nie wiedzieć, do licha!

Pomimo całego rozgoryczenia Sara poczuła dreszcz satysfakcji.

- Naprawdę? - zapytała z naiwną miną. - Tylko ja się liczę, Renzo? Ze wszystkich dziewczyn?

- Och, Sara, jasne, że tak! - Jego ściągnięte rysy zmiękły, a ciemne oczy spojrzały na nią czule. - Kocham cię i zawsze kochałem. Nie wiedziałaś o tym? Dlatego właśnie tak cholernie, do szaleństwa cię pragnę! I chcę wiedzieć, że jesteś moja, tylko moja, że nie będziesz należeć do nikogo innego!

- Nie będę, Renzo - zapewniła bez wahania. - Nie ma nikogo innego. Wiesz, że tata i mama trzymają mnie krótko. Dotąd nie mogłam nawet chodzić na randki, najwyżej pozwalali mi wyjść z całą paczką. Zresztą jedynym chłopakiem, który chciał się ze mną umówić, był Junior Barlow, a on mnie kompletnie nie interesuje. Nikt mnie nie intere-

suje poza tobą, Renzo. Kocham tylko ciebie. Kochałam cię chyba od zawsze. Nie mogłabym ci tego nie powiedzieć. Czasami czuję, jakbyśmy byli dla siebie stworzeni.

- Bo jesteśmy. Zawsze byliśmy razem przeciwko całemu światu. Weź to. - Powolnym ruchem ściągnął z palca złoty pierścień, który otrzymał z okazji ukończenia szkoły średniej, i z namaszczeniem wsunął go jej na palec. - Chcę, żebyś go przyjęła i nosiła na znak naszego związku. Nie chcę, żebyś spotykała się z innymi chłopakami. A zobaczysz, że teraz, kiedy podcięłaś włosy i wyglądasz jak prawdziwa piękność, będą ustawiali się do ciebie w kolejce.

Odpowiedziała mu skromnym uśmiechem, z dumą i zadowoleniem obracając sygnet na palcu. Serce znów zabiło jej mocniej na myśl o tym, co naprawdę może symbolizować ten krążek.

Był trochę za ciężki i za luźny, właściwie nie pasował na żaden z jej palców, nie licząc kciuka, ale przecież i tak nie mogłaby go nosić. Tata wyszedłby z siebie, gdyby się dowiedział o stałym związku ze studentem, a gdyby jeszcze mu powiedziała, że ten student to Renzo Cassavettes...

Nie mogła nosić go publicznie, ale mogła nosić skrycie. Odnalazła więc później w domu złoty łańcuszek, który trzymała w pudełku na biżuterię, zawiesiła na nim pierścień i nosiła go w bezpiecznym ukryciu pomiędzy piersiami. Za każdym razem, czując jego dotyk, myślała o uczuciu, jakim darzy ją Renzo Cassavettes.

- Nie musiałeś mi go dawać, Renzo - powiedziała, nieśmiało dotykając lśniącego krążka, jak gdyby ciągle jeszcze nie wierzyła, że jest prawdziwy. - Evie Holbrooke zmienia chłopców jak rękawiczki, ale ja nie muszę, dopóki mam

ciebie. I bez pierścienia byłabym zawsze twoja. Mimo to dziękuję. Czy to znaczy... że pójdziesz ze mną na bal na zakończenie szkoły?

- Bal? - stropił się. - Chciałbym, Saro, naprawdę. Będę tam, ale nie wiem, czy zdołam znaleźć dla ciebie choć odrobinę czasu. Wiesz, że szkoła wynajęła Hard Road na całą noc.

Hard Road było kapelą rockową, którą Renzo stworzył wraz z kumplami, aby zarobić coś ekstra w piątkowe i sobotnie wieczory. Teraz, po dobrych paru latach grania, wiedział, jak zadąć w saksofon, żeby ten wybrzmiał niczym instrument w dłoni Colemana Hawkinsa, Benny Cartera czy Johnny'ego Hodgesa; umiał oddać dramatyczną nutę Lestera Younga, liryczną - Bena Webstera albo hipnotyczną - Paula Desmonda, najchętniej zaś - zupełnie własną: gorącą, młodzięcą, pełną buntu, ognia, ale też czułą i tkliwą.

Bowiem Renzo Cassavetes miał własny styl i wdzięk, wykształcony dzięki talentowi i słuchaniu godzinami jazzu, bluesa i rocka w wykonaniu najlepszych mistrzów.

Sara słyszała go zresztą nie raz i знаła oszałamiające „Take Five” w jego wykonaniu - tak zmysłowe i duszne, że zdawało się wpełzać pod skórę, każąc myśleć o gorących letnich nocach i chłodnych białych prześcieradłach, na które padają spocone ciała kochanków.

Teraz jednak, słysząc jego słowa, usiłowała niepostrzeżenie przełknąć rozczarowanie. Może to i dobrze, w końcu lepiej, żeby nie występował oficjalnie u jej boku, wmawiała sobie. I lepiej, żeby tata się o niczym nie dowiedział.

- W porządku - powiedziała łagodnie. - Rozumiem, że potrzebujesz kasy, Renzo. Ale może choć raz ze mną zatańczysz?

- Raz. To mogę ci obiecać.

Dojedli resztę tortu i obmyli się w strumyku.

Sara wracała do domu szczęśliwa. Czuła się jak bohaterka romansu z happy endem, o którym przypominał jej ściskany w kieszeni złoty krążek - symbol sekretnego uczucia, o którym wiedzieli tylko oni dwoje, Sara i Renzo.

Nigdy nie zapomnę tego dnia, myślała, podskakując radośnie i pozwalając, by wiatr rozwiewał jej włosy. Była zakochana, a chłopak, którego obdarzyła uczuciem, kochał ją szczerze. Oto cudowny, radosny dzień - pierwszy dzień jej nowego życia; życia kobiety; życia, które będzie trwać wiecznie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY GWIEZDNY PYŁ

*Piękny marzycielu, obudź się we mnie,
Blask gwiazd i rosa czekają na ciebie.*

Stephen Collins Foster, Piękny marzyciel

Melodią wieczoru na balu w szkole imienia Lincolna był „Gwiazdny pył”. Magiczny utwór o magicznym tytule.

Cały zresztą wieczór był magiczny. Zwykła sala gimnastyczna zmieniła się na ten dzień w oszałamiającą salę balową. Kiedy Sara zajrzała do niej przez otwarte drzwi z korytarza, aż wstrzymała oddech z zachwytu. Studenci z klas plastycznych, którzy pracowali nad dekoracją całe tygodnie, pokazali naprawdę wielką klasę.

Tysiące srebrnych gwiazd, dużych i małych, zwiisało z sufitu, delikatnie poruszając się i migocząc. Pośrodku królowała wielka, lustrzana kula, a delikatne białe drapery, zdobione srebrnymi pasmami i srebrnymi gwiazdkami, spływały równo z trzech ścian. Okrągłe stoły okryte były srebrnobiałymi obrusami. Pośrodku każdego z nich pyszniły się kryształowe wazon-y z kwiatami i balonikami,

a wokół nich - umocowane w kryształowych lichtarzach - świece.

Pomiędzy stolikami ustawiono pomalowane na srebrno repliki starych ulicznych latarni, do których przytwierdzone były tabliczki z poetycznymi nazwami ulic: „Mleczna Droga”, „Gwiezdna Aleja” czy „Księżycowy Zaułek”. Ponad podium, wzniesionym w końcu sali, gdzie muzycy z Hard Road ustawili swą aparaturę i stroili właśnie instrumenty, wisiał wielki - oczywiście również srebrny - półksiężyc, na którym w leniwej pozie rozkładał się lew Dandy, maskotka szkoły. Smaku całości nadawało tło - czyli czarna kotara, aksamitna jak nocne niebo.

Renzo widział, jak Sara wchodzi zwolna na salę, ogarniając z zachwytem ten księżycowy liryczny pejzaż. Patrzył na nią z wysokości estrady, a jej widok sprawiał, że serce biło mu żywiej. Tego wieczoru Sara Kincaid wyglądała jeszcze inaczej - i jeszcze piękniej.

Włosy miała zakręcone w gęstą masę loczków, przetykaną białymi wstążkami i drobnymi białymi kwiatuskami. Biała, długa suknia, którą uszyła dla niej matka, miała krój najprostszy z możliwych, jednak opinała kształty dziewczyny tak zmysłowo, że przezorny ojciec nie powinien w ogóle wypuszczać jej w świat. Może zresztą nie taka opuszczała bezpieczny rodzinny dom. Może po wyjściu z domu sama zsunęła w dół krótkie ramiona sukni, aby odsłonić więcej ciała. Tak, to było zdecydowanie bardziej prawdopodobne.

Na jej szyi wisiał złoty łańcuszek, którego wisiorek zniknął pomiędzy piersiami, i Renzo wiedział, że właśnie tam spoczywa jego pamiątkowy pierścień. Do gorsu miała przypiętą białą, świeżą orchideę, którą wcześniej dla niej kupił

i posłał z bilecikiem o treści: „Od nieznanego wielbiciela” - wystarczająco tajemniczym, by nie dać tacie Kincaidowi powodów do podejrzeń, lecz aż nadto oczywistym dla Sary.

Zauważył, że go dostrzegła. Zauważył leciutki uśmiech i gest ręki, pieszczącej płatkę orchidei. Serce podeszło mu do gardła, a skurcz przeszył dół brzucha. Jednocześnie przyniknęły go gniew i zazdrość, gdyż widział gorące spojrzenia, jakie rzucali na nią chłopcy, podbuzowani już alkoholem, który przemycili nie wiedzieć jak do sali. Renzo zacisnął szczęki z twardym postanowieniem, że spuści manto każdemu, kto ośmieli się do niej przystawiać.

Po kilku minutach sala zaczęła się wypełniać i Hard Rodsi zagrali pierwszy numer - żywy rock and roll, który natychmiast posłał na parkiet tłumy. Sara usiadła przy stole z innymi dziewczynami, które podobnie jak ona nie przyszły tu z parą. Patrzyła, jak gra jej ukochany Renzo, i odrzucała coraz to nowe zaproszenia do tańca, które ku swemu zdumieniu składali jej wciąż nowi chłopcy. Nigdy nie była zbyt popularna, a teraz nagle wszyscy zdawali się ją zauważać?

Mogła to przypisać jedynie wspaniałej sukni mamy - no i swej drobnej poprawce, dzięki której prowokująco błyszcząły jej gładkie ramiona i odsłonięte może trochę zbyt śmiało piersi. Prawdę mówiąc, czuła się nieco nieswojo z tak odważnym dekoltem, ale też za wszelką cenę chciała przypomnieć Renzo, że nie jest już dzieckiem, i sprawić, by patrzył tylko na nią, a nie na przykład na Evie Holbrooke.

Bowiem Evie była tego wieczora po prostu olśniewająca i trudno było sobie wyobrazić, by znalazł się facet, który by jej nie pożądał. Sara, obserwując ją skrycie na parkiecie,

drżała z obawy, by Renzo nie nabrał na nią ochoty. Najchętniej zdarłaby z niej tę obcisłą jak rękawiczka, trzymającą się bez ramiączek, wyszywaną cekinami suknię. Sara widziała tę kreację miesiąc temu w ekskluzywnym Fashion Boutique. Musiała kosztować więcej niż tysiąc dolarów. Sama mogła tylko pomarzyć o czymś takim.

- Widzicie tę kieckę na Evie? - zapytała Krystal Watkins z grymasem na puciołowatej twarzy. - Kurczę, wygląda, jakby ktoś oblał ją lukrem!

- Parker chętnie by polizał tego lukru - zauważyła kąśliwie Liz Tyrrell. Parker Delaney, obrońca w szkolnej drużynie futbolowej, był jednym z najpopularniejszych chłopaków w szkole i Liz wdzięczyła się do niego uparcie, choć on zdawał się woleć towarzystwo Evie.

- Och, i tak wie, co jest pod spodem - zachichotała Dorothy „Dody” Carpenter, którą czasem nazywano też „Dodo”. - Podsłuchałam pewnego dnia w babskiej toalecie, jak się chwaliła, że już dawno poszli z Parkerem na całego. Słuchajcie, dziewczyny, która by coś zjadła? Strasznie mnie ssie, bo nie jadłam kolacji. Bałam się, że się nie zmieszczę w tę balową suknię.

Dziewczyny były zbyt uprzejme, by dodać, że „Dodo” jest tak gruba, że zdaje się cudem to, że w ogóle zmieściła się w jakąkolwiek sukienkę. Dorothy Carpenter była zawsze głodna, ciągle coś przeżuwała, a potem gnała do toalety, aby zwymiotować jedzenie w daremnej nadziei, że nie utyje.

- Też mi się chce jeść, Dody - oświadczyła nagle Sara, wstając od stolika. - I też nie jadłam kolacji.

Tak właśnie było. Sara Kincaid była zbyt podekscytowana, żeby jeść. Pośłaniec z eleganckiej kwiatami „Flower

Garden" i widok cudownej orchidei dosłownie ją poraziły. Mama miała łzy w oczach, bo już zaczęła się na serio martwić, że jej córka nie ma powodzenia, a tu proszę, taka niespodzianka. Sara zresztą o mało się nie złamała i nie powiedziała jej o Renzo. Na szczęście Liz, która wybłągała na ten dzień samochód od rodziców, zajęchała z piskiem opon przed dom, trąbiąc głośno na przyjaciółkę. I Sara wybiegła do niej natychmiast, wdzięczna losowi, że nie pozwolił, by pilnie strzeżona tajemnica się wydała.

Teraz, idąc w stronę zastawionych stołów, zastanawiała się, czy plotki o Evie i Parkerze są prawdziwe. Pewnie tak, pomyślała z bolesnym westchnieniem. Zapewne była jedyną siedemnastoletnią dziewczyną w całej szkole. Co tam w całej szkole! W całym świecie!

Wydawało się, że pomimo nauk i przestróg wygłoszanych przez rodziców, wszyscy już dawno zaliczyli swój pierwszy raz. Zostały tylko takie staroświeckie okazy, jak ona, które uparły się zachować cnotę do ślubu.

Albo takie, które za bardzo się bały.

Powoli dopchała się do bufetu, nałożyła sobie na talerzyk sporą porcję smakołyków i pozwoliła, by nauczycielka, występująca jako przyzwoitka, nalała jej ponczu z wazy. Miał być bezalkoholowy, ale Sara słyszała, że w minionych latach często zdarzało się, iż jacyś dowcipnisie „wzmacniali” go niepostrzeżenie. Upiła łyk. W sali było gorąco i dosłownie czuła, jak się topi.

Może więc jednak był tam alkohol?

Tata nie dopuszczał myśli, by ktoś mógł sięgać po drinki, jeśli nie ma dwudziestu jeden lat. Dlatego Sara znała tylko gorzki smak piwa, które Renzo przynosił do domku na drze-

wie, odkąd skończyła szesnaście lat, i którego, zdarzało się, pociągnęła czasem łyk albo dwa.

Jeszcze raz napełniła kubeczek ponczem i wróciła do pustego stolika. Dziewczyny się rozeszły - część poszła tańczyć, a część poprawić makijaż albo na dymka w krzaki. Nawet Dody skończyła jeść i zapewne robiła już sobie miejsce w żołądku dla następnych porcji.

Sara poczuła się smutno i samotnie. Miała wrażenie, że wszyscy na nią patrzą i wytykają ją palcami. Chłopcy, którzy próbowali ją wcześniej wyciągnąć na parkiet, dawno już znaleźli inne kandydatki. Siedziała więc ze spuszczoną głową i udawała, że czyta program, marząc jednocześnie, by wreszcie pojawił się Renzo.

Potajemnie wyciągnęła zza dekoltu swój pierścionek-amulet i na moment wsunęła go na palec, by upewnić się, że jest kochana.

- Jak to, najładniejsza dziewczyna na balu siedzi przy stoliku sama? - wyszeptał nagle w jej ucho głos, na który tak bardzo czekała. - Oczywiście, nie musisz odpowiadać, to moja wina i bardzo cię za to przepraszam, kochana Saro. Spróbuję nie być zazdrosny, jeśli zechcesz potańczyć z innymi chłopakami. Wiem, że ciężko jest siedzieć samotnie jak palec, kiedy inni się bawią.

- Wcale nie było mi ciężko, Renzo - odparła z uśmiechem. - Nie martw się o mnie.

- A jednak się martwię. I dlatego umówiłem się z chłopakami, że następny kawałek zagrają beze mnie. - Wyciągnął ku niej rękę. - Czy zatańczysz ze mną, Saro?

- Tak, och, tak! - rozpromieniła się natychmiast.

Jeden z techników zespołu pomanipulował coś przy kon-

solecie i wszystkie światła nad sceną stały się naraz łagodnie niebieskie. Tylko lśniąca kula, podwieszona pod sufitem, rozbłysła na biało i zaczęła się kręcić, a na parkiecie zatańczył rój gwiazd. Gdy Sara z Renzo wstawali od stolika, z playbacku rozległy się pierwsze tony „Truly” Lionela Richie. Renzo wziął ją w ramiona, zrobił pierwszy krok...

Cudowny dźwięk zdawał się płynąć przez przyciemnioną salę, przez otwarte okna, daleko w gwiazdzistą noc. Inne pary jakby gdzieś zniknęły i zostali sami na świetle. Oni i słowa tej piosenki, która tak pięknie mówiła o miłości, ich miłości. Było cudownie i Sara żałowała tylko, że nie są teraz na jej ukochanej łące, pod prawdziwymi gwiazdami.

Ale zbliżało się lato i wkrótce miały nadejść długie, leniwe dni, kiedy to odgradzeni od świata w jej domku na drzewie, będą mogli poznawać siebie nawzajem. Kochać się, marzyć, pogłębiać swoją miłość i jeszcze bardziej zbliżać się do siebie. Ta myśl sprawiała, że serce Sary zdawało się rozsadzać jej pierś, zupełnie jakby nie było w stanie pomieścić takiego nadmiaru radości.

Renzo odczytał chyba jej myśli, bowiem ciaśniej objął ją ramionami i wyszeptał do ucha gorącym szeptem:

- Saro, słodka Saro... - Jego dłonie zmysłowo przesunęły się po plecach. - Czy musisz wracać po balu do domu?

- Nie wiem. To zależy od Liz. Przyjechałam z dziewczynami wozem, który wzięła od starych. Miałyśmy skoczyć jeszcze do „Sonic” na shake'a i cheesburgera, więc w domu wiedzą, że mogę wrócić później. Jeśli Liz nie będzie się spieszyć po balu, możemy spotkać się przed szkołą.

- Spotkajmy się. Ale pamiętaj - stężał nagle i spoważniał - dopiero za rok, kiedy będziesz już mogła wyjść za

maż bez zgody rodziców, będziemy mogli być naprawdę razem. I będziemy. Spędzimy razem resztę życia. Obiecuję ci to, Sara, bo cię kocham. O Boże, nawet nie wiesz, jak cholernie pragnę wejść w ciebie, mieć cię tylko dla siebie! Nie wiem, czy zdołam doczekać do następnej wiosny.

Oczy mu błyszczały, kiedy spoglądał na nią z pożądanym zachwytem, jakby chciał ją pojąć tu i teraz, na wypolerowanym parkiecie sali gimnastycznej. Sara zdążyła już poznać ten dziki, podniecający dreszcz, który przeszywał ją za każdym razem, gdy ośmieliła się zajrzeć w te jego rozpalone namiętnością czarne źrenice. Szczęście zdawało się nie mieć granic.

Renzo chce się z nią ożenić!

Chce się z nią kochać, obejmować ją nagą w ciemności, być jej częścią na zawsze!

I jest coraz bardziej niecierpliwy - ta myśl dręczyła ją coraz bardziej.

Czy właśnie w ten sposób Evie trzymała przy sobie Parkera? Ulegając jego seksualnej presji?

Sara bała się seksu, bała się konsekwencji, a jednocześnie drżała zmysłowo na samą myśl o rozkoszach, jakich mogłaby zaznać z Renzo. Tuląc się do niego w tańcu, czuła twarde, silne sploty mięśni. Wyobrażała sobie, jak ją obejmuje, pieści, wchodzi w nią ostrożnie. Jeśli miała być szczerą ze sobą, musiała przyznać, że ona również tego pożąda.

- Renzo... Och, Renzo, naprawdę chcesz się ze mną ożenić?

- Niczego nie byłem bardziej pewien.

Z głębokim, szczęśliwym westchnieniem oparła policzek na jego ramieniu. Tu było jej miejsce, od zawsze. Nie mu-

siała się już niczym martwić. Renzo kocha ją i to jest najważniejsze. Będzie ją chronić i dbać o nią przez całe życie. Czegóż więcej potrzebowała czy pragnęła?

Serce i stopy Sary dostały skrzydeł. Zdawało się jej, że może tańczyć całą noc. Ale wreszcie wybrzmiały ostatnie tony piosenki i Renzo, choć niechętnie, musiał wrócić na estradę. Niebieskie światła znów zmieniły się w kalejdoskop kolorów, a Sara, przywrócona nagle do rzeczywistości, poczuła, że najzwyczajniej w świecie bołą ją stopy, nie przyzwyczajone do wysokich obcasów.

Wróciła do stolika, szybko zsunęła pantofle z nóg i obserwowwała bez entuzjazmu, ale teraz już spokojnie, jak Evie i Parkera ogłaszającą właśnie królową i królem szkolnego balu.

Reszta wieczoru była już tylko zmaganiem się z niecierpliwością, podnieceniem i oczekiwaniem. A także z niepokojem, że oto Liz zechce jechać na cheesburgery zaraz po zakończeniu balu, albo jeszcze, co gorsze, przed jego końcem. Na szczęście inne dziewczyny zdołały nawiązać bliższą znajomość z pozostałymi członkami zespołu i równie niecierpliwie jak Sara czekały, aż chłopcy odegrają ostatni kawałek.

Nawiasem mówiąc, Sara zastanawiała się, czy to przypadkiem Renzo nie podprowadził im chytrze tych akurat dziewcząt, wiedziony troską o to, by Liz nie odjechała zbyt wcześnie. Nie zdążyła jednak już tego dociec, bo oto ogłoszono koniec zabawy, a oni w ogólnym rozgardiaszu wybiegli z budynku i Renzo szybko poprowadził ją w noc - pod stare dęby, pod bluszcz, porastający mur szkoły, między krzewy i pachnące kwietniki.

Jego usta znalazły się błyskawicznie na jej ustach - go-

raçe, pożądlwe, przyprawiające o zawrót głowy bardziej niż ów alkoholowy poncz. Język Renzo otwierał jej wargi, penetrował głąboko, smakował, pieścił i drażnił. Sama też zaczęła uczyć się tej sztuki - chyba z powodzeniem, bo jej ukochany wydał gardłowy jęk i przyparł ją mocniej do obrośniętego bluszczem muru. Sara poczuła, jak dziko wali jej serce, jak miękną słabe nagle i drżące kolana.

On zaś zanurzył dłoń w jej włosy, ściągając głowę do tyłu, by ustawić ją do pocałunków, którymi obsypał powieki, policzki i oczy. Zębami pieścizotliwie skubał płatki jej uszu, mruzczał słowa, których nie rozumiała, ale zadowalała się samym ich zmysłowym brzmieniem. Potem jego głodne dłonie zsunęły się na obnażone ramiona Sary, ściągając górę sukienki jeszcze niżej, by dotknąć piersi i sięgnąć ku wyczekującym, twardym sutkom. Teraz już była gotowa. Już chciała wiedzieć, jak czułaby go w sobie. Ciekawość nieznośnie domagała się zaspokojenia.

- Renzo, och, Renzo... - wyszeptwała, kurczowo łapiąc oddech, gdy przerwał pocałunek tylko po to, by przewędrować ustami drogę, którą wcześniej przeszły jego dłonie.

Sara płonęła. Jej kochanek już nie był dawnym Renzo, subtelnym przyjacielem z dzieciństwa. Miała przy sobie mężczyznę, przystojnego jak sam diabeł, silnego, którego zapach - woń pożądania, potu, mydła, wody kolońskiej i tytoniu - podniecał ją do szaleństwa.

Drgnęli, słysząc pisk opon i zgrzyt gnieczonego metalu, który nagle rozległ się od strony parkingu, ale nie przerwali pieścizot. Po chwili jednak ktoś zaczął krzyżeć:

- Renzo! Hej, Renzo! To twój motor! Ktoś ci go rozjechał! - Dopiero teraz Renzo uniósł głowę, odrywając się

od piersi Sary. Oczy miał pociemniałe i zamglone z pożądania, z trudem wracał do rzeczywistości. - Renzo, Chryste! Chodź tu, człowieku!

- Sara... - Widziała, jak się wahał.

- Idź. Przecież wiem, ile ten harley dla ciebie znaczy - powiedziała, w pośpiechu poprawiając na sobie ubranie. Nagle zaczęła się bać, że ktoś będzie go szukał i że zostaną nakryci. Ależ byłby skanadal, gdyby zastali ją z nim naga do pasa! - Idź. Zaraz tam przyjdę.

Skinał tylko głową i szybko pobiegł przez krzaki. Kiedy doprowadziła się do porządku, chyłkiem wślizgnęła się na parking, za plecy ludzi, zbierających się w pobliżu wynajętej furgonki, którą zespół muzyczny przywiózł swój sprzęt.

Już z daleka słychać było wściekły głos Renzo.

- K... mać! Holbrooke, kto dał ci prawo jazdy? Oczu nie masz?

Sara wmieszała się w tłum. Nikt nie zwrócił na nią uwagi, bowiem wszyscy czekali już na wielką drakę.

- Spokojnie, stary, to był głupi przypadek, wierz mi. Każdemu może się zdarzyć. Już przeprosiłem cię za szkodę i powiedziałem, że moje ubezpieczenie pokryje wszelkie straty. Czego jeszcze chcesz, Cassavettes?

- Twojej skóry przybitej na drzwiach stodoły! Wiesz, ile cholernych nocy zajęło mi doprowadzenie tej maszyny do porządku?

- Nie, ale nawet gdybym wiedział, niczego już nie zmienię. Było ciemno... tyle mam na głowie... po prostu nie zauważyłem, że tam go zaparkowałeś. Bardzo mi przykro.

Sara przepchnęła się wreszcie bliżej i spostrzegła, że słowa te mówi Sonny Holbrooke. Jego terenowe auto było le-

dwie draśnięte, za to harley, który dostał się pod potężny zderzak, bardzo ucierpiał.

Odruchowo zakryła usta dłońmi na ten widok. Mogła sobie wyobrazić furię i żal Renzo. Zapewne tylko dzięki temu, że dwóch chłopaków z zespołu trzymało go mocno pod ramiona, nie odepchnął dotąd dyrektora szkoły i nie rzucił się z pięściami na wyraźnie wystraszonego Sonny'ego.

- Mój motor był zaparkowany na trawie, Holbrooke - wycedził Renzo przez zaciśnięte zęby. - Lubisz jazdę po szkolnych trawnikach? A może byłeś zbyt pijany, żeby jechać prosto, co? No, masz jeszcze tę flaszkę w kieszeni?

- Jaka znowu flaszkę? Czy to prawda, panie Holbrooke? - odezwał się ostro Dimsdale, który stał wciąż pomiędzy Renzo a Sonnym, próbując zażegnać kłótnię i nie dopuścić do bójki. - Czy wniosłeś alkohol na teren szkoły, młody człowieku?

- Nie odpowiadaj, Sonny! - Evie wystąpiła naprzód i chwyciła brata za ramię, kiedy sięgał już, choć niechętnie, do kieszeni po zakazaną butelkę. - Już nie chodzisz do tej szkoły i nie podlegasz ani jej prawom, ani władzy pana Dimsdale'a.

- Każdy, kto znajduje się na terenie szkoły, podlega mojej władzy, młoda panno! - sapnął z oburzeniem dyrektor. - Bez względu na to, czy jest uczniem, czy nie. A ponieważ nie brałaś udziału w tym wydarzeniu, radzę ci, żebyś trzymała się z daleka. W ogóle, proszę się rozejść, bo inaczej będę musiał wezwać szeryfa, a wtedy wszyscy wyładujecie na noc w areszcie. Pan, panie Holbrooke, i pan, panie Casavettes, zostanieie tutaj, dopóki cała sprawa nie zostanie wyjaśniona.

Sara chciała zostać z Renzo i wesprzeć go w ciężkich chwilach. Musiał chyba coś wyczuć, gdyż spojrzął na nią i nie-dostrzegalnie dla innych pokręcił głową - milcząco, ostrzegawczo i stanowczo. Nie pierwszy już raz tak niemiłe sprawy zdarzały się im w związku z Holbrooke'ami. Sara dziwiła się tylko, że tym razem oskarżonym był akurat Sonny.

Ze wszystkich Holbrooke'ów to właśnie Sonny najlepiej ją traktował. Zdawało się jej, że ten chłopak zupełnie nie pasuje do nazwiska, które nosił. A jednak to on był oczkiem w głowie swojego ojca i to o nim J.D. Holbrooke mówił jako o swoim „złotym chłopcu”, choć przecież musiał wiedzieć, że za jego plecami utrzymuje się, jakoby jego żona, Zoe Ann, musiała kiedyś wyrwać się do motelu „Rest-Rite”, przespać z jakimś przyjezdnym i stąd właśnie na świecie wziął się Sonny.

Może i była to prawda, bo Sonny, który podobnie jak siostra przejął chłodną, klasyczną urodę swojej jasnowłosej matki, charakter i osobowość miał całkiem odmienną od całej reszty rodzeństwa Holbrooke'ów. Był spokojny, myślący, pracowity, o artystycznej duszy. W wolnym czasie pisał wiersze, malował i grał na fortepianie. Dostał się do Harvardu, a teraz przyjechał do domu na ferie wiosenne. Na balu zjawił się z Veronica Granville, jedną z przyjaciółek Evie.

Renzo miał rację: Sonny musiał coś wypić, inaczej tak głupio nie najechałby na motocykl, pomyślała Sara. W przeciwieństwie do Bubby nie byłby zdolny zrobić czegoś takiego celowo, a potem jeszcze kłamać. Był to zwykły nieszczęśliwy wypadek i Renzo, kiedy już ochłonie, na pewno będzie musiał dojść do tego samego wniosku.

- Chodź, Sara. - Liz dotknęła jej ramienia. - Jeśli mamy wdepnąć jeszcze do „Sonic”, trzeba już lecieć. Staruszkowie powiedzieli, że mam być z powrotem - z nietkniętym wozem - najpóźniej o drugiej. Kry stał, jedziesz?

- Nie, sama sobie poradzę. - Kry stał tkwiła uwieszona u ramienia perkusisty i najwyraźniej nie spieszyło jej się do domu.

- Mówię ci, on załatwi jej ciężę, albo coś jeszcze gorszego - prorokowała ponuro Liz, kiedy szły do samochodu. - Przecież nawet go nie zna. Można flirtować z kimś na balu, ale żeby wychodzić z obcym facetem? Sama prosi się o kłopoty.

- Fakt, zwłaszcza, że to Włoch - zawtórowała jej Dody. - Mój tatko obdarłby mnie ze skóry, gdybym przyprowadziła do domu makaroniarza. Mówi, że oni wszyscy mają konszachty z mafią i że po kopalniach chodzi plotka, że fedzie od lat nie mogą znaleźć ciała Jimmy'ego Hoffy, bo kiedy mafia go załatwiła, to przywieźli go tutaj i Papa Nick kazał zakopać ciało na terenie fabryki psiego żarcia.

- A ja myślałam, że Hoffa leży pod trawką na stadionie - mruknęła Liz, uruchamiając silnik.

- No co ty? - Dody potrząsnęła głową z wszystkowiedzącą miną, z trudem pakując się na tylne siedzenie i wpychając sobie do ust ciasteczko, w ostatniej chwili porwane z bufetu. - Jak nic przerobili go na psie konserwy i napasł się nim pudel jakiejś starej panny. A wiecie, że tata nie pozwała mi też kąpać się w kamieniołomach? Podobno każdy u nas wie, że kiedy mafia sprzątnie kogoś w mieście, to

przysłała ciała do papy Nicka, żeby mógł je ubrać w betonowe buty i spuścić do glinianki.

- W takim razie dziwię się, Dody, że twój tata, wiedząc to wszystko, pracuje jeszcze w kopalni u Papy Nicka - stwierdziła sucho Sara, zapinając pas. - Ty też uważasz, że wszyscy Włosi są tacy źli?

- A jak! - obruszyła się Dody. - Przecież to oni zabili Kennedy'ego, bo razem ze swoim bratem chciał ukręcić łeb mafii! Wyobraźcie sobie tylko: zastrzelić prezydenta! Dlatego mój tata trzyma się z dala od związków zawodowych i tych wszystkich, co mieszkają w kopalniach. Mówi, że jeśli mafia mogła się posunąć do zamordowania prezydenta, to może zrobić wszystko. A pracować gdzieś trzeba. W tym mieście, jak chcesz mieć robotę, to możesz iść albo do kopalni, albo do Filed-Yield, a tata mówi, że już woli przetrzącać węgiel niż gównno.

Sara nie odpowiedziała. I ze wstydem musiała przyznać, że odczuła złośliwą uciechę, gdy w drodze do domu, po wchłonięciu dwóch cheesburgerów, trzech bułek cebulowych i czekoladowego shake'a w „Sonic”, Dody zaczęła z jękiem błagać Liz, żeby natychmiast zjechała na pobocze.

- Zamiast martwić się o tych Italiańców, postarałabym się odchudzić, Dody - powiedziała zimno Liz, zapalając papierosa i wprawnie puszczając kółka z dymu. - Niedługo nie zmieścisz się w drzwiach. Hej, Dody! Słyszysz? - krzyknęła przez uchylone drzwi, złośliwie szczerząc zęby. - Na twoim miejscu nie włożyłabym tak daleko w krzaki.

- Co? Dlaczego? - zasapała Dody. Wychylnęła spomiedzy gałązek rozczochrana, trzymając się za brzuch.

- Jeszcze wdepniesz w gnijącego trupa Jimmy'ego Hoffy!

Odpowiedzią był wybitnie niemiły odgłos.

- Wredna jesteś, Liz - zachichotała Sara. Lubiła szczerze tę dziewczynę. Podejrzewała, że Liz, być może jako jedyna w miasteczku, rozumiałaby jej związek z Renzo i nie potępiłaby go jak inni.

- Taak... Wredna. Pewnie dobra bym była jako laleczka jakiegoś gangstera, co? - Liz wygięła się wampowato na siedzeniu. - Moje nagie ciało obsypane diamentami, a w torbie jeden z tych małych, wykładanych perłową macicą damskich pistolecików. Myślisz, że miałabym szansę złożyć Alowi Pacino propozycję nie do odrzucenia?

- Al Pacino tylko grał gangstera.

- Wiem, człowiek nie może mieć wszystkiego, czego by chciał - westchnęła teatralnie Liz, a potem zapytała z mrugnięciem: - Myślisz, że każdego wieczoru Dody idzie do łóżka, bojąc się, że znajdzie w nim rano odcięty koński łeb?

ROZDZIAŁ SIÓDMY KAMIENIOŁOM

*O miłość! Płomień, co kiedyś rozpalił
Jednym pocałunkiem moją duszę całą
I usta me, jak blask słońca wypija rosą.*

Alfred Tennyson, *Fatima*

Lato tego pamiętnego roku, który miał odmienić całe życie Sary, było suche i gorące. Słońce prażyło niemiłosiernie, wypalając drzewa i trawę, a kto żyw szukał ochłody w wodzie.

Niewiele tej wody było w okolicy. Basen miejski był stary i ciasny, ze skrzypiącą zjeżdżalnią i budynkami obłazącymi z farby. Wypełniająca go woda niemiłosiernie śmierdziała chlorem, od którego włosy robiły się suche jak siano, a oczy czerwieniały i puchły. W szatniach i łazienkach unosił się wilgotny zaduch, a białe ręczniki, które wydawano, były przetarte do nitki. Na domiar złego regulaminu przestrzegano z paranoidalną ścisłością, więc nie można się było nawet powyglądać. Dlatego też rezydowały tam głównie starsze pary, matki z małymi dziećmi

i dzieci nie na tyle jeszcze duże, by pływać bez opieki ratownika.

Starsza młodzież zdecydowanie wolała jezioro w kamieniołomach. Leżało z dala od głównego szlaku, otoczone przez lasy i łąki, w długiej, wąskiej, poszarpanej szczyrbie skalnej. Kiedyś było tam wyrobisko, ale później porzucono je, jak wiele innych w tym rejonie. Natura starała się zabić szkody spowodowane przez człowieka i czyniła to całkiem skutecznie.

Na stromych brzegach jeziora, zarośniętych wysoką trawą i dzikimi kwiatami, przycupnęły wierzby, mocząc zwisające gałęzie i długie liście w chłodnej, ciemnej wodzie. Na drugim brzegu piętrzyły się skalne złomy o poszarpanych krawędziach, odrzucone przed laty przez wielkie maszyny. Teraz tworzyły one naturalne platformy do skakania i to głównie dzięki nim wyprawy w kamieniołomy były tak ekscytujące. Wszyscy więc, od czternastolatka do studenta, pędzili tam w wolnym czasie, gdy tylko zrobiło się ciepło.

Od czasu do czasu szeryf Laidlaw albo jego zastępca, niejaki Truett, przyjeżdżali nad jezioro, by po wypowiedzeniu surowych napomnień rozpędzić zebrane towarzystwo. Ale te działania były równie skuteczne, co próby odgonienia much ze śmietnika. Każdego lata młodź pluskała się w kamieniołomach i każdego lata starzy ludzie w miasteczku prorokowali ponuro, że wreszcie zdarzy się tam jakieś nieszczęście. I w końcu zdarzyło się, choć nie takie dokładnie, jak przypuszczano.

Tamtego ranka Sara obudziła się bez najmniejszego przecucia, że nadchodzący właśnie dzień będzie inny niż wszy-

stkie i że dramatycznie odmieni jej życie. Myślała tylko o niespodziance, jaką obiecał jej poprzedniego dnia Renzo. Prosił, żeby ubrała się i wyszykowała ładnie, bo zamierza zabrać ją w pewne miejsce - nie chciał zdradzić, jakie. Radził jedynie, żeby zabrała ręcznik i kostium, bo potem pójdą popływać.

Spakowała więc swoje rzeczy, wyszła z domu i poma-chała na do widzenia ojcu, który właśnie kosił trawnik. Nie zapytał, dokąd idzie, podobnie jak matka, która wybierała się do miasta po zakupy. Oboje byli przekonani, że córka jak zwykle uda się do swojego domku na drzewie, by swoim zwyczajem uczyć się tam albo malować.

Sara przygryzła wargę z poczuciem winy. Wiedziała, że niedługo będzie musiała powiedzieć im o Renzo, wytłumaczyć, że to poważna znajomość i że mają zamiar pobrać się w przyszłym roku. Przewidywała, że rodzice będą zszokowani, więc odsuwała tę chwilę jak najdłużej.

Rodzice bowiem chcieli, by Sara ukończyła najpierw studia, zdobyła dobry zawód i miała szansę na lepsze życie niż oni. Z pewnością nie podobałoby im się to, że Renzo jest o pięć lat starszy, że ma nie najlepszą reputację i że jego ojciec nie tylko należał do mafii, ale też zginął niechlubnie, zastrzelony w wielkim mieście. Wiedziała, że potrzeba będzie wiele czasu i starań, by ich przekonać, iż Renzo wcale nie wrodził się w ojca i nie poszedł w jego ślady - a przeciwnie: przyjął życiową postawę, którą wpoił mu Joseph Martinelli - człowiek o wiele mu bliższy niż prawdziwy, dawno zapomniany ojciec.

Choć surowi, rodzice Sary byli bardzo poczciwymi ludźmi, więc ona, ich córka, była pewna, że kiedy lepiej poznają

Renzo, przekonają się, jak kłamliwe są plotki na jego temat. A gdy się przekonają, zaakceptują go i polubią.

Pokrzepiona tą myślą, pomaszerowała rażno po ścieżce, którą przez lata wydeptała od domu do łąki. Podśpiewywała wesoło pod nosem; na ramieniu zaś niosła dużą, wypłataną torbę, w którą spakowała kostium kąpielowy, ręcznik, notes, szkicownik i farby oraz owoce i trochę słodyczy.

- Ile razy słyszę tę piosenkę, zawsze myślę o tobie - powiedział na powitanie Renzo, który już czekał na nią na łące.

W jego spojrzeniu było jak zwykle pożądanie i aprobata dla jej wyglądu. Tego dnia szczególna, gdyż Sara splótła włosy we francuski warkocz, który związała zieloną wstążką, i założyła zieloną sukienkę, przez co jej oczy nabrały blasku szmaragdów.

Przyciągnął Sarę do siebie i mocno pocałował.

- Dzisiaj mam dla ciebie niespodziankę - przypomniał.

- Mówiłeś już o niej. Może mi wreszcie zdradzisz, co to ma być?

- Taak... - Spoważniał na chwilę, a jego ramiona zacisnęły się mocniej na jej talii. - Zabieram cię ze sobą do domu, Saro, do moich staruszków. Jesteśmy zaproszeni na obiad.

- Nie! - Sara momentalnie zamieniła się w drżący kłębek nerwów. - Och, Renzo, skąd nagle ten straszny pomysł? Dlaczego nie uprzedziłeś mnie wcześniej? O czym będę z nimi rozmawiać? Co będzie, jeśli mnie nie zaakceptują? A jeśli uznają, że jestem kocmołuchem z kopalnianego osiedla, nie wartym ich syna? Ja tego nie przeżyję. Boże, powinnam się chociaż inaczej...

- Ciiicho. Wyglądasz świetnie... po prostu ślicznie - bo jesteś śliczna, Saro. I właśnie dlatego nie powiedziałem ci wcześniej o tej wizycie. Wiedziałem, że od razu się zdenewrujesz. Ale naprawdę nie ma powodu się przejmować. Moi starszycy nie są snobami. Sami cierpieli na skutek uprzedzeń. Pokochają cię, tak samo jak pokochali mnie. Zobaczysz.

- Pewnie tylko tak mówisz, żebym się nie martwiła.

- Nie, szczerze, to jest prawda. Zaufaj mi i skocz na głęboką wodę - powiedział, staroświeckim gestem zapraszając ją, by szła za nim.

- A co im o mnie mówiłeś?

- Nic takiego, naprawdę, poza tym, że chcę, żeby cię poznali. Więcej nie musiałem zresztą mówić. Nigdy przedtem nie przyproceedziłem do domu żadnej dziewczyny, więc wiedzą, że to poważna sprawa.

Choć wiadomość, że jest pierwszą dziewczyną, jaką zaprosił do domu, zrobiła wrażenie na Sarze, ciągle nie mogła się odprężyć.

- A... a co będzie, jeśli im się nie spodobam, Renzo?

- To niemożliwe. A jeśli nawet, choć nie wiem, jakim cudem, to przecież nasza znajomość się nie zmieni, przysięgam. Ja jestem mężczyzną, ty kobietą, kochamy się i sami wiemy, co będzie dla nas dobre. Podejmiemy tę decyzję tylko my, bez względu na to, co sądzą nasi rodzice albo ktokolwiek inny. A teraz uśmiechnij się i głowa do góry. Wszystko będzie dobrze, mówię ci. Jedziemy, okay? - Poprowadził Sarę do zaparkowanego na poboczu harleya.

- Naprawiłeś go!

- Powiedzmy raczej, że tylko trochę podszykowałem.

Nie wszystko jeszcze działa jak trzeba, bo nie miałem czasu porządnie w nim podłubać, ale przynajmniej jeździ. Nie wyobrażam sobie, co bym bez niego robił. Firma ubezpieczeniowa Sonny'ego zaproponowała mi w zastępstwie inny, jakiś grat bez żadnej wartości. A swoją drogą, ciągle mam wątpliwości, czy Sonny potrafił wtedy mój motor przypadkiem.

- Och, Renzo, na pewno. Wiem, że Evie i Bubba są okropni, ale Sonny zupełnie nie przypomina brata i siostry. Jest zupełnie inny. Czasami aż trudno uwierzyć, że to krew Holbrooke'ów.

- Taa... pewnie masz rację.

Dosiadł harleya, Sara usadowiła się za nim, obejmując go ciasno w pasie, jak to miała w zwyczaju, i już po chwili mknęli do niepozornego białego domku Martinellich przy Elm Street.

Już kiedy państwo Martinelli otworzyli przed nimi drzwi i wpuścili ich do środka, Sara wyczuła instynktownie, że są zaskoczeni i jakby rozczarowani jej widokiem. Mimo to starali się stworzyć gościnną atmosferę, więc uśmiechali się, zagadywali i dowcipkowali. Niestety, im więcej padało pozornie luźnych słów i swobodnych gestów, tym mocniej utwierdzała się we wrażeniu, że nie jest wybranką, jakiej chcieliby dla swojego jedyne dziecko.

Było jej tym bardziej przykro, że słyszała wiele dobrego o Martinellich i od początku bardzo się jej spodobali. Czuła, że mogłaby być szczęśliwa w tym domu, gdzie mimo upału panował miły chłód, zapewniany przez żaluzje i klimatyzatory, które szumiały uspokajająco. Meble były tu piękne i nawet niewprawne oko Sary dostrzegło, że stanowiły ro-

dowe dziedzictwo, o które pieczołowicie dbały kolejne pokolenia. Staromodne pokrowce okrywały kanapę i krzesła w salonie; włoskie etażerki i stoliczki były wypucowane do połysku, a rozliczne bibelociki starannie odkurzone.

Za to pokój Renzo był typowym azylem młodego mężczyzny - z wygodnym, podwójnym łóżkiem, biurkiem, lampą, komodą oraz oprawionymi w ramki wizerunkami słynnych jazzmanów na ścianach. Miał również swoją własną, małą łazienkę.

- Pasuje do ciebie - oceniła, obejrawszy jego królestwo. W następnej chwili z niepokojem przyłgnęła do niego, szepcząc: - Och, Renzo, oni mnie nie lubią! Czuję to!

- Nonsens, Saro - uspokajał ją, ale w głębi duszy czuł, że jego ukochana niestety ma rację. Nie rozumiał tylko, dlaczego tak się dzieje.

Obiad, podany przy wielkim stole w jadalni, był po prostu wyśmienity. Sara szczerze i często chwaliła potrawy, gdyż wyczuła, że Madonna Martinelli wkłada w gotowanie całą duszę i byłoby jej przykro, gdyby gość nie docenił tej kulinarnej sztuki.

- Powinnaś więcej jeść, Saro - upominała ją dobrotliwie pani Martelli. - Dorastające dziewczęta potrzebują dobrego żywienia, tak samo jak chłopcy. Szkoda, że nie widziałaś Renzo, kiedy po raz pierwszy pojawił się u nas. Litość brała na sam widok... skóra i kości! Ale szybko go podpasłam. Teraz uwielbia jeść, a już zwłaszcza moje *manicolti*, *lasagna* i spaghetti. Umiesz gotować włoskie dania?

- Niestety, nie umiem, pani Martinelli. Ale z pewnością mogłabym się nauczyć.

- Oczywiście, wcale nie twierdzę, że to niemożliwe. Przepraszam, jeśli cię uraziłam, Saro. - Madonna zaczerwieniła się i z niepokojem zerknęła na syna i męża.

- Ależ skąd, pani Martinelli! - Sara rozpaczliwie zmusiła się do uśmiechu. Tak bardzo chciała wiedzieć, co jest z nią nie tak; dlaczego rodzice Renzo jej nie aprobują. Podejrzewała jedynie, że być może zadecydował o tym fakt, iż jej ojciec był tylko prostym górnikiem, podczas gdy pan Martinelli - wydawcą gazety. Ale Renzo podkreślał przecież, że jego przybrani rodzice nie są snobami i że sami cierpieli z powodu uprzedzeń.

Ku jej ogromnej uldze obiad wreszcie się skończył i Renzo oznajmił, że muszą jechać, bo umówili się z przyjaciółmi. Państwo Martinelli poprosili wprawdzie, aby młodzi jeszcze zostali, ale czuło się, że prośba ta jest czysto formalna. Sara podziękowała więc za wspaniały obiad i zapewniła, że miło było ich poznać, oni zaś odpowiedzieli równie uprzejmie, a potem pomachali im na pożegnanie i czym prędzej zamknęli drzwi.

Idąc do motoru, Sara łykała łyzy goryczy.

- Widzisz? Nie spodobałam się - chlipnęła.

- Nieprawda! Wejź na siodełko i poczekaj tu na mnie. Zapomniałem piwa z lodówki. - Renzo również wiedział, że Sara nie spodobała się rodzicom, i był wściekły z tego powodu. Nietrudno było to odgadnąć, widząc napięte mięśnie jego szczęki.

- Renzo, proszę... - Położyła mu łagodnie rękę na ramieniu. - Wszystko w porządku, naprawdę. Błagam cię, nie kłóć się z mojego powodu z rodzicami.

- Nie będę, idę tylko po piwo. I nie broń ich, bo nie

są w porządku. Zaslługujesz na lepsze przyjęcie! Jesteś lepsza niż inne dziewczyny! A, cholera, zostawmy ten temat. Posiedź tu i poczekaj, aż wrócę.

Szybkim krokiem poszedł w kierunku domu. Piwo zostawił celowo, by mieć pretekst do porozmawiania z rodzicami bez Sary. Nie miał pojęcia, co nie podobało im się w dziewczynie, ale zamierzał się dowiedzieć, i to zaraz.

Otwierając drzwi, słyszał, że rozmawiają o czymś ożywionym głosem. Joe próbował pocieszać zdenerwowaną Madonnę, ona wzdychała ciężko i boleśnie. Widząc go, urwali gwałtownie i spojrzeli na niego z zakłopotaniem. Po chwili Joe odchrząknął.

- Co się stało, synku? Zapomniałeś czegoś?

- Owszem, piwa. - Renzo wpadł do kuchni i wyciągnął z lodówki pakiet sześciu puszek. Idąc do wyjścia, pomyślał, że moment nie jest dobry na konfrontację, i już uchylił drzwi, by wyjść na zewnątrz, kiedy nagle zatrzęsnał je z taką siłą, aż matka drgnęła, wystraszona hukiem.

- Dlaczego Sara wam się nie podoba? - zapytał wprost niskim, wrogim, nabrzmiałym emocją głosem. - Jest piękna, mądra, skromna i uczciwa, a poza tym mnie kocha. Więc jakie, na Boga, macie do niej zastrzeżenia?

- Renzo... synku... usiądź na chwilę, dobrze?

- Nie usiądę. Chcę tylko wiedzieć, dlaczego jej nie lubicie!

- Nie chodzi o to, że jej nie lubimy - powiedziała Madonna, nerwowo splatając ręce. - Jest, tak jak powiedziałeś, bardzo miłą i ładną dziewczyną. I...

- Więc dlaczego? Nie rozumiem.

- Widzisz, mama i ja... mieliśmy nadzieję... liczyliśmy

na to, że kiedy się zakochasz i zechcesz ożenić, wybierzesz sobie włoską katoliczkę - wyjaśnił Joe.

- Włoską katoliczkę? - powtórzył kompletnie zaskoczony Renzo. - Chcecie powiedzieć, że nie akceptujecie Sary tylko dlatego, że nie jest włoską katoliczką? Rany boskie, nie wierzę własnym uszom! I pomyśleć, że powiedziałem jej, że nie jesteście uprzedzeni, bo w przeszłości cierpieliście z powodu tępych bigotów! Teraz sami nimi jesteście! Przez lata... przez te wszystkie lata byłem dumny, że jestem waszym synem. Ale dzisiaj palę się ze wstydu! Tak, wstydzę się za was, słyszycie? - Renzo nie kontrolował już drżenia głosu.

- Jak śmiesz tak mówić do ojca i matki?! - ostro rzucił Joe. - Jesteśmy twoimi rodzicami i masz nas szanować! A teraz uspokój się i posłuchaj mnie uważnie. Nie jesteście uprzedzeni. Masz rację, niejedną raz doświadczyliśmy z matką różnych krzywd i upokorzeń i właśnie dlatego dalecy jesteśmy od wszelkiej nietolerancji. Ale właśnie z tego powodu aż za dobrze wiemy, jaki jest świat i co ludzie sądzą o mieszanych małżeństwach.

- Och, tato, oszczędź mi tych pierdoł! Czasy się zmieniają. Nie żyjemy przecież w dziewiętnastym wieku. Tu jest Ameryka i moje pokolenie nie jest....

- Nie jest? - wpadł mu w słowo Joe. - Renzo... Posłuchaj, Renzo, masz już wiek mężczyzny, ale pod wieloma względami jesteś jeszcze zbyt młody, żeby zrozumieć, że każde pokolenie podziela te same odczucia i popełnia te same błędy, co poprzednie. Nie jesteś pierwszym młodym człowiekiem, który myśli, że jego rodzice to para wapniaków, którzy nie są w stanie zrozumieć ani ciebie, ani twoich

rówieśników. Nie jesteś też ostatnim. Masz rację, czasy się zmieniają, świat idzie do przodu, mamy coraz szybszy postęp w technologii, medycynie, historii czy innych naukach. Ale ludzie się nie zmieniają, Renzo. Człowiek pozostał tym samym stworzeniem, które kiedyś wyprostowało się, złapało maczugę i rozwaliło głowę sąsiadowi, by porwać ochłap mięsa. Te emocje, dobre czy złe, są nam wrodzone.

- Tata i ja kochamy cię, Renzo - dodała cicho Madonna. - Wiemy, jak niedobry jest świat, i dlatego nie chcielibyśmy, żeby cię skrzywdził. O to właśnie nam chodzi... a wcale nie o to, czy lubimy Sarę, czy nie. Po prostu... no, życie jest łatwiejsze, jeśli trzymasz się swojej grupy, swojego klanu, synku. Uczucie, którym darzysz Sarę, kiedyś minie, wierz mi. Za parę lat może ci się spodobać zupełnie inna dziewczyna. Z czasem przyznasz nam rację i sam się przekonasz, że najlepsze związki to związki między ludźmi, którzy mają jakieś wspólne korzenie, wspólne doświadczenia, których łączy to samo dziedzictwo, religia... Nie spiesz się, Renzo, daj sobie czas, tylko tego pragniemy. Czas na poznanie świata, na zdobycie doświadczeń zanim zwiążesz się na dobre z jakąś dziewczyną. A kiedy będziesz już gotowy do małżeństwa, przyprowadzisz nam śliczną, włoską dziewczynę, katoliczkę. Taka na przykład Anna Maria Pasquale, ta dopiero umie gotować!

- Twoja matka ma rację, synu - potwierdził Joe. - Tak jest najlepiej i tego właśnie byśmy chcieli dla ciebie. Spróbuj o tym pamiętać i nie sądź nas zbyt surowo.

Po długiej chwili Renzo z wysiłkiem skinał głową. Uważał, że rodzice myślą się, fatalnie się myślą. Zrozumiał jednak,

że nie warto się z nimi kłócić. Kochali go i z całym przekonaniem wierzyli, że chcą dla niego jak najlepiej.

- Słuchajcie, muszę iść - bąknął. - Sara czeka na ulicy.

- Oczywiście, synku. Baw się dobrze - odparł Joe, jak zwykle próbując zachować się tak, jak gdyby w domu Martinellich nie było nigdy żadnych kłótni.

- I nie pij za dużo - upomniała go Madonna.

- Dobrze, mamó. Pa! Pa, tato!

- Cześć, synu. Uważaj na siebie. Widzimy się na kolacji.

Odszedł szybkim krokiem, a oni, ciężko wzdychając, patrzyli w milczeniu, jak ich przybrany syn dopada harleya i odjeżdża z rykiem silnika w towarzystwie dziewczyny, ciasno przytulonej do jego pleców.

Nie wiedzieli wówczas, że następny raz zobaczą go dopiero po wielu długich latach.

Renzo zawiózł Sarę do kamieniołomu, który służył za kąpielisko. Oboje doskonale wiedzieli, że robią rzecz, przed którą często ostrzegali ich rodzice, ale teraz było im wszystko jedno.

Słońce prażyło i marzyli tylko o tym, by wskoczyć do wody. Bo też poza oczywistą atrakcją, jaką była głębia jeziora i piętrzące się skalne półki, o popularności tego kamieniołomu stanowił fakt, że był oddalony od miasta i nie połączony z żadnym systemem wodnym. Oznaczało to, że jego woda była czysta i nieskażona. System kanalizacji urywał się na granicach miasta, więc ci, którzy mieszkali w terenie i mieli dostęp do szybów i kamieniołomów, potajemnie spuszczały tam szamba. Nikt przy zdrowych zmysłach nie kąpał się tam i nie łowił ryb. Przy dużych opadach zbior-

niki występowały z brzegów, zalewając tylne podwórka domów śmierdzącą wodą, co przyjmowano ze spokojem jako dopust Boży. To akurat jezioro było jednak inne - czyste, bo i trudno dostępne.

Już z daleka słyszeli pluski, śmiechy, pokrzykiwania i muzykę. Spodziejając się, że na miejscu zastaną dziki tłum, Renzo wysadził Sarę wcześniej, żeby mogła spokojnie się przebrać, nie niepokojona przez młodych podglądaczy, którzy często zaczajali się na dziewczyny zakładające kostiumy w zaroślach.

- Spotkamy się przy jezioru - rzuciła Sara.

Renzo skinął głową, zsiadł i uważnie przyjrzał się przedniemu kołu motocykla. W czasie jazdy wyczuł drgania, które bardzo mu się nie podobały. Koło było chyba jednak scentrowane, choć poprawiał je po wypadku.

- Coś się stało? - zapytała Sara z niepokojem. Bała się, czy ciąg niemiłych wydarzeń - najpierw tamten incydent, a teraz odrzucenie jej przez rodziców - nie sprawi, że Renzo zniechęci się do niej.

- Nic, mam tylko problem z tym kołem. Cholerny Sonny! Wyszukowałem sobie motor, chodził jak zegarek, a teraz przez tego pijanego skurwiela będę musiał zaczynać wszystko od nowa. Ale zrobię to, prędzej czy później. Dobra - machnął ręką - widzimy się przy wodzie.

Sara westchnęła smutno i weszła w zarośla, żeby przebrać się w kostium, który kupiła w supermarkecie za pieniądze zarobione na pilnowaniu dzieci. Zrobiła to w tajemnicy przed rodzicami, gdyż było to śmiałe bikini w jaskrawych barwach. Chciała sprawić, by Renzo pożądał jej jeszcze bardziej, ale nagle zaczęła się martwić, czy nie wy-

gląda zbyt wyzywająco i tandetnie. Było jednak już za późno na zmartwienia. Nie miała innego stroju. Włożyła więc ubranie do torby i ruszyła w stronę kamieniołomu.

Wszędzie wokół stały zaparkowane samochody z otwartymi drzwiami i bagażnikami. Wszystkie radia, nastawione na jedną, lokalną rozgłośnię, ryczały głośną muzyką. Ziemię zaścielały koce, maty i ręczniki, na których prażyły się wysmarowane olejkami i mleczkami ciała.

Dziewczyny skrapiały włosy sokiem cytrynowym albo specjalnym płynem, żeby im pojaśniały w słońcu. Turystyczne lodówki, stojące w bagażnikach, były pełne lodów, piwa i soków. Wszędzie walały się puste puszki i plastikowe butelki. Ktoś nawet przywiózł mały grill i powietrze przenikał zapach węgla oraz piekącego się mięsa.

Z dala dobiegły głośne pluski skaczących do wody albo spadających ze starej opony, przywiązanej liną do gałęzi rozłożystego, pochylającego się nad wodą drzewa.

Sara dojrzała Renzo, stojącego w grupce złożonej z chłopaków z jego zespołu oraz Krystal, Liz i kilku innych dziewczyn, których nie знаła. Zdążył już zdjąć dżinsy i koszulkę, mogła więc podziwiać jego zgrabne, muskularne ciało. Była dumna z niego i z siebie: Renzo był lepiej zbudowany niż większość chłopaków - ramiona miał silne, pierś szeroką, porośniętą ciemnym, drobnym włosiem, a brzuch płaski jak tarka. Jego biodra były wąskie i szczupłe, szczególnego zaś uroku dodawał mu duży, skomplikowany tatuaż przedstawiający motyla, który kazał sobie zrobić na prawym przedramieniu na osiemnaste urodziny. Na szyi tego najprzystojniejszego chłopaka w całym miasteczku połyskiwał złoty medalik ze świętym Krzysztofem.

- Hej, Liz, hej, Krystal! - Pomachała im z uśmiechem, zadowolona, że może podejść do Renzo, nie narażając się na domysły ciekawskich.

- Sara! - odkrzyknęły chórem. - Chodź tu do nas!

Przedstawiły ją tym, których nie znała. Renzo podał jej piwo i jawnie przygarnął do swojego boku, kiedy odchodzili w stronę wody.

- Cholera... Sara! - szepnął jej do ucha. W oczach miał niebezpieczny błysk. Żarzyły się jak dwa węgle, które za chwilę wystrzelą płomieniem. - Czy ty specjalnie chcesz mnie doprowadzić, do szaleństwa? A może do wybuchu zażdrości? Ten kostium więcej odsłania niż zasłania!

- Nie podoba ci się?

- Piekielnie mi się podoba. Ale bardzo mi się nie podobają ci wszyscy faceci, którzy ślinią się na twój widok. Jeszcze chwila, a któremuś dowalę!

- Psst! - syknęła nerwowo, jednocześnie podniecona i przerażona perspektywą zobaczenia zazdrosnego samca w akcji. - Jeszcze cię ułyszają!

- Mam ich gdzieś! - burknął. - W ogóle mam dosyć tego wiecznego czajenia się i udawania, jak gdyby trzeba się było wstydzić miłości. Nie obchodzi mnie, co inni sobie pomyślą.

- Jak możesz tak mówić, zwłaszcza po tym, co stało się u rodziców? Po tym, jak zareagowali, widząc nas razem?

- A powiedz szczerze, czy twoi starzy zareagowaliby inaczej? Czy polubiliby mnie bardziej niż moi ciebie?

- Nie - wyznała po chwili niechętnie - choć dopiero teraz uświadomiłam sobie, że moi rodzice mieliby obiekcje nie tylko dlatego, że jesteś o pięć lat starszym studentem,

ale - co gorsze - dlatego że jesteś Włochem i katolikiem!
- Westchnęła ciężko, przysuwając się bliżej. - Co takiego tkwi w ludziach, Renzo? Dlaczego czyjś odcień skóry jest taki ważny? Takimi się przecież urodzili. I co w tym złego, że ty jesteś katolikiem, a ja protestantką? Czyż nie wierzymy w tego samego Boga?

- Wiesz, w co wierzę, Saro, więc nie zadawaj mi pytań, na które nie znam odpowiedzi. Poza tym dzień jest zbyt piękny, żebyśmy mieli go marnować na tak męczące dyskusje. Mam propozycję. Zapomnijmy na te parę godzin o reszcie świata, wypijmy kilka piw i chodźmy się kąpać... albo coś w tym stylu... zgoda? - Przewędrował po niej łakomym, pożądlivym spojrzeniem, a potem zrobił bezwstydnym grymas.

- Zwłaszcza „coś w tym stylu” musi być przyjemnym zajęciem - uśmiechnęła się prowokująco, odzyskując dobry nastrój.

- Najpierw chodźmy popływać, a potem coś wymyślimy.

Pływali. Wypili kilka piw. Zjedli hot dogi. Znow pływali, znow pili piwo. Kiedy Renzo wyprowadził ją z chłodnej wody, owinął prześcieradłem kąpielowym i poprowadził w las, Sara ze zdumieniem spostrzegła, że jest na dużym rauszu. Wreszcie, znalazłszy zaciszne miejsce, ściągnął z niej okrycie i ułożył ją na trawie, wśród pachnących ziół i krzewów, obok zielonej ściany drzew.

Leżąc na ziemi i patrząc na Renzo, Sara miała wrażenie, że wszystkie jej zmysły wyostrzyły się i jednocześnie w dziwny sposób odmieniły. Postrzegała teraz nimi jak gdyby całkiem inną rzeczywistość. Odgłosy z kamieniołomu

ucichły w dali i nawet nie było słycać głośnej muzyki. Miejsce, gdzie leżała, było zaciszne, bezpieczne, zamknięte niczym wewnątrz kokonu, w którym poczwarka szykuje się do przemiany w pięknego motyla, aby cudownie odmieniona wylecieć na wolność.

Czuła, że stanowi wspaniałą jedność z białymi obłokami na niebie, ze słonecznym blaskiem, przesiewającym się przez liście, i z całym tym magicznym światem, do którego nagle została przeniesiona. Letni upał otumaniał jej myśli i przesycał ciało ogniem. Słodki aromat zielonych, chłodnych lasów, pomieszany z wonią kwiatów, działał jak narkotyk. Zaś Renzo, piękny jak baśniowy elf, klęczał nad nią, wiążąc jej uda. Zdawało się, że jego motyl na tatuażu poruszy za chwilę skrzydłami i odleci ku niebu. Nigdy nie powiedział jej, dlaczego kazał wytatuować sobie właśnie taki wzór; dowiedziała się tylko, że ma dla niego specjalne znaczenie.

Teraz jednak nie zastanawiała się, jakie to może być znaczenie. Patrzyła, jak jej kochanek wyciąga dłoń, ściąga wstążkę z jej francuskiego warkocza i zaczyna rozplątywać niezliczone, wilgotne sploty tak wprawnie, jakby nic innego nie robił przez całe życie. Wreszcie długie włosy ułożyły się w aureolę wokół głowy, a Renzo czule ujął twarz Sary w dłoń.

I powoli, nieuchronnie zbliżał usta do pocałunku...

Zanim przymknęła oczy i zaczęła smakować tę pieszczotę, miękkie westchnienie wymknęło się spomiędzy jej warg. Była jak rozchylający się kwiat, przyjmujący kolibra, który spija słodki nektar z głębi wonnego kielicha. Zagarnęła palcami spletaną czuprynę Renzo, przyciągając go bli-

żej ku sobie. Szerzej rozwarła usta, spragniona nowych smaków i doznań. Jej własny język śmiało splątał się z jego językiem w zmysłowym tańcu.

- Och, Sara... - wyszeptał bezgłośnie prosto w jej usta i powoli przylgnął do niej, zagarniając rękami piersi i wsuwając jedną nogę pomiędzy jej nogi.

Nigdy jeszcze nie leżeli tak, prawie nadzy, przytuleni ciasno do siebie. Ciało Sary było gorące, jakby ogarnięte płomieniem, jakby bliskość ukochanego przenikała ją, rozpałała i topiła jak lód. Renzo muskał jej szyję pocałunkami delikatnymi niczym muśnięcie motyla, tak lekkimi, że nie czułaby ich, gdyby ciało nie reagowało na nie długimi, rozkosznymi dreszczami, a jej piersi nie twardniały pod barwnym stanikiem.

Dłoń Renzo prześlizgnęła się po nich łąpczywie, palce pieściły je przez chwilę, a potem ześlizgnęły się niżej, na brzuch. Stamtąd jego wciąż głodna dotyku dłoń powędrowała między uda, masując je lekko, jak gdyby chciała ukoić bolesny, pożądlivy skurcz, który narastał między nimi.

Sara natychmiast wyprężyła się ku niemu, instynktownie szukając ukojenia. Jej dłonie mimowolnie zbłądziły na plecy Renzo, poznając nieznaną powierzchnię twardego, męskiego ciała. Męskiego, tajemniczego, zakazanego. I niebezpiecznego, jak woda w kamieniołomie.

Na tę myśl w jej mózgu rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Chciała je zignorować, odepchnąć; rozkojarzona, tłumaczyła sobie, że to tylko wiatr, szumiący w gałęziach, albo duchy, zamieszkujące to magiczne miejsce. Renzo jednak znów sięgnął do jej ust, tym razem żarliwiej i głębiej, zu-

pełnie jakby wyczuł szóstym zmysłem jej nagły lęk i wahanie.

Uległa. Naparła na niego piersiami, rozdrażniona cieniutką warstwą materiału, która nie pozwalała otrzeć nagich sutków o czarny zarost na jego piersi. Renzo i ten sygnał zrozumiał bezbłędnie. Po chwili zapięcie bikini poddało się jego sprawnym palcom i z trzaskiem odskoczyło na bok. Sznurkowe ramiączka zsunęły się, cały stanik opadł na trawę jak barwny motylek, a nabrzmiąte piersi wyskoczyły z niego, nareszcie uwolnione, lecz wciąż niesyte pieścizot i pocałunków.

Pochwycił wargami ich ciemne końce, a wtedy prąd rozkoszy przeszył ciało Sary. Jęknęła gardłowo. Uniósł głowę i spojrzał na nią z zachwytem. Jego oczy, pociemniałe z pożądania, patrzyły na nią tak intensywnym, tak jednoznacznym spojrzeniem, że Sara ze wstydem odwróciła głowę. On jednak przytrzymał ją wówczas za włosy i siłą zmusił, by spojrzała mu w twarz.

- Lubisz to, Saro, co? - mruknął chrapliwie.

- Tak - wyszeptała bezsilnie. - Tak...

Znów powędrował dłonią między jej uda, tym razem wsuwając ją pod elastyczne majteczki kostiumu. Tam, w środku, była miękka, wilgotna, gotowa. Pieścił ją powoli, bardzo powoli. Rozdzielał palcami drżące płatki, przesuwając się w gorącym wnętrzu, wynajdując maleńki, twardy pączek, o którego istnieniu nie miała dotąd pojęcia, a który nagle awansował do samego centrum jej istoty.

Niesiona zawrotnymi, nieznanymi odczuciami, coraz bardziej otwierała się dla niego, napierając instynktownie na drążącą ją dłoń w gwałtownym poszukiwaniu czegoś,

co znaleźć musiała, aby nie umrzeć z głodu i niespełnienia. Obejmowała kurczowo Renzo, aż paznokcie wpijały się w jego twardą skórę. Ścisłała go coraz mocniej, jakby chciała uciec przed ostrymi szponami bolesnego niezaspokojenia, dręczącymi ją tak, że zdawało się, iż jeszcze chwila, a eksploduje, wybuchnie, rozerwie się na kawałki.

I tak właśnie się stało. Fale bólu zmieniły się niespodziewanie w falę rozkoszy tak silnej, że Sara nieomal zemdlała. Zesztywniała, wyprężyła się, kurczowo łapiąc powietrze, jęknęła ponagląco...

Nawet nie wiedziała, kiedy Renzo wolną ręką błyskawicznie zdarł z siebie slipki, a potem równie szybko ściągnął w dół jej bikini. Zanim się spostrzegła, leżała już pod nim naga, a jego ręce rozwierały jej uda. Otworzyła oczy w samą porę, by zobaczyć, jak klęczy nad nią ze wzniesioną, twardą męskością, szykując się do decydującego pchnięcia.

Oczy lśniły mu pożądaniem i triumfującą radością. Za chwilę, z gardłowym pomrukiem, w którym dźwięczało jej imię, wtargnął w nią, gładko, szybko i głęboko, momentalnie unicestwiając słabą barierę niewinności.

Sara wstrzymała oddech z przejęcia i bólu, a potem wydała ostry krzyk. Ale Renzo czujnie zdusił go szybkim pocałunkiem i zagłębiając się w jej usta, zagłębił się jednocześnie w najtajniejsze miejsce. Nieznośne napięcie znów zaczęło narastać w jej ciele. Rosło, potężniało, podsycane coraz szybszym rytmem, w którym poruszały się biodra męczyzny.

Przyłgnęła ciasno do niego, instynktownie oplatając Renzo nogami i wyginając biodra ku górze, by przyjąć każde ze słodkich pchnięć, które wznosiły ją na wyżyny rozkoszy.

Gdy zaś znalazła się już tak wysoko, że zdawało się, iż lada chwila wzleci ku niebu, a potem spadnie w słodki niebyt zapomnienia, Renzo znieruchomiał, targnięty potężnym spazmem. I właśnie wtedy wystrzeliła ku słońcu, niesiona miłością, spełnieniem i szczęściem.

A potem szybowała w przestworzach, czując, jak serce kochanka wali dziko przy jej uchu, jak leży przy niej rozpalony, dyszący, spocony.

Renzo wcale by się nie zdziwił, gdyby Sara płakała, ale nic takiego się nie stało - nawet wtedy, gdy powiedział jej, że poniesiony przemożnym pragnieniem, zapomniał o ochronie i zostawił paczkę prezerwatyw w kieszeni dżin-sów, które wcześniej wepchnął do jednej ze skórzanych toreb przy motocyklu.

Powiedział jej więc o tym, lecz ona nie wpadła w panikę z tego powodu.

- Co będzie jeśli... jeśli zaszłam w ciążę? - zapytała tylko spokojnym, choć lekko drżącym głosem, kiedy leżeli, nasyчени już sobą i przytuleni, całując się i pieszcząc delikatnie.

- Nie bój się, nie jesteś - zapewnił, czując, że zaczyna pożądać jej na nowo. - Nie tak łatwo zająć, zwłaszcza pierwszy raz. - Pocałował ją w usta, uśmierzając niewczesne lęki. - Chryste, ależ jesteś piękna! Nawet nie wiesz, jak cholernie chciałem zobaczyć cię naga, kochać cię, być twoją częścią! - Zaborczo ogarnął dłońmi ciało Sary, jak gdyby miał wyłączne prawo patrzenia na nią i dotykania jej kiedy tylko sobie życzył. Piwo, które wypła wcześniej, przestało działać i teraz zaczęła się wstydzić. Renzo wyśmiał ją łagodnie. - O co chodzi? Przecież mamy wziąć ślub, Saro,

a ja nie mam zamiaru być mężem, który pozwala żonie, ubranej w długą nocną koszulę, ukrywać się przed nim w ciemności pod kołdrą.

Chwycił jej dłoń i naprowadził na swoją męskość, ucząc, jakie ruchy ma wykonywać, by dać mu rozkosz.

- Otwórz się dla mnie, Saro - poprosił zdławionym głosem. - Teraz jesteś moja, i kocham cię... Chcę... o, jak teraz... och, tak, kochana... taak...

I znów zagłębił się w nią, pragnący i niecierpliwy. I raz jeszcze cisnął ich rozpalone ciała w wirujący jaskrawymi barwami lej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

UPADEK

*Nic nie zależy od nas, a co się zdaje
Przypadkiem, splotem zdarzeń, krokiem błędnym
Wypływa z źródeł głębin przeznaczenia.*

Fryderyk Schiller, *Śmierć Wallensteina*
(przełożył Piotr Szymański)

Kiedy Sara i Renzo ubrali się wreszcie i dyskretnie przyłączyli do innych, piknikowa atmosfera w kamieniołomie trwała nadal. Małe były szanse, aby dostrzeżono ich nieobecność. Zresztą nie byli jedyną parką, która wymknęła się do lasu. Pomimo to Sara miała wrażenie, że wszyscy na nią patrzą i zaraz zaczną wytykać ją palcami jako kochankę Renzo Cassavettesa.

Dla pewności zarzuciła sobie na ramiona wielki plażowy ręcznik, czuła się bowiem przesiąknięta męskim zapachem, a w sobie wciąż czuła nasienie swego pierwszego i ostatniego - wierzyła w to - kochanka. Zerknąwszy na Renzo, stwierdziła, że leniwe pożądanie w jego wzroku i pełen satysfakcji uśmiech zdobywcy każdemu średnio inteligentnemu obserwatorowi powiedzą, z kim zgrzeszyła.

Ale ludzie byli zbyt pijani i podniecała ich już tylko myśl o niebezpiecznym współzawodnictwie, z którego sły-
nał kamieniołom. Zanim Sara zdążyła go powstrzymać, Ren-
zo już dał się porwać i namówić swoim kumplom. Czowała
instynktownie, że nie odrzuciłby wyzwania nawet dla niej,
bo nie pozwalała mu na to męska ambicja. Dlatego mogła
tylko bezsilnie się przyglądać, jak dumnie wspina się na
pierwszy poziom skalnej trampoliny.

Sama odważyła się skakać tylko z niewielkiej wysoko-
ści, a i to zdawało jej się niebezpieczne. Natomiast skoki
z wyższych poziomów graniczyły według niej z szaleń-
stwem. Nikt przecież nie zbadał nigdy dokładnie, jak głęboki
jest zbiornik wodny i co właściwie kryje się pod powierz-
chnią. To, co wiadano, wystarczało jednak, by każdy, kto
był przy zdrowych zmysłach, darował sobie karkołomne
skoki. W końcu kiedy kamieniołom był czynny, wycina-
no w nim złomy skalne pod najróżniejszymi kątami,
tworzącymi ostre krawędzie, uskoki i szpice. Później za-
kryła je woda, ale przecież wciąż istniały. Z im wyższej
platformy się skakało, tym głębiej wpadało się pod powie-
rzchnię i tym bardziej ryzykowało zderzenie ze zdradliwymi
skałami.

W tych szalonych zawodach wygrywała oczywiście oso-
ba, która skoczyła z najwyższej platformy. Nieliczne dziew-
czyny rezygnowały już przy drugim poziomie, ale chłopcy
ryzykancko wspinali się wyżej, najwięksi zaś ryzykanci po-
zostawiali lękliwych konkurentów daleko w tyle.

I oto teraz Sara miała paskudne przecucie, że Renzo
będzie walczył aż do końca. W ustach zrobiło jej się sucho,
a serce tłukło się w jej piersi jak wystraszony ptak. Za każ-

dym razem, kiedy Renzo wspinał się wyżej i śmigał jak strzała w głąbinę, czuła mdłości.

Szarpiąca nerwy rywalizacja ciągle trwała, aż nawet dla najbardziej pijanych widzów stało się jasne, że kończy się zabawa, a zaczyna horror. Sonny Holbrooke, zwykle o wiele rozsądniejszy i spokojniejszy niż jego brat, ten sam Sonny, który zwykle wypadał z gry przy trzecim poziomie, tym razem zaliczył czwarty i już wspinał się na piąty. Było jasne, że przyczyną tego niezwykłego wybuchu ambicji stał się Renzo. Choć obaj stali daleko, nietrudno było dostrzec zadowolony uśmiech Renzo, wyraźnie kontrastujący z zaciętą, zirytowaną miną Sonny'ego.

Tak. Renzo prowokował go do pojedynku. Dla wszystkich bez wyjątku stało się jasne, że za tym wszystkim stoi pamiętny wieczór po szkolnym balu, kiedy to Holbrooke staranował błyszczącego harleya.

Obaj skoczyli już z piątego poziomu, potem z szóstego. Ciężko dysząc, wypełzli z wody i chwilę odpoczywali na trawie, wyrównując oddech. Wreszcie, po długiej chwili, Renzo podniósł się i stanął w wyzywającej pozie z rękami na biodrach.

- I co, boisz się „złoty chłopaczku”? - zakpił ze śmiechem. - Wymiękasz? A może jednak okażesz się mężczyzną?

- Nie słuchaj go, Sonny! - rzucił ostro Forrest Pierce, rozglądając się w tłumie za Bubba i dziwiąc się, czemu ten nie stanął u boku brata, aby odwieść go od szaleńczej rywalizacji. Nigdzie jednak nie było śladu ani Bubby, ani Evie. Zapewne wymknęli się do lasu ze swoimi partnerami. - Nie słuchaj! Nawet Bubba nie skoczyłby z siódemki. Cassavet-

tes też tego nie robi. I nikt inny. Ten facet blefuje, Sonny. Daj sobie spokój!

- On ma rację - odezwał się Drew Langford. - Nie musisz niczego udowadniać ani Cassavettesowi, ani nikomu innemu. I tak jesteś gościem, bo zaliczyłeś szóstkę! Większość z nas by się na to nie odważyła. A ty go zostaw, Cassavettes! Wiesz cholernie dobrze, że nie rozjechał ci tego pieprzonego motoru specjalnie!

- A ja stawiam dziesięć baksów, że zrobił to specjalnie, i że Renzo to facet z jajami, który zaliczy siódmkę. A ten „złoty chłoptaś” da dupy i ucieknie do domu! - wtrącił się Dante Pasquale, brat Anny-Marii i basista Hard Roadsów. - Wszyscy w mieście wiedzą, że to zły Bubba odziedziczył po swoim tatuńciu stalowe jaja, a nie ten mięczak Sonny. A w ogóle u was, Anglosów, jak zwykle kończy się na gadaniu. Italianos mają swoją dewizę: „Nie pieprz, tylko rób”.

- Masz rację - powiedział spokojnie Sonny, wstając na nogi.

- Człowieku, opamiętaj się! - wrzasnął zdenerwowany Skeet Granville. - Tylko idiota przyjąłby ten zakład. Drew dobrze powiedział: nie musisz niczego nikomu udowadniać. A już zwłaszcza tej bandzie makaroniarskich przybłędów. Niech sobie idą nurkować w szambach, z których dopiero co wyleźli, bo śmierdzą!

Dante zacisnął pięści i groźnie postąpił krok do przodu. Przez chwilę wydawało się, że zaraz rozpęta się bójka. W porę jednak zauważył, że chłopaków włoskiego pochodzenia jest zbyt mało, by mogli się obronić, powściągnął więc swój południowy temperament i zmusił się do śmiechu, dbając, by zabrzmiał wystarczająco szyderczo.

- Gadka! Wy, Anglosy, umiecie tylko kłapać dziobem! - jęczył. - O, tu mam was, patrzcie! - Zrobił palcami nieprzyzwoity, włoski gest. - Stawiam dziesięć baksów. Przyjmujecie czy tchórzycie?

- Przyjmujemy - powiedział twardo Sonny, wyszarpując się z objąć kolegów, którzy usiłowali go przytrzymać, po czym pewnym krokiem zaczął iść w stronę skał.

Renzo, rzucając ostre spojrzenie Dantemu, ruszył za nim. Wiedział, że Dante specjalnie podpuścił Sonny'ego, bo miał żal, że on, Renzo, nie chodzi z Anną-Marią. Siostra płakała mu w mankiet i kiedy nadarzyła się okazja, by popsuć szyki Renzo, Dante natychmiast z niej skorzystał, jęczył i prowokując.

Bo przecież sam Renzo wcale nie miał zamiaru stawiać sprawy na ostrzu noża. Chciał tylko dopiec Sonny'emu, zderzany wykrzyty przed chwilą defektem harleya. Prawdę mówiąc, był zdumiony, że ten chłopak odważył się skakać z tak wysoka. Klął siebie, iż dał się ponieść swemu temperamentowi i nie zauważył wcześniej, że Sonny ma więcej odwagi niż Bubba - tej cichej odwagi, którą miała również Sara. Na pewno jednak musiał się bać. Cholera, on sam też nie czuł się zbyt pewnie. Forrest Pierce miał rację - nikt jeszcze nie skakał z siódmego, najwyższego poziomu.

Nie było tam skalnej półki, tylko wąska, pojedyncza skała, stercząca pod dziwnym kątem. Ten, kto chciałby z niej skakać, musiał bardzo mocno wybić się do przodu, by nie zawadzić o ostre, postrzępione krawędzie kamiennych platform poniżej. A poza wszystkim, pomyślał Renzo, stając u góry obok Sonny'ego, sam skok jest cholernie długi i trzeba dobrze wejść w wodę, żeby się nie rozbić. Nie miał lęku

wysokości, ale teraz, zerkając w dół, odczuwał niemiły zawrót głowy.

- Posłuchaj, Sonny, tak naprawdę wcale tego nie chciałem - powiedział.

- Szkoda, że nie powiedziałeś mi tego wcześniej. - W głosie Sonny'ego brzmiało skrywane napięcie i uraza. Minę miał jednak zaciętą, pomimo poblądłej, ściągniętej strachem twarzy. - To był wypadek... wtedy, po balu...

- Wiem, Sonny. Ale zrozum, włożyłem w tę maszynę masę pracy. Harowałem po nocach, a teraz muszę zaczynać wszystko od nowa. Każdy by się wściekł. Co nie znaczy, że jestem skłonny ryzykować życie, żeby się odegrać. I ty chyba też nie. Dlatego proponuję, żebyśmy zapomnieli o wszystkim, zeszli na dół i napili się piwa, co?

- Cholernie dobra myśl, mój drogi Watsonie.

- Cieszę się, Holmesie.

- Boże, czytałeś Doyle'a? - wykrzyknął Sonny, mile zaskoczony.

- I nie tylko - pochwalił się Renzo. - Zaliczyłem większość klasyki. Biblioteki nie są zastrzeżone wyłącznie dla Anglosów.

- Dobra, nie mów tak. Po prostu niewielu chłopaków w naszym wieku cokolwiek czytało. Byłoby... chętnie pogadałbym o literaturze z kimś, kto się nią interesuje. To rzadka okazja - powiedział ostrożnie Sonny, niezbyt pewien reakcji niedawnego przeciwnika.

- Przy kawce i papierosku? Bo nie przywykłem do prowadzenia intelektualnych rozmówek, balansując na szczycie skały!

- A może by tak jutro, we „Fritzchen's Kitchen”?

- Zgoda!

Już pogodzeni, ale jeszcze zdumieni i zaintrygowani niespodziewaną perspektywą przyjaźni, a przynajmniej miłej znajomości, odwrócili się plecami do przepaści, by zejść w dół.

Daleko w dole tłumek obserwował ich w napiętym milczeniu. Jedynymi dźwiękami, jakie rozlegały się w kamieniołomach, była muzyka z lokalnej stacji „K-104” i głośny warkot starego grata, którym Junior Barlow wspinał się mozolnie po drodze do kamieniołomu.

Nagły strzał z rury wydechowej odbił się przeraźliwym echem po skałach jak eksplozja dynamitu. Wszyscy drgnęli gwałtownie.

Ten moment Sara miała zapamiętać na zawsze: sączący się z głośników głos Stevie'ego Woodsa, który śpiewał, że możesz długo próbować, ale i tak wszystkim nie dasz rady... że możesz nauczyć się latać, ale zaszedłeś już zbyt wysoko... i Renzo z Sonnym, spadający nagle ze skały.

Jej przeraźliwy krzyk zagłuszył muzykę i trwał, podczas gdy dwie postacie wykonywały nieskończenie długi lot ku mrocznej powierzchni, skręcając się i szarpiąc w makabrycznej parodii olimpijskich skoczków do wody. Łzy płynęły strugą po policzkach Sary, kiedy biegła nad brzeg, potrącana przez innych. Forrest, Dante i jeszcze kilka osób natychmiast wskoczyło do wody, nurkując gorączkowo w poszukiwaniu Renzo i Sonny'ego.

Wreszcie, po chwili dłużej jak wieczność, wynurzył się Renzo, kurczowo łapiąc powietrze. Natychmiast został pochwycony przez chłopaków i odholowany na brzeg.

Sonny już się nie wynurzył.

Musiał uderzyć głową w jedną z podwodnych skał i złamać kark. Nie wiadomo, czy to go zabiło, czy też może utonął, gdy bezwładne ciało zaplątało się między pogięte korzenie drzewa, sterczące głęboko pod wodą. Tak czy inaczej, wydobyto już tylko trupa.

- Och, draniu, draniu... Niech cię piekło pochłonie! - Evie Holbrooke przypadła do leżącego Renzo z histerycznym krzykiem, okładając go pięściami tak zajadle, że Bubba i jej chłopak, Parker Delaney, musieli ją odciągać na siłę. - Sami widzieliście! - krzyczała, spoglądając dzikim wzrokiem na resztę. - Widzieliście! Renzo Cassavettes zamordował mojego brata! Zamordował! Zepchnął ze skały! - Wrywała się, kopiąc zajadle na boki. - Wiedziałeś, że nie umie nurkować tak jak ty, że sam się uratujesz, więc go zepchnąłeś! Zepchnąłeś go!

- Nie, nie! To był wypadek! Straszny, ale tylko wypadek! - krzyknęła Sara, ukląkszy przy Renzo, by drżącymi dłońmi zetrzeć ręcznikiem krew z broczących zadrapań na jego ciele.

- Nieprawda, Evie ma rację! Renzo popchnął Sonny'ego! - odezwał się ktoś.

- Nie popchnął!

- Zdecyduje sąd. Drew pojechał już po szeryfa.

- A po co czekać? Dajcie sznur, sami powiesimy tego bydlaka!

Walka, która została wcześniej stłumiona w zarodku, rozgorzała teraz na dobre, szybko zamieniając się w ponurą rozróbę. Trzaskały butelki po piwie, którym utracano denka, by zrobić z nich „tulipany” - okrutną, podręczną broń bandytów. Dziewczyny z krzykiem i płaczem rozbiegły się do

swoich samochodów, by się w nich zamknąć i przeczekać najgorsze.

Renzo, bojąc się o swoje życie, przerażony perspektywą, że zostanie oskarżony i skazany za zabójstwo w tym małym, wrogim mu miasteczku, w którym wszystkimi i wszystkim rządził klan Holbrooke'ów, wstał chwiejnie i potykając się, pobiegł do swojego harleya. Głowa pulsowała mu ostrym bólem, a krew z poszarpanego rozcięcia na skroni zalewała oko. Nie dbał jednak o to. Wiedział jedno - musi uciec.

Nie słyszał, jak Sara rozpaczliwie woła jego imię. Nie widział, jak usiłuje się do niego przedrzeć, jak upada i omal nie zostaje stratowana. Jego otumaniony umysł myślał wyłącznie o ucieczce. Kopnął w rozrusznik, odjechał z rykiem silnika i dopiero wiatr wiejący prosto w twarz uspokoił go nieco. Gdy zaś ochłonał, uznał, że nie może wrócić do domu. Szeryf Laidlaw z pewnością będzie go szukał.

Jedynym wyjściem była ucieczka. Ostateczna ucieczka. Ucieczka do wielkiego miasta. Tylko tam będzie mógł roztopić się w tłumie.

Gdy skończyły się lasy, skręcił w szutrową drogę, prowadzącą z miasteczka przez pustynię, i popędził nią jak szalony, wyciskając z maszyny wszystko, na co było ją stać. W głowie miał taki zamęt rozpaczliwych myśli i emocji, że nie zwrócił uwagi na tak dobrze mu znane, stare, wyblakłe znaki, ostrzegające przed nierównościami przy przejeździe kolejowym. Wjechał na nie z pełną szybkością, przednie koło harleya z impetem trafiło w szparę przy szynach, opona pękła z hukiem, a motocykl wpadł w niekontrolowany poślizg i potoczył się niczym krążek po hokejo-

wej tafli. On sam, wyrzucony z siodełka, wylądował w zwi-rze na poboczu i po chwili znieruchomiał jak szmaciana lalka.

Po kilku długich jak wieczność minutach krążąca w ży-łach adrenalina pozwoliła mu stanąć z wysiłkiem na nogi. Przyciskając ręką bolące żebra, pokuśtykał do leżącego mo-tocykla i z dziwną obojętnością ocenił rozmiar szkód. Jak automat wyjął z toreb rzeczy, ubrał się z trudem, otarł krew i zaczął iść wzdłuż drogi.

Co chwila oglądał się i nasłuchiwał, czy z daleka nie rozlegnie się jęk syren patrolowego wozu szeryfa Laidlawa. Nie wiedział, jak daleko uszedł, kiedy z dala dobiegł go odgłos nadjeżdżającego wozu. Rzucił się w rów i wyjrzał ostrożnie. Samochód był lśniącą, czarną limuzyną i raczej nie mógł mieć nic wspólnego z policją.

Renzo desperacko wyskoczył na szosę i wystawił kciuk do góry w odwiecznym geście autostopowiczów. Już nie miał siły iść dalej. Ból stawał się nieznośny. Miał wrażenie, że zaraz zemdleje.

Kiedy wóz zahamował przy nim gwałtownie, Renzo nie mógł się zdecydować, czy czuje ulgę, czy lęk. Po chwili tylne drzwi otworzyły się powoli i niski głos z silnym wło-skim akcentem nakazał szorstko:

- Wsiadaj, chłopiec. Nic tu po tobie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY DZIWNE SPOTKANIE

Bieda dziwnych daje nieraz człowiekowi kompanów.

William Szekspir, *Burza*
(przełożył Leon Ulrich)

Renzo usadowił się z tyłu obok pasażera i zamknął drzwi.

- Jedź, Guido - polecił Papa Nick szoferowi. - Dokąd droga prowadzi, chłopiec? - zapytał.

- Do wielkiego miasta.

- U-hm. - Powykręcane dłonie spoczywały na uchwycie trzciniowej laski o srebrnej ręczce, którą starszy pan trzymał między nogami. Papa Nick przez chwilę rozważał tę lakoniczną informację. - Co tam myślisz robić?

- Poszukać pracy.

- U-hm. - Papa Nick znów się zamyślił. - Jakiej pracy?

- W gazecie, jeśli się uda.

- U-hm - mruknął Papa Nick po raz trzeci. Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął dwie owinięte w złotą folię czekoladki i podsunął jedną Renzo. - Pamiętam, że ty lubił

czekoladę, kiedy cię pierwszy raz zobaczył. Był z ciebie wtedy istny strach na wróble! Ale ja już wtedy wiedział, że wyrośniesz na fajnego chłopca.

W milczeniu smakowali czekoladki. Renzo pomyślał, że albo uraz głowy musiał odebrać mu rozum, albo też Papa Nick rzeczywiście był szalony jak kapelusznik. Czy normalny człowiek zatrzymałby się, zabrał go do wozu i posadził obok siebie, nawet nie mrugnawszy okiem na widok jego siniaków i ran? Przecież musiał wyglądać tak, jakby wyciągnięto go spod kombajnu, a w dodatku jak ktoś, kto ucieka z domu w przysłowiowej jednej koszuli na grzbiecie.

Jak się jednak okazało, Papa Nick wiedział więcej, niż Renzo się spodziewał.

- Ty zabił tego złotego chłopaka Holbrooke'ów, Renzo?
- zapytał rzeczowo starszy mężczyzna.

- Nie... Nie wiem. To znaczy... to był wypadek. Ale skąd pan o tym wie?

- Mam sposoby, w takiej dziurze wieści chodzą migiem. Opowie mi, co się tam działo?

- Właśnie... Problem w tym, że sam dobrze nie wiem, co się stało. Sonny i ja... dogadaliśmy się w końcu, że nie skaczemy. Po prostu uznaliśmy, że życia nie warto tak głupio ryzykować... Więc odwróciliśmy się, żeby zejść, a wtedy... stało się coś dziwnego. Poczułem nagle ostry ból w ramieniu, jak gdyby użądliła mnie pszczoła albo osa. One zawsze tam brzęczą, bo jest dużo kwiatów. Ale to było takie nagłe, że drgnąłem i zachwiałem się... straciłem równowagę. Potrąciłem Sonny'ego, a potem pamiętam już tylko, jak spadaliśmy. Nie był tak dobry w skokach, jak ja, nie zdążył ustawić się pionowo. Uderzyliśmy w wodę. Jego ciało miało

w tym momencie fatalną pozycję i pewnie skręcił sobie kark. Poza tym... Cholera, rzuciło nas na podwodne kamienie. Uderzyłem się w głowę, ale na szczęście nie straciłem przytomności. Pewnie już bym nie żył. A Sonny... zaplątał się w korzenie i został. Zresztą musiał już wtedy być martwy. Wyda mnie pan szeryfowi, panie Genovese?

- Dla ciebie: Papa Nick, chłopiec. Każdy mówi do mnie Papa Nick. A jak o te sprawę chodzi, to nie - po co mnie wydawać ciebie szeryfowi? Myśli, że by to zrobił?

- No... nie. Sonny zginął przez głupi przypadek. Ale Evie i inni... zaczęli wrzeszczeć, że go zabiłem, że umyślnie zepchnąłem ze skały, że wiedziałem, że nie umie dobrze skakać i się zabije. Chryste, chcieli nawet mnie zlinczować! Dlatego muszę uciekać. Nikt w mieście nie uwierzy mnie, tylko Holbrooke'om.

- Ja uwierzy.

- Tak, ale pan jest Włochem.

- Skąd wiesz? Mam spaghetti na krawacie? - Papa Nick zaśmiał się z własnego dowcipu, aż zatrzęsło mu się wielkie brzuszysko - tak jak tamtego dnia, na tarasie, wiele lat temu.

Renzo zmusił się do uśmiechu, ale wzmianka o spaghetti przypomniawszy mu obiad, zjedzony z rodzicami i Sarą, i jego serce znów ścisnął ból. Uświadomił sobie nagle, że musi ją zostawić. Bo niby jaką przyszłość miał jej do zaoferowania teraz, kiedy został ściganym przez prawo zbiegiem, oskarżonym o morderstwo?

Papa Nick pochylił się w stronę Renzo i obciągnął mu koszulkę, uważnie oglądając ranę na ramieniu.

- Po mojemu to wygląda na ranę od kuli.

- Od kuli? Nie, niemożliwe. Musiałem się zranić o podwodne skały.

- U-hm. - Papa Nick wyciągnął wizytówkę z kieszeni na piersi, na jej odwrocie napisał coś złotym piórem, a potem wręczył ją Renzo. - Trzyma. I niech nie wyrzuca ani nie gubi. W wielkim mieście zatelefonuje do człowieka, którego nazwisko tam napisane. Mówi mu, że cię przysyłam. On robi dla „Heralda”. Jak masz smykałkę do pisania, wsadzi cię tam.

Renzo aż się wzdrygnął, gdy przeczytał nazwisko, które Papa Nick napisał na wizytówce. Ciagle miał wrażenie, że jest w szoku i czuje dreszcze, ale w głębi duszy dobrze wiedział, że nie ma to nic wspólnego z jego stanem fizycznym. Jak niegdyś na terasie, tak i teraz Papa Nick wydał mu się strasznym pajakiem, czającym się w swojej sieci władzy i wpływów. Instynktownie wiedział, że powinien unikać zobowiązań wobec tego człowieka.

- Dzięki, panie Geno... Papo Nicku. Ale nawet gdybyś miał wysadzić mnie z samochodu i skazać na marsz piechotą, powiem ci szczerze, że wolałbym nie usłyszeć od ciebie któregoś dnia, iż jestem ci coś winien.

- Hal Young nie jest już w tym biznesie. A ja nic od ciebie nie chcę. Tylko to, że masz wyjść na ludzi, żeby się było z ciebie dumnym.

- Chciałbym wierzyć, że...

- Już żeś mi coś winny, tylko jeszcze nie wiesz.

- Co? Nie rozumiem?

- Kiedy Sofie, ta dziwka, co śmiała się nazywać twoją matką, chciała cię zbyć, to kto cię dał do Joego i Madonny, he? Myśli, że kto płacił za ten picowny motocykl i dawał

na twoje studia? Kto, jak nie ja? Tego ty wcześniej nie wiedział, ale już czas, żeby się dowiedział.

Gdyby Papa Nick walnął go po głowie srebrną główką laski, Renzo nie byłby bardziej oszołomiony.

- Dlaczego mi to wszystko mówisz? Czemu dla mnie tyle zrobiłeś?

- Mam swoje powody. Myśli, że po co się tłułem tą droga? Dla zabawy? Pewno, że nie. Jak Dante Pasquale zobaczył, że Sonny Holbrooke nieżywy, zaraz poleciał do mnie z wieściami. Ruszyłem głową i przyjechałem tu, podebrać cię z drogi.

- Ale nadal nie powiedziałaś mi, dlaczego.

- Bo mi się stale widzi, że pewnie nie spodoba się, co powiem.

- Chcę wiedzieć.

- W porządku. - Papa Nick zamilkł na moment, jak gdyby zbierał myśli, a potem zapytał łagodnie: - Pamięta w ogóle ojca?

- Tylko jak przez mgłę. A bo co?

- To był mój syn, więc ty jesteś wnuk. Pasuje?

- Nie! To niemożliwe!

- Nie? A dlaczego nie? Mówisz, że twój ojciec to nie Luciano Genovese? Luke, jak sam się nazywał?

- Tak. Nie. Czekał... pamiętam, że miał na imię Luke, ale nazwisko, niestety, zapomniałem. Kiedy umarł, Sofie powiedziała, że już nie możemy go używać, bo możemy mieć kłopoty z tego powodu. Miałem wtedy niecałe pięć lat i niewiele rozumiałem. Musiałem chyba wyrzucić z pamięci całą tę sprawę. Zawsze myślałem o sobie jako o Renzo Cassavettesie.

- Bo tak się nazywasz, chłopiec. To jedno, co dobrego zrobiła dla ciebie ta dziwka. Nazwisko nie łączy cię ze mną i z Luciano. Ale poza tym nie miała lojalności, nie trzymała z rodziną, choć może to i lepiej. Byłem przeciw, ale Luciano się uparł i poszedł za nią w wielkie miasto. Przystał do Spinozów i tamtejszej reszty, dał się wciągnąć w rozgrywki o teren. No i pozwolił się tak głupio sieknać, że aż mama zapadła na serce. My jego mieli jednego, chłopiec, ale potem wyszło o tobie i dalej już wiesz. Joe i Madonna nie mieli dzieci i bardzo cię chcieli. Może ty mnie teraz nie chcesz znać, Renzo, ani nic ode mnie nie chcesz. I dobrze. Niech rzeczy idą swoją drogą. Ale to jedno zrobi: nie zapomni o Joe i Madonnie. I wyśle kartkę do Mamy Rosy, jako do babci, bo nią była i jest. Tyle tylko.

Renzo odchylił się na oparcie, przymknął oczy i milczał przez długi czas, przetrawiając w myśli rewelacje Papy Nicka. Był jednak zbyt zmęczony i obolały, by przemyśleć je w pełni. Najgorszy ból dręczył go z powodu tęsknoty za Sarą. Wreszcie odezwał się jednak.

- Rozwaliłem harleya. Leży w rowie przy przejeździe.
- Widziałem. Się nim zajmie. Coś jeszcze?
- Miałem dziewczynę... Sarę... Sarę Kincaid. Jej tata pracuje w twojej kopalni. Powiedz jej...

No właśnie. Co właściwie chciał jej powiedzieć? Co przekazać? Że ją kocha? Że nie myślał normalnie, kiedy uciekał bez niej? Że powinna na niego czekać? Bzdura, przecież na razie przyszłość była dla niego tylko czarną chmurą.

Co więc miał jej do zaoferowania? Jego tatuś był gangsterem, dziadek, jak się okazało, mafijną szyczą, a pradzia-

dek też pewnie robił swoje na Sycylii. Stary mafijny ród
- cóż za znakomity materiał na męża!

- Powiedz jej... że ją przepraszam.

Guido zawiózł Renzo do wielkiego miasta i wysadził na rogu starego eleganckiego placu. Odtąd miał radzić sobie sam, gdyż nie chciał już żadnej pomocy od Papy Nicka. Jednak po wielu nieudanych podejściach, najpierw do różnych redakcji, a potem agencji reklamowych, gdzie nawet nie chciano z nim rozmawiać, musiał się złamać, sięgnąć po telefon i wykręcić numer zapisany przez Papę na wizytówce. Hal Younger, jeden z redaktorów „Heralda”, okazał się starym, jeszcze szkolnym kumplem Joego Martinelli i bez trudu załatwił Renzo pracę.

Choć Renzo bardzo chciał wiedzieć, co działo się w miasteczku po jego ucieczce, a zwłaszcza, czy oskarżono go o zamordowanie Sonny'ego Holbrooke'a, przez pierwsze pół roku nie odzywał się ani do Sary, ani do swoich rodziców. Wreszcie ośmielił się zadzwonić do Sary, licząc na to, że tylko Papa Nick wiedział o ich związku. Telefonistka poinformowała go jednak, że abonentka nie mieszka pod tym numerem. Wobec tego napisał do niej list, podobnie jak do swoich rodziców. Jako adres zwrotny podał numer swojej skrzynki pocztowej, a podpisał się tylko inicjałem imienia, w obawie, by nie namierzył go szeryf Laidlaw.

Kiedy list Renzo dotarł do domu Sary, otworzyła go Iris Kincaid. Widząc śmiałe, męskie pismo, domyśliła się, że napisał go ten nieznaną chłopak, który uwiódł jej córkę i namówił do ukrycia romansu przed nią i przed Dellem. I który tak omotał biedną dziewczynę, że oddała mu swoje dzie-

wictwo. Nienawidziła go za to wszystko, a najbardziej za to, że zostawił Sarę samą i w ciąży. Ona jednak z dziwnych powodów chroniła go nadal i za żadne skarby nie chciała zdradzić jego nazwiska. Co gorsza, upierała się, że chce urodzić dziecko.

Ta straszna afera złamała serce Iris i dosłownie zabiła Della. A mieli takie marzenia, tyle nadziei związanych z tą dziewczyną! Uczyła się świetnie, marzyła o studiach - i zaprzepaściła to wszystko dla igraszek z jakimś nieodpowiedzialnym draniem! Dell nigdy nie wybaczył jej zdrady. Nie minął tydzień, odkąd sprawa ciąży wyszła na jaw, a zabrał go na zawsze nagły atak serca. Kiedy więc nadszedł ów list, matka Sary przeczytała go najpierw dwa razy, a potem podarła na kawałki i spuściła w toalecie.

Kiedy natomiast list Renzo dotarł do domu jego przybranych rodziców, pierwsza przeczytała go Madonna. Potem bardzo długo siedziała nieruchomo przy swoim sekretarzyku, wpatrując się w widok za oknem i myśląc, co mogłaby zrobić dla swojego syna.

Wreszcie chwyciła za pióro i odpisała, że choć śmierć Sonny'ego Holbrooke'a uznano za nieszczęśliwy wypadek, to nie ma sensu, by rzucał dobrą pracę w wielkim mieście i wracał do domu. Zwłaszcza że po trzech miesiącach od jego zniknięcia Sara Kincaid wyszła za mąż i wyprowadziła się w nieznane miejsce.

KSIEGA DRUGA

Powrót syna marnotrawnego

*O przysięgi łatwo,
Gdy językowi dodaje energii
Krew wrząca w żyłach.*

Wiliam Szekspir, Hamlet
(przełożył Stanisław Barańczak)

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pamięć

*Białych skrzydeł obłok,
Jakiż błahy widok
Na lata zapamiętany
Latami opłakiwany!*

William Allingham, *Cztery kaczki na stawie*

*Miasteczko, Środkowy Zachód USA
Czasy współczesne*

Sarze udało się wreszcie otworzyć jeepa, choć dwa razy kluczyki wypadały jej z drżących rąk. Jej serce biło jak szalone, a w ustach czuła nieznośną suchość. Wsiadając, przycięła drzwiami pas bezpieczeństwa, a potem przez dobrą chwilę siłowała się z nim, nie mogąc trafić końcówką klamry w zapięcie. Proste, codzienne, automatycznie wykonywane czynności stały się nagle zadaniem ponad siły. Przez cały czas powtarzała bezgłośnie tę samą litanię: „Boże, spraw, żeby mnie nie zobaczył!”

Wreszcie uporała się ze wszystkim i nawet zdołała włożyć kluczyk do stacyjki. I wtedy właśnie, zerknąwszy w tył-

ne lusterko, zobaczyła, że Renzo patrzy w jej stronę. W panice osunęła się w dół na fotelu i poczuła się jeszcze bardziej głupio.

Co ona wyprawia! Przecież jest już dorosłą babą, a zachowuje się tak, jakby wciąż miała lat siedemnaście, jakby tych kolejnych dwunastu w ogóle nie było! Zdołała się jednak ruszyć dopiero wówczas, gdy Renzo odrzucił niedopałek i zniknął w drzwiach redakcji. Manewrując autem, o mało nie potrafiła Jimmie Deana Thurleya, który zaparkował za nią swoją nowiutką furgonetkę. Na szczęście zaczął przeraźliwie trąbić i nieco otrzeźwiała. Przeprosiła go przymilnym uśmiechem i ostrożnie, jak początkujący kierowca, wyjechała na ulicę.

Alex, jak było do przewidzenia, nie czekał na nią na chodniku przed salonem gier. Musiała więc po raz kolejny zaparkować, wejść do środka i odszukać go wśród tłumu dzieciaków i wyrostków, szalejących przy automatach. Ogłuszający łomot rockowej muzyki, wycie silników elektronicznych motocykli i samochodów, serie z elektronicznej broni, dzwonki fliperów, śmiechy i wrzaski niemal zbiły ją z nóg. Z rozpaczą pomyślała, że nigdy nie znajdzie go w tym szalonym tłumie.

Ale przecież musiała to zrobić. Musiała wywieźć chłopca z miasta, zanim zobaczy go Renzo. Bo jedyną osobą, która natychmiast domyśliłaby się, kim jest ojciec Alexa, był właśnie Renzo Cassavettes - ów ojciec we własnej osobie.

Bała się nawet myśleć, co zrobi, jeśli Renzo kiedykolwiek dowie się o synu. Pewnie nie darowałaby jej, że nie powiadomiła go o niczym, a potem próbowałaby zabrać Alexa do siebie. Niejedna kobieta na jej miejscu ucieszyłaby

się zapewne taką perspektywą, gdyż Renzo nie był już biednym włoskim chłopakiem, poszukiwanym za morderstwo. Choć nadal byli w mieście tacy, którzy uważali, że rozmyślnie zepchnął Sonny'ego Holbrooke'a ze skały, sąd uznał tę śmierć za następstwo nieszczęśliwego wypadku. W ciągu zaś dwunastu lat, które minęły od tego czasu, Renzo, jak to wcześniej zauważyła fryzjerka Lucille, pokazał, na co go stać.

Teraz był słynnym, podziwianym i szanowanym reporterem, biorącym na warsztat najpoważniejsze sprawy; dziennikarzem, który w zeszłym roku zdobył najbardziej prestiżową w tym fachu Nagrodę Pulitzera za odkrycie i opisanie wielkiej afery korupcyjnej. Byli w nią zamieszani zarówno mafiosi i narkotykowi baroni, jak i kongresmeni z Kapitolu oraz urzędnicy Białego Domu.

Sprawie szybko nadano w mediach przydomek „Racket Club” - co miało wyrażać związek politycznej korupcji z ekskluzywnymi klubami sportowymi, gdzie w zaparowanych saunach knuto tajne intrygi. Zarówno Racket Club, jak i anonimowy, tajemniczy informator Renzo, nazwany „Kablem”, weszły na stałe do alfabetu wielkich politycznych afer, z Watergate na czele.

Sara, ciągle spragniona wieści o Renzo - choć wmawiała sobie, że nic ją to nie obchodzi - uważnie śledziła jego błyskawiczny lot na dziennikarskie wyżyny. Pomimo całego żalu i niechęci, skrycie była z niego dumna. Cieszyła się, że pomimo fatalnego startu, a dzięki uporowi i wrodzonym zdolnościom, zdołał jednak zrealizować swój młodzieńczy

sen. Cóż jednak z tego, skoro to właśnie z powodu swoich sukcesów, koneksji i bogactwa stawał się teraz niebezpieczny dla niej i dla Alexa?

Gdy odnalazła wreszcie syna w sali gier, ucieszyła się bardziej niż zwykle. Siedział w treningowym modelu wozu wyścigowego, z oczami wlepionymi w konsolę z migającym obrazem toru, cisnąc gaz do dechy i szaleńczo kręcąc kierownicą. Zęby błyskały mu w uśmiechu, kiedy z wrzaskiem: „Spadaj, leszczu!” zganiał wolniejszych przeciwników z drogi.

- Alex! - Przepchała się do niego przez tłum kibiców, czekających na swoją kolejkę. - Alex, idziemy!

- Haa! Wal się i pał, zmoro! - wrzasnął, spychając inny bolid na pobocze i dodając gazu.

- Alex! - Gwałtownie szarpnęła go za ramię.

Spojrzał na nią, dekoncentrując się na moment. Fantomatyczny wóz z piskiem opon wyleciał z zakrętu i z hukiem uderzył w bandę. Na ekranie zamigotał napis „Game over!”.

- No, mamó! - Alex był wściekły. - Zepsułaś mi ostatnie okrażenie. Już bym wygrał!

- Przykro mi, synku, musimy iść.

- No dobrze - mruknął, gramoląc się z wozu. - I tak robię się głodny. Idziemy do „Fritzchen's Kitchen”, a potem do Wal-Martu, nie?

- Nie... pomyślałam sobie... - Właściwie pomyślała, że powinni od razu pojechać do domu i nie narażać się na spotkanie z Renzo, ale jak wytłumaczyłaby Alexowi tak drastyczną zmianę planu? Słowa danego dziecku należy dotrzymywać, uznała, po czym wzięła głęboki oddech i dokończyła: - Pomyślałam, że moglibyśmy wdepnąć do

„Chicken Coop” zamiast do „Fritzchen”. - „Chicken Coop” był na obrzeżach miasta, a nie w pobliżu niebezpiecznej strefy rynku i redakcji.

Alex wzruszył ramionami.

- Okay, mam, tylko wymienię żetony.

Kiedy zastanawiał się, na jakie fanty ma wymienić wygrane żetony, Sara dosłownie przestępowała z nogi na nogę z niecierpliwości. Gdy w końcu zdecydował się, odetchnęła z ulgą. Wybrał gumową jaszczurkę, lepiącą się do gładkich powierzchni, i zwykłe jo-jo.

W drodze do samochodu zdążyła ponaglić go trzy razy.

- Mama, spoko, co się tak spieszysz? - Zerknął na nią zdziwiony, zapinając pas. - Umówiłaś się z kimś, czy co?

- Nie... tylko też jestem głodna - skłamała, obdarzając go mamusiowatym uśmiechem. Serce jej się krajało na myśl, że Renzo mógłby go jej odebrać.

Nie orientowała się, co dokładnie mówi na ten temat prawo cywilne. Czy świadectwo urodzenia dziecka, na którym, zgodnie z jej informacją, wpisano „ojciec nieznany”, może być jakimś argumentem? Pewnie nie. Przecież teraz robi się nawet testy DNA, żeby ustalić wątpliwe ojcostwo. Czy Renzo zażąda takich właśnie testów, jeśli dowie się o Aleksie? I czy wówczas ona będzie musiała ustąpić?

Skarciła się za czarne myśli. Na razie nic się jeszcze nie działo. Może Renzo wpadł tu tylko na parę dni, żeby odwiedzić rodziców, a ona niepotrzebnie panikuje?

A jednak niepokój pozostał. W restauracji skubnęła tylko trochę pieczonego kurczaka i sałatki, a resztę dania zabrała do domu, tylko po to, by wyrzucić je przed Wal-Martem, gdyż zepsuło się, leżąc w gorącym wnętrzu wozu. Za to

w supermarkecie kupiła Alexowi nie tylko nowego Power Rangersa, ale i pistolet na wodę, talię kart z gwiazdami koszykówki, komiks oraz gumy.

Patrząc, jak kasjerka sumuje pozycję za pozycją i wkłada towar do torby, miała poczucie winy, że nieuczciwie kupuje sobie to dziecko, aby nie poszło za ojcem. W pewnej chwili to przekonanie było tak silne, że była gotowa odstawić wszystko na półki. Całe szczęście opamiętała się jednak w ostatniej chwili. Mały by tego nie zrozumiał i jeszcze by się wystraszył jej dziwnym zachowaniem.

W domu powiedziała Alexowi, że dostała migreny z upału. Wcale go to nie zmartwiło. Marzył tylko, żeby w spokoju pobawić się nowymi nabytkami. Poszedł więc czym prędzej do siebie, a ona została sama.

Spuszczone rolety w oknach nie dopuszczały bezlitosnego blasku słońca do sypialni, a wentylator pod sufitem powoli mieszał powietrze. Sara jak w transie podeszła do stojącej na komodzie szkatułki z biżuterią i wyjęła z samego dna złoty łańcuszek ze szkolnym, pamiątkowym pierścieniem Renzo. Ściskając naszyjnik w garści, położyła się na wysokim łóżku w chłodnym półmroku, przymknęła oczy i przyłożyła pierścień do ust.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że uczucie, którego doświadczyła dzisiaj na widok Renzo Cassavettesa, nie było wcale lękiem o syna.

Nadal kochała tego człowieka.

Wcisnęła twarz w poduszkę, by Alex nie usłyszał jej płaczu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY „Tri-State Tribune”

*Te wieści są dosyć stare,
aliści są codziennymi wieściami.
William Szekspir, Miarka za miarką*

Redakcja była wciąż taka, jaką zapamiętał - ciasna, zagracona, o niemal staroświeckim wyglądzie - choć w ciągu tych dwunastu lat Joe Martinelli zmienił jednak maszyny do pisania na komputery.

Stojąc w drzwiach, Renzo czuł się tak, jakby wrócił do krainy dzieciństwa, do dni, kiedy przychodził tu z ojcem, zafascynowany procesem pisania, łamania i drukowania. W tamtych dniach pokoje pachniały kurzem papierów, a wypełniał je nieustanny stukot maszyn do pisania. Uwielbiał wtedy schodzić do drukarni i bawić się czcionkami różnych rozmiarów i typów oraz drewnianymi kasztami, w których je układano, zanim postęp w technologii druku i dochody Joego zesłały je do lamusa.

Nawiasem mówiąc, w swoim apartamencie w Waszyngtonie, gdzie mieszkał przez ostatnie kilka lat, Renzo miał taką właśnie kasztę wypełnioną czcionkami i zawieszoną jak

obraz nad swoim biurkiem. Jego goście ze zdziwieniem odczytywali z niej słowo „MOTYL”. Obecnie, wraz z całym jego majątkiem, pamiątka ta została spakowana i przeznaczona do wysyłki do jego rodzinnego miasta.

Jeszcze nie tak dawno nawet nie przyszłoby mu na myśl, że mógłby tu wrócić. Tak było, zanim przypadkiem nie obejrzał w CNN minutowej wstawki z kampanii wyborczej byłego gubernatora J.D. Holbrooke'a, który ubiegał się teraz o fotel senatora. Z początku Renzo mrugał oczami, myśląc, że myli go wzrok. Ponieważ jednak telewizja powtarzała ów materiał kilkakrotnie, obejrzał go po raz drugi po pół godzinie, a potem jeszcze kilka razy, dopóki nie nabrał pewności, że za przemawiającym na podium ojcem stoi Bubba Holbrooke, a u jego ramienia uwieszona jest Sara.

Sara Kincaid.

Za każdym razem gdy na to patrzył, Renzo czuł wewnętrzny skurcz żalu i złości. Czy to możliwe, żeby tym, którego w trzy miesiące po jego ucieczce miała poślubić Sara, był właśnie Bubba Holbrooke?

Nie, niemożliwe. Nie mógł i nie chciał w to uwierzyć.

Wcześniej zdawało mu się, że pogodził się z ciosem. Łudził się, że zdołał na zawsze przytłumić ból po zdradzie Sary, o której dowiedział się z pamiętnego listu od matki. Tymczasem ból powrócił po ponad dziesięciu latach ze zdwojoną siłą, jak potężna fala powodzi, która kruszy wszelkie bariery i wały ochronne.

Odtąd nie miał już zaznać spokoju.

W rezultacie zmusił się, aby zadzwonić do matki i wypytać ją o wszystko. Madonna jąkała się i wykręcała od odpowiedzi, co momentalnie wzbudziło jego czujność. Repor-

terski nos mówił mu, że matka kłamie. I że zapewne kłamała już wtedy, gdy pisała list mający zniechęcić go do Sary. Bo przecież to niemożliwe - wracał do tej myśli uparcie i niestrudzenie - niemożliwe, żeby ona, jego Sara, tak postąpiła.

Postanowił więc wrócić, gdyż nie mógł już żyć spokojnie, nie poznawszy uprzednio prawdy. Poza tym, choć spotkał wiele kobiet, nie był w stanie wyrzucić z pamięci wspomnień o Sarze. Nie było chyba dnia w ciągu owych dwunastu lat, żeby choć przez chwilę o niej nie myślał.

- Czy mogę panu w czymś pomóc? - zapytała recepcjonistka, młoda kobieta, najwyraźniej świeżo po szkole.

Drgnął, wyrwany z zamyślenia.

- Nie. To znaczy tak. Jestem Renzo Cassavettes, syn Joego Martinelli. Jeśli można, chciałbym zobaczyć stare kąty. - Wskazał na tył sali, gdzie w oddzielnym szyby biurze widział ojca pochylonego przy biurku. - On... nie wie, że przyjechałem. To niespodzianka, rozumie pani?

- Renzo Cassavettes! - wykrzyknęła recepcjonistka, szeroko otwierając oczy. - Pan jest... Renzo Cassavettes? Ten od Racket Club... Kabla... i... i Nagrody Pulitzera?

- We własnej osobie - uśmiechnął się nieśmiało, przechodząc obok jej biurka przez niskie wahadłowe drzwi, osadzone w drewnianej barierce, oddzielającej hol recepcji od reszty biura. Po chwili zapukał do drzwi gabinetu ojca i wszedł, nie czekając na odpowiedź.

- Hej, tato!

- Renzo! - Joe Martinelli wstał powoli zza biurka, jakby nie wierzył własnym oczom. - Renzo...

Obaj mężczyźni objęli się i trwali chwilę w serdecznym

uścisku. W ciągu długich lat, jakie minęły od wyjazdu syna, rodzice odwiedzali go kilka razy w kolejnych miastach, w których mieszkał, ale przez ostatnie dwa lata ich nie widział.

- Siadaj. Siadaj, synu. - Joe skwapliwie podsunął krzesło. - Więc jednak postanowiłeś wrócić do domu? I przyjął moją propozycję, tak?

- Tak, tato.

- Na pewno, Renzo? Jesteś pewien? - Wzrok Joego uważnie śledził twarz syna. - Nie zniósłbym myśli, że namówiłem cię do czegoś, czego sam nie chciałeś. Teraz masz cały świat u stóp. Swoim pisaniem zarobiłeś sobie na wstęp do wszystkich redakcji. Jesteś wolny, możesz robić, co chcesz. Mama i ja... jesteśmy z ciebie ogromnie dumni. Ze wszystkiego, co osiągnąłeś. Kto by pomyślał? Mój syn - zdobywca Pulitzera! - Starszy mężczyzna pokręcił głową, jakby nadal nie mógł w to uwierzyć. - Rozumiesz, że mam wątpliwości, prawda? Powrót tutaj, przejęcie tej regionalnej gazety... Trudno to uznać za awans w wypadku najlepszego łowcy afer w Waszyngtonie. Więc pytam jeszcze raz: czy na pewno wiesz, co robisz, Renzo? - w tonie Joego przebiły niepokój i nadzieja jednocześnie.

- Jestem pewien, tato. Zresztą nie sądzę, by prowadzenie własnej gazety nie było dla mnie awansem. Powiem ci prawdę: mam już dosyć wielkich miast. Moje życie w Waszyngtonie jest...

„Jest puste i samotne - chciał powiedzieć Renzo. - Żyję sam w przysłowiowym bezimiennym tłumie.” W ostatniej chwili zrezygnował jednak z tych słów. Nie chciał odsłaniać swojej samotności, nawet przed kochającym go ojcem.

- ...jest dość trudne - dokończył więc ogólnikowo zaczęte wcześniej zdanie. - Od czasów Racket Club żyję jak pod mikroskopem, tato. Narobiłem sobie wielu wrogów - jak zwykle, kiedy się człowiek miesza w tak rozgałęzioną aferę. Wielu spośród tych wrogów to, jak sądzę, moi zaźdrośni koledzy po fachu. Najchętniej zobaczyliby, jak spadam, najlepiej na samo dno. Nie bardzo więc sobie wyobrażam, że mógłbym dalej żyć na takich obrotach, zawsze o krok przed konkurencją, ciągle z jej oddechem na karku. Już chyba wolę wycofać się, póki jestem na szczycie.

Uśmiechnął się, widząc zdziwioną nieco twarz ojca, i poklepał go uspokajająco po ramieniu.

- Co z drugiej strony wcale nie znaczy, że mam ochotę zarzewieć w małym mieście i przejść na wcześniejszą emeryturę. Za wcześnie, tato. Myślę sobie po prostu, że bycie wydawcą i szefem „Tri-State Tribune” da mi szansę złapania oddechu, czas na napisanie książki i czas na zwykłe cieszenie się życiem. Tak naprawdę przez wszystkie te lata... nie robiłem niczego poza pracą, tato. Sam wiesz, że nie zaszedłbym daleko, gdyby tak nie było. Ale teraz jestem zmęczony. Zmęczony? - roześmiał się. - Co ja mówię? Wypalony. Wykończony. Dlatego, jeśli sprzedacie mi tytuł, będziecie mogli przenieść się z mamą na Florydę i tam spędzić emeryturę, jak zawsze marzyliście. A ja będę wam dożgonnie wdzięczny.

- W porządku, w takim razie zacznę przygotowywać umowy - powiedział Joe, zadowolony, że syn przejmie po nim pismo z własnej woli, a nie tylko z poczucia rodzinnego obowiązku. - A póki co, mam do skończenia niedzielne wydanie. Pomożesz mi, jak w dawnych czasach?

- Z przyjemnością, tato. Co masz na składzie? Pewnie kampanię senatorską Holbrooke'a? - Ton Renzo był tylko z pozoru lekki i pozbawiony emocji,

- Jasne, od początku śledzimy tę sprawę. Poruszał się w politycznych kręgach, więc wiesz, że J.D. jest postacią już od czasu, kiedy wygrał wyścig do fotela gubernatora. Wszyscy w mieście liczyli, że porządzi przez dwie kadencje, zwłaszcza Zoe Ann upodobała sobie funkcję pierwszej damy w naszym stanie. Ale wtedy rozniosła się wiadomość, że J.D. ma raka, co zresztą sam potwierdził, ustępując przed końcem kadencji. Sprawa była bardzo poważna i zapewne większość, jego samego nie wyłączając, była przekonana, że długo już nie żyje. Jednak J.D. zawsze umiał walczyć i w końcu zmógł tę chorobę. No, a teraz może pokonać konkurentów do senatu.

- Więc myślisz, że ma realną szansę na senatorski fotel?

- Jak najbardziej, ma wszelkie dane - przytaknął Joe.
- Był popularnym gubernatorem, a Zoe Ann uważano za miłą, choć nieco chłodną pierwszą damę. No, dobrze, synu, bierzmy się do roboty.

- Jasne, tato. - Renzo wstał, przeklinając się w duchu za to, że nie ośmielił się zadać pytania, które bez ustanku zaprzętało mu umysł: czy to, że Sara Kincaid uczestniczyła w kampanii byłego gubernatora, oznacza, że jest żoną Bubby Holbrooke'a?

Po chwili uświadomił sobie, że jakaś część jego osoby obawia się odpowiedzi na to pytanie, a może bardziej odczuć, jakich doznałby, słysząc potwierdzenie swoich domysłów. W końcu więc nie zapytał o to ojca. Ani teraz, ani później, kiedy pracował z nim do późna, póki nie było go-

towe weekendowe wydanie, ani też kiedy pojechali potem do domu, gdzie Madonna Martinelli powitała syna radośnie, choć nieco nerwowo. Także przy stole, gdy jedli na kolację przygotowane specjalnie dla niego jego ulubione danie, Renzo nie zadał tego jednego, najważniejszego pytania.

Bał się odpowiedzi, ale też kochał swoich rodziców i nie chciał, by wyrósł między nimi mur gniewu, pretensji i żalu - a nie był pewien, jak zareagowałyby, gdyby się dowiedział, że okłamali go przed laty, przez co stracił być może Sarę Kincaid.

Czy jednak nie można by równie dobrze twierdzić, że to on sam ją stracił tego szalonego dnia w kamieniołomach, kiedy sprowokował Sonny'ego Holbrooke'a, a potem uciekł, dbając tylko o własną skórę? Z tą sprawą nie miał śmiałości się zmierzyć, nawet po tak wielu latach.

Prześladowała go we wspomnieniach Sara, prześladował też Sonny. Renzo ciągle pamiętał tę zaskakującą, nieśmiałą i intrygującą ofertę przyjaźni, złożoną na szczycie wysokiej skały. A kiedy o niej myślał, miał nieodparte wrażenie, że w jego życiu zabrakło czegoś ważnego; czegoś, co nawet nie zdążyło się rozwinąć. No i było coś jeszcze, co wierciło jego umysł, gdy z upływem lat zapomniiał o przerażeniu, rozpacz i bólu - słowa Papy Nicka, wypowiedziane w lśnącej czarnej limuzynie, które sugerowały, iż rana na barku Renzo przypomina ślad po kuli.

Renzo często wspominał te słowa. Teraz był już pewien, że Papa Nick chciał mu powiedzieć coś ważnego, ale on wówczas nie był w stanie zrozumieć, o co konkretnie chodziło jego dziadkowi. Nieraz dotykał miejsca, gdzie użądliła go osa - a może pszczoła? - i wracał wspomnieniem do

kamieniołomu. Słyszał odległą muzykę, która wypełniała ci-
szę upalnego dnia, słyszał huk tłumika starego grata Juniora
Barlowa - dźwięk, który z czasem coraz bardziej przypo-
minał mu odgłos strzału.

Tylko kto, na Boga, i dlaczego miałby do niego strzelać?

Czy słowa Papy Nicka miały być ostrzeżeniem?

Jakiego rodzaju?

Komu przeszkadzał dwudziestodwuletni Renzo Cassa-
vettes, który szczęśliwie miał tylko śladową wiedzę o po-
dejrzanych kręgach, w których obracał się jego należący do
mafii ojciec i puszczalska matka?

Jedyną zbrodnią, jaką popełnił, było pozbawienie dzie-
wictwa Sary Kincaid - co mogło być przestępstwem
w oczach prawa, gdyż miała wtedy siedemnaście lat. Ale
- przynajmniej wówczas - żadne z nich dwojga tak by tego
nie nazwało.

Zastanawiał się, czy ona wspomina tamten dzień z żalem
i z niechęcią, widząc w byłym kochanku i przyjacielu je-
dyńie podstępного uwodziciela, a w sobie ufna i naiwną
ofiara. Podświadomie bał się, że tak właśnie jest, i czuł się
podle z tego powodu. Wciąż ją przecież kochał. Inaczej nie
obchodziłoby go, za kogo wyszła, ani nie pomyślałby nawet
o powrocie do tego miasta.

Na razie zamieszkał znów w swoim dawnym pokoju
w domu Martinellich przy Elm Street. Gdy położył się do
łóżka i zgasił światło, napłynęły dręczące obrazy Sary w ra-
mionach Bubby Holbrooke'a. Próbował uwolnić się od nich,
wyobrażając sobie, jak męczyłby Bubbę na wszelkie mo-
żliwe sposoby, z naszpikowaniem go kulami włącznie, gdy-
by zdarzyła się taka sposobność. Wyobrażenia te nie przy-

niosły mu wprawdzie ulgi, ale w końcu jakoś udało mu się zasnąć.

O trzeciej nad ranem obudził się zlany zimnym potem. Serce waliło mu dziko, kurczowo łapał oddech. Oto wrócił stary, tak dobrze znany koszmar - sen o niekończącej się, pylistej drodze, wijącej się i prężącej jak wąż, który za chwilę ukąsi go straszliwymi jadovitými zębami, sterczącymi z rozwartej paszczyki.

I kąsał go, zawsze w ramię, aż Renzo czuł ostre, nagłe, bolesne ukłucie. Kąsał, a potem wolno pożerał. We wnętrzu tej drogi-węża zaczynało się zaś koszmarnie, powolne spadanie w ciemną czeluść wypełnionego żrącym kwasem żołądka, w którym pływało już na wpół strawione drugie ciało i jeszcze inne ohydne szczątki.

Tyle że tym razem, gdy odwrócił je do góry, by zobaczyć twarz, nie należała już, jak zawsze, do Sonny'ego Holbrooke'a.

Tym razem była to twarz Bubby.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Bubba

*Dalej, chłopcy! Jeśli kolejki;
zaraz tu postawicie mi
opowiem wam o twarzy, która
w koszmarach mi się śni.*

Hugh Antoine D'Arcy, *Twarz na podłodze*

Bubba Holbrooke upił kolejny długi łyk whiskey z grubej szklanki, którą dzierżył w dłoni. Był śmiertelnie znudzony dyskusją, która toczyła się w gabinecie jego ojca. Gdyby nie świadomość faktu, że jeśli J.D. znajdzie się w senacie, to przeniesie się wreszcie wraz z Zoe Ann do Waszyngtonu, Bubba byłby najwyżej skłonny pomachać tatusiowi chorągiewką. Poza tym pojawiała się szansa, by po raz drugi powierzono mu zarząd nad Field-Yield, Inc. - jak wtedy, gdy ojciec był gubernatorem.

Oczywiście Bubba nie wątpił, że J.D. postawi na jego straży Evie, nie do końca przekonany co do menedżerskich zdolności najstarszego syna. Bubble zupełnie jednak nie przeszkadzało, że siostrzyczka zagląda mu przez ramię. Przeciwnie, czuł się wtedy nawet pewniej. Poza tym kampania senatorska pozwo-

liła mu spędzać z Sarą Kincaid więcej czasu, niż mógł to sobie wymarzyć.

Patrzył na nią i teraz, mrugając zaczerwienionymi z bezsenności oczami i zastanawiając się, co by powiedziała, gdyby wiedziała, że właśnie wyobraża ją sobie naga, rozciągniętą na potężnym starym biurku i wijącą się pod nim w spazmach rozkoszy. Niestety, o tym mógł tylko marzyć. Od czasu kiedy pięć lat temu zaczął pracować w Field-Yield, Inc. i po raz pierwszy zauważył, że jest warta grzechu, Sara traktowała go z obojętnym dystansem. Im bardziej jednak od niego stroniła, tym bardziej on pragnął ją posiadać. Patrząc na nią, nie mógł uwierzyć, że tak teraz piękna i dumna kobieta jest tą samą „węglarą”, nad którą pastwiła się w szkole jego siostra Evie.

Atrakcyjności dodawała też Sarze aura tajemnicy i skandalu. Urodziła nieślubne dziecko i - o ile był dobrze zorientowany - jak dotąd nikomu nie zdradziła, kto jest ojcem. Było w niej coś takiego, że nawet jego twardy i wymagający staruszek nie tylko zatrudnił ją zaraz po studiach na odpowiedzialnym stanowisku szefa działu reklamy i promocji Field-Yield, Inc., ale też dał jej oszałamiającą pensję. Z początku Bubba dręczył się okropnym podejrzeniem, że Sara jest kochanką J.D., a jej synek - jego bękartem. Uspokoił się dopiero po kilku tygodniach intensywnego szpiegowania, gdy wykrył, że J.D. rzeczywiście ma kochankę, ale nie jest nią bynajmniej Sara Kincaid.

Sara zaś stała się przez to jeszcze bardziej intrygująca.

Zdecydowanie ucinając jego zapędy, nie przyjmując kolejnych zaproszeń i zawsze znajdując dobrą wymówkę - raz była to choroba dziecka, innym razem - matki, jeszcze in-

nym - sam fakt, że Bubba jest jej zwierchnikiem. Trzeba było aż dwóch i pół lat frustracji, tłumionej z wysiłkiem niecierpliwości i wielu przywracających rozsądek zimnych pryszniców, zanim wreszcie pozwoliła zaprosić się na kolację. A kiedy już to się stało, nawet nie pozwoliła pocałować się na pożegnanie!

Jeszcze żadna kobieta nie potraktowała tak Bubby Holbrooke'a, przyzwyczajonego, że baby dosłownie pchają mu się do łóżka. Sara zdawała się nie zauważać, że jest przystojnym blondynem, że pokazowo grał w szkole w futbol, że zarządza Field-Yield, Inc., nie mówiąc już o tym, że jako syn J.D. Holbrooke'a, przyszłego senatora, odziedziczył rodową fortunę. Tej córce biednego górnika musiało przewrócić się w głowie. Po raz pierwszy w życiu Bubba trafił na kobietę, która nie padła przed nim na kolana i która w dodatku wywoływała w nim chorobliwe pożądanie.

Gdy po pierwszym razie zaczęli się w miarę regularnie spotykać, znów kazała mu wziąć na wstrzymanie przez następne dwa i pół roku. Uparcie odmawiała pójścia z nim do łóżka, choć błagał, prosił, groził i wymyślał podstępny.

- Posłuchaj, Bubba, kiedyś byłam młoda i głupia - powiedziała mu kiedyś - i popełniłam niewybaczalny błąd. W sumie nie żałuję, bo dzięki temu mam syna, ale nie mam zamiaru popełnić takiego błędu jeszcze raz. Potrzeba było dużo czasu, czasu pełnego wstydu i upokorzeń, żebym ułożyła sobie życie w tym miasteczku. Długo byłam wytykana palcami i pogardzana z powodu urodzenia nieślubnego dziecka. Dlatego teraz nie mam zamiaru zaprzepaścić wszystkiego, co osiągnęłam z takim trudem, tylko dlatego, że ty masz ochotę iść ze mną do łóżka.

- O to nie musisz się martwić, Saro. Jestem odpowiedzialnym facetem. Kiedy będzie trzeba, ochronię cię. Obiecuję! - oświadczył z powagą Bubba.

- Jasne, Bubba - uśmiechnęła się gorzko, z dziwnym u niej sarkazmem. - Dokładnie to samo obiecywał tatuś Alexa. Dlatego poprzysięgam sobie, że już nigdy nie uwierzę mężczyźnie, jeśli w grę będą wchodziły sprawy łóżkowe.

I tak oto cokolwiek by nie powiedział czy nie zrobił, Bubba Holbrooke nie był w stanie skruszyć muru, którym otoczyła się Sara Kincaid. Po namyśle doszedł do wniosku, że być może chodzi jej o gwarancję stałego związku. Stoczył więc długą wewnętrzną walkę i w rezultacie zdecydował, że warto poświęcić dla tej kobiety wolność - zwłaszcza że nikt nigdy serio nie powiedział, że mąż musi być wierny!

Przejęty własną wielkodusznością, poprosił Sarę o rękę - i doznał kolejnego szoku, gdy odmówiła grzecznie, ale stanowczo.

- Muszę myśleć o dziecku i o tym, co dla niego najlepsze - tłumaczyła spokojnie. - Prawdę mówiąc, nie jestem pewna, Bubba, czy Alex by cię polubił.

- Chrzanisz, Sara! Przecież on mnie prawie nie zna! Gdybyś tylko dała mi szansę, na pewno bym się z nim zaprzyjaźnił. Ale ty nie pozwalasz mi go nigdzie zabrać. Muszę się namęczyć, żebyś chociaż zgodziła się wziąć go z nami na obiad. Do licha, jeszcze nie widziałem matki, która byłaby taką kwoką! Od początku rozpieszczęłyście go obie, ty i twoja mamusia, a przecież dzieciak potrzebuje męskiej ręki, zwłaszcza w tym wieku. Zresztą, co tu mówić o dziecku czy o mieszkaniu razem, skoro od lat nie chcesz pójść ze mną do łóżka. Chryste, który facet na moim miejscu

wytrzymałby takie zwody i podchody! Już za samą wytrwałość należy mi się nagroda. Jak mam ci jeszcze udowodnić, że mi na tobie zależy?

- I tego właśnie chciałbyś nauczyć Alexa, Bubba? Że najważniejsze jest łóżko?

- Ależ skąd, kochana, źle mnie zrozumiałaś. - Bubba momentalnie połapał się, że popełnił błąd. - Tylko, na Boga, zrozum, Sara, że nie możesz bez końca chronić tego chłopaka przed rzeczywistością. To jest dziwaczne i niezdrowe. Zresztą przypomnij sobie, jak sama kłamałaś rodzicom i jak puściłaś się za ich plecami z pierwszym lepszym, który zostawił cię w ciąży i zapomniał o tobie na amen. Nic nie pomogło, że byli surowi i pilnowali cię jak oczka w głowie, żebyś mogła wyrwać jakiegoś dobrego, porządnego męża! I powiem ci, że moim zdaniem przez to właśnie masz zupełnie dziwaczny stosunek do seksu. Zaczynam podejrzewać, że ten drań cię zgwałcił i dlatego tak się usztywniłaś. Cholera, z drugiej strony wcale się facetowi nie dziwię, że w końcu stracił nerwy. Sam mam takie momenty, że resztką sił powstrzymuję się, żeby nie wziąć cię siłą! - Jego głos stał się chrapliwy, nabrzmiały pożądaniem i złością.

Sara czujnie odsunęła się o krok. Przez długą chwilę panowało między nimi ciężkie, napięte milczenie. Wreszcie odezwała się pierwsza, wyraźnie walcząc z kłębiącymi się w niej emocjami.

- Posłuchaj, Bubba, to nie twoja wina. Nie twój błąd, tylko mój. Nie jestem nastawiona na związek, jakiego pragniesz. Nie nadaję się do tego. Nie mogę sobie wybaczyć, że pozwoliłam ci wtedy zaprosić się na kolację. To nie powinno było się zdarzyć. Powinno się z tobą spotykać tylko

służbowo. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli w ogóle przestaniemy się widywać poza pracą.

Myśl ta była dla niego tak straszna, że natychmiast zaczął przeproszać Sarę i łagodzić sytuację. Kajał się, że nagadał niewybaczalnych głupstw i że jest największym na świecie idiotą.

Niewiele wskórał, gdyż Sara nadal się boczyła, a on sam poczuł się jak najgorszy pantoflarz. Wszystko to razem było po prostu upokarzające. Po raz pierwszy Bubba trzeźwo zapytał sam siebie, dlaczego przez tyle lat toleruje pogardę i odmowy Sary. Co sobie, do cholery, myśli ta dziewczyna z dołów, ta puszczalska dziwka z nieślubnym bachorem? Nie stać go na lepszą? Cała rodzina powtarzała mu to przy każdej okazji.

I mieli rację - ale co mógł poradzić, kiedy dławił się z pożądania nawet wówczas, kiedy patrzył, jak teraz, na pochyloną głowę Sary w świetle biurkowej lampy? Była piękna - nie w stylu zimnej, klasycznej blond piękności, jak jego siostra Evie, ale w ten szczególny, naturalny sposób, często zdarzający się kobietom o brązowych włosach - kojarzący się z zielonymi, pachnącymi w słońcu łąkami, stawami o chłodnej wodzie, cienistymi lasami...

W wyobraźni widział jej nagie ciało, leżące w trawie, pocętkowane plamkami słońca, przebijającego się przez gęste liście. Ciało piękne i chętne, zmęczone i zaspokojone jego kochaniem. Czy tak właśnie wyglądała wtedy, ze swoim kochankiem?

Kim był tamten mężczyzna? - pytał siebie z zazdrością po raz któryś z rzędu. Przez ponad dziesięć lat Sara uparcie milczała na ten temat. Owa niewiedza dręczyła Bubbę do

granic szaleństwa. Patrzył w twarze wszystkich mężczyzn w mieście i zastanawiał się: czy to ten właśnie ją miał?

- Niepotrzebnie tracimy czas, pytając Bubbę o zdanie - ostry głos Evie wyrwał go nagle z zamyślenia.

Potrząsnął głową, próbując uwolnić mózg z oparów zmęczenia i alkoholu. Siostra patrzyła na niego z niesmakiem i z pogardą.

- On i tak ma gdzieś kampanię taty. Jeśli mój braciszek się w ogóle tu zjawił i udaje, że coś robi, to tylko po to, by być bliżej ciebie, Saro. W życiu nie widziałam, żeby był tak napalony na jakąś spódnicę, i prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiem, czemu wybrał właśnie ciebie.

- Evie! - rzucił J.D. władczo i ostro, marszcząc brwi i potrząsając białą głową o bujnej czuprynie jak stary bizon-albinos.

- Nie denerwuj się, tatusiu. - Evie z uśmiechem rozkosznej dziewczynki ujęła go pod ramię. - Powtarzam tylko to, co i tak wie całe miasto. I co ty sam wiesz równie dobrze. Czy to moja wina, że nikt nie ośmielił się dotychczas powiedzieć o tym głośno przy tobie?

- Słuchajcie, jest już późno i wszyscy jesteśmy zmęczeni - odezwała się Sara, zanim J.D. zdążył odpowiedzieć. Jak zawsze; tak i tym razem chłodno zignorowała Evie i jej komentarz. - Obiecałam Tiffany, że wrócę do domu najpóźniej o jedenastej.

Tiffany Haskell była młodą dziewczyną, która zostawała z Alexem wieczorami. Choć miał już jedenaście lat i świetnie sobie radził, Sara uznała, że po zmroku nie powinien być sam, zwłaszcza w domu na odludziu. Robiło się jej zimno na myśl, że mogłoby mu się coś stać.

- Naprawdę muszę już iść - dodała. - Może dokończymy tę robotę jutro, w twoim biurze, dobrze, J.D.? - zasugerowała, zbierając materiały do teczki.

- Dobry pomysł. Odwiozę cię do domu, Sara - zaproponował Bubba, z widocznym wysiłkiem wstając z głębokiego fotela. Krawat wisiał mu pod szyją jak chomąto, a włosy miał zmierzwione.

- Nie ma potrzeby. Jestem samochodem.

- W takim razie będę cię eskortował aż do domu. Wiesz, że nie lubię, kiedy jeździsz sama po ciemku tymi bocznymi drogami. Wszystko może się zdarzyć - złapiesz gumę, silnik się przegrzeje... Przecież jest taki upał, że można smażyć jajecznicę na asfalcie.

- Bubba, wiesz dobrze, że Sara nosi ze sobą zawsze telefon komórkowy - skrzywiła się Evie. - W razie czego może zadzwonić po pomoc.

- Możliwe, ale nawet w epoce nowoczesności i postępu powinnością dżentelmena jest odwieźć damę do domu - wtrącił sentencjonalnie J.D., nalewając sobie whiskey z karafki i sadowiąc się w fotelu, który zwolnił jego syn. Sięgnął do stojącego na stole pudełka i wyjął hawańskie, ręcznie zwijane cygaro. - Więc jedź, Bubba, i odprowadź Sarę bezpiecznie do domu. Spotykamy się jutro po południu w moim biurze.

- Dzięki, J.D. - Sara uśmiechnęła się do szefa niepewnie.

Miała mieszane uczucia co do jego decyzji. Choć stary Holbrooke naprawdę ją lubił, wiedziała z całą pewnością, że nie widziałby jej jako żony dla syna. Tym niemniej popierał owo odwożenie do domu, gdy pracowali do późna.

Tak jakby szczególnie troszczył się o to, by nie się jej nie stało. Sara nie mogła zrozumieć, o co w istocie mu chodzi. Choć obiektywnie skłonna była przyznać, że jest naprawdę dobra w swoim fachu, to przecież ani Field-Yield, Inc., ani senatorska kampania J.D. nie upadłyby bez niej.

Rozejrzała się po gabinecie, sprawdzając, czy czegoś nie zostawiła, i jak zwykle poczuła niemiły dreszcz. Nie znosiła tego miejsca, będącego sercem starej, ozdobionej białymi kolumnami posiadłości Holbrooke'ów. Drewno boazerii, którą wyłożone były ściany aż do sufitu, pociemniało od dymu cygar, przez co Sarze często wydawało się, że jest w jakimś ponurym mauzoleum. Makabryczny efekt potęgowały wiszące wszędzie łby przeróżnych zwierząt, dużych i małych. Holbrooke był namiętym strzelcem sportowym, a do tego myśliwym, który zawsze trafiał. Trofea, patrzące na nią niezliczonymi martwymi, szklanymi oczami, przypominały ją o dreszcze. Czasami miała wrażenie, że zwierzaki milcząco potępiają ją za fraternizowanie się z ich wrogiem. Zawsze więc z ulgą wychodziła z gabinetu.

Do domu jechała wolno, żeby Bubba, który wypił o wiele za dużo, mógł za nią nadążyć. Obserwując światła jego wozu w tylnym lusterku, wzdychała ciężko i klęła swój los. Czy ten natręt nie mógłby się gdzieś zgubić w płataninie wąskich, bocznych dróg? Przez chwilę nabrała nawet złośliwej ochoty, by dodać gazu, zgasić reflektory i skracając niespodziewanie, umknąć przed nim. Zaraz jednak skarciła się za te dziecinne zapędy. I tak przecież wiedział, gdzie mieszka.

Po jakie лихо zgodziła się z nim spotykać? - myślała z irytacją, nie po raz pierwszy przeklinając swoją słabość.

Teraz wiedziała już, że popełniła błąd, ale wtedy on był taki nieustępliwy, taki wytrwały w prośbach i namowach, a ona tak samotna, że uległa, nie zastanawiając się nad konsekwencjami.

Może zrobiła to dla świętego spokoju, a może podświadomie szukała jakiegokolwiek wsparcia. Miała przecież wówczas kłopoty z matką, która nigdy nie doszła psychicznie do siebie po śmierci męża, a miażdżycza z czasem jeszcze pogorszyła jej stan. Doszło do tego, że Sara zmuszona była sprzedać dom rodziców i umieścić matkę w domu opieki. Państwowa renta Iris Kincaid była niewysoka, ale za to otrzymywała ona nadszpodziewanie dużo pieniędzy od Genovese Coal Mining, dzięki czemu Sara mogła zapewnić jej dobrą opiekę i leczenie. Tych pieniędzy było zresztą tak dużo, że Sara zaczęła się nawet obawiać, iż musiano popełnić jakiś błąd w obliczeniach i że będzie musiała zwracać później wypłacone omyłkowo kwoty.

By to wyjaśnić, postarała się o spotkanie z Papą Nickiem. Powiedziała mu, co ją niepokoi, a wtedy Papa Nick zapewnił, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

- Świętej pamięci ojciec... to jeden z moich najlepszych pracowników, a i miał głowa do interesów. *Capisce?* Odłożył na fundusz emerytalny tyle pieniądza, ile się dało, a jeszcze kupował akcje Genovese Coal Mining, jak tylko były opcje dla pracowników. Więc nie martwić się o chora mama. W domu opieki dobrze ją zadbają. To interes mojego przyjaciela, a on nie ma w zwyczaju zdzierać z biednych, wdów i kalek. - Papa Nick zamilkł na chwilę, a potem niespodziewanie zmienił temat. - A jak tam synek? Będzie z niego przystojny chłop, panno Kincaid! Dumna pani z niego, co?

- Tak, panie Genovese - odpowiedziała nerwowo, jak zwykle, kiedy ktoś wspominał o Aleksie. - Bardzo dumna.

- Papa Nick, proszę. Wszyscy nazywają mnie Papa Nick. Dobrze, że jest dumna z syna. Bo nie wszystkie są i się wstydzą. *Ale* tobie nie trzeba się wstydzić. Więc niech nosi głowę wysoko i nauczy tego Alexa. I niech wpadną kiedyś do „Chicken Coop”. Mam tam małe udziały, a interesu pilnuje kuzyn Mamy Rosy. Mama Rosa... to moja ślubna, najlepsza kobieta w świecie... na razie. - Papa Nick mrugnął do Sary, chichocząc. - My są ze sobą więcej niż pięćdziesiąt lat, a ja ją kocham bardziej dzisiaj niż te lata temu, kiedy my stali przed ołtarzem. *Amore* nie da się w życiu niczym zastąpić, bo bez tego życie nic nie znaczy. Będzie pamiętać?

- Tak, Papo Nicku - przytaknęła.

Teraz jednak, jadąc drogą rozświetlaną przez snop światła reflektorów poczciwego jeepa, było już dla niej jasne, że skłamała. Wcale nie chciała pamiętać. Pamięć znaczyła dla niej tyle co ból, tęsknota, rozpacz...

Amore, powtórzyła gorzko w myślach słowo z tamtej rozmowy. Nie powiedziałaś wtedy, Papo, co robić, kiedy ktoś zniknie z życia na zawsze; kiedy złamie ci serce, a ty, człowieku, choćbyś nie wiem jak się starał, nie poskładasz już go z kawałków w całość.

Z głośników słyszała starą piosenkę nadawaną przez jej ulubioną stację radiową, wyspecjalizowaną w słodkich przebojach sprzed lat. Jimmy Ruffin zastanawiał się w niej, „co mają począć złamane serca”. Sarze chciało się płakać.

- Zapomnij o tym. Jesteś zmęczona. To wszystko - powiedziała do siebie głośno i zdecydowanym ruchem prze-

łączyła radio na inną stację, nadającą czarny soul. W obecnym stanie ducha ta muzyka bardziej jej odpowiadała.

Całe szczęście była już blisko domu. Jeszcze dwie minuty i włączyła migacz, a potem skręciła na podjazd przed bramą.

- Bubba, jest późno, a wiem, że masz rano spotkanie z dystrybutorami! - zawołała, gdy podjechał z tyłu i wysiadł z wozu. - Dzięki za eskortę, dalej już sobie poradzę. Wracaj do domu i wyśpij się!

- O, nie. Muszę być pewien, że ty i Alex jesteście bezpieczni i że drzwi są zamknięte na klucz. Przecież wiesz, ile podejrzanych typów się ostatnio tu włóczy, choć u nas zawsze była spokojna okolica. Cholera, namnożyło się tej hołoty, czarnuchów, Latynosów, Italiańców... A tylko patrzeć, jak będziemy tu mieli najazd kolumbijskich handlarzy narkotyków, jamajskich gangów, chińskich triad, ruskich mafii i różnych innych ciemnych Jugoli. Jezu! Niedługo nikt nie będzie się mógł czuć bezpiecznie w tej naszej pieprzonej Ameryce!

- Bubba, przecież wiesz, że nie lubię, kiedy demonstrujesz takie głupie uprzedzenia.

- O, kochaneczko, to że nie masz ochoty tego słuchać, nie znaczy jeszcze, że nie mam racji - zjeżył się. - Cały ten pieprzony kraj schodzi na psy! - Postąpił ku niej, machając rękami, i zachwiał się, rozlewając z butelki whiskey, którą zabrał ze sobą i jakimś cudem nie wylał w samochodzie. - Daj mi klucz, kotku. A jeśli już dajesz klucz, to może daj i serce? He, he, he... A może znów zamknęłaś furtkę, jak zamykasz tę furteczkę między udka?

- Bubba, proszę, jedź do domu. Jesteś pijany i obrażasz

mnie. Możemy się tylko pokłócić, a naprawdę nie mam na to dzisiaj ochoty ani siły.

- Oho, odezwała się Królowa Śniegu. Wierny poddany musi słuchać jej rozkazów, bo inaczej wykluczy go na zawsze z zimowego królestwa... Pięknie. Dobra. Obiecuję, że będę grzeczny. Zadowolona? No, daj mi ten klucz, do cholery!

Zbyt zmęczona, żeby się spierać, dała mu klucz, klnąc sobie w duchu, że nie potrafiła go dość stanowczo i w porę odprawić. Bubba Holbrooke z pewnością nie był materiałem na mężczyznę jej życia, choć dobrze wiedziała, że w tak niewielkim miasteczku córka biednego górnika, w dodatku z nieślubnym dzieckiem, ma znikomy wybór. Zwłaszcza że - jak trzeźwo zauważyła Lucille - będzie się już tylko starzeć, a nie młodzić. Tymczasem nie dało się zaprzeczyć, że Bubba był uważany za najlepszą partię w mieście. Mogła się przynajmniej pocieszać, że szalał za nią facet, o którym marzyły po nocach małomiasteczkowe panny na wydaniu. Ale nawet to nie było w stanie jej przekonać.

Tiffany powitała ich w holu.

- Alex śpi na górze. Zjedliśmy kolację i odrobiłam z nim pracę domową. Nie wiedziałam, że w letniej szkole też zadają... Później trochę grał na saksofonie i bawiliśmy się w różne gry. Wszystko było w porządku, żadnych problemów. Aha, posprzątałam kuchnię i zrobiłam pranie.

- Tiffany, jesteś niezastąpiona! Dzięki! Naprawdę nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła - powiedziała Sara ze szczerym zachwytem, szykując odpowiednią sumę.

- Nie ma sprawy. Wszystko sobie zaplanowałam. Łącznie ze zjedzeniem kolacji i odrabianiem pracy domowej

przy kuchennym stole. Tak się składa, że na studiach specjalizuję się w psychologii dziecięcej, a Alex jest bardzo ciekawym przypadkiem.

- Wcale się nie dziwię - mruknął Bubba zza pleców Sary, pociągając kolejny łyk whiskey. - Dzieciak skończy na psychicznym, w celi wykładanej poduszkami!

- Przepraszam, Sara... - Tiffany z zakłopotaniem przygryzła wargę. - Wcale nie chciałam sugerować, że Alex potrzebuje konsultacji psychologa. Po prostu w ogóle interesują mnie dzieci. Wiesz o tym.

- Jasne. Proszę, nie zwracaj uwagi na Bubbę. Trochę za dużo wypił, a w dodatku jest w podłym nastroju.

- Rozumiem, nie ma sprawy. Dobranoc, Saro. Dobranoc, panie Holbrooke.

- Dobranoc, Tiffany. Dzięki jeszcze raz, i jedź bezpiecznie.

Sara zamknęła drzwi za opiekunką, a potem ze złością odwróciła się do Bubby.

- Co się z tobą dzieje? Chwalisz się, że jesteś dżentelmenem, a zapomniałeś o dobrych manierach? I nie mów mi, że to alkohol. Aż tyle w sobie nie wlałeś. Jest jeszcze coś na rzeczy?

- Nie. Tak... A, niech to! Dobra, skoro chcesz wiedzieć... Więc jestem tak nabuzowany, że za chwilę wybuchnę! Cały dzień tłamszę to w sobie, ale nie mam nawet z kim pogadać. No bo z kim? Z Evie? Ze starym? - Bubba z rozpędu opadł na kanapę, zdarł z siebie krawat i odrzucił go na bok, a potem rozpiął koszulę do połowy, ukazując umięśniony, opalony tors.

- Chcesz porozmawiać o tym, co cię męczy, czy nie?

- Jasne, do cholery! Pewnie, że chcę... Wciąż nie mogę zrozumieć, jak mogłaś wtedy stanąć w jego obronie?

- W czyjej obronie? I kiedy? O czym ty mówisz, Bubba? - Sara, zdumiona, przysiadła w drugim końcu kanapy, zsunęła sandały i zaczęła masować obolałe stopy.

- O Renzo! O Renzo Cassavettesie! - wybuchnął Bubba. - Czy wiesz, że po tylu latach ten sukinsyn ośmielił się tu wrócić! Tak, właśnie dzisiaj widziałem go w mieście! Boże, co za bezczelny drań! - głos drżał mu z wściekłości i oburzenia. - Zamordował mojego brata, uciekł przed sądem, żył sobie bezkarnie... A teraz ma czelność wracać na miejsce zbrodni. Pewnie myśli, że wszyscy zapomnieli. Ale my nigdy nie zapomnimy! Nigdy! Sam znajdę okazję, żeby wymierzyć sprawiedliwość temu pieprzonemu makaroniarzowi! Powinienem był zabić go wtedy, cholerny Italiańiec... I pomyśleć, że Sonny mógłby żyć...

Głos Bubby załamał się, on sam ukrył twarz w dłoniach. Przez chwilę kręcił głową, z rozpaczą, z niedowierzaniem, wreszcie odetchnął głęboko i mówił dalej:

- Sonny był najlepszy z Holbrooke'ów. Mój Boże, wszyscy go kochaliśmy. Ojciec nazywał go „złotym chłopakiem” i to wcale nie była przesada. Sonny mógł zostać nawet prezydentem, drugim Kennedym. Jeśli chcesz znać prawdę, Sara, to J.D. wszedł w politykę, bo chciał w jakiś swój pokrętny sposób uczcić pamięć Sonny'ego. Evie i ja nigdy nie dorastaliśmy mu do pięt, choć wciąż próbowaliśmy się z nim mierzyć. Nawet teraz próbujemy, dawno po jego śmierci, wyobrazasz sobie? Biedna Evie. Nie ma nic bardziej żalosego, niż córeczka tatusia, której tatuś nie kocha i nie aprobuje. Jak myślisz, dlaczego ona zachowuje

się jak dziwka, dlaczego już dwa razy wychodziła za mąż, raz się rozwiodła, a teraz jest znów na najlepszej drodze do rozwodu? Bo Parker Delaney był inny niż jej stary, dobry tatuś. Tommy Lee Archer również nie. I Skeets Granville też nim nie będzie.

- Śmierć Sonny'ego była przypadkiem, Bubba. Straszliwą tragedią,

- Wtedy też tak mówiłaś - zauważył cierpko. - Nigdy ci tego nie zapomnę. Cholera, znając ciebie, założę się, że święcie w to wierzyłaś. Ale nie masz racji, Sara. Renzo Cas-savettes z premedytacją zepchnął mojego brata z tej skały. To było morderstwo, ohydne, cyniczne morderstwo na oczach wszystkich!

- Wiem, że można było tak pomyśleć, Bubba, ale przecież tak samo, jak mówię ja, orzekł sąd. I umorzył śledztwo.

Sara powtarzała te słowa zawsze mocno i dobitnie. Tak mocno, jakby sama desperacko chciała uwierzyć w niepodważalność tego wyroku. I to właśnie - że potrzeba było aż desperackiej wiary - było dla niej powodem wstydu i wyrzutów sumienia. Choć bowiem robiła to z najwyższą niechęcią, musiała przyznać przed sobą, że nie pozbyła się do końca wątpliwości, czy Renzo naprawdę jest niewinny.

- Owszem, niby tak, ale sposób, w jaki zachował się mój ojciec, był co najmniej dziwny.

- Dziwny? Dlaczego tak uważasz?

- Najpierw biedny staruszek dosłownie odchodził od zmysłów. Był absolutnie przekonany, że Sonny został zamordowany. Sam pamiętam, wpadł w taki szal, że wybił szybę w szafie z bronią - bo nawet nie pomyślał, żeby ją otworzyć - wyciągnął sztucer i naładował go jak na słońia,

wrzeszcząc, że podziurawi tego kryminalistę Cassavettesa kulami jak sito. A kiedy mu doniesiono, że Renzo zwiął z miasta, stary wparował do szeryfa Laidlawa, chwycił go za frak i wykrzyczał w twarz, że jeśli marzy mu się wygranie pieprzonych wyborów w tym mieście, to niech lepiej ruszy szybko swą tłustą dupę, złapie Renzo, zapuszkuje go i doprowadzi przed sąd. Oczywiście, było już za późno... A w dniu rozprawy wstępnej przed nasz dom zajechał rano Papa Nick tą swoją czarną limuzyną z buldogowatym szoferem przy kierownicy i wyjaśnił, że przyjechał złożyć kondolencje z powodu śmierci Sonny'ego. Niedługo po tym, na rozprawie, mój ojciec wstał i przeprosił przed sądem za wcześniejsze oskarżenia, tłumacząc, że był otumaniony rozpaczą. Powiedział, że wie, iż Renzo nie zamordował Sonny'ego... że był to po prostu nieszczęśliwy wypadek.

- I co, myślisz, że Papa Nick. zmusił twojego ojca do takiego oświadczenia?

- Tb chyba jasne! Dziewczyno, przecież wszyscy w mieście wiedzą, kim jest Papa Nick. Pewnie powiedział mojemu staremu, że mu zrobi betonowe buty i spuści go do kamieniołomu, jeśli nie przestanie oskarżać Cassavettesa.

- Czekaj, Bubba, nie bardzo rozumiem, dlaczego Papa Nick miałyby grozić twojemu ojcu? Przecież nic go nie łączy z Renzo,

- Och, wiesz jak to jest, Sara. Ci wszyscy wszarze są jakoś tam ze sobą spokrewnieni i żeby nie wiem co się działo, będą trzymać ze sobą. Zresztą mówi się od dawna, że ojciec Cassavettesa - ale ten prawdziwy, nie Martinelli - był gangsterem w wielkim mieście. Może Papa Nick dawał mu jakieś brudne zlecenia, czy coś w tym stylu, więc czuł

się w obowiązku osłaniać jego syna? Cholera wie. Ja natomiast wiem tylko, że cokolwiek Papa Nick powiedział mojemu ojcu, podziałało to na J.D. jak zastrzyk na wariata. Zamilkł, spokorniał, dał sobie spokój. Dlatego właśnie mam gdzieś całe to śledztwo i jego ustalenia. Renzo Cassavettes zamordował mojego braciszka - i zapłaci mi za to.

Zapadła cisza. Sara nie mogła, niestety, tłumaczyć wszystkiego alkoholem, który pił Bubba. Zwłaszcza że nie przypominał on już tego samego mężczyzny, który stał w progu kuchni, gdy żegnała się z Tiffany. Te długie wyznania sprawiły, że wytrzeźwiał i oprzytomniał.

Za to Sara czuła się zamroczona. Słowa Bubby poruszyły ją bardziej niż chciałyby się do tego przyznać. Wprawdzie temat ten nie raz pojawiał się w ciągu minionych lat w licznych rozmowach, ale teraz, kiedy wiedziała już, że Renzo wrócił, kiedy ujrzała go po tylu latach, czuła się niemal tak samo spięta, roztrzęsiona i bezradna, jak wtedy, gdy uciekał w popłochu z kamieniołomu. Boże, myślała, jakie jeszcze reakcje może wywołać jego powrót do miasta?

Nagle ogarnęło ją przecucie czegoś złego, złowrogiego, ponurego jak ów tuman pyłu, który widziała na horyzoncie w dniu powrotu Renzo. „Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę” - powtarzała w myśli biblijne zdanie, z drzeniem zastanawiając się, czy Renzo, Bubba, ona sama i cała reszta nie będą musieli teraz zebrać tego, co zasiali dwanaście lat temu.

- Drżysz? Czemu? Przecież jest gorąco - wyszeptał Bubba chrapliwie, przysuwając się nagle do Sary i obejmując ją ramieniem. Najwyraźniej kiedy wyrzucił z siebie wszystko, znów mógł myśleć o amatorach. - Chociaż ty zawsze byłaś zimna... Zimna i okrutna. Och, Sara, gdybyś

wiedziała, jak ja za tobą szaleję... Co jeszcze mam zrobić? Staję na głowie, a ty...

Usta mężczyzny chciwie opadły na jej usta, język natarczywie wsunął się między wargi. Nie po raz pierwszy próbował ją całować, ale.... dzisiaj było inaczej. Sara była zmęczona, a jej czujność osłabła. Dlatego zamiast wyszarpnąć się z jego objęć, pozwoliła się pieścić, przejęta poczuciem, że daremny jest jej opór, że nie da rady się bronić ani uciec, że jakieś ciemne, fatalistyczne siły, nad którymi nie ma żadnej kontroli, biorą ją właśnie w swoje posiadanie.

Instynktownie przyłgnęła więc do Bubby, jakby chciała się uchronić przed zgubą, niesioną przez ten wir. Natychmiast objął ją ciasno. Był wysoki, silny, przystojny. Z pewnością zapewniłby jej bezpieczeństwo, a może nawet szczęście - musi tylko dać mu szansę, o którą tak prosi. Wystarczy, żeby pozwoliła...

Jej myśli wypełnił nagle posepny i piękny obraz Renzo. A gdy to się stało, ani pocałunek, ani pieszczoty nie należały już do Bubby, tylko do tego, którego kiedyś tak bardzo kochała. To jego palce wczepiły się w jej włosy, odchylając głowę do tyłu; to jego dłoń błędziła po piersiach i nogach, odzianych w cienkie pończochy; to jego palce odpinały żakiet i podciągały do góry spódnicę...

- Och, Saro, słodka Saro... - westchnął Bubba.

Te słowa - niczym echo przeszłości - wytrąciły ją nagle z oszołomienia. Co ty robisz, na Boga, pomyślała w półochu i spojrzała po sobie przytomnym wzrokiem.

Żakiet miała rozchełstany, rozpięty stanik odsłaniał białe piersi...

- Nie! - Z cichym krzykiem wyrwała się Bubbie i z po-

szarzała twarzą odskoczyła od kanapy. Trzęsącymi się rękami zaczęła doprowadzać garderobę do porządku.

- Sara, do jasnej cholery! - wycedził Bubba, zrywając się na nogi i powoli idąc ku niej. W jego wzroku była taka wściekłość i pożądanie, że zaczęła się cofać, usiłując utrzymać go na dystans gestem wyciągniętej dłoni.

- Bubba, proszę, odejdz. Jesteś pijany i... i nie chcę, żebyś zrobił coś, czego będziesz później żałować. Przepraszam, nie powinnam pozwolić, żebyś w ogóle się do mnie zbliżał. Sama nie wiem, co mnie...

- Ale ja wiem, ty dziwko! Nie jestem aż tak pijany, żeby nie czuć, kiedy kobieta całuje się ze mną, a myśli o innym! Przed chwilą kotłowaliśmy się na kanapie we dwoje z tym trzecim, co? Gadaj, kto to jest? No, mów! Ojciec Alexa? Taak... jasne... Jasne! Chryste, jak mogłem być tak ślepy i tak głupi? To na niego czekałaś przez te wszystkie lata, na niego, tak? A ja, naiwny idiota, myślałem, że boisz się mężczyzn, że sztywniejesz pod każdym dotknięciem, że potrzeba tylko czasu, żeby cię oswoić... Bzdura, przecież masz w sobie ogień. Tylko że on płonie dla tamtego. - Bez ostrzeżenia, ruchem szybkim jak atak węża, Bubba chwycił ją za ramiona i brutalnie potrząsnął. - Kto to był? A może jest? Widujesz się z nim? Sara, nie dręcz mnie, powiedz, kto to jest!

- Nic ci nie powiem! To było dawno, nie wtrącaj się w moje sprawy. Idź stąd, Bubba. Szybko! Idź, słyszysz?

W jej głosie usłyszał taką determinację, że nie odważył się dalej nalegać.

- Dobrze, pójdę. Ale wrócę tu, Sara, więc nie ciesz się przedwcześnie. I obiecuję ci, że prędzej czy później dowiem

się, kim jest ten gnojek, i zabiję go jak szczura. Wyrwę go z twojego serca i myśli, nawet jeśli miałoby mi to zająć resztę życia, zapamiętaj to sobie! - Zgarnął krawat ze stolika i wybiegł z domu, z łomotem zatrzaskując drzwi. Za chwilę opony wozu zapiszczały na żwirze.

Sara drżącymi rękami zamknęła zasuwę, a potem oparła głowę o drzwi, mając wrażenie, że za chwilę osłabłe nogi zawiodą ją i osunie się na podłogę. Winiła siebie za to, co się stało. Winiła Renzo Cassavettesa za to, że nie wrócił do miasta wcześniej, i za to, że pojawił się teraz, kiedy na wszystko było już za późno; za to też, że choć nie widziała go od lat, to znów musiała myśleć o nim, gdy całował ją Bubba.

Ruszyła ciężkim krokiem do salonu i opadła na kanapę. Usiłowała za wszelką ceną oczyścić umysł z tych natrętnych myśli, pozostawiając go pustym, tak jak robiła to wcześniej, ale teraz było to znacznie trudniejsze.

Nalała sobie kieliszek czerwonego wina, ściemniła światła do kojącego półmroku i powoli chodząc po salonie, zdołała się wreszcie wyciszyć. Weszła na górę, by popatrzeć na Alexa. Na szczęście nie obudziły go pijackie wyczyny Bubby. Spał spokojnie, posapując przez nos, a długie, ciemne rzęsy rzucały cienie na jego gładkie policzki.

Jak zwykle widok śpiącego syna wywołał w niej przypływ czułości i miłości. Bez względu na to, co musiała znieść, nigdy nie żałowała, że go urodziła. Radość, jaką wniósł w jej życie, równoważyła ból. Delikatnym ruchem poprawiła pościel i położyła na poduszce wytartego pluszowego misia, który upadł na ziemię.

Potem zeszła na dół, wzięła prysznic i przebrała się

w długą, zwiewną koszulę nocną. Otworzyła szerokie, przeszklone drzwi na taras i wyszła, by jak zwykle pooddychać przez chwilę nocnym powietrzem.

To były jej ukochane chwile, czas na refleksję i zagłębienie się w sobie, na podsumowanie dnia, na chwilę prywatności. Z daszka nad tarasem zwisały dzwoneczki, które kupiła jeszcze przed urodzeniem Alexa i zainstalowała w nowym domu. Z początku nie chciała się do tego przyznać, ale ich delikatne pobrzękiwanie w lekkich podmuchach wiatru przypominało jej muzykę magicznego lasu przy starym kamieniołomie.

Bubba jest szalony, myślała, sącząc z wolna słodkie wino, którego znów sobie nalała. Nie rozumiała tego szaleństwa, było jej obce. Ciągłe brzmiały w jej uszach słowa : „Przez te wszystkie lata czekałaś na niego, tak?”.

Tak, odpowiedziała teraz. Tak właśnie było. Czy to też nie jest szaleństwo, choć innego rodzaju? Jak kobieta, która uważa się za dojrzałą i rozsądną, może kochać mężczyznę, którego nie widziała od dwunastu lat, który nawet nie usiłował jej szukać, dowiedzieć się, czy żyje? Jakże są granice miłości?

Uniosła wzrok ku gwiazdom i zamęt myśli stopniowo się wyciszył. Nie ma nic piękniejszego niż rozgwieżdżone niebo w naszych stronach, pomyślała z zachwytem nie po raz pierwszy. Zdawać by się mogło, że wystarczy tylko sięgnąć ręką, by złowić te lśniące diamenty.

I tak jak wiele razy wcześniej, tak i teraz wyobraziła sobie, że Renzo stoi pod tym samym niebem, pod tymi samymi gwiazdami - i myśli o niej. A może patrzy przez gałęzie tych starych, potężnych drzew, które wznoszą się mu-

rem na krawędzi trawnika, przy starej ceglanej drodze? Czy też może leży w łóżku w letnią noc, marząc o jej nagim ciele, wtulonym w niego wiernie i czule?

Gdzieś w oddali zahukała sowa i samotny kojot rozpoczął swoje jęklive śpiewy do księżyca. Sara wzdrygnęła się. Z ciężkim westchnieniem zawróciła do domu, zamknęła drzwi na taras i zgasiła światło. Ale długo jeszcze leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć. Z nostalgią wspominała dni, kiedy życie było proste i szczęśliwe, a Renzo Cassavettes ją kochał.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W poszukiwaniu Sary

*Czy wyobrażnię karmić nam sądzone
Kobietą już zdobytą, czy straconą?*

William Butler Yeats, *Wieża*
(przełożył Czesław Miłosz)

Odkąd wrócił z Waszyngtonu do domu, Renzo poświęcał swój czas przede wszystkim pracy w redakcji oraz rodzicom. Joe i Madonna dali ogłoszenie o sprzedaży bungalowu przy Elm Street, w którym mieszkali przez trzydzieści lat. a ponieważ stary dom był zadbane i miał swój styl, został kupiony od razu, przez pierwszych chętnych, jacy się pojawili - parę włoskich młodożeńców, zakochanych i ufnie patrzących w przyszłość. Tacy sami byli kiedyś Joe i Madonna przed laty.

Renzo przez moment rozważał, czy nie odkupić domu od rodziców, ale choć miał do niego ogromny sentyment, wiedział, że zawsze będzie mu się kojarzył z nimi i z dawnym życiem. Dlatego kiedy jego prawnicy i bank sfinalizowali transakcję i przepisali na niego własność „Tri-State Tribune”, zaczął przerabiać strych w budynku gazety na

swój apartament. Był przyzwyczajony do tego typu kawalerskich mieszkań. To miało mu na razie wystarczyć, dopóki nie zdecyduje się na własny dom.

Rodzice natomiast, którzy już od dłuższego czasu oszczędzali na ten cel, mieli na emeryturę przenieść się na wymarzoną Florydę. Było im o tyle łatwiej, że Renzo, pomimo protestów, uparł się, by wypłacić im pokaźną sumę za „Tri-State Tribune”.

- Tato, zadbałem o dobre inwestycje. Pamiętaj, że zarabiałem dużo i w znanych dziennikach, a nie miałem nawet czasu wydać tych pieniędzy. Kupiłem ładny wóz, zegarek, trochę drogich garniturów - to wszystko. Jestem więc bogaty. I mam nazwisko, które otwiera mi wiele drzwi. Mogę robić, co zechcę, sam to powiedziałaś. Dlatego przyjmijcie od mnie pieniądze za starą, kochaną „Trib”, bo naprawdę jestem wam to winien. Zrozumcie, chciałbym odwdziaczyć się za wszystko, co dla mnie zrobiliście. Gdybyście nie przygarnęli mnie przed laty i nie pokochali jak syna, leżałbym teraz w rynsztoku w jakiejś podłej dzielnicy, posiekany kulami, jak kiedyś mój ojciec. Dlatego proszę, nie odmawiajcie mi, nie zabierajcie tej radości!

Martinelli już dwa lata wcześniej spłacili hipotekę. Za sumę uzyskaną ze sprzedaży domu - a w ciągu lat zyskała na wartości - mogli kupić całkiem przyzwoity apartament na Florydzie. Zaś pieniądze otrzymane od Renzo on sam pomógł im zainwestować korzystnie w akcje, obligacje i fundusze, by mieli finansowe zabezpieczenie na resztę życia, nawet w przypadku nieszczęśliwych okoliczności.

I tak oto firma przewozowa zabrała już ich meble ze starego, poczciwego bungalowu, a teraz Martinelli szyko-

wali się do odjazdu, dokonując dosłownych i symbolicznych pożegnań - z domem, z pewnym etapem swojego życia, a przede wszystkim z synem. Wyjeżdżali już z podjazdu, kiedy Madonna w nagłym porywie uczucia otworzyła drzwiczki i wybiegła z wozu, by jeszcze raz kurczowo objąć Renzo. Łzy płynęły po jej pulchnych policzkach.

- Synku - chlpała mu w ucho - chciałam ci tylko powiedzieć, że jeśli kiedykolwiek przyjdzie chwila, w której pomyślisz, że twój ojciec i ja... że nie postąpiliśmy wobec ciebie jak trzeba... że oszukaliśmy cię okrutnie... to postaraj się zrozumieć... że chcieliśmy tylko twojego dobra, niczego innego. Zawsze wszystko robiliśmy dla twojego dobra! - powtórzyła z naciskiem. Brązowe oczy matki patrzyły na niego z miłością, ale i z niepokojem, jakby nie była pewna, jak Renzo zareaguje. - Widzisz, nie mieliśmy nigdy pewności... choć się domyślaliśmy... powinniśmy się domyślać. A może nawet mieliśmy nadzieję... O Boże, jakie to trudne! W każdym razie chciałabym, żebyś wiedział, synku.

- Mamo, nie rozumiem, o co ci chodzi. Przecież wiem, że mnie kochasz. Co właściwie chcesz mi powiedzieć?

- Nic, synku, już nic. - Madonna potrzęsnęła głową, ocierając chusteczką oczy. - Głupia, stara baba płacze ci na ramieniu i zawraca głowę - uśmiechnęła się i rozjaśniła spojrzenie zaczerwienionych oczu. - Musimy już jechać, Renzo. Ojciec czeka. Dbaj o siebie, synku. I pamiętaj, że zawsze będziemy cię kochać.

- Ja też was kocham. - Renzo uściskał ją z łagodnym uśmiechem, lecz to, co stało się w jego sercu i umyśle, dalekie było od spokoju i łagodności. Zastanawiał się gorączkowo, czy słowa Madonny mogą mieć coś wspólnego

z Sarą Kincaid, widząc jednak, w jakim stanie ducha jest matka, nie śmiał zapytać.

Wreszcie odwróciła się od niego w milczeniu i powolnym krokiem odeszła do samochodu.

- Powiedziałaś mu? - zapytał Joe, gdy wyjechali na drogę.

Madonna obejrzała się po raz ostatni i pomachała Renzo na pożegnanie, znów ocierając łzy.

- Nie - westchnęła ciężko. - Och, jakże bym mogła? Przecież złamałabym mu serce! Nigdy, nigdy sobie nie wybaczę, że wtedy do niego napisałam!

- Dobrze już, nie płacz, to i tak nic nie pomoże. Jesteś teraz roztrzęsiona, musisz dojść do siebie. Ciężko jest się żegnać z naszym ukochanym domem, miastem i z ludźmi, z którymi spędziliśmy tyle wspólnych lat. Ale to minie. Niedługo pomyślisz o tym wszystkim spokojnie, a wtedy stwierdzisz, że nie mogłaś postąpić inaczej. - Joe pieszczotliwie pogładził żonę po ramieniu. - W końcu nigdy nie byliśmy pewni.

- O, nie! -- zaprzeczyła. - Tu - położyła rękę na sercu - jestem pewna. Ten chłopak jest jak skóra zdjęta z Renzo. Kiedy Renzo był w jego wieku, wyglądał identycznie. Nie mam żadnych wątpliwości: to jego syn, nasz wnuk. Na pewno, Joe! Tylko dlaczego nie mogłam nigdy się zdobyć, żeby przemóc obawy i mu o tym powiedzieć? Widzisz? Nawet teraz się nie ośmieliłam. Przez cały ten czas powinnam też choć raz odezwać się do Sary Kincaid, odwiedzić ją, zamiast żyć w lęku, że zatrzaśnie mi drzwi przed nosem. Ta dziewczyna go kochała. Urodziła i wychowała jego dziecko, wbrew wszystkiemu i wszystkim. Choć rzucano na nią obelgi, zawsze nosiła dumnie głowę. I ja powinnam być dumna

- że kogoś takiego mogę nazywać swoją córką. Boże miłosierny, co ja zrobiłam? Co ja zrobiłam? - jęczała rozpaczliwie.

- Zrobiłaś to, co dyktowało ci serce - powiedział łagodnie Joe, kierując samochód na autostradę. - A reszta należy do losu.

- Morse, muszę na chwilę wpaść do ratusza - powiedział Renzo, wtykając głowę do wypełnionej wydrukami i segregatorami biurowej klitki. - Nie wiem, jak długo mi to zajmie, może będę musiał jeszcze gdzieś iść. Popilnujesz interesu, zgoda? I zamknij sklepik, jeśli nie wrócę do szóstej.

- Jasne, szefie. - Morse Novak pracował w „Tri-State Tribune” od wielu lat i dosłużył się stanowiska redaktora prowadzącego. Był weteranem z Wietnamu, wojennym inwalidą, który ponad dwadzieścia lat temu, po jakiejś eksplozji, stał się kaleką. Na zawsze przykuty do wózka, z tym większym zapalem kształcił swój umysł. Oprócz zajmowania odpowiedzialnego stanowiska w gazecie, uczył też informatyki w szkole wieczorowej i na uniwersytecie stanowym.

Renzo, podobnie jak wcześniej ojciec, uczynił Morse'a Novaka swoją prawą ręką od momentu przejęcia pisma.

- Dzięki, Morse - uśmiechnął się teraz do niego, po czym poświstując przez zęby, szybkim krokiem wyszedł z redakcji. Teraz, kiedy bezpiecznie wyekspediował rodziców na Florydę i ustawił pracę w gazecie, miał wreszcie czas, by zabawić się w swoje prywatne śledztwo. Wiedziony reporterskim instynktem, postanowił zacząć od ratusza i sądów.

Przeszedł przez rozpalony słońcem rynek i z ulgą zagłębił się w chłodny hol wielkiego, starego budynku, kierując się do działu ewidencji ludności i archiwów. Gdy dotarł już do odpowiedniego pomieszczenia, oznajmił umówionej wcześniej urzędniczce, że chciałby przejrzeć listę ślubów, udzielonych w ciągu wszystkich lat od śmierci Sonny'ego Holbrooke'a do własnego powrotu do miasta.

- Hmm, niech pomyślę. To było jeszcze przed komputeryzacją i całym tym unowocześnieniem - zastanawiała się starsza, ale kompetentna urzędniczka. Nałożywszy na nos okulary, szybko przebiegła palcami fiszki w kartotece, a potem przyniosła mu z polki akta. - Usiądź sobie tam, przy stoliku, młody człowieku. Te archiwa są własnością miasta i pod żadnym pozorem nie wolno ich stąd wynosić na zewnątrz.

- Rozumiem. Bardzo pani dziękuję. - Wiedziony wieloletnim przyzwyczajeniem, Renzo posłał jej uwodzicielsko-łobuzerski uśmiech. W końcu w dziennikarskiej profesji nigdy nie wiadomo, kto i do czego może się przydać. Z pomocą tego uśmiechu nieraz wydobywał poufne informacje od urzędniczek, sekretarek czy recepcjonistek.

Rozłożył stos teczek na długim drewnianym stole i zagłębił się w lekturę. Po godzinie szybkiego przekładania kartek był przede wszystkim zdumiony ilością ślubów, jakich udzielono po tamtym gorącym lecie. Gdy zaś zakończył wreszcie swoje małe śledztwo, z ulgą stwierdził, że Sara Kincaid nigdy w ciągu tych lat nie stanęła przed urzędnikiem stanu cywilnego - ani z Bubbą, ani z nikim innym.

Oczywiście, mogła jeszcze wyjechać - jak poinformowała go matka - i wziąć ślub w innym stanie. Ale miał przecucie, że tak się nie stało.

Po wyjściu z archiwum zerknął na złotego rolexa, jedyną ekstrawagancję - oprócz jaguara XKE z 1974 roku - na jaką sobie pozwolił. Minęła druga. W budce przewertował książkę telefoniczną, ale nie znalazł tam żadnych Kincaidów, nawet Iris i Della. Zadzwoił więc do biura numerów, lecz tam poinformowano go, że tego nazwiska nie ma także na liście numerów zastrzeżonych. Choć nie, był jedno - S.B. Kincaid. Ale, oczywiście, niczego więcej nie mógł się dowiedzieć.

S.B. Kincaid - Sara Beth Kincaid.

Tak, to musi być ona. Potwierdzała się więc teoria, że nie wyszła za męża. Chyba że brała ślub gdzie indziej, a potem się rozwiodła, zachowując nazwisko panięńskie dla celów zawodowych. To też było możliwe.

Pozostało mu tylko pojechać do domu jej rodziców. Najpierw jednak wpadł na swoje poddasze, zrobił sobie kanapkę zamiast obiadu i postanowił się przebrać. Włoch w dżinsach i sportowej koszuli będzie o niebo mniej podejrzany, niż paradujący po Miners Row Włoch w drogim ciemnym garniturze, śnieżnobiałej koszuli i modnym krawacie. A Renzo nie chciał, żeby ktoś pomyślał sobie, że oto jakiś mafioso przyjechał na inspekcję pracowników Papy Nicka w kopalniach Genovese.

Zmarszczył brwi na myśl o swoim dziadku. Powinien wreszcie zadzwonić do staruszka. Miał u niego ogromny dług wdzięczności - nie tylko za pomoc przy ucieczce z miasta. Gdyby nie nazwisko Hala Youngera z „Heralda”, które Papa napisał mu wtedy na wizytówce, Renzo nie doszedłby nigdy do Pulitzera, a nie wiadomo, czy w ogóle zdołałby zostać dziennikarzem. Zwykła przyzwoitość naka-

zywała odwiedzić też Mamę Rosę, babcię, której właściwie nie znał. Pisała do niego kilka razy w ciągu tych lat.

Jutro. Odwiedzę ich jutro, postanowił. Dziś myślał tylko o Sarze.

Po pół godziny stał już w wielkim garażu na tyłach redakcyjnego budynku. Stąd odjeżdżały rozwożące codzienny nakład ciężarówki. Renzo wygospodarował sobie tu mały kąt, gdzie postawił harleya i jaguara.

Ciemne oczy błyszczały mu radosnym wyczekiwaniem, gdy zdejmował pokrowiec, okrywający dawno nie widziany motocykl. Mimo tylu lat maszyna wciąż była sprawna, gdyż Papa Nick znalazł i opłacił kogoś, kto wyremontował ją i utrzymywał w nienagannym stanie. Dotychczas stała bezpiecznie w garażu rodziców. Teraz, dotykając lekko niklowanych rur, skórzanego siodła, gumowej rączki, czuł, jak przechodzi go dreszcz podniecenia. Nie jeździł na żadnym motorze od czasu pamiętnego wypadku w kamieniołomie, ale takie umiejętności zostają przecież we krwi na całe życie.

W kilka chwil później gnał już na spotkanie przeszłości, a wiatr rozwiewał jego ciemne, gęste włosy.

Ziemia, na której stał Lamar Rollins, należała do starego „Farmera” Farnswortha, ale to nie było ważne. Liczyło się tylko to, że pole od niepamiętnych czasów leżało odłogiem i pewnie zostało już zapomniane. Dlatego drzewa, krzewy i stepowe trawy, kiedyś wytrwale stąd przeganiane, znów objęły ten teren w posiadanie. Wszystko to idealnie odpowiadało celowi Lamara - założeniu ukrytej plantacji marihuany.

Co roku, od kiedy skończył trzynaście lat, chłopak węc-

drował po okolicy w poszukiwaniu takich opuszczonych pól, gdzie mógł zasiać sadzonki, wyhodowane miesiąc wcześniej. Jak prawdziwy rolnik dbał o swoje zasiewy, podlewając je, pieląc i nawożąc.

Zaczął skromnie, poza tym był jeszcze wtedy dyletan-tem, który pozwala rozrastać się roślinom męskim, zbierając z nich marne żniwo. W rezultacie ledwie starczało mu na własne „dymki” i niewielką nadwyżkę do sprzedaży. Teraz jednak, po czterech latach praktyki i eksperymentowania, wiedział, że rośliny męskie trzeba wycinać, zanim rozwiną się kwiatostany. Uprawa składać się powinna głównie z żeńskich, o wiele bardziej cennych i wydajnych. O nie właśnie należy dbać najbardziej, doglądać ich często, a kiedy dorastają do wysokości około metra, obcinać dolne liście, by je wzmocnić.

Cała ta pielęgnacja warta była zachodu. Lamar przekonał się o tym, rozprowadzając swój dobry towar po mieście i okolicy, albo sprzedając go pośrednikom skupującym go na handel w wielkim mieście. Już teraz osiągał z tego spore zyski, a z czasem planował przejąć i to ogniwo interesów, stając się lokalnym potentatem marihuany.

Wszystkie zaś te plany i spodziewane dochody były ściśle podporządkowane jedynemu celowi, który pojawił się w życiu Lamara zupełnie przypadkiem, kiedy to po ukończeniu nauki niechętnie poszedł do pracy jako pomocnik swego wuja Thaddeusa, stróża w Field-Yield, Inc.

Z początku nienawidził tej roboty i odwał ją byle jak. W ogóle by zresztą jej nie wziął, gdyby nie babka, która odkąd opuścił szkołę, stale marudziła, że jest nierobem i wi-si na jej utrzymaniu. Codziennie wierciła mu dziurę w brzu-

chu pytaniem, czy wreszcie się zdecydował, co ma zamiar robić w życiu. Zgodził się więc na to marne zajęcie, byle tylko uwolnić się od utyskiwań starej. Wkrótce jednak błogosławił tę decyzję, bowiem w Field-Yield, Inc. odkrył dwie wspaniałe rzeczy: nawozy i komputery.

„Gwarantowany Wzrost”, naczelný produkt firmy, znakomicie sprawdzał się na jego nielegalnych poletkach. Lamar wprost kusiło, żeby zostawić dziękczynny list na biurku byłego gubernatora i szefa firmy, J.D. Holbrooke'a, albo wrzucić do skrzynki kontaktowej propozycję występu ze swoimi okazowymi roślinami w sielsko-wiejskich reklamach produktów Field-Yield, Inc.

Ale komputery okazały się jeszcze większą rewelacją.

Od tej pory, kiedy tylko udało mu się zmylić czujność wuja Thaddeusa - co było łatwe, gdyż wuj był stary, powolny i niezbyt bystry - Lamar wkradał się wieczorami do jednego z biur firmy i zasiadał przy komputerze. Tu, dzięki monitorowi i klawiaturze, odkrył swój wymarzony świat.

Zadziwiająco szybko, zaledwie w ciągu kilku nocy, z niewielką tylko wiedzą, jaką wyniósł ze szkoły, zdołał rozszyfrować wszelkie tajemnice programowania i cyberprzestrzeni. Szło mu tak łatwo, że sam się temu dziwił. Czyżby to właśnie on, Lamar, był przysłowiowym komputerowym cudownym dzieckiem, materiałem na genialnego hakera?

Żeglował więc po Internecie i przebiegał infostrady, odkrywając świat, o którym dotychczas nie miał pojęcia. Bły-

* hacker (ang.) - osoba, która korzystając z komputerowej sieci Internet, włamuje się do wewnętrznych sieci komputerowych firm, banków, urzędów i instytucji - (przypr.red.)

skawicznie nadrobił braki edukacyjne i wzniósł się na poziom, o którym nie mógł nawet marzyć przeciętny absolwent prowincjonalnej szkoły średniej. Poza tym, z bystrością urodzonego człowieka interesu, dostrzegał wszelkie możliwe korzyści, płynące ze swego położenia. Nie warto było na przykład mieć własnego komputera, skoro rachunki za połączenia płaciła za niego firma. Zresztą babka momentalnie nabrałaby podejrzeń, widząc w skromnym mieszkanku drogi sprzęt.

Nie niepokoiony przez nikogo, Lamar stworzył własny, ukryty katalog w firmowej sieci komputerowej, gdzie wpisywał wszystkie dane, dotyczące swoich narkotykowych transakcji - daty, miejsca, nazwiska klientów, sprzedane ilości towaru. Jeszcze nie wiedział, na co może mu się przydać taka baza danych, poza tym, że gdyby wpadł, albo gdyby jakiś klient zaczął sypać, nikt nie domyśliłby się, gdzie ma szukać tych informacji. Niektórzy z jego klientów byli Włochami i Lamar byłby tępakiem, gdyby nie zakładał, że mają powiązania z mafią czy nawet z kolumbijskimi kartelami albo jamajskimi gangami, które były o wiele groźniejsze niż stare włoskie Familie. Dla ochrony swoich tajnych danych stworzył więc hasło, które znał tylko on sam, a w ramach dodatkowego zabezpieczenia nagrał wszystko na skradzione z firmy dyskietki, które dobrze ukrył.

- Uaa! Ślicznościowe mam w tym roku krzaczorki! - wykrzyknął, macając rośliny rosnące na opuszczonym polu Farnswortha. - Mmm... będzie co przybuchać - rozmarzył się.

Przechadzając się pomiędzy grządkami z nożem myśliwskim w ręku, bezlitośnie wycinał męskie rośliny, odrzu-

cając je na jeden stos. Później zwoził je z pola i suszył w starej szopie za domem babki. Kiedy dobrze wyschły, kruszył je, mieszał z gorszymi częściami roślin żeńskich, a otrzymany produkt pakował do foliowych torebek.

Tę poślednią mieszankę rozprowadzał w szkołach wśród naiwnych białych szczeniaków, które nie odróżniały, czy pałą prawdziwy grass, czy oregano. Kwiatostany i górne liście natomiast - najlepszy materiał - rezerwował dla stałych, poważnych klientów.

Lamar oderwał wyschnięty na słońcu liść jednej z męskich roślin, ukruszył w palcach, badając, czy jest wystarczająco suchy, a potem pokruszył go do reszty. Wyjął bibułkę, wsypał okruchy, zwinął skręta, poślinił i zalepił krawędź, a potem przypalił i zaciągnął się głęboko. Przetrzymał dym w płucach jak długo zdołał, po czym wypuścił go, krztusząc się i kaszłąc.

- Nie taki najgorszy towar - przyznał, ocierając załzawione oczy. - I nie najlepszy, ale dla tępych gówniarzy szkoda lepszego.

Otworzył bagażnik starego, pordzewiałego wozu i zaczął ładować swoje plony, pogwizdując wesoło. Na moment natężył słuch, kiedy jego uszu dobiegł zbliżający się warkot motocykla. Niezbyt się jednak tym przejął. W razie czego miał w aucie pistolet, a nawet automat, gdyby sprawa okazała się naprawdę poważna.

Czy jednak poza mafijnymi układami, w których i tak ni w ząb się nie orientował, miał się kogo obawiać? Najwyżej Laidlawa i jego zastępcy, Truetta. Ale kto by się tak naprawdę bał tych dwóch palantów, których za ich plecami przezywano Patem i Pataszonem?

Renzo usiłował nie poddać się czarowi pylistych polnych dróg, zielonych łąk i cienistych lasów swojej młodości. Czuł się jak zbrodniarz, który popychany wewnętrznym nakazem wraca na miejsce zbrodni. Miał dotrzeć do domu rodziców Sary, ale jadąc, tak zagłębił się we wspomnieniach, że w sposób nieunikniony droga poprowadziła go do starego kamieniołomu, gdzie po raz pierwszy i jedyny kochał się z Sarą i gdzie zginął Sonny tamtego fatalnego dnia.

Ten dzień był zwykłym dniem tygodnia, a w szkołach trwały letnie wakacje. Młódź oblegała Sideshow, nowo zbudowany park rozrywki, a na jednym z placów znany zespół dawał koncert pod gołym niebem. Zapewne dlatego nad jeziorkiem nie było dosłownie żywej duszy. A może to groźne napisy, których kiedyś nie było, odstraszyły jednak amatorów kąpieli.

„BEZWZGLĘDNY ZAKAZ PŁYWANIA I NURKOWANIA! ŁAMANIE ZAKAZU BĘDZIE BEZWZGLĘDNE I SUROWO KARANE!”.

Tak czy inaczej Renzo miał całe to miejsce dla siebie. Zatrzymał harleya i długo patrzył na piętrzące się skalne zręby.

I na najwyższą platformę, z której spadł wtedy razem z Sonnym. Pamiętał, że był to długi lot.

Nagle, pchany jakimś niezbadanym, ciemnym impulsem, zaczął rozbierać się do naga, rzucając ubranie na stos obok motoru. Na końcu zdjął lustrzane okulary i położył je na wierzchu. W jego ruchach był jakiś szczególny, pełen napięcia spokój.

Chwilę potem ruszył kocimi krokami ku skałom, nagi, jedynie z połyskującym złotym świętym Krzysztofem na szyi.

Wspinał się bez odpoczynku, aż stanął na szczycie i zaczął się rozglądać, jakby spodziewał się coś znaleźć. Oczywiście nie znalazł nic. Spojrzał w dół, przez ułamek sekundy poczuł się nieswojo, tak jak wiele lat temu. Serce podeszło mu do gardła, a krew gwałtownie zaszumiła w uszach.

Koło ucha zabrzęczała mu osa; odgonił ją ręką. W myślach usłyszał strzał. Kula ukaśiła go w bark, aż drgnął od tego żądającego dotknięcia. Nie wiedział już, czy to jawa, czy sen.

Odwrócił się, zobaczył, że stoi za nim Sonny. Usłyszał jego dziwnie odległy i słaby jak poszum wiatru głos: „W takim razie chodźmy, Watsonie...”

- Masz rację, Holmesie - odpowiedział spokojnie, po czym przymknął oczy, wziął głęboki oddech i rzucił się w dół we wspaniałym skoku.

W dół...

W dół...

W dół...

Spadał bez końca. Zanim uderzył w ciemną, mroczną wodę, pomyślał, że chyba upał rzucił mu się na mózg i pewnie się zabije. Pod powiekami zatańczył obraz Sonny'ego, który zmienił się w Sarę w tym samym momencie, w którym Renzo jak nóż wciął się w głębię.

Czuł wodę zamykającą się wokół niego jak chętna kobieta. Otworzył oczy w chwili, gdy wyciągnięte ręce natrafiły na płataninę wężowych korzeni, pragnących uwiezić go i udusić, tak jak kiedyś udusiły Sonny'ego. Ale Renzo wywinał się zręcznie jak ryba i mocnymi uderzeniami nóg wypchnął ciało ku górze.

Serce waliło mu w piersi, płuca rozsadzał ból. Gdy wy-

dostał się wreszcie na oświetloną słońcem powierzchnię, paroma ruchami ramion dopłynął do brzegu i ciężko dysząc, wypełzł na trawę. Gdy zaś oddech mu się wyrównał, odwrócił się na plecy, zakrywając ramieniem oczy przed palącym blaskiem słońca.

- O ja cię kręcę, facet! Totalny odjazd... nie-praw-do-po-do-bny! - Lamarowi Rollinsowi dosłownie opadła szczęka i stał, gapiąc się na Renzo, jakby ten był zjawą z jakiejś narkotykowej wizji. - Słyszałem twoją maszynę, facet, przyszedłem luknąć, co się dzieje. I miałem cholerny fart! W życiu nie widziałem takiego numeru!

- Kim jeteś? - zapytał złym głosem Renzo, podrywając się na nogi.

- Ja? Eee, nikt ważny, facet... proszę pana - powiedział pospiesznie Lamar, rozsądnie odstępując krok do tyłu, kiedy wysoki mężczyzna o twardych splotach mięśni stanął przed nim, patrząc mu groźnie w twarz. - Nazywam się Lamar Rollins i jestem *cool*, totalnie *cool*. Więc wrzuc se luz. Luz, facet. Nie polecę zaraz do szeryfa, spoko.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś.

Spokojnie, nie spieszony swoją nagością, Renzo założył slipki, spodnie i koszulę, tej ostatniej nie zapinając, żeby wyschło mu wilgotne ciało. Sięgnął do kieszeni po paczkę marlboro, zapalił jednego, zaciągnął się chciwie, głęboko, po czym zaczął metodycznie wydmuchiwać kółka z dymu. Przez cały czas spoglądał spod oka na młodego Murzyna. O ile się nie mylił - a rzadko się mylił - Lamar Rollins był po pierwsze naćpany czymś w rodzaju trawy, a po drugie musiał często być na bakier z prawem. Cholera, lepiej być czujnym, pomyślał. Nie miał och-

ty dostać nożem w plecy, gdy usiądzie na harleyu, żeby odjechać.

- To ty, nie? - zapytał nagle Lamar. - Ten dziennikarski pistolet, który przejął „Trib”, zdobył Pulitzera i zabił ukochaną synalka Holbrooke'ow. Wiedziałem to, kurde! Wiedziałem, jak tylko skoczyłeś! Czad, facet. Odlot totalny! Powiedziałem sobie: Lamar, kurde, tylko jeden gość potrafi zrobić coś takiego i przeżyć, a ty właśnie masz go przed nosem. Dobrze mówię? No, dobrze?

- Taak, całkiem dobrze - Renzo rozważał teraz bez pośpiechu, czy powinien ostrzec Lamara, że przez cały czas, odkąd rozmawiali, szeryf Laidlaw robił pieszy obchód kamieniołomu i właśnie zbliżał się do brzegu jeziora. Uznał jednak, że to zapewne o niego, a nie o młodocianego Murzyna chodzi miejscowemu stróżowi prawa.

Gdy więc Laidlaw wynurzył się wreszcie z zarośli, zawołał do niego z udawaną beztroską, która zrobiła kolosalne wrażenie na Lamarze:

- Cześć, Hoag! Po kiego diabła za mną łazisz?

- Żartujesz, chłopcze. A z jakiego powodu ja miałbym za tobą chodzić? - odpowiedział szeryf równie swobodnie, choć spojrzenie miał czujne. - Robiłem zwykły obchód, to wszystko. I podszedłem właśnie wtedy, kiedy skakałeś. Co się, do cholery, z tobą dzieje? Przecież nie jesteś już smaraczem. Nie umiesz czytać?

Pulchna twarz szeryfa była zaczerwieniona, zapewne nie tylko z powodu wysiłku, jakim było dla niego przejście pieszo przez kamieniołom. Mundur miał mokry od potu. Służbowym gestem podciągnął pas, który obsunął się mu na

wielkim brzuszysku, wykarmionym na pączkach we „Fritzen's Kitchen”.

- W ogóle wierzyć mi się nie chce, że miałeś czelność pokazać swoją gębę w naszym mieście po tym, co zrobiłeś. Co chcesz udowodnić? Komu?

Renzo znów zaciągnął się głęboko, myśląc gorzko, że ani kariera, ani prestiżowa nagroda, po której zjadł śniadanie w Białym Domu z prezydentem i największymi tuzami Ameryki, którzy tytułowali go „panem Cassevettesem”, nie mają żadnego znaczenia tu, w jego rodzinnej pipidowie. Bo tu, dla szeryfa, trzęsącego tłustym tyłkiem przed tymi, którzy naprawdę rządzą w tym cholernym mieście, był znów tylko „wszawym makaroniarzem”, do którego można mówić protekcyjnym tonem „chłopcze”.

Uśmiechnął się krzywo. Miał ochotę roześmiać się w głos z tej życiowej ironii, ale ani Laidlaw, ani Lamar nie zrozumieliby, o co chodzi.

- Skąd, nie usiłuję niczego udowodnić, Hoag. Poza tym, że ciągle jeszcze umiem skakać.

- Nie tykaj mnie, dobrze? Żaden Hoag. Dla ciebie jestem szeryf Laidlaw i lepiej, żebyś o tym nie zapomniał. A na wypadek, gdybyś zapomniał, odświeżę ci pamięć. Nie życzymy sobie tu w mieście panoszących się włoskich wszarzy. Ani murzyńskich wszarzy - uzupełnił na użytek Lamara. - Cholernie wielu ludziom w okolicy nie podoba się, że wróciłeś, Renzo. A nie spodoba im się jeszcze bardziej, kiedy się dowiedzą o twoim dzisiejszym numerze. I wcale bym się nie zdziwił, gdyby pomyśleli, że miałeś to wszystko ukartowane i przećwiczone, że podpuściłeś Sonny'ego, wiedząc, że ty wyrobisz się ze skokiem, a on nie.

Co? Przyjechałeś teraz po latach na miejsce zbrodni i z zimną krwią znów powtarzasz swój wyczyn?

- U-hm - mruknął Renzo, nieświadomie imitując Papę Nicka. - Nie wątpię, że o wszystkim im powiesz, Hoag. I to powiesz tak, żeby mieli materiał do przemyśleń. - Rozmyślnie znów zwrócił się do szeryfa po imieniu. - W rewanżu ja też odświeżę ci pamięć. Po śledztwie orzeczono, że śmierć Sonny'ego była przypadkiem, pamiętasz?

- Niestety, nawet cię nie oskarżono - szeryf cedził słowa. Spokój Renzo najwyraźniej doprowadzał go do wściekłości. - Sprawa została umorzona, ale można ją wznowić w każdej chwili. Zresztą mogę cię aresztować nawet teraz - machnął ręką w kierunku tablic ostrzegawczych. - Tym skokiem złamałeś prawo, chłopaczku.

- U-hm. No to aresztuj mnie, Hoag. Chyba że zechcesz odstąpić od tej miłej czynności za... powiedzmy... sto doliców. Dla ciebie to dużo, dla mnie starczy na jeden krawat. To jak, wolisz, żebym ci zapłacił i oszczędził roboty sędziemu Pierce'owi? Bo mi jest wszystko jedno.

- Próba przekupstwa, chłopcze?

- Czy ja coś takiego powiedziałem, Hoag? Lamar, czy przypadkiem słyszałeś, jak usiłowałem przekupić naszego drogiego szeryfa? - szydził Renzo.

- Nie, proszę pana, nie słyszałem.

- Zamknij pysk, Lamar, jeśli chcesz, żebym nie dobrał ci się do tyłka! - warknął szeryf. - Nie wyobrażaj sobie, że możesz być wiarygodnym świadkiem, chłoptasiu! Jesteś gównem, nie świadek! Przez cały cholerny dzień łazisz na haju, a teraz pewnie przyjechałeś, żeby pielnić te swoje półka. Założę się, że cały kufer tego pieprzonego grata wypchany jest zielskiem!

- Marzenia, szeryfie! - odpowiedział bezczelnie Murzyn. Postawa Renzo dodała mu odwagi, na którą normalnie by się nie zdobył. W jego kręgach aż za dobrze znano wściekłe ciosy pałki Laidlawa. - Taki głupi to ja nie jestem. O ile sobie przypominam, ostatnim razem, kiedyście z tym Pataszonem zrobili rajd na moje pola, poszedł z dymem cały zagon Oakesa. Nie był szczęśliwy z tego powodu.

Szeryf wyglądał tak, jakby za chwilę miał eksplodować. Na czole nabrzmiała mu paskudna, niebieska żyła, ręka odruchowo sięgnęła do pałki u pasa. Lamar czujnie odskoczył, ale ku jego zdumieniu, Renzo nie mrugnął nawet okiem, nie napiął ani jednego mięśnia.

- Nie robiłbym tego na twoim miejscu, Hoag - ostrzegł tylko łagodnie rozwścieczonego szeryfa. - Jesteś przynajmniej dwadzieścia pięć lat starszy i w nie najlepszej kondycji. Nie jestem pewien, czy po długim locie ze skały nie zaplątałbyś się nieszczęśliwie w te same korzenie, co świętej pamięci Sonny.

Ku satysfakcji i rozbawieniu Renzo, w oczach szeryfa pojawił się strach.

- Grozisz?!

- Lamar, słyszałeś może, że groziłem szeryfowi?

- Ależ skąd, proszę pana! - Lamar wyszczerzył białe zęby w uśmiechu. Jak mógł się nie śmiać, widząc szeryfa, który bał się teraz tak, jak przez wiele lat bali się go czarni mieszkańcy miasteczka?

- Ostrzegam cię, Renzo! Od tej pory radzę ci uważać na każdy krok. I tobie też, Lamar. Albo obaj wylądujecie u mnie na dołku - i mam dziwną pewność, że skończycie jako więźniowie-samobójcy albo uciekinierzy zastrzeleni

w czasie próby ucieczki! - odciął się szeryf, po czym odalił się, mamrocząc coś gniewnie pod nosem.

Renzo patrzył za nim zmrużonymi oczami, myśląc, ilu takich Lamarów Rollinsów wykończyli policjanci w stylu Hoaga Laidlawa.

- Kurde! Facet, ale mu dałeś! - Lamar aż jęknął z zachwytu, gdy zostali sami. - Byłem pewien, że tylko dwóch ludzi w tym mieście potrafi postawić na baczność tę beczkę sadła - stary Holbrooke i Papa Nick Genovese. Ale ty, kurde, też jesteś gość!

- Synu, tak naprawdę nauczyłem się w życiu tylko jednej rzeczy: że pieniądze potrafią przemawiać, a gówno - chodzić. A teraz najlepiej będzie, jeśli się stąd zmyjesz, a ja obstawię ci tyły na wypadek, gdyby stary zasadził się gdzieś na ciebie w krzakach. Pewnie myślisz, że jesteś niegłupi, może to i prawda, ale dla Laidlawa i takich jak on liczy się tylko to, że jesteś dzieciakiem, który miał nieszczęście urodzić się w niewłaściwej części miasta, z niewłaściwym kolorem skóry, zupełnie jak kiedyś ja. Dlatego jeśli skończysz gdzieś w kopalnianym szybie, z rozbitym głową, poświęcę ci najwyżej dwie linijki w mojej gazecie. Wiem, że to nie fair, ale takie jest życie, synu. Jeśli chcesz mojej rady - a mam nadzieję, że jesteś niegłupi i szybko zrozumiesz te mądrości - to rzuć w diabły te swoje poletka, zdobądź wykształcenie i zawód, choćbyś miał wypruć sobie żyły. Wtedy dopiero będziesz mógł stawiać się takim bydlakom jak Laidlaw. Inaczej w najlepszym wypadku wyładujesz za kratkami. *C'est la vie, amigo.*

- Dobra, skoro tak mówisz... - Lamar wzruszył ramionami, rozczarowany, że jego idol tak brutalnie zburzył mit, który zaczął sobie stwarzać na jego temat. - No to spadam.

- Spadaj. - Renzo zapiał koszulę, włożył buty, odczekał jeszcze chwilę i wskoczył na motor.

Wkrótce potem stanął pod starym, białym domkiem Kincaidów, który kiedyś był ładnie utrzymany, a teraz z zaciekami i obłazującym tynkiem wyglądał jak żałosna ruina. Zaniedbany ogródek i trawnik zarosły chwastami. Trójka smutnych, brudnych dzieci - najstarsze miało jakieś cztery lata - bawiła się na wydeptanej ziemi w cieniu starego dębu.

Ten widok napełnił Renzo smutkiem. Pomyślał o Sarze, mądrej, pięknej Sarze, która musi żyć w taki sposób, zdegradowana do roli kuchty i maszynki do rodzenia dzieci. Wyobraził sobie, że wyszła za jakiegoś tępego brutala, który za dnia haruje, a wieczorami upija się, bije i gwałci - i uznał, że w takim przypadku wolałby chyba widzieć ją martwą albo poślubioną Bubbie Holbrooke'owi. Takie życie znał z własnego dzieciństwa. Nie życzył go nikomu.

Z ponurą twarzą zaparkował motocykl na skraju piaszczystej drogi i ruszył w kierunku domku.

- Hej! - zawołał do dzieci. - Czy jest wasza mama?

- Jest w domu - odezwała się najstarsza dziewczynka, bardziej rezolutna niż reszta. - Mam ją zawołać, proszę pana?

- Tak, proszę.

Dziecko zniknęło w sieni, a po chwili z wnętrza wyłoniła się kobieta z niemowlęciem na rękę i następną pociechą w wielkim brzuchu. Stopy miała bose i brudne, a na sobie znoszoną letnią sukienkę. Luźne kosmyki dawno niemytych, wypłowiałych na słońcu włosów wymykały się z niechlujnie skręconego wężła, podkreślając chudość nerwowej twarzy z podbitym okiem. Na rękach i nogach widać było siniaki.

- W jakiej pan sprawie? - zapytała zmęczonym głosem, wpychając dziecku do buzi brudny smoczek.

- Mam nadzieję, że pani będzie mogła mi pomóc. Szukam rodziny, która kiedyś tutaj mieszkała, Kincaidów. Jestem ich dawnym znajomym, ale wyjechałem z miasta dwanaście lat temu i straciłem z nimi kontakt. Może wie pani, co się z nimi stało, dlaczego sprzedali dom i gdzie ich można teraz znaleźć?

- Hmm, niewiele wiem. W każdym razie agent, który pokazał nam to miejsce, powiedział Eddiemu - to znaczy mojemu mężowi - że pan Kincaid umarł dawno temu na atak serca, a jego żona mieszkała tu jeszcze parę lat, ale potem pogorszyło się jej zdrowie. Miała też kłopoty z głową, więc przeniosła się do domu opieki. Zdaje się, że do Woodlands. Może tam pan sprawdzi.

- Dziękuję. Aha, Kincaidowie mieli też córkę, Sarę... Sarę Beth. Powinna mieć teraz dwadzieścia dziewięć lat. Może przypadkiem wie pani coś o niej?

- Sara Beth, mówi pan? Hmm. Możliwe, że kupiła tę starą farmę Lovella za łąkami. Ale dobrze nie pamiętam. Przepraszam, ale chyba nic więcej panu nie pomogę.

- Dzięki i za to. I tak mi pani pomogła. Jestem naprawdę zobowiązany. - Sięgnął po portfel do tylnej kieszeni, wyjął z niego nowiutki studolarowy banknot i wręczył go kobiecie. - To za kłopot, proszę pani. Tylko tyle mogę dla pani zrobić - uśmiechnął się nieśmiało, jak zawsze, gdy wiedział, że nie jest w stanie odmienić czyjegoś losu, a tylko tak, doraźnie, może ulżyć w nieszczęściu.

Kobieta wpatrywała się w pieniądze, jak gdyby nie mogła uwierzyć, że są prawdziwe.

- Ja... ja nie mogę tego przyjąć - wyjąkała, zaciskając jednocześnie banknot w rękę.

- Przeciwnie! Zależy mi, żeby zachowała go pani dla siebie i dla dzieci, rozumie pani?

- Eddie... gdyby Eddie odkrył, że ukrywam przed nim...

- Czytała pani może „Przeminęło z wiatrem”?

- Nie, mało czytam.

- W każdym razie bohaterka tej powieści, Scarlett O'Hara, musi w pewnym momencie szybko ukryć pieniądze przed mężczyzną. I znajduje takie miejsce, do którego nie przyjdzie do głowy zajrzeć żadnemu chłopu - chowa pieniądze w pieluchę dziecka. Aha, i jeszcze jedno. Proszę powiedzieć mężowi, że pewien włoski dżentelmen odwiedził dziś jego dom i kazał mu przekazać, żeby zaczął lepiej traktować panią i dzieci, jeśli nie chce na zawsze stracić pracy w Genovese Coal Mining. O ile nie spotka go jeszcze coś gorszego...

Pożegnał się szybko, odwrócił i odjechał z piskiem opon, kipiąc z wściekłości na myśl o facetach pokroju owego Eddiego. Przecież to mogła być Sara, pomyślał, omal nie zgrzytając zębami.

Po chwili zdał sobie sprawę, że jest głodny i spragniony, więc zajechał do przydrożnej, połączonej ze sklepem gospody, która odkąd pamiętał, stała na rozstaju dróg.

I stała nadal, a nawet niewiele się zmieniła. W tym mieście czas rzeczywiście płynął wolniej. Renzo ze wzruszeniem wszedł na drewnianą, biegnącą przez cały front niskiego budynku werandę, zastawioną prostymi, farmerskimi stołami i topornymi krzesłami. Dziwnie kontrastował z nimi nowiutki automat do coli.

Kupił karton sześciu piw i dwie kanapki z salami, które pochłonał natychmiast. Siedząc na werandzie, patrzył, jak słońce zaczyna chylić się za horyzont, rozpalając krajobraz pomarańczowym płomieniem. Ale sporo jeszcze brakowało do zapadnięcia ciemności. Miał czas.

Wykorzystał go, wyprowadzając harleya na starą, tak dobrze znaną mu drogę, którą chodzili kiedyś z Sarą do domku na drzewie.

„Stara farma Lovellow...”

Nawet teraz słowa te brzmiały dla niego jak muzyka. Przypomniawszy sobie, że Sara uwielbiała tę posiadłość oraz ów domek, który zbudował jej ojciec na starym sykomorze, rosnącym na skraju należącej do Lovellow łąki. I widocznie nadal je lubi, stwierdził ze zdumieniem, widząc, że domek musiał być konserwowany, gdyż nie zgnił, a przybite do pnia szczeble są nowe. Bez obaw wspiął się po nich do środka.

W środku nie znalazł nikogo i poczuł rozczarowanie z tego powodu. Czy to jednak nie śmieszne, że podświadomie spodziewał się zastać tam swoją Sarę, że marzył o tym, by poczuć ulotną woń jej ciała i perfum, spróbować językiem smaku ust i skóry?

Westchnął i powoli zszedł na dół. Usiadł, oparty plecami o pień, i oparł głowę na kolanach. Nagle poczuł cały ciężar tych dwunastu minionych lat. Zapalił papierosa, potem jeszcze jednego. Długo siedział, zatopiony we wspomnieniach, a podniósł się dopiero wówczas, gdy zaczął zapadać zmrok.

Nogi same poniosły go w stronę starej farmy, przez łąkę, pomiędzy drzewa, wyznaczające krawędź należącego do po-

siadłości trawnika. Słodka, szalona woń kapryfolium przenikała wieczorne powietrze.

Dom był prawie taki sam, jakim go zapamiętał, gdy pokazywała mu go Sara. Zmieniła się tylko góra. Tam, gdzie dawniej były tylko pojedyncze przeszkolone drzwi na taras, pojawiły się teraz szerokie okna i drzwi balkonowe z prawdziwego zdarzenia. Widać jednak było, że przebudowę przeprowadzono starannie, z całym szacunkiem dla starej, stylowej budowli.

Zawieszona na tarasie dzwoneczki dźwięczały cichutko i melodyjnie w łagodnych powiewach wieczornego wiatru. Pomyślał, że są bardzo w stylu Sary i że Sara musi je lubić. Musi je lubić, ponieważ sama tu jest. Jest, mieszka, toczy swój żywot. Mówił mu to instynkt. Czuł jej obecność, wiedział, że sypialnia, do której wstępu złym duchom broniły dzwonki, należy właśnie do niej, Sary Kincaid, jego Sary.

Gdy zaś o tym myślał, przeszkolone drzwi otworzyły się i pojawiła się w nich ona, Sara we własnej osobie. Wyszła na taras w samej tylko nocnej koszuli, tak powiewnej i delikatnej, że Renzo mógł dostrzec zarys nagiego ciała. Od ruchowo wciągnął powietrze na ten widok. Była jeszcze piękniejsza niż ją zapamiętał, z aureolą srebrnego księżycowego światła wokół włosów, otaczających połyskliwą gęstwą śliczną twarz, zwróconą ku nocnemu niebu.

- Sara - wyszeptał chrapliwie Renzo. - Och, Sara...

Nie wiadomo, czy to nocny wiatr poniósł te słowa do jej uszu, czy tylko przypadkiem zabłądziła spojrzeniem z rozgwieżdżonego nieba ku linii starych drzew, wśród których stał on, skryty w ciemnościach. Tak czy inaczej otworzyła usta, jakby z zaskoczenia czy lęku, a potem wycofała

się szybko do wnętrza domu i zamknęła za sobą drzwi. Za chwilę zgasło światło.

Tej nocy Renzo nie miał koszmarów. W swoim mieszkaniu na strychu śnił o Sarze. Kochał się z nią, wchodził w nią, aż drżała i krzyczała z rozkoszy, a potem wtulała się w jego ramiona. Przygarniał ją do siebie i scałowywał z jej twarzy łzy, błyszczące na policzkach w księżycowej poświacie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

„Spichlerz”

*Wszak tam podróży miłosnej szranki,
Gdzie swej kochanek dobiegł kochanki,
To wiedzą starce i dzieci.*

William Szekspir, *Wieczór Trzech Króli*
(przełożył Leon Ulrich)

Tego wieczoru, kiedy Renzo Cassavettes stanął w ciemnościach na trawniku nieopodal jej domu, Sara zrozumiała w pełni, że więzy, - które połączyły ich już w dzieciństwie, są cały czas mocne, równie mocne jak kiedyś.

Wciąż czuła jego płonące spojrzenie, które dosłownie rozbierało ją do naga. Zdawało jej się, że płonie i drży, zupełnie jakby posiadał ją nagle ktoś, o kim śniła w mrocznych, erotycznych fantazjach. Przeczuwała coś i spodziewała się czegoś z przerażającą, przyprawiającą o zawrót głowy siłą. A przecież wypiała tylko dwa kieliszki czerwonego wina, tylko o jeden więcej niż to, na co zwykle pozwalała sobie wieczorem.

Położyła się do łóżka, licząc, że rano wszystko okaże się tylko snem, ale już po chwili ze zgrozą stwierdziła, że

jej własne ręce błędzą po ciele, niecierpliwie zadzierając koszulę, pieszcząc piersi, a potem sięgając między uda, gdzie w palącej wilgoci rodził się nieznośny węzeł pożądania.

Momentalnie ochłoneła, przerażona myślą, że przez ponad dziesięć lat uważała się za kobietę zdolną kontrolować swoje życie i emocje - a tymczasem jedna ulotna chwila wystarczyła, by wszystko, jak w magicznej sztuczce, okazało się tylko iluzją.

Obudziła się niespokojna, dręczona pytaniami, domysłami i obawami. Co robił Renzo w nocy koło jej domu? Szpiegował? Skoro tak, to jest tylko kwestią czasu, by dowiedział się o Aleksie. Może zresztą już wie? Przecież zrobił karierę jako reporter wyciągający na światło dzienne to, co najstaranniej ukrywano. Jeśli planował odebranie jej dziecka, z pewnością postarał się wcześniej zebrać potrzebne mu informacje, przeprowadzając prywatne śledztwo.

W rozpaczliwej potrzebie szukania pociechy i wsparcia Sara postanowiła zadzwonić do swojej przyjaciółki Liz Tyrrell. Po ukończeniu szkoły Liz zrobiła dyplom prawnika, a obecnie była żoną pierwszego eks-małżonka Eveline Holbrooke, Parkera Delaneya. Wybrała „męża z odzysku” i udowodniła, że jest dla niego o wiele lepszą życiową partnerką niż Evie. Liz i Parker zostali młodszymi partnerami w prawniczej firmie jego ojca - Delaney, Pierce & Langford.

Gdy tylko usłyszała głos przyjaciółki, Liz natychmiast wyczuła w nim rozpacz, toteż postarała się wykroić ze swojego napiętego planu tygodnia czas na spotkanie. Umówiła się z Sarą następnego dnia na kolację i parę drinków w „Spichlerzu”.

Budynek, w którym mieścił się ów lokal, rzeczywiście służył kiedyś za zbożowy spichlerz. Później przebudowano go, przystosowując do nowej funkcji, ale zachowując starą fasadę. Tak powstała najmodniejsza knajpa w okolicy. Tu właśnie ściągali rzutcy młodzi ludzie, którzy zaczęli mieć coś do powiedzenia w mieście, a którym nie odpowiadała zatęchła atmosfera miejscowego country klubu, niewybredność robotniczego „Steak'n 'Baked”, ponury klimat zapuszczonego „Kewpie-Doll Lounge” czy przyprawiający o ból głowy hałas „Rowdy Roadhouse” - zajazdu przy autostradzie i prawdziwej mekki motocyklistów, kierowców ciężarówek i górników.

I tak oto następnego wieczora obie przyjaciółki spotkały się przy dyskretnie ustawionym stoliku, odizolowanym - zgodnie z zamówieniem - od głośnego tłumku przy barze.

Sara sączyła zimny i cierpki koktajl, który zamówiły zgodnie obie, i nie bardzo wiedziała, jak zacząć.

- Uff... potrzebuję porady prawnej, Liz - wyznała wreszcie i spojrzała przyjaciółce w oczy. - Chodzi o... mojego syna.

- O Alexa? Kochana, chyba nie chcesz powiedzieć, że zadarł z prawem? - Lucy zmarszczyła starannie wyskubane brwi.

- Dzięki Bogu, nie jest aż tak źle. - Sara zmusiła się do uśmiechu. - Z nim wszystko w porządku, martwi mnie tylko jego ojciec. Obawiam się, że... że on po prostu będzie chciał mi go odebrać.

- Co? - Liz otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, a potem, ku zaskoczeniu Sary, wybuchnęła śmiechem. - Wybacz, kochana - wykrztusiła wreszcie - widzę, że masz

poważną minę, ale naprawdę nie mogę zrozumieć, w czym problem. Przecież... nie obraż się tylko... przecież nie wiesz, kim jest ojciec Alexa. Wpisałaś do metryki urodzenia „ojciec nieznany”, prawda? Tak przynajmniej mówiło się w mieście.

- Tak, wpisałam. Ale na miłość boską, Liz, przynajmniej ty nie mów, że uważasz mnie za idiotkę, która puszcza się z pierwszym lepszym, nie znając nawet jego imienia! W szkole byłaś moją najlepszą przyjaciółką i nadał nią jesteś. Wierz mi, miałam swoje powody, żeby nie chcieć, by to miasto dowiedziało się, kim jest ten człowiek.

- Przepraszam, staruszko - powiedziała Liz szczerze i poważnie. - Nie chciałam cię urazić. Wiesz co? Proponuję, żebyśmy mówiły tylko o konkretach. Więc po kolei - czy ojciec Alexa wie, że ma syna?

- Gdybyś mnie o to spytała jeszcze niedawno, powiedziałabym, że nie. Ale teraz nie jestem już tego pewna. - Sara w zamyśleniu mieszała słomką koktajl. - Mam powody, by przypuszczać, że dowiedział się o nim albo wkrótce się dowie. Nie, nie pytaj. Wolę nie mówić, kto to.

- W porządku - Liz w zawodowym odruchu powstrzymała ciekawość, szanując prawo klienta do tajemnicy. - Na razie zatem odłóżmy na bok kwestię tożsamości ojca dziecka. I przyjmijmy robocze założenie, że dowiedział się on o jego istnieniu. Zanim jednak podejmie jakiegokolwiek próby odebrania ci Alexa, będzie potrzebował dowodów ojcostwa. Czy dysponuje nimi?

- Nie. Na razie byłoby tylko jego słowo przeciw mojemu. Ale są przecież testy DNA pozwalające ustalić ojcostwo, prawda?

- Owszem, ale musiałyby przedstawić wiarygodne powody, na których opiera swoje przypuszczenia odnośnie tego ojcostwa. Rozumiesz, musi być wyraźna potrzeba, żeby poddać się takim testom. Może mieć takie powody?

- Tak. - Sara przyznała to niechętnie, z niepokojem myśląc o rosnącym podobieństwie Alexa do Renzo. - Najprawdopodobniej tak.

- Dobrze. Powiedzmy, że przekona sąd, żebyście ty i dziecko poddali się testom, i że zrobi je sam. Powiedzmy, że jego ojcostwo zostało bezdyskusyjnie udowodnione. Nawet w takim przypadku ojciec Alexa będzie musiał przekonać sąd, że ma uzasadnione powody, by pozbawić cię opieki nad dzieckiem i przejąć ją samemu. Będzie musiał na przykład udowodnić, że nie nadajesz się na matkę. A do tego raczej nie dojdzie, kochana, mogę cię zapewnić. Dlatego najlepszą radą, jaką mogę ci dać jako prawnik i przyjaciel, jest ta, żebyś po prostu przestała sobie zawracać głowę takimi problemami. Szkoda czasu.

- Och, Liz, jesteś pewna? - W zielonych oczach Sary ciągle tkwiło napięcie. - Bo nie zniósłabym, gdyby zabrał mi Alexa. Wszystko, ale nie Alexa.

- Wiem. I jestem pewna, Sara, że ci to nie grozi. No, uśmiechnij się!

- Nie przeszkadzamy? Bo wyglądacie, jakbyście dyskutowały o jakichś cholernie poważnych problemach. - Przy ich stoliku stanęła Dody Carpenter w towarzystwie Krystal Watkins. - Co u was, dziewczyny? Kopę lat minęło od czasu, kiedy wyniosłyście się z Miners Row i poszłyście w górę. Łatwo się zapomina o starych znajomych, co? - głos „Dodo” świadczył, że trochę już wypila. Nie umiała

ukryć gorzkiego tonu zazdrości, choć uśmiechała się do nich niby życzliwie. Po ukończeniu szkoły Dody zaczęła pracować jako sekretarka w Genovese Mining Co., pozostając w Miners Row. Nie wyszła też dotąd za męża.

- Hej, Sarah, hej, Liz. Chodź, Dody. - Kry stal potrząsnęła koleżankę za ramię, zawstydzona jej zachowaniem. - Robi się późno. Musimy jechać do domu, naprawdę trochę przesadziłaś.

. - Och, nie truj, Kry stal. Nieczęsto mamy okazję bywać w takim miejscu, a jeśli w dodatku spotkałyśmy tu naszą starą paczkę, to musowo trzeba to uczcić. Zresztą jest dopiero dziewiąta. Siadaj! - Dody, ignorując swą przyzwoitkę, usadziła tłustawę jak dawniej ciało na wolnym miejscu. - Bo wiecie, dziewczyny, obchodzimy dzisiaj z Kry stal małe święto. Dostała podwyżkę w klinice!

- Kry stal, gratulacje! - wykrzyknęła Sara, szczerze ucieszona. Kry stal, która po szkole poszła na studium pielęgniarstwa, wyszła za Juniora Barlowa, który został właścicielem jednej ze stacji benzynowych w mieście. - Dody ma rację, musimy to uczcić. Właśnie skończyłyśmy rozmawiać z Liz o różnych nudziarstwach związanych z kampanią Holbrooke'a, więc chętnie powspominamy dawne czasy - skłamała, rzucając Liz ostrzegawcze spojrzenie.

- Właśnie - przyświadczyła posłusznie Liz. - Przepisy są nudne, zwłaszcza te cholernie szczegółowe, dotyczące reklamy polityków w mediach. Zdaje się, Kry stal, że trafiłaś w miejsce, gdzie umieją dbać o pracowników?

- Owszem, klinika ma dobre wyniki. Ale ja też musiałam sobie zapracować na te pieniądze. Brałam wszystkie możliwe dyżury i nadgodziny, bo u nas zawsze brakuje per-

sonelu - tłumaczyła Krystal, podczas gdy Dody zamawiała nowe drinki dla wszystkich. - Po prostu nie mamy żadnej wspierającej nas fundacji, wymaganej do zatrudnienia większej ilości personelu. Szkoda. Nawet nie wiecie, ilu w tym nie tak wielkim w końcu mieście jest biednych ludzi wymagających poważnego leczenia. Niestety, tak właśnie jest. Najgorsze są dzieci. Upośledzone fizycznie, psychicznie, albo od razu oba przypadki na raz. Strasznie to przygnębiające.

- Co się dziwić, Krystal - pewnie ich matki piją albo ćpają, albo, co gorsza, są prostytutkami chorymi na AIDS. Większość ludzi, których leczycie w tej twojej klinice, jest na zasiłkach, bezrobociu albo kuponach żywnościowych, co? - zapytała zgryźliwie Dody, która najwyraźniej uważała, że pomoc od rządu otrzymują tylko nieroby i narkomani.

- Owszem, wielu z nich - przyznała Krystal. - Ale mnie zastanawia inna sprawa. Statystycznie biorąc, trochę za dużo mamy tutaj nieuleczalnych chorób, różnych deformacji i upośledzeń. Część z nich z pewnością wynika z nędzy i nieświadomości, ale myślę, że... cóż, nie bez winy jest nasz przemysł, kopalnie Genovesego i Field-Yield, Inc. Wiem, wiem, to najwięksi pracodawcy w mieście, może jeszcze fabryka psiej żywności. Ale wdychanie przez cały dzień węglowego pyłu, nawozów i smrodu zwierzęcych resztek nie może być bez wpływu na zdrowie. Zresztą, Bóg jeden wie, co wydobywa się z ziemi razem z węglem i jakie chemikalia z nawozów przenikają do gleby. Albo jakie bakterie z tych wszystkich starych krów, kur i koni uwalniają się przy produkcji psiej karmy.

- To prawda, Krystal - powiedziała Liz w zamyśleniu.

Jej prawniczy umysł już intensywnie pracował. - Ale przecież przemysł musi przestrzegać przepisów dotyczących zdrowia i ochrony środowiska. Zakłady są okresowo kontrolowane przez inspektorów.

- Wiem, że przynajmniej Field-Yield, Inc. przechodzi surowe kontrole - wtrąciła Sara, sącząc przez słomkę drugi koktajl. - Poza tym pracownicy z produkcji i magazynów, ci, którzy mają stałą styczność z chemikaliami, muszą nosić okulary ochronne, maski i rękawice.

- Podobnie jest w kopalniach Genovesego - poinformowała Dody. - Krystal, czy naprawdę myślisz, że Papa Nick albo Holbrooke chcieliby mieć na karku rządowe kontrole? Że chcą ryzykować jakieś kary za zatruwanie środowiska? Zwłaszcza gdy jeden z nich startuje do senatu? Gdyby dostał się z tego powodu na pierwsze strony gazet, jego kariera byłaby skończona! Gdyby miał zdechłego kota zakopanego w ogródku, dawno znalazłby się ktoś, kto by tego kota wykopał. A najgorszą rzeczą, jaką słyszałam o fabryce psiego żarcia - oczywiście poza starą sprawą Jimmy'ego Hoffy - było to, że jakiemuś robotnikowi krajalnica obcięła kciuk i dwa palce. Bez przesady, takie ku-ku może sobie zrobić każdy facet tnący deski piłą na podwórku!

- Zapewne masz rację - odparła z wolna Krystal. - Może po prostu za dużo widzę tych strasznych przypadków, zwłaszcza wśród dzieci. Ostatnio mieliśmy na przykład taką małą dziewczynkę... nazywa się Keisha Rollins. Babcia przyprowadziła ją z jakimś przeziębieniem, nieważne. Chodzi o to, że Keisha jest opóźniona w rozwoju. Ma osiem lat, a nie potrafi nawet wymówić poprawnie swego imienia! Babcia mówiła, że uszkodzenie nastąpiło przy porodzie, ale

założę się, że matka, będąc w ciąży, piła albo szprycowała się jakimś świństwem. Poza tym wątpię, czy przez te dziewięć miesięcy w ogóle była choć raz u lekarza. Złe warunki życia też pewnie się do tego dołożyły. Aha, matka jest oczywiście panną, a ojciec - nieznany. O, Jezu, Sara, przepraszam! - sploszyła się nagle. - Nie miałam na myśli...

- W porządku, Krystal - powiedziała Sara w ciszy, która nagle zapadła. - Może i jestem samotną matką, może ojciec Alexa jest nieznany, ale nikt chyba mnie nie oskarża o zaniedbywanie dziecka i hulawczy tryb życia.

- Ależ skąd! - zaprzeczyła energicznie Liz.

- Słuchajcie, robi się ciemno, a ja naprawdę muszę wracać do domu. - Krystal znacząco zerknęła na zegarek. - Junior nie jest najlepszą niańką, więc wolę nie zostawiać go za długo z dziećmi. I tak już pewnie rozniosły mi dom.

- Dobra, Krys, w takim razie jedziemy - westchnęła Dody, ciężko podnosząc się z kanapki. - Ponieważ nie chce mi się brać taksówki, muszę z nią jechać, bo wysadzi mnie przy domu - wytłumaczyła Liz i Sarze. Wyraźnie jednak miała ochotę zostać na jeszcze jedną kolejkę.

- Je też muszę już lecieć - oznajmiła pospiesznie Liz. - Obiecałam Parkerowi, że przejrzymy razem raporty. Wyjść z wami. Sara, ile jestem ci winna?

- Nic. Dziś ja stawiam. Wam wszystkim - dodała Sara, biorąc rachunek, włożony przez kelnerkę między skórzane okładki menu. - I dzięki za poradę, Liz.

- Nie ma za co, kochana. Postawiłaś mi kolację, więc nie wystawię ci rachunku. Jesteśmy kwita, okay? Do zobaczenia!

- Cześć, Sara! - zawołały przez ramię Krystal i Dody.

Kiedy odeszły, Sara zaczęła szperać w torebce w poszukiwaniu karty kredytowej. Musiała jej użyć, gdyż przybiegła na spotkanie z Liz zaraz po pracy i nie zdążyła pobrać gotówki w bankomacie.

Znalazłszy ją wreszcie, czekała chwilę, aż nadejdzie kelnerka z pełnym, uzupełnionym o dodatkowe koktajle rachunkiem. Rozejrzała się dyskretnie wokół. Mimochodem stwierdziła, że gości znacznie ubyło i że skupiają się teraz głównie przy barku. Zerknęła na zegarek - była prawie dziesiąta wieczorem.

Pochyliła głowę nad szklanką, nie chcąc, by namierzył ją któryś z barowych łowców przygód, szukających towarzystwa na resztę nocy, i myślami powróciła do rozmowy z Liz.

- Hej, Sara.

Przez jej plecy przebiegł naraz długi, powolny dreszcz.

Ten niski, jedwabisty głos rozpoznałaby zawsze i wszędzie. Rozpoznałaby, bo słyszała go w snach przez ponad dziesięć lat.

Teraz omal nie zemdląła, gdy dobiegł do niej z tak bliska. Dłonie zaczęły jej drżeć, więc zacisnęła je na szklance, dziwiąc się, że jeszcze jej nie zgmiotła. Policzki zapłonęły ogniem, serce zaczęło gwałtowny taniec. Przez długą chwilę musiała walczyć z rozszalałymi emocjami, zanim wreszcie ośmieliła się podnieść wzrok i spojrzeć mu w twarz.

- Hej, Renzo - powiedziała z dobrze udawanym spokojem, choć włos jej się jeżył na głowie na myśl o tym, co mógł usłyszeć z zakończonej przed chwilą rozmowy czterech przyjaciółek.

Gdy jednak tylko go ujrzała, problem ten stał się mało istotny. Teraz liczył się tylko Renzo, jego twarz, niepewny uśmiech, spojrzenie.

Był jeszcze bardziej oszałamiająco przystojny niż pamiętała. Lata dodały głębi i wyrazistości młodzieńczej niegdyś twarzy. Zniknęła kanciastość postaci, sprężyste, umięśnione ciało uzyskało klasyczne proporcje, podkreślane przez kocie ruchy drapieznika. Niebezpiecznego drapieznika, pomyślała z lekkim drżeniem.

Lśniące czarne włosy, dosyć długie i sfalowane, okalały ramą twarz o szlachetnie rzeźbionych rysach. W kąciakach oczu pojawiły się niewielkie zmarszczki, a wokół zmysłowych, pięknie wykrojonych ust zaznaczyły się bruzdy, co nadało jego urodzie prowokacyjnego uroku mądrej dojrzałości. Renzo Cassavettes miał na sobie drogi garnitur w europejskim stylu i śmieźnobiałą koszulę, ale bez krawata, za to z otwartym kołnierzykiem, z którego wзираła śniada szyja.

- Nic się nie zmieniłaś, Sarenko - powiedział cicho. - Nic a nic. Co najwyżej wypiękniałaś. No i pojawiło się w tobie coś, czego nie znałem, coś szlachetnego i nieuchwytnego, jak u bajkowych księżniczek, które tak lubiłaś. Może nie mieszkałaś przez ten czas w zwykłym świecie śmiertelników, ale w zaczarowanej wieży, czarodziejskiej krainie. Zamyślona księżniczka, czekająca na... Właśnie. Na co, Sarenko? Na księcia z bajki? Na rycerza w lśniącej zbroi?

Dawno, bardzo dawno temu był dla niej i jednym, i drugim. Czyżby z rozmyślnym okrucieństwem przypominał jej teraz ich młodzieńcze zabawy?

- Nie wiem, o czym mówisz, Renzo - próbowała go zbyć, przestraszona, że po tylu latach nadal potrafił ją rozszyfrować.

Rzeczywiście czuła się jak Śpiąca Królewna, która zasnęła kiedyś, zaczarowana na długie lata, a teraz właśnie się obudziła. W ostatnim przeblysku trzeźwego myślenia pożałowała, że zamówiła drugiego drinka, który zamieszał jej w głowie.

- Pozwolisz się przysiąc? - zapytał, wpatrując się w nią intensywnym spojrzeniem ciemnych oczu, które przeczyło lekkości tonu.

- Jest późno. Właśnie miałam jechać - mruknęła, sięgając odruchowo po torebkę i przeklinając w duchu opiekującą kelnerkę, która nie nadeszła jeszcze z rachunkiem.

Czuła, że wszystko jest nie tak. Nie tak, jak miało być; jak mogło być; jak być powinno.

Jak to, powinno?

Przecież porzuciła wszelką nadzieję, że jeszcze kiedyś...

Nie! Nie porzuciła jej nigdy. Tak naprawdę marzyła o tym spotkaniu od lat, a teraz, kiedy wreszcie do niego doszło, okazało się, że jest nieszczęśliwa, oszołomiona, zagubiona. Była wystraszoną małą myszką, a nie lodowato spokojną, szyderczą i dumną *femme fatale* z tej sceny, którą tyle razy przećwiczyła sobie w wyobraźni.

- Czekam tylko na rachunek - wyjaśniła, z trudem przełykając ślinę.

Zaczęła podnosić się z kanapki, lecz Renzo szybkim ruchem przysunął się do niej, blokując wyjście. Sarę ogarnęła panika, tym większa, że ramię Renzo przesunęło się podstępnie za jej plecy.

- Tylko mi nie mów, że o północy zamienisz się w dynię, bo ci nie uwierzę - zaśmiał się do niej i do dziecięcych wspomnień.

- N-nie, ale... - w ostatniej chwili ugryzła się w język, bo czar już zaczął działać i miała właśnie powiedzieć: „ale twój syn czeka na mnie w domu”. Zamiast tego powiedziała: - ...ale mam jeszcze robotę na jutro - i znów uniosła się lekko, dając do zrozumienia, że chce wyjść.

- Naprawdę? - Renzo uniósł gęstą brew w sceptycznym grymasie. - A ja myślałem, że tylko pracoholicy i dziennikarze pracują w soboty.

- Tak się złożyło, że oprócz pracy w Field-Yield, Inc., odpowiadam za reklamę i promocję w kampanii J.D. Holbrooke'a, więc mój plan zajęć jest bardzo napięty - wyjaśniła drętwą i z ulgą spostrzegła nadchodzącą wreszcie kelnerkę. Zdziwiła się, widząc, że zamiast rachunku dziewczyna niesie na tacy trzeci już koktajl oraz szklanekę szkockiej. - Proszę pani, nie zamawiałam więcej żadnych drinków - zaznaczyła.

- Ty nie, ale ja tak.

Renzo sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej długi, elegancki portfel z czarnej skóry, a z niego kartę kredytową. Platynową kartą American Express zastąpił popularną Vise, należącą do Sary. Platynową! Nawet Bubba Holbrooke miał tylko złotą!

Sara, która skorzystała z tej chwili przerwy, by się trochę pozbierać, zapytała szorstko:

- Co ty sobie właściwie myślisz, Renzo? - Postanowiła wrócić do scenariusza tak dokładnie przygotowywanego przez wszystkie te lata na okoliczność spotkania z Renzo

Cassavettesem. - Dzięki, ale stać mnie, żeby zapłacić za siebie!

Jeśli miała zachować własną godność, musiała wzbudzić w sobie gniew, złość, żal - wszystkie te uczucia, z którymi zżyła się tak dobrze. Nie miał prawa tak nonszalancko i bezczelnie znów wkraczać w jej życie. Czy nic się nigdy nie stało? Czy nie wykorzystał jej i nie porzucił?

Spojrzała na niego z niechęcią, lecz Renzo spokojnie wyjął paczkę marlboro, włożył papierosa do ust, przypalił go złotą zapalniczką i zaciągnął się głęboko. Po chwili wypuścił nosem kłęb dymu.

- Zrób mi tę przyjemność i pozwól zafundować sobie kolację - poprosił. - Od czegoś muszę zacząć spłacanie tego, co jestem ci winien.

- Winien? Za co?

Spuścił wzrok i myślała już, że nie odpowie na jej pytanie, ale on, po kolejnym zaciągnięciu się papierosem i solidnym łyku whisky, spojrzał na nią poważnie i otwarcie, po raz pierwszy tego wieczoru.

- Za to, że okazałem się tak cholernie głupi i że zostawiłem cię tu samą dwanaście lat temu - powiedział miękko, ale nabrzmiałym emocją głosem. Mięśnie szczęki drgały mu jak kiedyś, kiedy był zdenerwowany czy wściekły.

Gdyby rąbnął ją w twarz, nie byłaby bardziej oszołomiona. Słowa, które usłyszała, uderzyły w nią jak obuchem. Ale już płynęły następne, szczere aż do bólu.

- Chryste, Saro, przecież mieliśmy wziąć ślub, pamiętasz? Kochałem cię. Myślałem, że ty też mnie kochasz. Dlaczego więc zmieniłaś numer telefonu, dlaczego nie odpowiadałaś na moje listy? Czy ty też w końcu uwierzyłaś, że

zabiłem Sonny'ego Holbrooke'a? Czy to dlatego odcięłaś się ode mnie? Powiedz.

Nie, to tylko sen, produkt mojej rozszalałej wyobraźni, rezultat wypicia o kilka drinków za dużo, powtarzała sobie Sara. Renzo nie mógł siedzieć tu obok niej, zupełnie jakby od ich ostatniego widzenia minął dzień, dwa, ale nie dwaście lat! Nie mógł siedzieć tu, trzymać swej dłoni na *jej* ramieniu i mówić tego wszystkiego.

A może naprawdę tu był. I kłamał.

- N-nie wierzę ci! Kłamiesz! Nigdy nie dostałam od ciebie żadnych listów! Żadnych! I nie było żadnych telefonów! - wykrzyczała mu prosto w twarz. Nie chciała przyjąć do wiadomości okropnej, rodzącej się gdzieś w głębi sumienia myśli, że może to ona sama myliła się przez te wszystkie lata, uważając, że o niej zapomniał.

- Saro - Renzo zdawał się przepalać ją wzrokiem - dzwoniłem do ciebie - oznajmił dobitnie. - Ale powiedziano mi, że zmieniłaś numer na zastrzeżony. I pisałem do ciebie, wiele razy. Nigdy mi nie odpisałaś. Wreszcie moja matka przysłała list, w którym informowała, że w trzy miesiące po moim zniknięciu wyszłaś za mąż i wyprowadziłaś się w nieznanym kierunku.

- Nieprawda! Nie zrobiłam tego! - Sara była oszołomiona coraz to nowymi rewelacjami.

- Teraz już wiem, że nie. Ale jak myślisz, co wtedy czułem? Zwłaszcza kiedy nie przychodziły odpowiedzi na moje listy?

- Nie dostawałam żadnych listów, Renzo - powtórzyła bezradnie, zmuszona wreszcie uznać, że ojciec jej dziecka mówi prawdę. Miała teraz ochotę ukryć twarz w dłoniach

i płakać. - Nie dostawałam. Uwierz mi, naprawdę. Boże, to chyba mama. Moja własna matka musiała je przechwytywać, czytać, a potem niszczyć, nic mi o nich nie mówiąc - wyszeptać ze zgrozą. Ogarnęła ją nagle, upiorna pewność, że właśnie tak się stało.

Była wstrząśnięta tym nagłym odkryciem. Chciała ukryć przed Renzo jego syna, by ukarać go za to, że ją porzucił, a ukarała go za to, czego nigdy nie zrobił. Pisał do niej, a ona...

Nie, nie chciała wracać pamięcią do tych słów, tych myśli, które rodziły się w jej głowie na jego temat. Jak straszną krzywdę wyrządziła człowiekowi, który nigdy jej nie skłamał! Który nie przestał jej kochać i pożądać!

Boże, tyle pustych, nieznośnych, straconych bezpowrotnie lat! A mieli szansę być szczęśliwą rodziną! Świadomość tej straty była jak mdląca pustka gdzieś w głębi jej ciała. A najgorsze było to, że oboje nie mieli szansy na ratunek. Teraz Renzo mógł tylko ją znienawidzić, a kto wie, może nawet zabić.

Tak, kiedy dowie się, że ukrywała jego syna, i to pierwotnego, ogarnie go nienawiść. Przecież Włosi szczególnie są wyczuleni na punkcie rodziny i więzów krwi, myślała kompletnie roztrzęsiona, tracąc swój wrodzony zdrowy rozsądek.

- Nie rozumiem - odezwał się Renzo. - Dlaczego twoja matka wyrządziła nam tak okrutną krzywdę, Saro? Przecież nawet mnie nie znała.

- Bo...

„Bo byłam w ciąży z twoim dzieckiem, bo winiła mnie za śmierć ojca, który nie przeżył tej nowiny.” - to właśnie chciała w pierwszej chwili powiedzieć.

Ale nie powiedziała.

- Bo miałyśmy wtedy bardzo ciężki okres - popłynęły przez ściśnięte gardło słowa. - Bo broniłam cię po wypadku w kamieniołomie, a potem zaczęły się telefony z wymysłami i groźbami, aż musieliśmy zmienić numer. Były też wstrętne, anonimowe listy.

Nie powiedziała mu, że telefony i listy skierowane były do niej, gdyż była w ciąży z nieślubnym dzieckiem. Nie powiedziała też, ile razy słyszała po podniesieniu słuchawki nieznaną męską głosem, mówiącą: „Hej, węglaro, mam dla ciebie coś naprawdę wielkiego i twardego”, albo inne, jeszcze bardziej plugawe zdania i propozycje. Nie powiedziała, ile razy otwierała koperty i znajdowała w środku kartki zabazgrane kobiecym pismem, z tekstami w stylu: „Ty dziwko! Ty kurwiszonie! Bóg cię pokarał, brudna węglaro!”; nie powiedziała, że z tego właśnie powodu przestała wreszcie odbierać pocztę.

Nie powiedziała, bo bała się, że wspomnienia przywrócą dawny koszmar.

- Ty, Renzo, sam powinieneś wiedzieć najlepiej, jak okrutne i nietolerancyjne potrafi być to miasto - dodała tylko i spuściła ponuro głowę.

- Tak, wiem. - Mocno zdusił papierosa w popielniczce.
- Gdy wróciłem, nie witano mnie owacjami, orkiestrą i czerwonym dywanem. Zapewne słyszałaś, że kupiłem „Trib” od staruszków, którzy przenieśli się na Florydę?

- Tak, plotki krążą tu jak zwykle.

- Więc wiedziałaś, że wróciłem. Powiedz mi, Saro, czy nie byłaś... trochę zaskoczona?

- Nie - zmobilizowała wszystkie siły, żeby jej głos za-

brzmiał obojętnie. Nie chciała, żeby poznał, że nadal go kocha. Nie zniosłaby odrzucenia. - Widzisz, to było w końcu dwanaście lat temu, byliśmy jeszcze dziećmi... - rzuciła lekkim tonem.

- Wiem, Sarenko. Nie jestem taki głupi ani naiwny, żeby się łudzić, że zaczniemy od nowa tam, gdzie skończyliśmy. Ale bardzo wiele dla mnie znaczyłaś i chciałbym się czasem z tobą umówić, jeśli oczywiście zechcesz. - Mówił to z przymusem, jak gdyby czymś go zraniła.

- Przykro mi, Renzo, ale... - Przełknęła z wysiłkiem ślinę, mobilizując się do najważniejszej części batalii. Musiała zawczasu pogrzebać wszelkie nadzieje, bo cóż innego jej pozostało, skoro było już za późno na powroty? - Obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie. Wiesz... mam kogoś. Spotykamy się od dwóch lat i... i on niedawno poprosił mnie o rękę.

To są półprawdy, a nie całe kłamstwa, pocieszała się bez przekonania. Ciagle jeszcze nie mogła podejść do tej rozmowy w swój zwykły, racjonalny sposób; uwierzyć, że w ogóle ma ona miejsce, przyjąć do wiadomości rewelacje, jakie oznajmił jej Renzo.

Wiedziała tylko jedno - bardzo, bardzo myliła się co do niego i skrzywdziła go swymi sądami. Bała się, że to wyczuje, i że podejmie z nią okrutną grę w poczucie winy.

- Rozumiem. - Płonące oczy Renzo skryły się pod powiekami i nie mogła odgadnąć jego myśli. Ale mięsień szczęki znów zaczął drgać. Czowała napięcie ogarniające każdy mięsień tego twardego ciała. Udo, które dotykało jej uda zdawało się być złożone ze stalowych splotów.

Wysączył swój alkohol do dna i zapalił kolejnego papierosa. Po chwili popatrzył na nią z uśmiechem, który nie pasował do zwężonych oczu, złowrogo połyskujących w przyćmionym świetle lamp.

- A więc przyjmij moje gratulacje. Czy może przypadkiem go znam?

Wzdragała się przed powiedzeniem tego nazwiska. Widział to w jej twarzy, w reakcjach ciała, które znał tak dobrze, tak blisko. Właściwie nie musiał nawet pytać, kim jest ten wybraniec, który zajął jego miejsce. Znał go aż za dobrze. Tak dobrze, że pięści zaciskały mu się same na myśl, że to właśnie tamten mógłby posiadać to piękne, kruche ciało. Wytrzymał jednak tę próbę i nawet nie mrugnął powieką, gdy odpowiedziała na jego pytanie.

- Tak, znasz go - przyznała niechętnie. - To Bubba... Bubba Holbrooke.

- U-hm - mruknął Renzo w najczystszy stylu Papy Nicka, co najwyraźniej weszło mu już w krew.

Sara zaś poczuła, jak na karku robi jej się gęsia skóra. Renzo Cassavettes w przyćmionym świetle lokalu przypominał groźnego gangstera. Nienawidził Bubby. Zawsze go nienawidził. Nie wyobrażała sobie, że mógłby pozwolić, by to Bubba stał się ojcem dla Alexa. Popełniła kolejny okropny błąd, mówiąc mu właśnie o nim.

- Renzo... - odezwała się, przerywając jego zamyślenie. - Miło było cię zobaczyć po tylu latach, ale naprawdę muszę już iść - oznajmiła łagodnym, lecz stanowczym tonem, walcząc z ogarniającą ją znowu paniką i mrocznymi, niepokojącymi przeczuciami.

- Dobrze, w takim razie odprowadzę cię do samochodu

- rzucił i skinął na kelnerkę. - Chodźmy - powiedział po chwili, wstając i chowając kartę do portfela.

- Nie ma potrzeby, żebyś odprowadzał mnie do samochodu - oponowała Sara, przerażona, że ktoś mógłby zobaczyć ich wychodzących razem, zwłaszcza Bubba albo któryś z mężczyzn z jego otoczenia. Nie zapomniała przecież, jak groził, że zabije ojca Alexa, kiedy tylko dowie się, kto nim jest.

Jednak Renzo zignorował jej protesty.

- Wiesz, Saro, wyczuwam w tobie jakiś dystans. Jakąś twardość, której wcześniej nie było - zauważył, gdy szli przez oświetlony parking.

- Wybacz, Renzo, ale jest mi już obojętne, co o mnie myślisz - znów skłamała z najwyższym trudem. - Tam stoi mój jeep. - Wskazała zielony wóz i ruszyła ku niemu szybko, aby nie poznał, jak bardzo się boi i jak bardzo chciałaby już od niego uciec, zanim dojdzie do głosu to, co nieuchronnie narastało między nimi. - Dobranoc, Renzo. I dzięki za kolację - rzuciła przez ramię, sięgając do drzwiczek.

Dopał ją, zanim zdążyła je otworzyć, i gwałtownie obrócił ku sobie. Oczy błyszczały mu tak, jak kiedyś, co pamiętała aż za dobrze. Było to jedyne ostrzeżenie przed błyskawicznym atakiem. Zaraz potem Renzo wczepił się bo-wiem palcami w jej włosy i przyciągnął ku sobie głowę Sary z dziką zajadłością. Jego usta żarłocznie zagarnęły jej wargi, zmuszając je do otwarcia.

Sara broniła się z równą zajadłością, bębniąc rozpaczliwie pięściami w twarde pierś Renzo. Bez wysiłku unieruchomił jej przeguby i jedną ręką przytrzymał za plecami,

drugą zaś znów chwycił za włosy, by ułatwić sobie pocałunek - tym razem jeszcze bardziej pożądlivy i gorący.

Zrozpaczona, wbrew sobie, Sara zaczęła go odwzajemniać z coraz większym zapałem i ogniem. A gdy już pękła ta bariera, którą chciała odgradzić go od siebie, wtuliła się w Renzo, trawiona pożądaniem; tym samym pożądaniem, które dręczyło ją od zeszłej nocy i wreszcie znalazło swoje ujście.

Ale właśnie wtedy Renzo przerwał pocałunek i popatrzył z triumfem, jak Sara drży w jego objęciach. Opuszkami przesunął powoli po jej nabrzmiąłych ustach, na których czerwieniła się kropelka krwi z przygryzionej dolnej wargi.

- Nie kochasz Bubby Holbrooke'a, Sarenko. Nie kochasz go, moja dziewczynko - powiedział cichym, nabrzmiętym namiętnością głosem, uśmiechając się cynicznie kącikiem ust. - Nie całowałaabyś mnie tak, gdyby to była prawda.

Powiedziawszy to, odwrócił się na pięcie i zostawił ją w ciemności. A ona stała ze łzami spływającymi po pobladłych policzkach, z drżącą dłonią, którą przyciskała do ust, jakby chciała powstrzymać się od zawołania za nim, by wrócił.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Smutna nuta

*W sercu trwał spokój szkockich wzgórz
I śpiew, co dawno umilkł już.*

William Wordsworth, *Samotna żniwiarka*
(przełożył Stanisław Barańczak)

Nie powinienem zostawiać jej na tym parkingu, pomyślał przejęty Renzo. Ale miał świadomość, że gdyby nie odszedł, wzięłby ją na siedzeniu jeepa, nawet siłą, gdyby nie zechciała. Rzecz w tym, że chciała, że reagowała z pasją i uczuciem, tak jak dawniej. Zupełnie jak gdyby te dwanaście lat minęło bez echa, nie naruszając tej niezwyklej więzi, tej magii, która trwała między nimi. Trwała uspiona, lecz on rozbudził ją jednym pocałunkiem, aż rozkwitła i wywołała w nim szaleńczą tęsknotę za samym światłem i słodkością jakim była dla niego Sara Kincaid.

Oddałaby mu się bez walki, czemu zatem się z nią nie kochał? Nie musiał się bać, że ktoś ich zaskoczy. Mógł równie dobrze zawieźć ją do swojego mieszkania. Powstrzymał go tylko ból w jej oczach i łzy, płynące po policzkach. Już raz kiedyś ją zranił, a bolesna rana nigdy na dobre się nie

zagoiła. Dzisiaj, nie zważając na ból ich obojga, rozdrapał stare blizny, jakby chciał ponownie skrzywdzić Sarę, sprawić, żeby znów coś do niego poczuła.

Prowokowała go swoim udawanym chłodem i dystansem, drażniła wzmianką o Bubbie, odzywkami, mającymi zaznaczyć jej obojętność. I dał się sprowokować. Spuścił ze smyczy swego demona, zachował się jak bestia. A przecież nie tak miało wyglądać ich pierwsze spotkanie.

Zły na siebie, wsiadł do jaguara i pognął przez puste drogi, cisnąc gaz do dechy. Był obojętny na istnienie policji drogowej czy szeryfa Laidlawa. Prawdę mówiąc, był w takim nastroju, że miał ochotę skrócić na autostradę, dojechać do „Rowdy Roadhouse” i skuć się tam do nieprzytomności, by zapomnieć o wszystkim. Powstrzymał się jednak, wiedząc, że jeśli tylko nie wylądowałby pijany z wozem gdzieś w rowie, to zajechałby na starą farmę i wołałby Sarę, stojąc jak idiota pod jej balkonem. Albo wysadziłby drzwi kopniakiem i wdarł się do sypialni. Do tego nie mógł dopuścić.

Po kilkunastu minutach rozbierał się już więc w ciemności swego mieszkania, rozjaśnionej srebrnym światłem księżyca, wpadającym przez otwarte okna. Podszedł do barku, wyjął butelkę szkockiej, szklanekę, po czym rozsiadł się w fotelu i szybko wypił solidną porcję. Po niej nastąpił nieunikniony papieros.

Zachowuję się jak szaleniec, myślał. W ogóle nie powinienem tu wracać. Jak na razie nie osiągnąłem nic - poza tym, że znów straciłem głowę dla Sary.

Znów? Przecież nigdy nie zdołał wyrzucić jej z myśli. Ale w Waszyngtonie nic mu przynajmniej jej nie przypominało, poza tym był tak zaharowany, że nie miał nawet

czasu na wspominki. Tymczasem od powrotu do tego przekłętogo miasta myślał o niej bez przerwy. Stała się dla niego dosłownie obsesją. Nieraz przeklinał los, który kazał mu oglądać tamte feralne wiadomości w CNN, gdzie zauważył ją z Bubbą za plecami starego J.D.

Znów sobie nalał i znów zapalił. A potem w nagłym odruchu sięgnął po saksofon i zaczął grać.

Sącząca się w noc muzyka była dzika, nieoswojona i przejmująco wprost smutna. Taki blues rzadko się słyszy, pomyślała Sara. W tym graniu, które wypełniło ciemność, było jednak coś jeszcze - jakiś pierwotny, zwierzęcy ból i pragnienie, dosłownie szarpiące duszę, przenikające ciało do szpiku kości, drące pazurami serce na strzępki.

Co mnie podkusiło, żeby tutaj podjechać? - zastanawiała się, ściskając dłońmi głowę, obolałą z nadmiaru alkoholu, a może raczej przeżyć. Czy to nie szaleństwo?

A może to upał uderzył jej do głowy?

Przypomniała sobie opowiadanie, które kiedyś czytał jej Renzo, tak wiele lat temu, że nie mogła już sobie przypomnieć tytułu. W każdym razie bohaterowi śniło się, że pewnego określonego dnia zostanie zamordowany przez rzeźnika. Kiedy przypadkiem poznał kogoś, kto był rzeźnikiem, z przerażeniem opowiedział mu swój sen. Rzeźnik, równie przerażony, wyznał, że dręczy go koszmar, w którym, również w tym dniu widzi siebie jako więźnia w kajdanach. W rezultacie umówili się, że ów dzień spędzą razem, aby mieć pewność, że nic się nie stanie. Opowiadanie kończyło się sceną, w której owego dnia bohater przygląda się, jak rzeźnik ostrzy noże. Wokół: zaś panuje upał, doprowadzający ludzi do szaleństwa...

Sara domyślała się wówczas, że rzeźnik, udręczony gorącym, zaszlachtuje w końcu tego człowieka.

Pomyślała, że gdyby teraz wyszła z samochodu i poszła do Renzo na górę, jej nieunikniony los musiałyby się dopełnić i zdarzyłoby się coś równie strasznego. Ostrzegaly ją już przed tym jego dzikie pocałunki, a teraz ostatecznym argumentem stała się ta muzyka, wypowiadająca posępne, rozpaczliwe poczucie niespełnienia. Siła, która ściągnęła ją tutaj z parkingu przy „Spichlerzu” miała jakąś magiczną moc. Czy tak Renzo czuł się wczorajszej nocy, gdy stał wśród drzew na jej trawniku? Mogła się tylko domyślać.

Odruchowo przesunęła palcem po wargach. Pragnęła go, pragnęła aż do bólu, choć jeszcze usiłowała się okłamywać. Czy jest możliwe, by Renzo nadal ją kochał?

Jeszcze raz przebiegła w myśli wszystkie momenty ich niedawnej, dramatycznej rozmowy. Kusiło ją, ach, jak strasznie kusiło, żeby wejść na górę i powiedzieć mu wszystko - całą smutną prawdę - a potem zdać się na jego łaskę. Niech osądzi ją i ukarze, choćby nawet najokrutniej.

Ale strach i wstyd przeważyły nawet teraz. Łzy napłynęły jej do oczu. Uruchomiła samochód i odjechała, zamykając okna mimo upału, by nie słyszeć muzyki.

Kiedy w poniedziałek Sara wróciła z pracy do domu, zobaczyła, że Alex ma podbite oko i pękniętą wargę. Wy pytawszy syna, co się stało, dowiedziała się, że powodem kontuzji jest szkolna bójka, która zaowocowała przy okazji trzydniowym dyscyplinarnym zawieszeniem w nauce.

Cóż, mijające lata bynajmniej nie złagodziły surowego

charakteru pana Dimsdale'a. Przeciwnie, dyscyplina stała się niemal jego obsesją.

- Czy powiesz mi, co naprawdę się stało, Alex? - zapytała, kiedy przeczytała już uwagę od nauczyciela, który odwiózł go ze szkoły do domu.

- A jak myślisz, mamó, co mogło się stać? - burknął, bawiąc się stojącą na kuchennym stole solniczką. - Cash Archer i inne chłopaki zaczęli mnie wyzywać, kiedy wyszliśmy na przerwę. Znowu nazwali mnie bękartem!

- Alex, ile już razy odbyliśmy tę rozmowę? - westchnęła bezsilnie. Powinna nagrywać te dyskusje na taśmie, żeby oszczędzić sobie czasu. - Przecież dobrze wiesz, że nie wolno się bić na terenie szkoły - a zresztą, nigdzie nie należy, choćby nawet prowokowano cię do tego.

- Wiem, wiem. Psy szczekają, karawana idzie dalej - zacytował z kpiącym patosem, lecz niemal w tej samej chwili twarz wykrzywiła mu się ze smutku, a w oczach zalśniły łzy. - Ale to nieprawda, mamó! Ludzie są gorsi od psów! Nienawidzę, jak nazywają mnie bękartem! Nienawidzę nim być! Nawet ci, których rodzice się rozwiedli, wiedzą przynajmniej, kim są ich ojcowie. To nie jest w porządku, to nie fair, że ja nic o tym nie wiem! Dlaczego nigdy mi o nim nie opowiesz? Dlaczego nie powiesz mi w ogóle, kto to był? A może jest prawdą to, co mówią ludzie, że sama nie wiesz? Czy dlatego na moim świadectwie urodzenia napisali: „ojciec nieznany”?

- Skąd o tym wiesz?

- Nigdy mi go nie pokazałaś, więc napisałem do urzędu z prośbą o kopię - przyznał się, gniewnie ocierając oczy i wstydząc się nagle swoich łez. - Adres wzięłem z książki

w bibliotece i wydałem sześć dolarów z kieszonkowego na opłatę skarbową. Stać mnie.

- Mogę zrozumieć, dlaczego to zrobiłeś, ale nie postąpiłeś ładnie, załatwiając sprawę poza moimi plecami. Skoro jednak już się nią zainteresowałeś, to wiedz, że na świadectwie zapisana jest nieprawda. Miałam i tak ci o tym powiedzieć, tylko później, kiedy będziesz starszy. Ja wiem, kim jest twój ojciec. Wiem o tym, Alex. Zawsze wiedziałam.

- Dlaczego więc powiedziałaś im nieprawdę?

- Bo nie chciałam, żeby wszyscy w mieście wiedzieli, kim on jest.

- Czemu? Czy mój ojciec jest taki straszny? Kto to... jakiś seryjny morderca, złodziej albo... świr? Może siedzi w więzieniu albo w wariatkowie? Albo w jakimś śmierdzącym domu opieki, jak babcia?

- O Boże, nie! Skąd ci się wzięły takie pomysły?

- Tak mówią dzieciaki, albo i gorzej. Na przykład, że w szkole wołałaś się puszczać niż uczyć, aż wreszcie nasz stary dyro wywalił cię, bo chodziłaś ze mną w brzuchu. Mówią, że spałaś z całą drużyną futbolową, że byłaś ich maskotką, Sara Da Zara... - Alex niemal recytował inwektywy w jakimś gniewnym samoudręczeniu. - Mamo, ja nie mogę znieść, kiedy mówią o tobie takie świńskie rzeczy!

- Głos znów mu się zaczął łamać. - Więc jeśli już chcesz wiedzieć, właśnie dlatego ciągle się biję!

- Och, Alex, biedaku, tak mi przykro... tak mi strasznie przykro. - Głęboko poruszona, usiadła przy chłopcu, objęła go mocno ramieniem i czule zwichrzyła ciemną czuprynę.

- Powinnam się była domyślić... Ale w życiu by mi nie

przyszło do głowy, że ludzie ciągle jeszcze wygadują takie rzeczy za moimi plecami. A jeśli nawet, że ty tego słuchasz.

- Nie chciałem, żebyś się tym gryzła, mamó. Dlatego ci nie mówiłem.

- W porządku, Alex. Miałam wystarczająco dużo czasu, żeby do tego przywyknąć i nauczyć się, jak sobie z tym radzić. Martwię się tylko, że ty cierpisz z tego samego powodu. Gdybym wiedziała, jak temu zapobiec, natychmiast bym to zrobiła, wierz mi. W każdym razie mogę cię zapewnić, że w całym tym paskudnym gadaniu nie ma ani krzty prawdy! Nie musisz się wstydzić swojego ojca, Alex! Przeciwnie, gdybyś wiedział, kim jest, mógłbyś być z niego bardzo dumny. Bardzo go kochałam i był jedynym mężczyzną, z którym byłam blisko w całym swoim życiu. I tylko raz całowałam się z futbolowym graczem, a był nim Bubba Holbrooke.

- Mamó, ale nie wyjdiesz za tego Bubbę, co? - zapytał z niepokojem Alex. - To znaczy, jeśli bardzo się uprzesz, postaram się być dla niego miły. Ale tak naprawdę to go nie lubię, choć wiele dzieciaków uważa, że jest całkiem w porządku. U mnie ma przechłapanie, nic nie wie o książkach przygodowych, o komiksach, o motocyklach. Nienawidzi wędkowania, a raz, kiedy w kuchni zmywałaś po kolacji, skrytykował moją grę na saksofonie. Powiedział, że to brzmi jak pojękiwanie słonia i że powinienem zostać ukarany za zakłócanie spokoju. Akurat, on się zna! Nieładnie się zachował, prawda, mamó? Zgred nie wie, co to prawdziwa muzyka...

- Bardzo nieładnie. Ale nie martw się, nie wyobrażam sobie, że miałabym wyjść za Bubbę. Trudno, najwyżej skończę jako stara panna.

- Wcale nie jesteś stara, mamó. I może... może któregoś dnia ty i tata znów będziecie razem. Bo wiesz co? Ja myślę, że ty musisz nadal go kochać. Tak zresztą mówi Heather Thurley, która jest najmądrzejszą dziewczyną w całej szkole, choć właściwie jest trochę głupia, bo ciągle siedzi z nosem w różnych powieściach dla panienek i tych o miłości. Mamó, a powiesz mi kiedyś, kim był... kim jest mój tata? Bo chyba nie umarł, ani nic w tym rodzaju, co? Będę mógł się kiedyś z nim zobaczyć?

- Nie, nie umarł, jak najbardziej żyje, i kiedyś na pewno się z nim zobaczysz. Może nawet wcześniej niż myślisz i wcześniej, niż sama zamierzałam. Wiesz co, Alex? - Położyła nagle dłoń na ramieniu chłopca, nieszczęśliwa i szczęśliwa zarazem. Nieszczęśliwa z powodu zmartwień i upokorzeń, jakie znosić musiał jej syn; szczęśliwa z powodu tej przyjacielskiej, „dorosłej” nuty, która zagościła w ich rozmowie. Już dawno nie czuła się z nim tak dobrze.

- Skoro już tyle sobie powiedzieliśmy, mogę ci właściwie wytłumaczyć pewne sprawy już teraz. - Ciaśniej objęła syna. - Przede wszystkim to, że tata nie był z nami przez te wszystkie lata, bo po prostu nie mógł. Mam nadzieję, że nie będziesz go za to winić, gdyż... nie jest to jego błąd. Widzisz, synu, prawda jest taka, że... po prostu nigdy nie powiedziałam mu o tobie. Zdarzył się pewien tragiczny wypadek, przez który musieliśmy się niespodziewanie rozstać, choć bardzo tego nie chcieliśmy. A potem byłam tak zrozpaczona i rozżalona, że... Byłam zrozpaczona, bo on już nigdy nie odezwał się do mnie, przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Myślałam, że zapomniał o mnie i że już nic go nie obchodzi. Było mi z tym bardzo ciężko. Mój ojciec,

a twój dziadek, umarł na atak serca, co było dla mnie i dla babci strasznym ciosem. Co gorsza, babcia uważała, że umarł przeze mnie, gdyż nie mógł znieść skandalu, jaki wywołałam. Coraz bardziej podupadała na zdrowiu i po paru latach musiałam oddać ją do domu opieki. Wtedy też jeden z lekarzy powiedział mi, że dziadziś miał nieuleczalną wadę serca, która groziła atakiem w każdej chwili. Po prostu jego serce pękło jak rozdęty balon. W każdym razie sam widzisz, jak trudna była to sytuacja, zwłaszcza że ty byłeś wtedy jeszcze malutki i musiałam sama cię wychowywać. Dlatego właśnie miałam coraz większy żal do twojego ojca za to, że mnie opuścił i zostawił na pastwę losu. Miałam żal i bardzo go chciałam za to ukarać.

- I dlatego właśnie nie powiedziałaś mu o mnie?

- Tak, Alex.

- W takim razie zachowałeś się paskudnie, mamó - stwierdził chłopiec z bezceremonialną szczerością. Jego brązowe oczy patrzyły teraz na nią oskarżycielsko i poważnie.

- Ciekawe, jak ty byś się czuła, gdyby tata wykradł mnie ze szpitala po urodzeniu, albo coś w tym stylu, i nigdy byś już mnie nie zobaczyła ani nie wiedziała nawet, czy żyję? No, jak?

- Och, nie wiem, synku. Wolę się nie zastanawiać, bo za bardzo cię kocham. Nie wiem, jak przeżyłabym te straszne lata, gdyby nie ty. A jednocześnie - właśnie z tych względów, o których mówisz - boję się, jak zareaguje twój ojciec, kiedy dowie się, że ukrywałam cię przed nim tak długo.

- Czy będzie wściekły i na mnie, mamó? Czy... czy znienawidzi mnie? - zapytał nagle Alex z nieukrywaną obawą.

- Ależ skąd! Przecież ty o niczym nie wiedziałeś, synku. Wiem z całą pewnością, że pokocha cię całym sercem, bo takim jest człowiekiem/Dlatego od dzisiaj, kiedy ktoś będzie ci dokuczać, nie walcz z nim. Przeciwnie, unieś dumnie głowę, popatrz mu prosto w oczy i powiedz, że twój ojciec jest facetem, z którego możesz być dumny. I nie przejmuj się tym, co mówią o mnie. Wiesz już, że to nieprawda. Zrozumiałeś, synku?

- Tak, mamó.

- Świetnie. A teraz mam propozycję: co byś powiedział, gdybym wzięła trzy dni urlopu na czas, kiedy jesteś zawieszony w nauce? Moglibyśmy pojechać sobie nad wodę, połowić ryby, usmażyć je na ognisku, a może nawet zanoć w domku na drzewie? Co ty na to, mordziaku?

- Jasne, umowa stoi! I mamusiu... dzięki, że powiedziałaś mi o sobie i o tacie, i o tym wszystkim. Teraz mi ulżyło. Czuję się, jakbym już go znał. Może nawet go rozpoznam, kiedy przypadkiem go spotkam! Jak myślisz? Naprawdę się cieszę, że nie okazał się żadnym lumpem, świrem czy kimś takim, bo bardzo się tego bałem. Myślisz, że spodobałaby mu się moja gra na saksofonie?

- Na pewno, synku - zapewniła spokojnie, pamiętając nocne improwizacje Renzo.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wywiad

*Czy masz zamiary wrogie czy życzliwe -
Wszystko mi jedno; sama twoja postać
Zmusza do pytań, więc będą cię pytał.*

William Szekspir, *Hamlet*
(przełożył Stanisław Barańczak)

Nazajutrz rano Sara oznajmiła J.D. Holbrooke'owi, że musi wziąć trzy wolne dni, aby być z synem, który przez jakiś czas nie będzie chodził do szkoły. Jak się spodziewała, J.D. pomarudził chwilę na temat napiętych planów swojej kampanii i fabryki nawozów, a potem zgodził się, a nawet - skoro wzięła już wtorek, środę i czwartek - hojnie dorzucił jeszcze jeden dzień, piątek, by mogła skorzystać z całego prawie tygodnia wypoczynku.

Sara była naprawdę szczęśliwa i podziękowała szefowi serdecznie

- Ja tam bym cię nie zwolnił na jego miejscu - narzekał Bubba, gdy wychodzili z biura. Pod pachą niósł plik papierów - spraw do natychmiastowego załatwienia. - Jesteś nam tu cholernie potrzebna, Sara. Reklama i promocja FYI

poszły w ką, odkąd staremu zachciało się senatorskiego stołka. Ta cała Nora jest beznadziejna, daleko jej do twojego stylu. - FYI było skrótem od Field-Yield, Inc., zaś Nora Oliver, zastępczyni Sary w firmowym dziale promocji i reklamy, czasowo miała wypełniać jej obowiązki.

- Przykro mi, Bubba, ale nic na to nie poradzę. Problemy z Alexem wynikają głównie z tego, że mam dla niego za mało czasu. A mam go za mało, bo pracuję dla ciebie i J.D. Wreszcie muszę trochę się zająć własnym dzieckiem.

- Więcej z nim kłopotu niż jest wart! - sarknął Bubba, ale widząc jej minę, zreflektował się natychmiast. - Wiesz co? A może bym tak wpadł do was w tygodniu i pograł z chłopakiem w piłkę? Mówiłem ci już, że moim zdaniem Alexowi potrzeba męskiej ręki, zwłaszcza w tym wieku. Pewnie uważasz, że nie bardzo nadaję się do tej roli, sam nie twierdzę, że jestem idealny. Ale przynajmniej doceń, że deklaruję dobre chęci i chciałbym spróbować. Tymczasem uparcie nie dajesz mi żadnej szansy. To nie fair, Sara, nie uważasz?

Westchnęła ciężko.

- Chyba masz rację, Bubba. Co byś powiedział na kolację w środę?

- Dobrze - potwierdził ostrożnie, jakby nie wierzył we własne szczęście. - Na pewno będę. Mam przynieść steki? Mogę je wam upiec na grillu.

- To miło z twojej strony.

Gdy był tak życzliwy, Sara czuła się szczególnie niezręcznie, gdyż wiedziała, że w gruncie rzeczy Bubba Holbrooke nie jest złym człowiekiem. I jak zwykle wahała się

w ocenie swoich uczuć wobec niego, tłumacząc sobie po raz nie wiadomo który, że jeśli nawet nie byłaby szczęśliwa w tym związku, to mogłaby chociaż liczyć na opiekę i wsparcie, jakich kobieta oczekuje od mężczyzny.

Co prawda, Bubba był babiarzem i licząc, że dotrzyma jej małżeńskiej przysięgi, dałaby dowód piramidalnej naiwności. Nie potrafiłby też zapewne zachować w tych sprawach dyskrecji i klasy takiej, jak jego ojciec, ale gdyby przyjęła postawę tolerancyjnej żony, wszystko mogłoby się jakoś bezkonfliktowo ułożyć. Poza tym Bubba miał pieniądze i nie był skąpy, toteż z pewnością mogłaby sobie pozwolić na niejeden luksus. Jako ojciec byłby zaś zapewne sumienny i obowiązkowy, choć nie przesadnie opiekuńczy. Zapewne rozpieszczałby dzieci i żonę prezentami, w poczuciu winy za własną nielojalność i brak poświęcanego czasu. To z kolei odpowiadałoby jej, bo też wcale pewnie nie paliłaby się do tego, by spędzać z nim każdą chwilę. Nie mówiąc już o Aleksie.

Ano właśnie. Nie po raz pierwszy Sara dochodziła do wniosku, że mógł się jej trafić ktoś znacznie gorszy niż Bubba Holbrooke, i nie po raz pierwszy też zastanawiała się, czemu tak niechętnie odnosi się do jego szczodrej oferty. Tak, miała na względzie opinię syna. Ale przecież chodziło też o coś więcej.

Może po prostu w młodości przesadnie idealizowała Renzo Cassavettesa? Może jako młoda, rozmarzona i romantyczna dziewczyna stworzyła sobie mit, bajkę, powierając mu rolę rycerza w lśniącej zbroi? Czy gdyby ich romans nie został tak nagle i brutalnie przerwany, nie wypaliłby się z czasem, jak wiele innych, zostawiając tylko sko-

rupę codziennej, małżeńskiej rutyny? Czy przez te wszystkie lata kochała jedynie własne marzenia?

Stale zadawała sobie podobne pytania i nigdy nie znajdowała na nie odpowiedzi. Wiedziała tylko, że coś w jej duszy buntowało się przed sprzedaniem się za cenę dobrobytu i spokoju. Coś szeptało jej niestrudzenie, że można jeszcze na tym świecie znaleźć odrobinę szaleństwa i romantyzmu. A jeśli już miała być ze sobą szczerą do końca, musiała przyznać, że Bubba po prostu jej nie pociągał.

Tylko jak kobieta ma wytłumaczyć to mężczyźnie, nie raniąc jego dumy i kruchego męskiego ego? Ponieważ sama aż za dobrze wiedziała, co znaczy być zranionym, nie chciała być okrutna wobec innych. Dlatego zwodziła Bubbę, jak długo mogła, niczego nie obiecując, ale i nie odprawiając go zdecydowanie.

Jak więc się mogła spodziewać, środowa kolacja przebiegła w zwyczajnej, poprawnej atmosferze, lecz bez większych ekscytacji. Obaj panowie - młodszy i starszy - starali się być wobec siebie uprzejmi, co im się w sumie udało. Jednak najlepsze chwile nieoczekiwanego urlopu Sara i tak spędziła sam na sam z synem, wędrując z nim po łąkach i lasach, łowiąc ryby w strumieniach i pokazując mu wszystkie sekretne miejsca swojego dzieciństwa - także te, które odwiedzała kiedyś z Renzo, czego Alex szczególnie się domagał. Przy okazji wiele opowiadała chłopcu o ojcu, choć starannie wystrzegła się wymówienia imienia Renzo.

W tym cudownym tygodniu odnalazła wreszcie w Aleksie ową zagubioną gdzieś po drodze część dziecka, które tak bardzo kochała. Tamta rozmowa, którą odbyli po szkolnej bójce, zbliżyła ich do siebie i od dawna już nie rozumieli

się tak dobrze. Najważniejsze zaś być może było w tych dniach to, że Sara zrozumiała ostatecznie, iż harując całymi dniami i latami, by zapewnić dziecku jak najlepsze warunki, lepsze niż te które były jej udziałem, pozbawiała go rzeczy o stokroć cenniejszych.

Do pracy wróciła więc z silnym postanowieniem, by ograniczyć swój szalony rozkład zajęć do rozsądnych granic. Od razu jednak gdy wkroczyła do swojego gabinetu, przekonała się, że nie tak łatwo będzie uspokoić jej zwariowane życie - na biurku zastała ogromny stos papierów, a w fotelu przed biurkiem... rozpartego wygodnie Renzo Cassavettesa!

- Co tutaj robisz? - wyjąkała zdumiona.

- Siedzę sobie jako żywa ilustracja powiedzenia o górze, która przyszła do Mahometa.

- Górę, jak widzisz, już mam - prychnęła, wskazując na stos dokumentów. - Dlatego prosiłabym cię uprzejmie, byś raczył wyjść, bo muszę zabrać się do pracy.

- Ależ droga Saro - powiedział spokojnie, wstając i opuszczając po kolei żaluzje na szybach, oddzielających jej biuro od korytarza - to ja jestem twoją pracą. A dokładnie - dziennikarzem, który umówił się z tobą na wywiad o dziewiątej.

- Jaki wywiad? Co ty sobie wyobrażasz, Renzo? - Sara patrzyła na niego przerażona i podekscytowana jednocześnie. - Zwariowałeś? Przecież jestem w pracy! Otwórz drzwi i wyjdź stąd natychmiast!

- Nie ma mowy. Siadaj, Sarenko. Kolacja nam się nie udała, więc przyniosłem śniadanko. - Sięgnął pod biurko i postawił na stoliku koszyk piknikowy, którego wcześniej nie zauważyła. Gdy ściągnął okrywającą go serwetę, ukazała

się atrakcyjna kompozycja złożona z owoców, serów, pieczywa, kieliszków i butelki wina.

- Wezwę ochronę! - zagroziła, podnosząc słuchawkę i naciskając guzik interkomu. Niestety, urządzenie milczało głucho.

- Zapewne orientujesz się, że telefon nie będzie działał bez tego? - Z uśmiechem wyjął z kieszeni przewód, który powinien łączyć aparat z gniazdkiem w ścianie. -I na twoim miejscu nie próbowałbym krzyczeć, Saro. Znam lepsze sposoby uciszenia kobiety niż knebel. I o wiele przyjemniejsze, dla obu stron. - Popatrzył na nią znacząco, na wypadek, gdyby nie pojęła, o co chodzi.

Sara poczuła zdradzieckie, gorące rumieńce na policzkach i szybko opadła na fotel. Nie wiedziała, jak rozgrywać sprawę z Renzo Cassavettesem, tym innym Renzo, który wrócił po latach do miasta i paradował w drogich garniturach, śnieżnobiałych koszulach i pod krawatem - z Renzo-gładkim, światowym profesjonalistą.

- Dlaczego mi to robisz, Renzo? - zapytała spokojniej.

- Bo... lubię twoje towarzystwo.

- Nawet jeśli ja nie życzę sobie twojego?

- Kiedyś sobie życzyłaś.

- To było... przed tamtym strasznym dniem.

- Pytałem cię wtedy, w „Spichlerzu,” i pytam jeszcze raz: czy wierzysz, Saro, że umyślnie zepchnąłem Sonny'ego Holbrooke'a ze skały?

- Nie. Wiem, że to był wypadek.

- W takim razie nie rozumiem, dlaczego nie chcesz się ze mną spotykać.

- Mówiłam ci już, że Bubba...

- Nie żartuj. Bubba nic dla ciebie nie znaczy, przynajmniej jako facet. Czuję, że chodzi o coś jeszcze, coś, co przede mną ukrywasz, Saro. I w końcu dowiem się, co to jest - powiedział wolno, obserwując, jak nagła bladość ściera rumieniec z jej twarzy. - Znasz mnie przecież.

- Niczego nie ukrywam - zaprzeczyła z uporem, choć serce biło jej jak szalone na myśl, że Renzo już się dowiedział o istnieniu Alexa i bawi się z nią teraz w kotka i myszkę.

- Dobrze, nie będę cię na razie męczył - stwierdził łaskawie i zabrał się do wykładania zawartości kosza na jedyny talerz, który ustawił na rozłożonym na podłodze obrusie. Nalał wina do kieliszka i zaprosił ją, by usiadła. - Proszę, spocznij sobie koło mnie. Pogadamy o kampanii senatorskiej J.D. Naprawdę mam zamiar zrobić z tobą wywiad dla „Trib”. Upowiedziałem sekretarkę, żeby nam nikt nie przeszkadzał. - Wyjął z torby dyktafon, a Sara posłusznie usiadła na podłodze.

Ku jej zaskoczeniu, Renzo przeprowadził z nią zwykły, bardzo profesjonalny wywiad, ignorując protesty Sary, że ona zajmuje się tylko promocją i więcej dowiedziałyby się od Taggarta Evanstona, szefa sztabu J.D. Holbrooke'a. Przez cały czas podawał jej co lepsze kąski z talerza, podsuwał wino i pieszczotliwie muskał to włosy, to twarz, to ręce, nie posuwając się jednak dalej.

A jednak Sara czuła się tak podniecona i rozluźniona, jak gdyby wypięła o wiele za dużo, choć przecież wysączyła tylko parę łyków. Jej myśli i ciało znów wzięły w posiadanie zdradzieckie odczucia i pragnienia. Oddech stał się dziwnie przyspieszony i płytki, a skóra czulsza i wrażli-

wsza niż zwykle na przelotne muśnięcia, dotknięcia i powiewy.

Gdy skończyli, Renzo zerknął na zegarek, zobaczył, że wyznaczony dla niego czas minął, po czym spokojnie spakował rzeczy i uprzejmie zwrócił Sarze kabel od telefonu. Wreszcie, ująwszy ją lekko za podbródek, delikatnie uniósł jej twarz ku górze, by musnąć usta leciutkim, pożegnalnym pocałunkiem.

- Widzisz, Sarenko? Nie musisz się mnie bać - powiedział pogodnie, a potem już tylko odsunął żaluzje i szybko wyszedł z biura.

Sara nie od razu doszła do siebie. Czuła się podobnie jak tamtego pamiętnego dnia, gdy kochali się w kamieniołomie. Kiedy zaś ochłoneła, poinstruowała swoją sekretarkę, Kate Alcott, żeby pod żadnym pozorem nie umawiała jej więcej z redaktorem Renzo Cassavettesem.

Pomimo otwartego okna, które stanowiło jawną obrazę dla systemu klimatyzacji w biurach Field-Yield, Inc., gabinet Bubby Holbrooke'a tonął w oparach dymu z marihuany. W dyrektorskim fotelu obitym wytworną skórą rozpierał się Lamar Rollins. Nogi trzymał oparte o przydymiony szklany blat nowoczesnego biurka, wzrok zaś miał wbity w szumiący cicho komputer, a właściwie w jego monitor.

Zaciągnął się mocno skrętem, z lubością przyzymkając oczy. Głowa kiwała mu się w rytmie rapu, wydobywającego się pulsującymi dźwiękami ze stojącej na regale aparatury stereo. Lamar powinien sprzątać biuro, ale wuj Thaddeus pracował w drugim końcu budynku, więc miał jeszcze sporo czasu. Zanim usłyszy zbliżający się szum odkurzacza i szu-

ranie tego starego pierdoły, zdąży spokojnie wypalić *jointa* i uporządkować swoje pliki w tajnym katalogu. W razie czego wystarczy tylko wyłączyć sprzęt, zamknąć okno i rozpylić w powietrzu zapach z odświeżacza powietrza, który zapobiegliwie woził w wózku sprzątacza.

Czuł się tu całkiem nieźle, ale trzeba się było w końcu wziąć do roboty. Zastukał w klawiaturę, by zakończyć pracę jednego z programów, który przyniósł ze sobą na dyskietce, i zdumiał się nagle, widząc literki wyświetlane jedna po drugiej na monitorze.

- Heja! A to co?

W podnieceni u pochylił się ku ekranowi. Od miesiąca buszował po sieci Field-Yield, Inc., włamując się do różnych systemów miejskich, a nawet sięgając dalej. Pliki kompanii Holbrooke'ow znał już całkiem dobrze i zabawiał się między innymi odczytywaniem, ile zarabiają właściciele i pracownicy, włącznie z sobą samym. Znajdował się zresztą na samym końcu listy płac. Zręcznie manipulował owymi informacjami, dopisując sobie do sprzątanía czas spędzany przy komputerze, czy też zmieniając dane w ewidencji dyskietek, nawozów i innych rzeczy, które podkradał z fabryki.

W czasie jednego z tych hackerskich rajdów odkrył tajemniczy katalog, ukryty równie starannie, jak jego własny. Zaintrygowany, postanowił za wszelką cenę się do niego włamać, lecz nie potrafił dopasować hasła. Byłoby mu łatwiej, gdyby wiedział, kto go stworzył, gdyż ludzie jako hasło zwykle wybierają liczby czy słowa, które mają dla nich jakieś znaczenie. Wyzwanie było jednak zbyt silne,

więc napisał własny program deszyfrujący, który miał przejrzeć i wykorzystać wszystkie słowniki zainstalowane w sieci Field-Yield, Inc.

I oto, zdaje się, właśnie teraz odnalazł owo hasło.

Otworzył katalog, nie zwlekając, po czym przejrzał listę plików. Zmarszczył brwi - ich nazwy z niczym mu się nie kojarzyły.

- Taa... - mruknął - popatrzmy sobie, co nam tu podešlo. - Podświetlił pierwszy plik i kliknął. Ekran zapełnił się informacjami. Z początku przeglądał je bezmyślnie, nie rozumiejąc, o co chodzi, nagle jednak coś zaczęło mu świecić. - O, kurde! - jęknął. - Kurde, facet! Ale towar!

To, co zobaczył, było tak nieprawdopodobne, tak niebezpieczne, że Lamar gwałtownie odepchnął się od biurka i o mało nie wyrzucił z fotelem do tyłu. W pierwszej chwili gorzko pożałował, że uzyskał dostęp do tych danych. Ale już w następnej zaczął zastanawiać się gorączkowo, jakby tu wykorzystać owe przerażające informacje dla własnych celów.

Ktoś będzie musiał nieźle przybulić za moje milczenie, pomyślał przebiegle. Teraz już drżał z podniecenia, nie ze strachu. Szybko wyjął pudełko sformatowanych dyskietek, które wcześniej wykradł z magazynu, rozdarł w pośpiechu opakowanie i wsadził pierwszą w stację dysków. Z bijącym sercem zaczął przegrywać pliki jeden po drugim.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Nikczemne sprawy

W ludzkiej nikczemności jest metoda.

Rośnie, gdy zło do zła się doda.

Francis Beaumont i John Fletcher, *A King and No King*

Po porannym incydencie w Field-Yield, Inc. Sarze zdawało się, że Renzo czyha na nią na każdym kroku i że z tego powodu musi być bez przerwy czujna niczym osaczone zwierzę. Denerwował ją ten człowiek i napełniał niepokojem. Nie wierzyła, że po prostu znów chce się z nią widywać - a zresztą gdyby nawet tak było, nie widziała przed nimi żadnej przyszłości.

Zdawała sobie sprawę, że odkrycie przez niego istnienia Alexa jest już tylko kwestią czasu. Zaczęła nawet się zastanawiać, czy nie lepiej byłoby uprzedzić fakty i umówić się z nim na spotkanie w redakcji - gdzie powinna się czuć względnie bezpieczna - a potem powiedzieć mu o synu.

Bowiem pomimo zapewnień Liz, Sara nadal nie wyzbyła się lęku, że Renzo będzie usiłował odebrać jej Alexa. Rzeczywiście, to mało prawdopodobne, by zdołał udowodnić, iż była dla chłopca złą matką, ale mógł z łatwością wykazać,

że on jest w stanie zapewnić mu lepsze warunki i perspektywy. Jego pozycja zawodowa i sława mówiły same za siebie. Ponadto w oczach sądu mocnym argumentem przeciwko niej byłby zapewne fakt, iż na dwanaście lat pozbawiła ojca możliwości kontaktu z synem.

Z drugiej strony, nie mogła zapomnieć o tym, czego dowiedziała się podczas rozmowy w „Spichlerzu”. Renzo zapewniał, że wiele razy próbował nawiązać z nią kontakt, co świadczyłoby nie tylko o jego dobrej woli, ale i niefortunnym zbiegu okoliczności, który doprowadził do trwającego wiele lat nieporozumienia.

Pozostało jej tylko sprawdzić, czy Renzo mówi prawdę. Powinna zatem pojechać do domu opieki w Woodlands i porozmawiać z matką. I to nawet już dzisiaj, bo wkrótce może być za późno. Mogła mieć tylko nadzieję, że Iris Kincaid będzie miała jeden ze swoich, bardzo już rzadkich, „świadomych” dni.

Gdyby bowiem matka cierpiała tylko na artretyzm i kłopoty z kojarzeniem, Sara nigdy nie oddałaby jej w takie miejsce. Wyrok zapadł, gdy lekarze stwierdzili u Iris chorobę Alzheimera.

Początki wyglądały niewinnie - mama od czasu do czasu zapominała, co ma wyjąć z lodówki czy z kredensu. Kiedy jednak nie była w stanie przypomnieć sobie własnego roku urodzenia, a potem zaczęła robić dziwne rzeczy, jak wkładanie sztućców do lodówki, a lodu do kredensu, wszystko stało się jasne. Coraz bardziej się zatracala, tak że przez wiele dni nie można z nią było w ogóle nawiązać kontaktu, a w rzadkich przebłyskach świadomości wydawało się jej, że mąż, Dell, wciąż żyje, a Sara jest jeszcze dzieckiem. Ale-

xa nie pamiętała w ogóle, choć praktycznie wychowywała go do siódmego roku życia, dopóki Sara, wykończona jej żalami i pretensjami, nie kupiła starej farmy Lovellów. Nigdy nie winiła mamy za takie traktowanie wnuka. Rozumiała jej ból po utracie męża.

W Woodlands Sara zjawiła się z pięknym bukietem frezji - ulubionych kwiatów Iris. Niestety, matka miała wyjątkowo zły dzień i tylko patrzyła na nią tępym wzrokiem, gdy córka wypytywała o listy od Renzo. Zniechęcona i przybita, Sara wyszła po godzinie.

W samochodzie zauważyła na podłodze delikatny płatek, który opadł z bukietu. Przypomniawszy jej nagle orchideę, którą przysłał do domu Renzo, uszytą przez matkę suknię na bal, do której przypięła sobie tamten kwiat, oraz ojca robiącego zdjęcia polaroidem i żartującego z nieznanego wielbiciela jego córki. Siedząc zaś tak w samochodzie, na parkingu przed domem, w którym powoli umierała jej matka, Sara oparła głowę na kierownicy i rozpłakała się.

Z początku Renzo był tylko poirytowany faktem, że bateria w jego roleksie się wyczerpała. Jednak kiedy stojąc z ponurą miną przy szklanej ladzie Goldberg Fine Jewelry, usłyszał, jak Bubba rozważa z panią Goldberg zalety różnych wzorów pierścionków zaręczynowych, doszedł do wniosku, że wymiana baterii jest zrządzeniem losu.

Do tej chwili bowiem nie był w stanie uwierzyć, że Sara Kincaid naprawdę pragnie zostać panią Holbrooke.

- Ach, Bubba... - Gladys Goldberg z zachwytem pokręciła głową. - Wyobrażam sobie, jak musisz być szczę-

śliwy, że twoja ślicznotka po tylu latach zgodziła się, byś poprowadził ją do ołtarza!

- Cóż, pani Goldberg, prawdę mówiąc, nie powiedziała jeszcze „tak” - nieco speszył się Bubba. - Ale mięknie już, mięknie - mówiąc to, mrugnął porozumiewawczo i zrobił minę jak kot na widok śmietanki, co momentalnie doprowadziło Renzo do wściekłości. - Dlatego pomyślałem, że chwyt z pierścionkiem zaręczynowym może przyspieszyć sprawę. Sara będzie wiedziała, że myślę o niej poważnie. No, ale naprawdę nie wiem, który najbardziej jej się spodoba.

- Renzo - odezwała się pani Goldberg - może ty zechciałbyś nam coś doradzić, zanim Isaac naprawi twój zegarek?

- Proszę bardzo, pani Goldberg - odpowiedział uprzejmie - aczkolwiek nie sądzę, żeby moja opinia interesowała pana Holbrooke'a.

- Ależ przeciwnie, panie Cassavettes - Bubba wpadł w jego salonowy ton -jestem niezmiernie ciekaw, jaki pierścionek wybrałby człowiek twojego pokroju. Interesuje mnie twój gust.

- Co do pierścionków czy co do kobiet? - dociekał Renzo, kpiąco unosząc brew. Jednak jego spojrzenie pozostało czujne i zimne.

- Co do jednych i drugich. - Bubba wzruszył ramionami.

- Podobno to właśnie ciekawość zgubiła kota. - Renzo uśmiechnął się samym kącikiem ust. - Pani wybaczy, pani Goldberg, ale widzę, że mój zegarek jest już gotowy.

- Tak, proszę, Renzo. - Isaac Goldberg podał mu rolexa

z wymienioną baterią, a Renzo pogawędził z nim jeszcze przez chwilę - na tyle dłużej, by zobaczyć, że Bubba dokonał wreszcie wyboru, zapłacił i zwierzył się pani Goldberg, że wręczy Sarze zaręczynowy pierścionek w sobotę wieczorem.

W czwartek po południu, kiedy Sara odwiedzała matkę w domu opieki, a Renzo i Bubba opuścili właśnie sklep jubilerski, Lamar Rollins wszedł do budki telefonicznej na głównym placu miasta, by przeprowadzić rozmowę swojego życia. Zastrzeżony numer zdobył z pomocą komputera w Field-Yield, Inc. i wiedział, że rozmowa odbywa się przez linię prywatną, łączącą bezpośrednio z biurem osoby, o którą mu chodziło, bez pośrednictwa centrali.

Podniósł słuchawkę, wrzucił monetę i wystukał numer.

- No, już, już, już... - mamrotał niecierpliwie, klnąc uporczywie powtarzający się sygnał.

- Słucham? - po drugiej stronie odezwał się wreszcie spokojny głos, wyraźnie słyszalny pomimo szumu ulicy. Lamar nie był do końca pewien, czy rozmowa nie jest jednak w jakiś sposób kontrolowana.

- Nic nie mów - zastrzegł napiętym głosem. - Tylko słuchaj. I dobrze słuchaj, bo nie będę dwa razy powtarzać. Wiem o kamieniołomach... o tym, co tam spuszczaście. Na dowód mam kopie twoich plików. Więc jeśli nie chcesz, żebym podrzucił je fedziom, to będzie cię to sporo kosztować. Sporo, mówię. Sporo jak cholera. I odpuść sobie tłumaczenia, bo nie masz szans. Jeśli uważasz, że wymyślam, to luknij se do komputera i spróbuj wejść w ten swój katalog. Teraz chodzi z moim hasłem, bo twoje mi się nie podobało. Nie dostaniesz się więcej do własnych plików.

Lamar zrobił krótką pauzę, dając rozmówcy szansę na sprawdzenie prawdziwości swoich słów.

- Już kumasz, że to nie zabawa, co? - kontynuował.

- No to posłuchaj. Układ jest taki: za hasło i dyskietki z kopiami plików chcę dwadzieścia pięć patoli na dzień dobry. No i oczywiście masz gwarancję, że sprawa nie wychodzi poza nas. Dla ciebie tanio jak barszcz, bo jak pójde gdzie trzeba i cała sprawa się wyda, to zakiblujesz na dobre, tam, gdzie rybki nie biorą - kumasz? - gdzie możesz mieć najwyżej akwarium dla rozrywki. Przy dobrym zachowaniu masz szansę wyjść po piętnastu albo dwudziestu latach - jeśli do tego czasu dożyjesz. Więc widzisz, że moja oferta to taniocha.

Rozmówca po drugiej stronie linii wciąż milczał, więc Lamar mówił dalej:

- Dobra, a teraz słuchaj dokładnie. Pieniądze masz mieć na jutro. Nie idę na żadne czekanie, wiem, ile masz na koncie. Jak nie masz, to weź kredyt na firmę, sprzedaj obligacje, pożycz, bujaj się jak chcesz, to twoja brocha. Ważne, że ma być na jutro, w niskich nominałach, nie więcej niż dwudziestki. I lepiej żeby nie były mi, w mordę jeża, znaczone albo rejestrowane, kapujesz? Teraz miejsce... Spotkamy się przy torach, przy starym trakcie, jutro o północy. Sam na sam, kumasz? Bo będę cię obserwował i jeśli przyfiluję jakiegoś asystenta, Laidlawa albo tego drugiego pierodołę, to fiuuu... zmywam się od razu. A dyskietki spadają fedziom jak z nieba. Trudno, wezmę trochę mniej, ale i tak zarobię na spuszczeniu sprawy dziennikarzom, jasne?

- Tak.

- No. Więc nie próbuj jakichś podchodów. Ubezpieczy-

łem się zresztą od takich numerów. Skopiowałem te pliki i wysłałem do kumpla. Napisałem, że jeśli coś mi się stanie, to ma otworzyć kopertę i poszperać se po dyskietkach. Nie bój się. Kumpel ma głowę, będzie wiedział, co z tym zrobić. Prasa, radio, telewizja... O kurde, ale będzie rozróżba! No dobra. To by było na tyle. Kumasz akcję?

- Tak.

- No to się spiesz albo się pieprz, jak mówią. Na razie.

- Lamar z trzaskiem odwiesił słuchawkę, uśmiechając się ze złośliwą satysfakcją.

W tym momencie Lamar Rollins był już martwy.

Tylko jeszcze o tym nie wiedział.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Burza

*I w smętku czułem, że nęka mnie tłący się żar dawnych stosów
Tak, w smętku trwałem z głową na piersi zwieszoną:
Byłem ci zawsze wierny, Cynaro ma! na swój sposób.*

Ernest Dowson, *Non sum quails erom bonae sub regno Cynarae*
(przełożył Stanisław Barańczak)

Po raz pierwszy od długiego czasu Bubba nie towarzyszył Sarze w drodze do domu. Kiedy wieczorem zamykała za sobą masywne, przeszklone drzwi Field-Yield, Inc., zdała sobie sprawę, że wołałaby - o, ironio! - aby tym razem był tutaj z nią. Niestety, dzwonił do biura tuż przed zamknięciem, informując, że zatrzymały go sprawy w innym mieście i że nie zdąży wrócić tego samego dnia.

- Bardzo mi przykro, Sara - kajał się. - Zapowiada się, że posiedzę tu do nocy, więc zostaje mi tylko pojechać do hotelu i wyruszyć dopiero rano. Zobaczymy się jutro po południu, w biurze, tak? Mówiłaś, że będziesz jutro pracować. Nie przesadzasz, kochanie? Przecież to sobota.

- Trudno. Muszę wyprostować parę spraw, które spar-

toliała Nora. Reklama, którą wymyśliła do tej radiowej kampanii, z którą mamy wystartować za parę tygodni, musi być jeszcze poprawiona i dopracowana. Muzyka jest beznadziejna. Tej kobiecie przydałyby się chyba jakieś nawozy, bo ma kompletnie wyjąłowiony mózg.

Jeszcze przez chwilę wymieniali złościwości na temat spraw służbowych, a potem Sara pożegnała się i odłożyła słuchawkę, czując, że ogarnia ją depresyjny nastrój.

W normalnych okolicznościach cieszyłaby się, bo miałyby przed sobą perspektywę spędzenia wieczoru z Alexem. Pograliby na Nintendo, uprażyli popcorn i obejrzeliby film z wypożyczalni wideo.

Tymczasem syn zadzwonił po południu do biura, pytając, czy mógłby zanoćować u Mickey Thurley. Mickey była najlepszą przyjaciółką Alexa - choć Sara podejrzewała, że jeszcze bardziej lubił jej siostrę, Heather. Jimmie Dean, ojciec dziewczynek, podjął się zabrać Alexa i odwiedzić go do domu następnego dnia rano. Sara, myśląc, że spędzi ten wieczór z Bubba, przystała chętnie na tę propozycję.

Teraz jednak, idąc do swego samochodu przez oświetlony halogenami parking, żałowała swej decyzji. Trudno, nie mogła już jej odwołać, nie chcąc robić chłopakowi niezasłużonej przykrości. Musiała pogodzić się z niemłą myślą o powrocie do pustego, ciemnego domu.

Na dodatek nadciągała burza, zupełnie jak gdyby pogoda chciała się dopasować do marnego nastroju Sary. Bezgłośnie błyskawice przecinały daleki horyzont, a duszne dotąd powietrze poruszały chłodzące porywy wiatru. Zapowiadało się, że po niekończących się, skwarnych dniach lata, udreżeniu ograniczeniami wody ludzie odetchną wreszcie, a ich

starannie pielęgnowane trawniki i ogródki zostaną uratowane.

Choć Sara tak jak i inni czekała na deszcz, wołała jednak, aby był to deszcz właśnie, a nie od razu burza z piorunami, która kto wie, czy nie zechce cisnąć jednej z błyskawic w jej starą farmę. Powinam jak najszybciej tara dotrzeć, myślała. Wyłączyć niektóre urządzenia i przygotować świece na wypadek, gdyby zgasło światło.

O tak późnej porze parking był już prawie pusty. Stało na nim tylko kilka wozów, należących do strażników i sprzątaczy. Nie po raz pierwszy - zwłaszcza od czasu tygodnia spędzonego z synem - Sara z niechęcią pomyślała o J.D., który dołożył jej zadań w związku ze swoją kampanią (choć musiała przyznać, że zrekompensował jej finansowo dodatkową pracę). Z drugiej jednak strony, inni harowali jeszcze więcej. Evie na przykład, która zajmowała w Field-Yield, Inc. drugie miejsce po ojcu, musiała w czasie kampanii przejąć w firmie wszystkie jego obowiązki. Nie narzekała jednak, bo jako dobra córeczka gotowa była zrobić wiele dla swojego tatusia.

No tak, ale sprawy z pewnością toczyłyby się sprawniej, gdyby J.D. zatrudnił w swojej kampanii więcej profesjonalistów, pomyślała, choć przecież wiedziała, że trudno byłoby na to liczyć. Stary Holbrooke nie wyobrażał sobie, że miałby pracować z kimś, kogo nie znał od lat i komu nie ufał bezgranicznie. Często powtarzał, że skoro zbudował ze swoimi ludźmi jedną z największych na Środkowym Zachodzie fabryk nawozów, a potem dzięki nim został gubernatorem, to równie dobrze ci sami ludzie mogą wprowadzić go do senatu.

Sara podejrzewała, że podobne swojackie, zdroworozsądkowe stwierdzenia, z taką aprobatą przyjmowane przez farmerów kupujących worki z jego nawozami, są częścią przemyślanej strategii wyborczej J.D., wypróbowanej już raz w walce o fotel gubernatora. To działało i zjednywało mu ludzi, zwłaszcza w połączeniu z faktem, iż nikomu nigdy nie udało się wykopać przysłowiowego zdechłego kota w jego ogródku. Jeśli nawet w życiu J.D. były jakieś brudy, potrafił ukryć je równie głęboko, jak - zdaniem wielu - Papa Nick.

Sara wsiadła do wozu, włączyła silnik, światła i ruszyła w drogę do domu. Nie żałowała gazu, by zdążyć przed burzą. Była już o milę od celu, gdy jakieś zwierzę nagle wyskoczyło na szosę w świetle reflektorów. Odruchowo nacisnęła hamulce i skręciła kierownicę, by umknąć zderzenia. Przednia opona zawadziła o pobocze i najechała na coś - jakiś ostry kamień, a może szkło. Powietrze uszło błyskawicznie i Sara szybko zorientowała się, że złapała gumę. Na szczęście po przygodzie ze zwierzakiem jechała wolniej i nie skończyło się to wpadnięciem do przydrożnego rowu.

Zatrzymała się, wysiadła i z wściekłością kopnęła w sflaczałą oponę. Odległy huk grzmotów narastał na pociemniałym niebie. Ile razy Bubba ostrzegał ją, że coś takiego może się stać, a wtedy jego pomoc będzie konieczna? No i stało się - właśnie teraz, kiedy po raz pierwszy nie eskortował jej do domu!

Zastanawiała się, co robić. Mogła albo przejść tę ostatnią milę piechotą, albo próbować sama zmienić koło. Szybko jednak porzuciła tę myśl. Wyciągnęła telefon komórkowy i wystukała numer stacji benzynowej Juniora Barlowa. Nie-

stety, nie odpowiadał. Pewnie zabrali z Krystal dzieciaki i pojechali do kina.

Z westchnieniem uznała, że nie ma wyboru. Zostawiła w jeepie ciężką teczkę z papierami, zarzuciła torebkę na ramię i już miała ruszyć do przodu, gdy zobaczyła przed sobą zbliżające się światła jakiegoś samochodu.

Wszystkie ostrzeżenia Bubby na temat gangów i zbrojczeńców stały się nagle przerażająco realne. Sarę przeszył nagły dreszcz strachu. Była wprost podręcznikową ofiarą - samotną kobietą na pustej, ciemnej, bocznej drodze. Zaraz jednak kształt zbliżających się reflektorów wydał się jej dziwnie znajomy i serce zabiło jej mocniej w nadziei, że to corvetta Bubby. A jednak nie. Po chwili przesunęła się obok niej długa, czerwona maska luksusowego, dwunastocylindrowego jaguara, samochód zahamował, a Sara znieruchomiała w oczekiwaniu na pojawienie się kierowcy.

Ale kierowca nie wysiadł, a gdy zajrzała do środka przez przyciemnioną szybę, w chmurze złotych iskerek z papierosa, nonszalancko trzymanego w kąciu ust, błysnęły oczy Renzo Cassavettesa.

- Wsiadaj, mała - powiedział, uchylivszy szybę, a potem otworzył dla niej drzwi po drugiej stronie.

Po długiej chwili wahania Sara powoli wślizgnęła się na siedzenie. Nie zaproponowała zmiany koła, choć nie byłoby z tym pewnie żadnych trudności. Renzo zwolnił hamulec i potężny wóz wystrzelił do przodu.

- Skąd... skąd wzięłeś się na drodze, tu i o tej porze?
- zapytała po chwili, chcąc jakoś przerwać męczące milczenie.

Z początku myślała, że Renzo nie odpowie. Ogarnął ją

szybkim spojrzeniem, a potem po raz ostatni zaciągnął się papierosem, wydmuchując dym przez nozdrza. Jak każdy w tej okolicy, nie cisnął go na pobocze, pamiętając o suchych, wysokich trawach, lecz starannie zdusił w popielniczce. Pociągnął jeszcze głęboki łyk piwa z puszki, którą trzymał w kieszeni na drzwiach, i dopiero potem się odezwał:

- Parę godzin temu dzwoniłem do FYI, żeby umówić się z tobą na dalszy ciąg wywiadu o kampanii Holbrooke'a. Powiedziano mi, że jesteś zajęta i że nie przyjmujesz telefonów, więc z czystej ciekawości spytałem o Bubbę. Operatorka z waszej centrali była uprzejma poinformować mnie, że musiał wyjechać do innego miasta i wróci jutro rano. Dlatego kiedy zamknąłem swój kramik, pomyślałem, że pewnie będziesz miała wolny wieczór i że warto do ciebie wstąpić. I jak się okazało, słusznie pomyślałem, prawda? - uśmiechnął się dziwnie kpiąco i podstępnie.

Sara miała w tej chwili ochotę udusić tę cholerną Jolene McElroy, która zawsze paplała wszystko, nie bacząc na to, czy rozmawia z gońcem, czy z prezydentem. To jej zawdzięcza tę randkę, która nie wiadomo jak się skończy.

Całe szczęście, że Alex nocuje dzisiaj u koleżanki, myślała. Jeszcze niedawno żałowała, że się na to zgodziła, ale teraz błogosławiła tę decyzję. Gdyby postąpiła inaczej, Alex czekałby na nią w domu. A Renzo, podwożąc ją na miejsce, zauważyłby chłopca. Na samą myśl o tym ogarniał ją strach.

- A co jeszcze chciałbyś wiedzieć o kampanii J.D.? - pytała dalej, usiłując nadać głosowi suche, pozbawione emocji brzmienie.

- Och, nic ważnego - rzucił niedbale, potwierdzając ostatecznie jej przypuszczenia, że cała sprawa była tylko pretekstem. Była pewna, że dzwonił do FYI tylko po to, by sprawdzić, czy będzie się dzisiaj widziała z Bubbą. A głupia Jołene ułatwiła mu zadanie.

- To bardzo dobrze - powiedziała, przeklinając w duchu nerwowe drżenie swego głosu. - Miałam dzisiaj długi, wyczerpujący dzień i byłabym zbyt zmęczona, by dyskutować o subtelnościach senatorskiej kampanii.

Renzo znów zerknął na nią z krzywym uśmiechem. Zwolnił. Dojeżdżali już do farmy. Opony zazgrzytały na zwirowym podejździe.

Zatrzymał wóz i rozparł się w fotelu kierowcy, opierając łokieć o okno. Zapalił nowego papierosa, wysączył piwo, a potem niedbale wrzucił puszkę za siedzenie.

- Kiedy wreszcie przestaniesz mnie unikać, Saro? - zagadnął.

- Nie wiem, o czym mówisz, Renzo.

- Nie żartuj, dziewczyno. Zachowujesz się jak spłoszona sarna, ile razy chcę się do ciebie zbliżyć. Boisz się, choćbym zachowywał się nie wiem jak spokojnie. Owszem, usiłuję być spokojny, ale tak naprawdę to mam już cholernie dosyć tego czekania. Chcę, żebyś wiedziała, że nie zamierzam patrzeć beczynnym, jak popełniasz najgorszy błąd swojego życia, wychodząc za Bubbę Holbrooke'a!

- Nie widzę innej możliwości, Renzo. I nie widzę powodu, dla którego ty miałbyś się wtrącać w moje życiowe decyzje. Co cię, do licha, obchodzi, z kim biorę ślub? Proszę, zostaw mnie wreszcie w spokoju. A w ogóle, po co tu wróciłeś? - wybuchnęła.

- Po ciebie. - Jego głos był niski, wibrujący emocją. Ciemne oczy błyszczały namiętnością i determinacją.

Sara wstrzymała oddech z wrażenia, a potem wiedziona nagłym odruchem, szarpnęła klamkę, wyskoczyła z samochodu i pobiegła do domu. Słyszała, jak Renzo woła ją, a potem wyskakuje z wozu, trzaskając głośno drzwiczkami.

Z bijącym sercem wpadła na werandę, szarpnięciem otworzyła pierwsze, siatkowe drzwi, gorączkowymi ruchami wygrzebała klucz z torby i trzęsącą się dłonią włożyła go w zamek.

Ustały nagle i tak gwałtownie, że omal nie padła za próg. Poryw wiatru zatrzaskał za nią siatkowe drzwi, więc szybko zasunęła w nich zasuwkę. Dopiero teraz uspokoiła się i odstaąpiła krok do tyłu, ciężko dysząc.

Zielone oczy powiększyły się w pobladłej twarzy, gdy ujrzała wysoką postać Renzo, która zasłoniła otwór framugi. Sylwetka mężczyzny czerniała groźnie na tle nocnego nieba, co chwila rozświetlanego błyskawicami. Gęstą, długą czuprynę dziko rozwiewał wiatr. Ciemne oczy wpatrywały się w nią drapieżnie i hipnotycznie, wprawiając w drżenie jej rozdygotane ciało. Dzwonki na tarasie podzwaniały nerwowo i lękliwie w przedburzowych porywach.

Do tego Alex, choć napominała go wiele razy, żeby tego nie robił, znów nie wyłączył aparatury stereo, wychodząc z domu. Z głośników w salonie niosły się więc teraz sugestywne dźwięki utworu „Lily Was Here” z płyty „Saxuality”, nagranej przez Candy Dulfer. Zmysłowy dialog gitary i saksofonu, podbudowany prostym, niepokojącym rytmem, pobudzał zmysły i tęsknotę za tym co najtrudniejsze i zarazem najprostsze między kobietą a mężczyzną. Taki sam

powolny, nieznacznie narastający dreszcz wywoływało w Sarze saksofonowe granie Renzo.

Chwyił klamkę i szarpnął ją, aż zadrżały siatkowe drzwi. Sara odruchowo postąpiła jeszcze krok do tyłu.

- Jeśli nie otworzysz sama, ja to zrobię - powiedział miękkiem głosem, w którym pobrzmiwała stalowa groźba.

W milczeniu pokręciła głową, ale nie uczyniła najmniejszego ruchu, by w porę zamknąć potężne, stare frontowe drzwi, które na dobre oddzieliłyby ją od niego. A później, kiedy Renzo naparł potężnie barkiem na pierwsze drzwi i słaby zamek zaczął ustępować pod jego ciężarem, wychodząc z framugi, wciąż stała drżąca i nieruchoma, jak królik obezwładniony widokiem węża.

Wreszcie drzwi ustąpiły i teraz mogła już tylko patrzeć błagalnie, prosząc tego, pięknego, dzikiego drapieżcę o litość... i o coś jeszcze.

Dwoma miękkimi, kocimi krokami pokonał dzielącą ich odległość i stanął tuż przy niej, sycąc się widokiem Sary przez długą, pełną narastającego napięcia chwilę. Kiedy błyskawica oświetliła ich twarze, a dom zatrzęsł się od huku gromu, chwycił ją w ramiona z niskim pomrukiem, brzmącym jak echo burzy. Twarde palce zanurzył w jej włosy i przychylił głowę do pocałunku - chciwego, brutalnego, który tamował oddech i pozbawiał resztek rozsądku.

Bezsilna i oszołomiona, w najtajniejszym zakątku swoich myśli odkryła zdradzieckie, ciemne, wymykające się spod kontroli rozsądku pragnienie, które pchało ją ku niemu. Nie chciała tego - i jednocześnie chciała mocniej niż cokolwiek na świecie.

Z własnej woli otoczyła mu szyję ramionami, a jej usta

stały się miękkie i chętne, radośnie poddające się inwazji. Nie przerażała już jej dzikość i brutalność tego mężczyzny, bo czuła w nim prawdziwe, czyste, skierowane jedynie ku niej pragnienie; namiętność tak potężną, tak wielką, jakby przez wszystkie te lata marzył o niej nocami. Bo przecież tak właśnie było - marzył o niej i jej pragnął. Czuła to i nie musiała czekać, aż sam jej powie. Renzo sycił się ustami Sary jak spragniony wędrowiec u źródła na pustyni. Lęk przed tym twardym, umięśnionym ciałem, które brało ją w posiadanie, ustąpił miejsca cudownemu podnieceniu.

Kiedy wygiął jej szyję do tyłu i zaczął sunąć po nich wargami, piersi Sary nabrzmiały i stwardniały niemal boleśnie. Ona sama zaś poczuła się tak dziwnie i słodko bezsilna, niemal omdlała, jak gdyby podano jej jakiś odurzający narkotyk. W głowie wirowały nieskładne, chaotyczne myśli, płoszone pieścizotami jego języka, zębów, dłoni...

A dłonie te wędrowały po całym ciele i brały je w posiadanie, jak gdyby miały do tego pełne i wyłączne prawo. Coraz bardziej brakowało jej sił, coraz uleglej układała się w jego objęciach, aż wreszcie pozwoliła, by wydobył jej ciało z krępującego kokonu ubrania i opuścił je na wozzysty, gruby dywan, okrywający podłogę holu, w którym stali.

I oto leżała przed nim naga, wyczekująca, spragniona i przerażona jednocześnie. Nagle do głowy przysłała jej myśl, że przecież nie ma już siedemnastu lat, że jest dorosła, że urodziła dziecko - i uczyniła gest, jakby chciała zasłonić się przed nim, odwracając głowę. Nie pozwolił jej na to. Chwycił za nadgarstki i rozkrzyżował ręce na ziemi.

- Jesteś piękniejsza niż pamiętałem - wyszeptał zduszo-

nym głosem, z wargami na jej wargach, zanim znów zaczął ją całować.

Chciała jeszcze zaprotestować, pokazać, że nie zdobędzie jej tak łatwo. Ale myśl ta nie zdołała się nawet uformować, by dać początek słowom. Gorące wargi mężczyzny zsunęły się po jej szyi, a zęby tak podniecająco ukąsiły ją w ramię, że prąd, który przeszył ciało Sary, zdawał się pochodzić z samego serca burzy.

Wreszcie Renzo zajął się spragnionymi dotyku piersiami, układając je sobie w dłoniach, by łatwiej mu było całować je, ssać i skubać zębami twarde sutki. Opuchnięte, spękane usta Sary rozchyłały się w bezgłośnym jęku i błaganiu. Wiła się pod nim i przeżyła, aż wreszcie zlitował się nad nią i odsunął na chwilę, by rozpiąć pospiesznie koszulę na swej piersi.

Zdarł ją z siebie niecierpliwie, odstawiając szeroki, porośnięty delikatnym włosem tors. Sara przymknęła oczy na ten widok. Przypomniła sobie w ułamku sekundy tamten szalony czas, kiedy Renzo Cassavettes po raz pierwszy przylgnął do niej swoim ciałem. Teraz była już tylko jednym, wielkim wyczekiwaniem. Nie było miejsca na jej ciele, które by nie płoneęło. Renzo zaś klęczał obok i wpatrując się w nią oczami palącymi jak węgle, okrutnie powoli rozpinął pas u swych dżinsów. Kiedy wreszcie pochylił się nad nią nagi, gdy zobaczyła, jak jest dla niej twardy i gotowy, niepowstrzymanym gestem wyciągnęła ku niemu dłoń, otwierając się przed nim cała.

Wykrzykując głośno jej imię, wszedł w nią tak nagle i mocno, że aż krzyknęła. On jednak natychmiast zgasił ten krzyk pocałunkiem. Niemal stracił oddech z zachwytu, gdy

utuliło go wilgotne, gorące, kobiece wnętrze, gdy trzymało go tak ciasno, jakby już nigdy nie miało wypuścić, tak ciasno, jakby nadal była dziewicą.

Ze zdumienia aż otworzył oczy i popatrzył na nią, uśmiechając się z satysfakcją. Dokładnie znała jego myśli, bo jej własne dotyczyły tego samego. Targnął nią nagły poryw gniewu i buntu - z powodu tych wszystkich, straconych na czekaniu na niego lat. Pożałowała, że nie przespała się w tym czasie choćby i z Bubbą, nie mówiąc już o innych mężczyznach, których mogłaby mieć, zamiast więc się po nocach w niespełnionym pożądaniu. Tymczasem Renzo znów przymknął oczy, biorąc głęboki oddech, i po chwili zaczął się w niej ostrożnie poruszać. A wtedy Sara przestała myśleć o przeszłości. Przestała myśleć w ogóle.

Burza runęła na dom bez ostrzeżenia, nagłą falą wichru, grzmotów i ulewy, działając na nich jak ostroga. Renzo dawał Sarze rozkosz dzikimi pchnięciami, gwałtownymi jak same żywioły, które szalały wokół. Kurczowo wpijała paznokcie w jego śliskie od potu plecy, prężąc się ku niemu i prosząc o jeszcze. A on ani na moment nie zwolnił tempa, niosąc ją szybko ku spełnieniu.

Gdy wreszcie nadeszło, ogarnęło ją jak gwałtowny płomień, z mocą błyskawicy, która zdawała się topić jej ciało. Wypreżyła się pod nim w łuk, z głową wygiętą do tyłu. Ich palce splotły się kurczowo.

Renzo czuł fale, które targały jej ciałem i duszą; czuł, jak jej wnętrze płonie i eksploduje nieogarnioną rozkoszą. Jeszcze chwila i on eksplodował z siłą, która gromadziła się w nim przez lata, znajdując ujście jedynie w marzeniach. Teraz oboje tulili się do siebie kurczowo, wstrząsani prze-

ciągłymi spazmami szczęścia, a ich radosne okrzyki mieszały się ze sobą. Ale nie było w tym jeszcze ostatecznego spełnienia i nasycenia. Jeszcze nie spełnienie, a tylko pierwsze szalone emocje.

Zaledwie więc Renzo opadł na bok, dysząc ciężko jak po tytanicznej walce, już zaczął pragnąć Sary od nowa, równie dziko jak przedtem, do kompletnego wyczerpania...

Pochylił się nad nią, uniósł ją w silnych ramionach i zaczął wstępować z Sarą w objęciach na strome, kręte schody, prowadzące do sypialni na piętrze. Na podeście przystanął, niepewny, z której strony dochodzi odgłos dzwoneczków z tarasu.

- W lewo - wyszeptała Sara, wtulając twarz w zgięcie jego szyi.

Zaniósł ją do pokoju, delikatnie złożył na łóżku i znów objął jej ciało w posiadanie, budząc ucichłe tylko na moment odczucia. Ale teraz robił to niespiesznie, przedłużając każdą pieśczętę. Sara znów drżała, ale tym razem radośnie, bo wiedziała już, jakie czekają ją przeżycia.

Gdzieś w głębi duszy ocalała jeszcze, nie zmieciona dotąd emocjami, pełna przerażenia myśl, że kiedy tylko Renzo jej dotyka, całkowicie traci kontrolę nad sobą. Oddawała mu całą siebie we władanie, by robił z nią, co chciał - choć przez lata zdołała wypracować chłodny, trzeźwy dystans wobec świata i jego pokus, które odsuwała, doskonaląc się w pracy. Tymczasem wystarczył jeden wieczór, by Renzo odarł ją ze złudzeń na temat własnej niezależności z równą łatowścią, z jaką zdierał z niej ubranie.

Teraz, kiedy pochylał się nad nią, znów czuła potężny przypływ nieposkromionych uczuć. Nie sposób było go za-

trzymać. Musiała pogodzić się z faktem, że nie przestała kochać Renzo Cassavettesa od czasu, gdy pierwszy raz zobaczyła go jako siedmiolatka.

Całował ją, smakując powoli i w spokoju każdy z pocałunków. Z zewnątrz dochodził kojący szum ulewy i ciche pbrzękiwanie dzwoneczków. Burza odchodziła. Z głośników na dole nadal sączyła się muzyka. Dopiero teraz Sara zdała sobie sprawę, że to nie radio, ale kasetka, na której Alex nagrał wszystkie swoje ulubione utwory, w których królował saksofon. Musiał ją włączyć na auto-rewers, bo odtwarzała się bez końca. Teraz właśnie zabrzmiały - o, ironio - triumfalne tony „Uwiedzenia” Jamesa Lasta.

Sara nie wiedziała już, czy ma śmiać się, czy płakać - gdyż tym razem Renzo klasycznie ją uwodził, z ogromną wprawą pobudzając jej ciało i zmysły, jakby grał na czułym instrumencie. Jego gorący oddech zmysłowo drażnił jej skórę, a wargi obdarzały pieśczołą każdy centymetr coraz bardziej spragnionego i wciąż niesytego ciała. Próbowwała przyciągnąć go do siebie, ponaglić, lecz nie pozwolił jej na to.

- Nie... jeszcze nie... - szepnął niskim głosem, przeciągając czubkami długich palców po rozpalonej skórze. - Poczekaj... spokojnie...

Pochylił się nad nią i znów rozpoczął wszystko od początku - od pocałunku, któremu towarzyszyła pieśczoła palców, schodzących coraz niżej, wzdłuż linii pępka, muskających aksamitną skórę ud i zmierzających nieuchronnie ku małemu pączkowi, gdzie mieściło się epicentrum rozkoszy. Już po chwili wydała cichy okrzyk, a potem zaczęła się prężyć, szukając najkrótszej drogi do spełnienia, gdyż dłuższe czekanie zdawało się nie do zniesienia. Renzo raz

jeszcze z okrutnym rozmysłem cofnął ją znad samej krawędzi, a kiedy myślała już, że oszaleje z udrczenia, rozsunął wreszcie jej uda i pochylił nad nimi głowę.

Porwana całkiem nowymi odczuciami, Sara nie zdołała stłumić w sobie fali gniewu i przerażenia. To, co wyczyniały teraz usta Renzo i jego język, świadczyło o ogromnej wprawie. Nie zatraciła się jeszcze tylko dlatego, że pomyślała o wielu - jak wielu? - łózkach, w których leżał.

Tak chciałyby zburzyć w nim przeświadczenie, że była mu wierna - ale w końcu bezsilnie uznała, że wszelkie jej wysiłki będą tylko śmieszne. Jedynym pocieszeniem i zarazem gorzkim zwycięstwem była obserwacja, że Renzo z trudem panuje nad sobą, o czym świadczył jego świszczący, ciężki oddech. A przecież przed chwilą już raz ją posiadł! Która kobieta mogła być bardziej pożądana?

Wczepiła się palcami w jego włosy, z krzykiem poddając się jego ruchom. Teraz nie myślała już o niczym - a właściwie tylko o jednym - by zabrał ją do tego wspaniałego miejsca, gdzie już razem byli tego wieczora. Drżała, unoszona falami pragnienia, a jej uda rozchyłały się i zamykały, jak skrzydła motyla. Otwierała się ku niemu całkowicie, radośnie uległa.

- Och, tak, kochana... teraz... teraz dam ci to, czego tak pragniesz - wyrzucił z siebie urywane zdania. - Przecież chcesz tego, Saro, prawda? Saro, moja słodka Saro...

- Tak, aa... tak, chcę! Renzo, proszę! - krzyknęła, łkając bezsilnie.

W oszalałym tempie wznosiła się ku krawędzi, aby w ułamku sekundy spaść w ciemną, szaloną, zmysłową otchłań. Spadała, wstrząsana dreszczami, pozostawiającymi ją

coraz bardziej bezsilną. A kiedy zdawało się, że już niżej spaść nie może, Renzo odchylił się, chwycił jej dłoń i naprowadził na swą gorącą, twardą męskość. Zrozumiała, że to jeszcze nie koniec lotu, kiedy klęcząc nad nią, nakazał zduszonym głosem, by przyjęła go do siebie.

Kiedy tym razem doszli do końca i Renzo wypełnił ją z ogromną pasją i siłą, wreszcie poczuli się nasyceni. Oboje wiedzieli już, że należą ostatecznie i nieodwołalnie do siebie.

Potem leżeli już tylko, przytuleni, a pieśczoły Renzo, spokojne i delikatne, nie żądały niczego, tylko potwierdzenia wypowiedzianych wcześniej mową ciała uczuć. A kiedy Sara przestała wreszcie drżeć i łkać z radości w jego ramionach, uspił ją jak dziecko. Wstał z łóżka dopiero wtedy, gdy usłyszał jej równy oddech.

Lamar tak bardzo bał się pułapki, że przyjechał godzinę przed umówionym terminem. Zatrzymał swój samochód przy przejeździe kolejowym na starej drodze do miasta i zgasił światła. Przez chwilę nie ruszał się z wozu, bacznie obserwując teren. Burza minęła i światło księżyca, który zbliżał się do pełni, oświetlało odległe pasmo lasu oraz płaskie pagórki, po których wiła się mokra teraz, żwirowa szosa.

Nie stwierdził niczego podejrzanego, wysiadł więc, zamknął drzwiczki i oparł się o dach. W rękę miał lornetkę noktowizyjną, którą ukradł ze sklepu myśliwskiego; za paskiem pod koszulką - przebój sobotniej nocy, czyli tani pistolet, który kupił kiedyś za pięćdziesiąt dolców od „Rąbarki” Isleya. Isley prowadził lombard w czarnej dzielnicy

miasta i dorabiał sobie paserstwem, sprzedając na zapleczu kradzione fanty.

Noc była spokojna. Ciszę przerywał jedynie koncert świerszczy, kumkanie żab i kapanie kropel z wysokich traw. Lamar uważnie lustrował okolicę, a jednak nie dostrzegł ukrytej w cieniu na skraju lasu postaci, która powoli uniosła broń do oka. Dopiero kiedy usłyszał suchy trzask wystrzałów, zrozumiał, że jego życie jest w niebezpieczeństwie.

Ale było już za późno, by mógł cokolwiek zrobić. Kule dosięgły go i rozpląszczyły na burcie wozu, a potem osunął się na ziemię niczym szmaciana lalka. Walczył o oddech, usiłował jeszcze chwiejnie wstać, lecz krew tryskała z rany na piersi coraz szerszym strumieniem i wiedział już, że to koniec. Wreszcie upuszczona lornetka potoczyła się na bocze, a on sam osunął się twarzą w błotnistą kałużę.

Już nie oddychał, kiedy morderca dwa razy kopnął martwe ciało, aby upewnić się, czy dobrze wykonał swoją robotę. Szybka rewizja ujawniła kopertę z dyskietkami w schowku na desce rozdzielczej. Morderca zabrał ją, uśmiechając się z politowaniem na myśl o naiwności i głupocie tego szantażysty-amatora.

Sara pomyślała nieprzytomnie, że musi być już dobrze po północy. Coś ją niepokoilo, lecz nie potrafiła tego sprecyzować. Może trzask samochodowych drzwiczek? Nagle wspomnienia sprzed kilku godzin wlały się falą do jej mózgu.

Renzo!

Wyciągnęła rękę, ale miejsce u jej boku było puste.

Uciekł, znów ją zostawił! Natychmiast usiadła i w in-

stynktownie obronnym geście okryła prześcieradłem nagie ciało. Rozglądała się przez chwilę po pokoju, niepewna, czy ten zmysłowy szal nie był tylko snem.

Nie, nie był, stwierdziła, dostrzegłszy otwarte drzwi na balkon i powiewające firanki. Renzo stał na zewnątrz i palił papierosa, a dzwoneczki pobrzękiwały melodyjnie koło jego głowy.

- Renzo?

Na dźwięk jej głosu spojrzął przez ramię w głąb sypialni, po czym po raz ostatni zaciągnął się głęboko i pstryknięciem posłał niedopałek na mokry trawnik. Cicho wszedł do środka, rozpinając po drodze dżinsy. Czuła na sobie jego pożądliwy wzrok, a gdy zdjął spodnie, widziała, jak bardzo znów jej pragnie.

- Myślałam, że słyszę trzask drzwiczek do samochodu - powiedziała, nie wypuszczając z garści prześcieradła, które tuliła wciąż do piersi, jakby chciała się zasłonić przed czarem, który rzucał na nią ten mężczyzna.

- Zgadza się. Schodziłem do wozu po fajki - wyjaśnił, kładąc się obok niej. Materac ugiął się pod jego ciężarem.

- Myślałam... że znów odszedłeś, zostawiłeś mnie...

- O, nie, *cara*, już nigdy cię nie zostawię. Nigdy w życiu. Nigdy! - powtórzył z mocą, gwałtownym ruchem odrzucając osłaniające ją prześcieradło i zamykając usta pocałunkiem.

Jego ręce znów zaczęły wyprawiać diabelskie sztuczki.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Alex

Mądry to ojciec, co zna własne dziecko.

William Szekspir, Kupiec wenecki

- Hoag? - zastępca szeryfa, Wayne Truett, przemówił do mikrofonu wozu patrolowego. - Pofatyguj się na starą drogę do miasta, dobra? Mamy problem.

- Co za problem, Dwayne? - z trzasków i szumów wypłynął głos szeryfa.

- Lamar Rollins. Jest tu przy torach, z tym swoim rzęchem.

- I co z tego? Pijany? Naćpany?

- Jest martwy, Hoag.

- Powtórz jeszcze raz, Dwayne, bo się pewnie przesłyszałem. Powiedziałaś, że Lamar jest martwy?

- W zupełności. Potwierdzam. Zimny trup. I cholernie niemiło wygląda. O mały nie pozbyłem się śniadania.

- Dobra, co to było? Przepicie? Przedawkowanie?

- Zapomniałaś, że zdarzają się jeszcze zabójstwa. Ktoś chyba wpakował mu parę kulek w pierś. Ale nie za bardzo się na tym znam, więc lepiej poczekać na sekcję. Jakbym

miał oceniać, to powiedziałbym, że załatwiono go z dalekiego zasięgu, z broni myśliwskiej, kaliber osiem albo dziewięć. Ustrzeliło się w życiu trochę jeleni, to się wie. Na oko wydaje się, że biedny Lamar musiał tu leżeć gdzieś od północy.

- O, Chryste! - Szeryf burczał wściekle przez dobre kilka minut. Szczerze mówiąc, nie bardzo wiedział, co ma robić w takiej sytuacji.

W porównaniu z wielkim miastem, na tej prowincji śmierć z przyczyn nienaturalnych zdarzała się stosunkowo rzadko. A morderstwo z zimną krwią - jeszcze rzadziej. Owszem, zdarzały się pobicia czy postrzelenia, kiedy na dyskotekach i w knajpach kurzyło się ludziom z głów w sobotnie noce, ale zawsze znaleźli się świadkowie, których można było odpytać.

- Dobra, Dwayne - stwierdził wreszcie - dzwoń po śledczego i zabezpiecz miejsce tej cholernej zbrodni. I niech nikt niczego nie dotyka, a ty nic nie kombinuj na własną rękę, zrozumiano? Zaraz tam będę.

Rano znów się kochali, na wpół sennie i leniwie. Kiedy zaś Renzo usnął, zmęczony miłością, Sara wysunęła się z jego objęć, szybko zebrała rzeczy i na palcach podreptała do łazienki.

Była zaszokowana widokiem swojej twarzy w lustrze - strzechą zmierzwionych włosów, oczami podkrążonymi z niedospania, obrzmiałymi ustami i znakami na całym ciele, świadczącymi o gwałtowności i pasji, z jaką była kochana.

Odwróciła się od swego odbicia, powodowana nagłą falą wstydu. Na nic zdały się całe lata upartych wysiłków, by

wykreować siebie na racjonalną, rozsądną kobietę, nie dającą się zwieść emocjom i instynktom. Teraz Renzo może równie dobrze opuścić ją jeszcze raz - i cała udręka zacznie się od nowa...

Kiedy doprowadziła się wreszcie do porządku, zeszła do kuchni. W nocy Renzo wyłączył muzykę i pozbierał ich porozrzucane rzeczy, składając je w porządną stosik na starej kościelnej ławce, która zdobiła hol. Sara włączyła ekspres do kawy, a potem cicho wyszła z domu, by powitać wstający świt. Z drzeniem pomyślała, że kiedy wróci do domu, może już nie zastać w nim Renzo.

Kiedy Renzo się obudził, pomyślał zrazu, że wszystkie te nocne szaleństwa były jedynie cudownym snem. Dopiero po chwili zorientował się, że naprawdę jest w sypialni Sary. Rozglądając się z zainteresowaniem po przytulnym wnętrzu, zauważył, że pokój jest pięknie urządony w stylu wiktoriańskim, z wrażliwością i smakiem.

A jednak nie mógł jeszcze do końca uwierzyć, że leży w jej łóżku. Noc spędzona z tą kobietą była po prostu nieprawdopodobna. Cholera, znów jej pragnął!

Kiedy pojął, że nie przyjdzie do niego sama, wstał, włożył dzinsy i zaczął ją wołać. Zapach świeżo parzonej kawy sprowadził go do kuchni. Była duża, urządzona w rustykalnym stylu. W ekspresie stojącym na kafelkowym blacie podgrzewał się aromatyczny napój. Ale i w kuchni nie było Sary. Wyglądało na to, że wyszła z domu.

Uciekła ode mnie, pomyślał, przeniknięty nagłym bólem. W głębi duszy rozumiał ją doskonale. Uciekła, gdyż bała się, że to on odejdzie pierwszy i znów ją zostawi.

Znalazł w szafce filiżankę, nalał sobie kawy i wypił ją niespiesznie, smakując gorącą gorycz, która przywracała spokój i dodawała sił. Bez względu na to, co Sara o nim myśli, nie pozbędzie się go tak łatwo, zwłaszcza po tej nocy.

Przeszedł do obszernego salonu i wyrzął przez szerokie okna. Zmartwił się, nie widząc jeepa na podjeździe, ale za chwilę przypomniał sobie, że wóz stoi przecież przy szosie z przebitą oponą. Odetchnął z ulgą. Sara nie mogła odejść daleko.

Nagle domyślił się, gdzie jest. Wrócił do kuchni i wyszedł przez tylne drzwi. Głęboko wciągnął w płuca rześkie poranne powietrze, oczyszczone nocną ulewą. Liście drzew i trawy lśniły świeżą zielenią i rosą, której nie zdążyło jeszcze wypalić wznoszące się słońce. Patrząc na ten sielankowy krajobraz, zrozumiał, dlaczego Sara pokochała starą farmę. Ten dom zapuścił tu korzenie i miał swoją duszę. Mimochodem pomyślał, że i jemu byłoby w nim dobrze.

Najpierw jednak musi ją odnaleźć i przekonać, że przyjechał tutaj do niej i dla niej. Przyjechał, by zostać z nią na dobre.

Spokój łąk mąciło jedynie brzęczenie niezliczonych owadów, szelest traw i szum drzew w porywach wiatru. Z domku na drzewie nie dochodził żaden odgłos, ale Renzo czuł, że Sara jest w środku. Podszedł z wolna do starego sykomora, oparł rękę na pniu i wpatrzył się w gęstą koronę. Stał tak przez chwilę, zamyślony, zatopiony we wspomnieniach przeszłości.

Wreszcie z uśmiechem pełnym cieplej, radosnej czułości przemówił:

- Saro, słodka Saro, spuść mi swój wspaniały war-kocz...

Serce Sary biło boleśnie. Powinna przewidzieć, że Renzo domyśli się, gdzie jej szukać. A może właśnie dlatego tu przyszła, gdyż chciała, by ją odnalazł?

Siedziała cicho w domku na gałęziach, czekając, aż odejdzie, lecz w najgłębszej głębi serca nie chciała, by odszedł. Chciała, by Renzo wszedł do niej na górę i został z nią na zawsze. Dlatego też, gdy usłyszała wreszcie jego głos - te słowa, których chyba nigdy nie zapomniała, choć po raz pierwszy padły tak dawno - sięgnęła po grubą linę i spuściła ją w dół.

Renzo chwycił linę i zaczął się wspinać. Po kilku chwilach zobaczyła jego głowę, wyłaniającą się zza krawędzi podestu. Odwróciła twarz, by nie widział śladów łez na jej policzkach. Płakała z tak wielu powodów, że w tym stanie emocjonalnego wzburzenia nie zdawała sobie nawet sprawy, ile ich jest naprawdę. Może opłakiwała straconą młodość, żal za tym, co mogło być, ostatnią noc, uczucie, które nadal żywiła do Renzo... A może fakt, że ukrywała przed nim Alexa, może niepewną przyszłość, może zaś ten nieznośny lęk, że nawet ich najpiękniejsze przeżycia nie wystarczą, by zatrzeć ból przeszłości.

Nie patrzyła w jego stronę, długie włosy opadły falą na jej twarz, ale Renzo i tak wiedział, że jego ukochana Sara płacze. Siedziała w kącie, skulona jak dziecko, miała na sobie tylko dżinsy i zwykłą zieloną koszulkę, a jej stopy były bose. Wyglądała teraz jak siedemnastoletnia dziewczyna, niewinna i wrażliwa - dokładnie taka, jaką zapamiętał.

Ukląkł przy niej i utulił ją w ramionach, gładząc gęstwą zmierzwionych włosów.

- Saro, och, Saro... - wyszeptał żarliwie. - Czy nie wiesz, że jesteś dla mnie jedyną kobietą na świecie? I że zawsze byłaś? Tylko ty. Kocham cię. Kocham...

Pospiesznie scałował łązy z jej mokrych policzków, aż dotarł do ust, gdzie słony smak łąz zmienił się w miodową słodycz. Jeszcze droczyła się z nim chwilę, jeszcze wzbraniała, ale po chwili już otworzyła się dla niego i zarzuciła mu ramiona na szyję, gotowa na wszystko.

Renzo wiedział już, że wygrał. Wiedział, że będzie miał Sarę, kiedy tylko zechce i jak długo zechce - czyli dopóki ona będzie chciała i pożądała jego.

Rozłożył dla niej na podłodze domku stary koc i zaczął rozbierać ją powoli, pieszcząc czule i delikatnie. Kiedy zaś była już naga, a on zaczął majstrować przy kłamrze swego paska, chwyciła go za rękę i powiedziała miękko:

- Poczekaj, teraz ja, dobrze? - Po czym położyła mu płasko dłonie na piersi, popchnęła go na koc i uklękła nad nim, zniżając usta ku jego ustom.

Czubkiem języka obwiodła kontur jego warg. Jej włosy opadły gęstą zasłoną, ocieniając twarz Renzo i łaskocząc go w szyję. Zapragnął zanurzyć palce w tej miękkiej, pachnącej masie, ale nie zrobił najmniejszego ruchu, zrozumiałszy intencje ukochanej: pragnęła go uwieść i posiadać, tak jak on uczynił to z nią minionej nocy.

Sara powoli zsunęła wargi po szyi mężczyzny, zdumiona własną śmiałością i jednocześnie władzą, jaką zdobywała nad nim z każdym ruchem. Wyczuwała, jak bardzo musiał się kontrolować, by nie przejąć inicjatywy. Podniecała go

tak samo, jak on ją w nocy - ale teraz była nawet podniecona jeszcze bardziej. I chciała go uwieść do końca, ostatecznie, by na zawsze pożądał tylko jej.

Śniade ciało Renzo smakowało podniecającą wonią potu, papierosów i męskości. Zbierała językiem słony smak w zagłębieniu jego szyi, myśląc, że rozpoznałaby Renzo z zamkniętymi oczami wśród wszystkich mężczyzn świata. Delikatnie kąsała go i skubała zębami, podczas gdy jej dłonie krążyły po porośniętej delikatnym włosem piersi. Po chwili jedna z nich zsunęła się po płaskim brzuchu i zniknęła pod paskiem dżinsów, ale z okrutnym rozmysłem nie dotykała jeszcze rosnącej męskości, głaszcząc tylko wnętrze ud. Z ust Renzo wydobył się niski, gardłowy jęk.

- Ciiicho... - uspokoiła go szybkim pocałunkiem i bez zwłoki odnalazła ustami drobny sutek wśród ciemnych włosów, skubiąc go czule. Długie włosy miękkim dotknięciem omiały jego ciało, a nabrzmiąte piersi ocierały się o zarost na jego torsie. Nie zdolny opanować się, pochwycił je w dłonie, ale momentalnie został przywołany do porządku. - Cierpliwości... poczekaj - mruknęła, powtarzając jego zachowania z nocy.

Sięgnęła do napiętego suwaka przy rozporku dżinsów i odsunęła go z powolnością, która doprowadzała Renzo do szału. Teraz był już tak gotowy, aż zaczął się bać, że wszystko zakończy się przedwcześnie i zbyt szybko.

Sara musiała to wyczuć, gdyż zajęła się zdejmowaniem spodni, a potem głaskaniem i całowaniem jego ud i całego ciała, z pominięciem najczulszego miejsca. Tęsknił za jej ustami, więc przysunęła mu swoje do pocałunku, rozsuwając

w tym samym czasie uda i muskając go swą gorącą, wilgotną miękkością.

Udręka pożądania trawiła go jak gorączka. Marzył już tylko o tym, by dosiadła go i pogalopowała wraz z nim w zapomnienie. Skwapliwie sięgnął ręką ku jej pośladkom, chcąc przyciągnąć je ku sobie, ale Sara jeszcze raz zatrzymała jego rękę.

- Nie... jeszcze nie. - Pokręciła głową, patrząc na niego przymglonymi pożądaniem zielonymi źrenicami spod półprzymkniętych powiek. Opuchnięte wargi rozchylił leciutki, prowokacyjny uśmiech.

- Zapłacę ci za to, czarownico - szepnął chrapliwie Renzo. - Wiesz dobrze, że ci zapłacę.

- Zapłacisz? - mruknęła, obejmując powoli dłonią jego męskość, aż syknął z podniecenia, a jego ciałem targnął wstrząs.

Poruszała ręką zrazu powoli i niewprawnie, ucząc się tej delikatnej pieczyoty, ale widok zwierzęcej pasji w oczach Renzo i jego coraz bardziej chrapliwy oddech sprawiły, że przestała, bojąc się, że tym razem nie zdoła go powstrzymać.

- No co, pragniesz mnie? - kusiła odważnie, schodząc szlakiem pocałunków przez jego pierś i brzuch w dół. - Pragniesz? - zapytała raz jeszcze, a potem uwięziła go w ustach.

Renzo wydał z siebie nieartykułowany okrzyk i wczepił się palcami w jej włosy. Tym razem go nie odepchnęła. Zaczął poruszać się w odwiecznym rytmie życia i miłości i wiedział już, że nie zdoła się powstrzymać. Usiłował nawet wysunąć się z niej, ale nie pozwoliła na to - i po chwili

było już za późno. Spazm rozkoszy wstrząsnął nim potężnie, więc mógł już tylko trzymać się jej kurczowo i powtarzać z zamkniętymi oczami jej imię.

Ale Sara nie miała jeszcze dosyć. Znow go pieściła, znow wiała się wokół niego, a kiedy w nieprawdopodobnie krótkim czasie znow był dla niej gotów, dosiadła go nagle, pozwalając, by wbił się w nią głęboko.

Złociste cętki słońca zatańczyły na jej ciele. Już nie broniła mu piersi, brzucha czy ud. Spełnienie przyszło dla niej szybko, a było tak gwałtowne i silne, że wygięła się do tyłu w łuk, krzycząc głośno z rozkoszy. Renzo ścigał ją coraz gwałtowniejszymi pchnięciami. Na moment straciła dech, a potem przyłączyła się do jego krzyku. Teraz dopiero poczuli się jedną, porywającą całością.

- Powiedz mi, że mnie kochasz, *cara* - wyszeptał, kiedy leżeli później wtuleni w siebie na starym kocu. Przeczesał jej włosy palcami jednej dłoni, a w drugiej trzymał papierosa, którego wyciągnął ze zmiętoszonej paczki w kieszeni dżinsów.

- Chyba właśnie pokochałam - powiedziała z tajemniczym uśmiechem, unosząc ciężkie powieki.

- Hmm, to miło, bardzo miło... Ale chciałbym to usłyszeć. Muszę to usłyszeć. A jeszcze nie słyszałem, przynajmniej od czasu powrotu.

- Kocham cię - szepnęła, przytulając się do niego ciasniej. - Kocham cię. Zawsze cię kochałam. I będę kochać.

- Twoje szczęście. Bo ostrzegam, że nie zamierzam cię utracić po raz drugi. - Głos Renzo był pełen determinacji.

- I oczywiście odeślesz w diabły tego Bubbę, prawda?

- Tak, jeśli tego chcesz.

- A jeszcze w to wątpisz? - Chwycił ją garścią za włosy i zaborczo przyciągnął ku sobie. W czarnych oczach błysnęła zazdrość i cień gniewu. - Jeśli ty się go nie pozbędziesz, ja to zrobię, Saro! Boże jedyny, czy ze wszystkich facetów w tym przeklętym mieście musiałaś wybrać właśnie jego?

- Byłam samotna. A on tak bardzo nastawał - powiedziała cicho.

- Spałaś z nim?

- Nie. Przecież wiesz, że nie. Domyśliłeś się chyba po tej nocy.

Triumf i satysfakcja rozjaśniły poważną twarz Renzo.

- Owszem, domyśliłem się. Czy bardzo nienawidzisz mnie za to, że przeze mnie nie poznałaś dotąd miłości?

- Tak, czasami.

Po raz ostatni głęboko zaciągnął się papierosem i zgasił niedopałek na podłodze.

- Wynagrodzę ci to, obiecuję! - mruknął niskim głosem, sięgając ustami po jej usta. Śniade ciało Renzo znów spłotło się pożądliwie z jasnym ciałem Sary.

Renzo ścigał ją jak szalony przez całą drogę do domu, całując, pieszcząc i wplatając dzikie kwiaty we włosy. Kiedy wreszcie zatrzasnęły się za nimi kuchenne drzwi, Sara zaśmiewała się w głos, bezsilnie błagając o litość.

- Nie uciekniesz ode mnie, koteczku! - groził, przypierając ją do lodówki.

- Uważasz, że jeszcze nie masz dosyć? - Sara próbowała go odepchnąć, choć serce biło jej z podniecenia jak oszalałe.

- Nigdy nie będę miał cię dosyć, *cara* - powiedział niskim głosem, patrząc na nią zaborczo.

- M-mamo? - to pojedyncze, niepewnie i cicho wypowiedziane słowo odbiło się echem w nagle zapadłej ciszy. Sara zaś poczuła, jak cały jej świat rozpada się w jednej chwili na milion kawałków.

Alex!

Boże, zapomniała o własnym dziecku! O ich dziecku...

Renzo zerknął przez ramię, nie wypuszczając jej z objęć, a kiedy zobaczył, kto wypowiedział to słowo, jego silne palce mimowolnie zacisnęły się na ramionach Sary jak kleszcze. Zdawało się, że czas stanął w miejscu, zamarł na wieczność, zanim znów zaczął biec z dręczącą powolnością.

Sara nie mogła już zrobić nic; mogła tylko patrzeć na ten zawrotny kalejdoskop odczuć i wrażeń, jakie malowały się na dwu tak bliskich jej twarzach - małego chłopca i dorosłego mężczyzny. Wpatrywali się w siebie - najpierw po prostu w szoku, później z zaskoczeniem i niewiarą, a wreszcie z narastającym zrozumieniem, bólem i lękiem.

A potem twarz Renzo pociemniała od dzikiej, morderczej furii, jakiej nigdy jeszcze u niego nie widziała. Jego szczęki zacisnęły się niebezpiecznie, puścił ją i gwałtownie splótł ręce na piersi, jakby bał się, że za chwilę zrobi coś strasz nego.

Alex, wyczuwając zagrożenie, postąpił krok ku matce, gotów do obrony. W jego ciemnych oczach strach mieszał się z determinacją i nowo wzbudzoną nadzieją.

- Mamo? - zapytał znów, patrząc na nią z tym samym niemym pytaniem, które widziała w oczach jego ojca.

Ale Sara ciągle nie mogła wykrztusić słowa i tylko go-

rączkowo zastanawiała się, jak idiotycznie musi wyglądać z tymi polnymi kwiatkami w potarganych włosach i ustami opuchłymi od pocałunków. Chciała przełknąć ślinę, ale gardło miała przeraźliwie suche. Serce biło jej z lęku i niepokoju. Drżącą ręką usiłowała przeczesać włosy, w daremnym usiłowaniu, by nie wyglądać w oczach syna na zaspokojoną samicę, która przed chwilą wyskoczyła z łóżka kochanka.

Przywiałe kwiatki opadły na podłogę koło jej bosych stóp. Cisza, którą tylko ona mogła przerwać, stała się złowieszczą i ogłuszającą. Łzy napłynęły jej do oczu. Zamrugała powiekami, by je odpędzić, i głęboko odetchnęła, by wreszcie wyrzucić z siebie słowa prawdy. Wiedziała zresztą, że ojciec i syn i tak znają już odpowiedź, a teraz chcą tylko usłyszeć z jej ust ostateczne potwierdzenie.

- Alex... to... to jest Renzo Cassavettes, twój ojciec - powiedziała całkiem spokojnie.

Alex niemal zachłysnął się z wrażenia, a Renzo przestał na chwilę oddychać. Pierwszy opanował się chłopiec, którego przecież niedawno przygotowała na ten dzień. Sara nigdy nie była bardziej dumna z syna niż w tej chwili, gdy widziała, jak przestrzegając wszystkich zasad dobrego wychowania, które wpajała mu od najmłodszych lat, wyciąga po męsku rękę na powitanie i wstydliwie, niepewnie mówi:

- Dzień dobry panu.

Po długiej, pełnej napięcia chwili Renzo powoli wyciągnął rękę, ujął szczupłą dłoń chłopca w swoją i mocno ją uściśnął. A potem, nie panując już dłużej nad sobą, porwał znienacka syna w ramiona i radośnie przytulił go do szerokiej piersi. Sara słyszała, jak Alex łka cichutko z radości

i ulgi; widziała, jak drżą ze skrywanych emocji ramiona Renzo.

Odwróciła się instynktownie do okna, czując, że tę chwilę obaj muszą przeżyć sami. Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, zanim Renzo przemówił wreszcie:

- Alex... synku - uśmiechnął się najłagodniej jak tylko potrafił, nie spuszczać oczu z ładnej buzi chłopaka - młodzieńczej, jaśniejszej repliki jego własnych rysów. Ukradkiem przeciągnął wierzchem dłoni po wilgotnych oczach, a potem otarł nią oczy dziecka. - Może byśmy chwilę sobie pospacerowali? Wiesz co? Najlepiej będzie, jeśli poczekasz na mnie w domku na drzewie, dobrze? - Renzo zrozumiał wreszcie, komu ów domek zawdzięcza po tylu latach tak zdumiewająco dobry stan. Sara wyremontowała go dla syna, teraz był jego własnością. - Muszę przez chwilę porozmawiać z twoją mamą - dodał tonem usprawiedliwienia. - Rozumiesz to, prawda?

- Rozumiem. Ale czy... czy jesteś na nią wściekły? Chcesz jej zrobić krzywdę? - zapytał dzielnie Alex, zdjęty nagłym lękiem o matkę. - Już dosyć ją skrzywdziłeś! A ona cię kocha, wiem o tym! I wie, że źle zrobiła, nie mówią ci o mnie. Sama mi powiedziała.

- Naprawdę? Dobrze, że zdaje sobie z tego sprawę. Ale wierz mi, nie mam zamiaru jej skrzywdzić, możesz spokojnie odejść. Poczekaj na mnie w domku na drzewie, synku. Obiecuję ci, że zaraz tam przyjdę.

- Mamo?

- Tak. Wszystko w porządku, Alex. Wszystko będzie dobrze - zapewniła, pogładziwszy jego niesforną, wijącą się czuprynę, i ucałowała go w czoło. - Zrób, o co prosi tata.

Chłopiec raz jeszcze popatrzył na nią i na Renzo, przygryzł wargę, a potem niechętnie wyślizgnął się przez kuchenne drzwi, zostawiając ich samych.

Sara obawiała się, że Renzo, pomimo danych synowi zapewnień, nie zdoła się opanować i uczyni coś gwałtownego. Skuliła się mimochodem, jakby oczekiwała, że coś, co narastało między nimi, wybuchnie teraz z siłą nawałnicy, odrzucając ich od siebie.

- Nie miałas prawa ukrywać go przede mną, Saro - powiedział Renzo niskim, pełnym wyrzutu głosem. - Absolutnie nie miałas prawa! - powtórzył już głośniej. - Boże, jak mogłaś zrobić coś takiego?! I to mnie, Saro! Ukradłaś mi jedenaście lat życia mego syna! Czy w ogóle kiedykolwiek miałas zamiar mnie o nim poinformować?

- Tak... oczywiście.

- Kiedy, do licha?

- Kiedy... kiedy wróciłbyś do miasta. I kiedy on byłby na tyle dorosły, by podjąć własne decyzje w tej sprawie.

Czuła, że niepotrzebnie to powiedziała. Przecież żeby móc podejmować własne decyzje, Alex musiałby mieć osiemnaście, a może nawet dwadzieścia jeden lat. Czy tyle właśnie miała zamiar czekać? Nie, prawda była taka, że w ogóle o tym nie myślała w sposób odpowiedzialny. Nie miała żadnego planu, żadnej koncepcji. Żyła dniem dzisiejszym, dbając tylko o własne zranione uczucia.

A uczucia dziecka, któremu odmówiła prawa do posiadania ojca i skazała je na los „bękartów”? A uczucia ojca? Boże, dlaczego tak się stało? Boże...

- A niech cię szlag trafi! - Bez ostrzeżenia, niezdolny dłużej panować nad dzikim, mrocznym odruchem, Renzo

skoczył ku Sarze, chwycił ją za ramiona i potrząsnął brutalnie jej wiotkim ciałem. Jego prawa ręka bez udziału woli zacisnęła się w pięść i zaczęła unosić się do ciosu, zaraz jednak zamarła w pół drogi.

Twarz Sary poszarzała, a z wielkich, rozszerzonych strachem oczu niepowstrzymanie popłynęły łzy. Nie uczyniła jednak najmniejszego gestu w swojej obronie; nie miała zamiaru zasłonić się przed ciosem; z jej ust nie wyrwało się ani jedno słowo wyjaśnienia czy protestu. Renzo zrozumiał nagle, że gdyby zaczął ją bić, stałaby tak bez ruchu, powolna i pogodzona z losem, pozwalając nawet się zabić, gdyby miał na to ochotę.

Ogarnęło go nieznośne uczucie wstydu i złości. Co on wyprawia? Omal jej nie uderzył! A przecież to była Sara, jedyna kobieta, którą kochał, druga połówka jego duszy. Sara, z którą jeszcze godzinę temu kochał się jak szalony i której oddawał wszystko - całe ciało, serce i duszę.

- Boże jedyny, co ja robię! - jęknął. - Wybacz, Saro! Nigdy bym cię nie skrzywdził, nie uderzył, uwierz mi.

Jakimś sposobem znów znalazła się w jego ramionach, a on już całował ją gorączkowo, już prowadził do krzesła, brał na kolana i tulił do siebie jak dziecko.

Płakała, nie kontrolując swoich emocji. Z jej ust wychodził potok urywanych, histerycznych słów, tworzących nieskładną opowieść o samotnej ciąży, o aborcji, na którą namawiali ją wszyscy, a na którą nigdy nie chciała się zgodzić. O ojcu, który umarł, o matce, obwiniającej ją za jego śmierć, o podłych telefonach i listach. O tym, jak myślała, że Renzo opuścił ją na zawsze, jak nie odzywał się do niej, więc uznała, że nie kocha jej i nigdy nie kochał, i o tym,

że chciała oszczędzić chłopcu złudnych nadziei na to, że jego „nieznany ojciec” kiedyś wróci.

Renzo zagryzał wargi z bezsilnej wściekłości i żalu, teraz dopiero rozumiejąc w pełni, jak ciężką walkę z przeciwnościami losu musiała stoczyć Sara przez lata jego nieobecności. Myślał o krzywdzie, bólu i niesprawiedliwości, jakie ją spotkały, i o cichej, wspaniałej odwadze, jaka zawsze była cechą jej charakteru. Inna, słabsza kobieta nie podołałaby zapewne temu wyzwaniu.

Cierpiał wraz z nią. Jej ból był jego bólem. Pragnął otoczyć ją swoim ochronnym uściskiem, aby nikt już nigdy nie ośmielił się jej skrzywdzić. Kołysał ją miękko, gładząc czule po zmierzwionych włosach i ocierając łzy z policzków. Po niedawnej furii nie zostało ani śladu.

- Ciiicho już, Sarenko. Ciii... Już nie jestem na ciebie zły. Wiem, co sobie myślałaś. Wiem, że za to, co się stało, muszę winić siebie i swoją matkę, która nie powiedziała mi o synu. Cholera, dopiero teraz zrozumiałem, że rodzice wiedzieli o nim, albo przynajmniej się domyślali. Biedna mama, nawet usiłowała dać mi coś do zrozumienia, ale nie zdobyła się na odwagę. Bała się, podobnie jak i ty. Powiedz, Saro, to z powodu Alexa mnie unikałaś, prawda? To dlatego uciekałaś przede mną i nie chciałaś się widywać, kiedy przyjechałem? Tylko dlatego, tak?

- Tak, tak! Och, Renzo, bałam się, że mnie znienawidzisz, że będziesz chciał odebrać mi dziecko. A Alex był dla mnie wszystkim, co miałam!

- Nie mógłbym cię znienawidzić, Sarenko. I nawet nie przysłoby mi do głowy zabierać ci Alexa. Twój ból byłby moim bólem, wiesz przecież. A teraz... Marzę tylko, żeby

stać się częścią twojego... waszego życia. I nie chcę już być z niego wyrzucony. Widzisz, to mnie najbardziej zraniło, nawet nie wiesz jak bardzo - zwłaszcza kiedy dowiedziałem się, że chcesz związać się z Bubką. Na samą myśl, że mogłabyś leżeć w jego ramionach, byłem gotów go zabić! A wszystko przez ten cholerny wyborczy klip Holbrooke'a w CNN. Zobaczyłem ciebie, jak stoisz w tle, u boku Bubby, i dosłownie dostałem szału! Nie mogłem jeść ani spać, nie było godziny, żebym nie myślał o tobie. Kochana, błagam, przestań wreszcie płakać, bo nie mogę już na to patrzeć!

Jeszcze łkała, ale już spokojniej, choć nadal nie mógł zrozumieć, co znaczą ciche, drżące słowa, które wymawia między spazmami. Kiedy wreszcie zrozumiał, zaklął wściekły na siebie.

Sara pytała, co będzie, jeśli znów zajdzie w ciążę..

Dopiero teraz skojarzył, że tak jak przed laty, zapomniał o zabezpieczeniu. Dziwne zrządzenie losu. A może tak właśnie miało być? Może tego właśnie podświadomie pragnął?

Położył dłoń płasko na jej brzuchu i pogładził go pieśczośliwie.

- Jeśli będziesz w ciąży, to mam nadzieję, że tym razem mi o niej powiesz - oznajmił wesoło.

- Och, Renzo, nie kpij sobie!

- A co mam powiedzieć? Daj spokój, przecież odtąd będziemy już razem. A poza tym, jeśli dalej będziesz tak się do mnie tulić, zrobię to jeszcze raz i znów się zapomnę!

Natychmiast otarła łzy i wyprostowała się na jego ko-

lanach. Chciał przyciągnąć ją do siebie, całować i pieścić, ale zrobiła stanowczą minę.

- Renzo, przestań, proszę. Alex czeka na ciebie w domku - przypomniała łagodnie. - Jeśli do niego nie pójdziesz, zaczniesz się niepokoić i wróci tu po ciebie. Nakryje nas, a wtedy...

- Masz rację, niech lepiej chłopak poobserwuje sobie ptaszki i pszczołki. Jeszcze ma czas na te sprawy. A może już wie, jak to się robi? - zapytał z pozorną tylko wesołością. Dostrzegła w jego oczach ból, kiedy znów uświadomił sobie, jak niewiele wie o własnym synu i przez ile lat nie mógł być dla niego ojcem.

- Już wie - powiedziała spokojnie. - Dzisiaj dzieci mają dostęp do informacji, jakiego my nie mieliśmy. Choćby pornograficzne strony w Internecie albo różne wyrafinowane gry komputerowe czy pisemka.... - urwała niespodziewanie, a jej oczy znów napełniły się łzami. - Renzo, tak mi przykro... okropnie mi przykro za to, co zrobiłam tobie i Alexowi. Gdyby można było cofnąć czas...

- Dobrze już, Saro. Dajmy wreszcie spokój przeszłości i zacznijmy wszystko od nowa. Na początek proponuję, żebyś zrobiła nam z Alexem coś do jedzenia, kiedy wrócimy z łąki. Zgoda?

- Zgoda. Leć już.

Kiedy siatkowe drzwi zamknęły się za Renzo, Sara długo patrzyła, jak mężczyzna jej życia idzie przez łąkę do swego dziecka, jej dziecka, ich wspólnego dziecka.

Potem zabrała się do szykowania jedzenia, lecz robiła to odruchowo, całkowicie zatopiona w myślach. Usiłowała sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało to spotkanie ojca z synem,

i z żalem pomyślała, że nigdy nie dowie się, o czym rozmawiali. Cóż, będzie musiała pozostawić im tę tajemnicę.

Zdawała sobie sprawę, że teraz, kiedy Renzo wrócił, problemy Alexa znikną tylko częściowo. Nie będzie już miał powodu, by bić się z chłopakami w szkole, ale trzeba będzie jeszcze walczyć z jego nieprawdopodobnym rozkojarzeniem i niechęcią do nauki.

Na wszystko trzeba czasu, uspokajała się. Na razie został zrobiony dobry początek. Od pierwszego momentu pojawiła się między nimi serdeczna więź i świetne porozumienie, myślała później, patrząc, jak wracają, widoczni z daleka na zielonej płachcie łąki. Śmiali się i wykrzykiwali coś do siebie, a Renzo co chwila posyłał synowi piłkę rzutem tak wprawnym, że Bubba wyglądałby przy nim na amatora. Alex rzucał się po nią odważnie, zerkając ukradkiem, czy ojciec docenia jego umiejętności.

- Bombowy rzut, tato! - usłyszała, jak krzyczy na całą łąkę. Słowo „tato” wychodziło z jego ust tak naturalnie, jak gdyby używał go od lat. - Teraz ty! - Alex chytrze posłał piłkę pod ramieniem do tyłu.

Gdy Renzo rzucił się za nią ofiarnie, syn wszedł mu wślizgiem pod nogi i obaj upadli na ziemię, tarzając się z radosnym wrzaskiem. Po chwili ojciec wstał, unosząc chłopca wysoko na rękach, i zaniósł go do domu jak niesforne go psiaka, nie zważając na jego wierzganie.

Sara wyjrzała do nich z okna z radosnym uśmiechem.

- Lepiej się umyjcie, zanim siądziecie do stołu, brudasy! - zawołała. - A ten duży niech włoży koszulę!

- Chodź, tato! - Alex pociągnął Renzo za rękę. - Tu jest pompa, pokażę ci.

Kiedy usiedli później we trójkę do stołu, Alexowi nie zamykały się usta.

- Mamo! - wykrzyknął, podskakując z emocji na krześle. - Wiesz, że tata ma motocykl? I to prawdziwego Harleya Davidsona! I kolekcję komiksów, i że przeczytał wszystkie najlepsze powieści, i że lubi łowić ryby, i... i że też gra na saksofonie?

- Wiem, synku. - Oczy Sary poszukały wzroku Renzo. Upewniła się, że docenił, co zdołała dla niego zrobić: rozwinęła w synu jego własne zainteresowania, dzięki czemu łatwiej im było teraz znaleźć wspólny język.

Radosny potok słów Alexa przerwała dopiero wzmianka o letniej szkole. Zamilkł i zeszywniał, gdy ojciec, patrząc mu prosto w oczy, powiedział surowo:

- Do końca lata musisz poprawić swoje stopnie, Alex. Nie, nie patrz na matkę; nic ci nie pomoże, a nawet jestem pewny, że powie ci to samo. Sprawa nie podlega dyskusji. Oczywiście, pomożemy ci, jeżeli będziesz miał trudności, ale przede wszystkim sam musisz się uczyć, i to ostro. Jasne?

- Tak, psze pana - wyjąkał Alex, znów zerkając na Sarę.

Ale Sara milczała rozsądnie, zachowując twarz pokerzysty. Od tej pory musiała pamiętać, by nie podrywać nowo zyskanego, ojcowskiego autorytetu Renzo i nie stwarzać synowi okazji do wygrywania ich przeciwko sobie. Zresztą Alex był już w wieku, kiedy chłopiec naprawdę potrzebuje konsekwentnej i stanowczej męskiej ręki. Całe szczęście, pomyślała, że będzie to ręka Renzo, a nie Bubby.

- Powiedziałam Alexowi, że z jego pokoju zniknie Nintendo i telewizor, jeśli nie zda poprawki i będzie powtarzał

szóstą klasę - wyjaśniła, by Renzo wiedział, że ona też potrafi być twarda i konsekwentna.

- Świetnie. - Z aprobatą skinął głową. - Więc już wiesz, jakie będą konsekwencje, jeśli nie będziesz się starał.

Ich syn milczał, przetrawiając w myśli to, co usłyszał. To dla niego zupełnie nowe doświadczenie, pomyślała Sara, z trudem powstrzymując uśmiech. Biedak, nie spodziewał się, że będzie miał teraz dwoje rodziców pilnujących jego wychowania. Laba naprawdę się skończyła!

Renzo skończył jeść, odstawił talerz i zapalił papierosa, zaciągając się z rozkoszą. Sara podała kawę. Popijając ją małymi łykami, uśmiechał się z satysfakcją, choć Sara odgadywała, że nie był jeszcze pewien, na ile ma być dla syna przyjacielem, a na ile ojcem, którego autorytet mobilizuje, a nawet zmusza, jeśli trzeba, do wysiłku i pracy nad sobą.

- Widzisz, Alex, może jeszcze tego nie wiesz, ale posiadanie ojca ma też swoje minusy - zaczął.

- Aha, już zauważyłem - mruknął chłopak. - Będziesz tak się przejmował moją nauką, jak mama?

- Jeszcze bardziej. - Renzo mrugnął do niego okiem i zdusiwszy niedopałek, wstał od stołu. Zabrał ze sobą brudne nakrycie i odniósł je do zlewu. - No, chodź, Alex. Pomozemy mamie sprzątnąć ze stołu.

- Kiedy Bubba tu przychodził, nigdy nam nie pomagał - oznajmił Alex z satysfakcją, wcale nie nieszczęśliwy z powodu dodatkowego zajęcia. - Mówił, że gary to babska sprawa. A ja mówiłem mamie, że to kiepski kandydat.

- U-hm - mruknął Renzo w sposób, który natychmiast przypomniał Sarze Papę Nicka, wywołując niemiły dreszcz

wzdłuż kręgosłupa. - Zapamiętaj sobie, kursant - mówił dalej - po pierwsze, kiedy kobieta pracuje na pełnym etacie, jak twoja matka, sprzątanie i mycie naczyń jest obowiązkiem nas wszystkich. A po drugie - ja nie jestem Bubbą Holbrooke'iem!

- I dzięki Bogu! - Alex wznosił oczy do nieba, aż Renzo wybuchnął szczerym śmiechem. - Chyba nie przepadasz za wielkim Bubbą, co, tato? - zapytał chłopak, poważniejąc nagle.

- Nie. I powiedziałem już twojej mamie, że ma go spławić i poprosić, by nie fatygował się tu nigdy więcej.

- I o to chodzi! - rozpromienił się Alex.

- Oho, widzę, że zaczyna się klasyczna męska solidarność - prychnęła Sara.

- Musisz się przyzwycząić, kochanie. - Renzo pocałował ją leciutko w usta i zaczął wkładać talerze do suszarki.

- A teraz mam zamiar włożyć wreszcie skarpetki i buty i zrobić porządek z tym twoim jeepem. Gdzie masz kluczyki, *cara*?

- W torebce. Zaraz ci dam.

- Tato, ale wrócisz tu zaraz? - zapytał nieśmiało Alex.

- Jasne, synku, na pewno wrócę. Obiecuję. - Zanim wyszedł, Renzo zawrócił jeszcze od drzwi i czule zmierwił dłonią czuprynę chłopca. - Przez ten czas pomóż mamie posprzątać do końca, dobrze? To nie powinno długo potrwać. Dwadzieścia minut i będę z powrotem.

A jednak Renzo nie wrócił ani po dwudziestu minutach, ani po godzinie. Nie wracał tak długo, że Sara i Alex z przerażeniem pomyśleli, że nie wróci już nigdy.

KSIĘGA TRZECIA

Droga

*Młodość rozwija żagle, z Rozkoszą u steru
Niepomna na tężący wicheru poryw,
Co z przyczajonego budząc się uśpiania
Swoj łów wieczorny zaczyna na morzu.*

Thomas Gray, *Bard*

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

W biurze szeryfa

*Groźne pomruki, rumory i ryki
Świadczą, że do boju znów ruszyły szyki*

Thomas Buchanan Read, *Podróż Sheridana*

*Małe miasto, Środkowy Zachód
Czasy współczesne*

- Tata już nie wróci, prawda, mamó? - zapytał smutno Alex, gdy mijały kolejne godziny, a Renzo nie pojawiał się w ich domu. Łzy zalśniły mu w oczach, lecz zaraz gniewnie otarł je pięścią. - On kłamał, co nie? Wszystko, co powiedział, było kłamstwem. Nienawidzę go za to! Po co w ogóle się tu pokazywał! Już lepiej, żeby jakaś ciężarówka rozpląszczyła go na krowi placek!

- Cicho, Alex! - Sara próbowała go uspokoić, jednak i ona miała nerwy napięte do ostateczności. - To nieprawda i dobrze o tym wiesz! Coś musiało się stać. Może samochód się zepsuł i Renzo musi poczekać na pomoc drogową? Zastanów się, przecież nie zostawiłby u nas swojego jaguara, gdyby chciał po prostu uciec - tłumaczyła, lecz i ją dręczyła

paskudna, sącząca się jak jad wątpliwość, czy intencje Renzo były naprawdę szczerze.

Kiedy zadzwonił telefon, omal nie zrzuciła słuchawki z wiszącego na kuchennej ścianie aparatu.

- Halo!
- Sara? Tu Liz.
- A, to ty - Sara z trudnością maskowała rozczarowanie.
- Dzwoniłam do FYI, ale nie zastałam cię tam.
- Nie, mam wolną sobotę.
- No właśnie, i pewnie nie wiesz, co się zdarzyło tej nocy.
- Nie mam pojęcia, A o co chodzi?
- Młody Murzyn, niejaki Lamar Rollins, został zamordowany na starej drodze przy przejeździe kolejowym. Dwayne Truett znalazł ciało dziś rano. Były na nim dwie śmiertelne rany, zadane z broni myśliwskiej. O Lamarze było wiadomo, że hodował marihuanę na paru tajnych polatkach w okolicy, więc mówi się, że chodzi o porachunki w związku z handlem narkotykami... Poczekaj, już ci wyjaśnię, dlaczego dzwonię i to wszystko ci opowiadam. Otóż Hoag Laidlaw twierdzi, że kilka dni temu nakrył Renzo Cassavettesa w starym kamieniołomie, wiesz, tam, gdzie kiedyś się pływało. Jego zdaniem Cassavettes był tam na tajnym spotkaniu z Lamarem Rollinsem. Doszedł do wniosku, że Renzo i Lamar zaangażowali się razem w jakiś narkotykowy interes, ale musieli się pokłócić i to właśnie Renzo go zamordował.

- To niemożliwe! - wykrzyknęła Sara z dziko bijącym sercem. Ścisnęła słuchawkę tak mocno, aż pobiełały jej kły-

kie. - Ojciec Renzo, prawdziwy ojciec, nie Joe Martinelli, rzeczywiście używał narkotyków - zaczęła szybko wyjaśniać - i zdaje się, że przez nie zginął. Ale nie Renzo. Renzo właśnie dlatego ich nienawidzi. Liz, uwierz mi, ten człowiek nawet nie dotknąłby narkotyków!

- Ja ci wierzę, kochana, ale niestety, ważne jest, co uważa Hoag. Od razu wyciągnął wszystkie stare oskarżenia - że Cassavettes rozmyślnie zepchnął Sonny'ego Holbrooke'a ze skały, wiesz, tamtego lata. Podkreśla, że od czasu, gdy Renzo uciekł z miasta, nie było w mieście poważniejszych przestępstw poza sobotnimi burdami we włoskiej dzielnicy czy w zajeździe, a kiedy tylko wrócił, brutalnie zastrzelono człowieka, z którym kilka dni wcześniej miał tajne spotkanie. Dla niego sprawa jest jasna. Dzwonię do ciebie, bo wiem... to znaczy domyślam się, że ty i Renzo...

- Liz, rany boskie! - Sara przerwała jej gwałtownie. - Co ty mi opowiadasz? Nawet gdyby Renzo naprawdę chciał zabić tego Lamara, użyłby noża albo gołych rąk, a nie podstępnie strzelał z ukrycia z jakiejś strzelby na jelenie! Och, nie, lepiej tego nie słuchaj. Przecież on nie mógłby nikogo zabić. Nigdy. Renzo nie ma natury mordercy. Poza tym jaki miałby w tym cel? Jest bogatym, sławnym reporterem, który zdobył Nagrodę Pulitzera, zna najwyższe osobistości w kraju i może mieć wszystko! Zresztą... - zawahała się tylko na sekundę - ...nie mógł tego zrobić, bo... bo był ze mną tej nocy. Był tutaj, Liz! Przez cały czas! - wyrzuciła z siebie, tłumiąc w myślach wspomnienie lęku, który czuła na widok pustego łóżka, i radości, gdy ujrzała Renzo, stojącego nocą na tarasie. - Jak mógłby zresztą zadawać się z kimś takim jak Rollins? Ile on w ogóle miał lat?

- Słuchaj, sama nie wiem. Może Lamar był dla niego źródłem informacji w jakiejś sprawie, tak jak tamten słynny Kabel? Wiem tylko, że Hoag trzyma teraz Renzo za kratkami i nie wiadomo, czy zatrzymał go tylko do złożenia zeznań, czy aresztował. A wiem to wszystko od Wandy, bo jak tylko przywieźli tam Cassavettesa, to od razu odesłali ją do domu.

- Wanda Greely była sekretarką w biurze szeryfa i Liz utrzymywała z nią kontakty z racji swojej pracy. - Najciekawsze, że są tam też J.D. Holbrooke, Bubba Holbrooke i sędzia Pierce, ojciec Forresta. Hoag wezwał ich, wiedząc, że będą zainteresowani wyjaśnieniem dawnej sprawy z kamieniołomów. Widzisz, Hoag nie jest może najbardziej bystrym z szeryfów, ale ma dosyć oleju w głowie, żeby wziąć pod uwagę koneksje i majątek Renzo. Forrest dzwonił do mojego starego, stąd to wszystko wiem. No i co ty na to wszystko?

Sara nie wiedziała, co ma powiedzieć. Była zbyt przeżazona tymi nagłymi wieściami. Milczała, więc Liz podjęła przerwana przemowę:

- Wiesz, Sara, ja naprawdę nie jestem wścibska, ale myśle, że powinnaś powiedzieć mi prawdę. Może mogłabym ci jakoś pomóc? Widzisz... Po tamtym naszym spotkaniu w „Spichlerzu” ciekawość nie dawała mi spokoju. Zaczęłam rozmyślać o tym wszystkim i powoli elementy układanki dopasowały się do siebie. Kiedy pomyślałam o Aleksie, jak wygląda, czy raczej do kogo jest podobny, od razu zrozumiałam... Renzo jest jego ojcem, prawda? Dlatego właśnie dzwonię, Sara. Chyba powinnaś wiedzieć, co się stało. A może się mylę?

- Nie, nie... Boże, Liz, muszę tam jechać! I to zaraz.

Jeśli Hoag aresztował Renzo, to będzie musiał go wypuścić, kiedy przedstawię alibi, prawda? Jak trzeba, to nawet przysięgnę w sądzie, że całą noc...

- Posłuchaj, jeśli będziesz potrzebowała mojej pomocy, albo obrońcy dla Renzo, zadzwoń do mnie. Nie boję się tego miasta jak inni i nie będę się bała bronić Renzo. Zrobię to dla ciebie, i dla Alexa.

- Dzięki, Liz. Dzięki za wszystko. Jesteś prawdziwą przyjaciółką, najlepszą, jaką mam. - Sara odwiesiła słuchawkę i otarła łzy.

Alex od razu zasypał ją pytaniami.

- Mamo, co się stało? - Miał pobladłą buzię i przerażone oczy. - To wszystko nieprawda, powiedz! Tata nie mógł nikogo zamordować, bo w nocy był tutaj. Sama tak mówiłaś, prawda? Zresztą widziałem jego rzeczy na ławce w holu. Wróciłem rano do domu, bo podwiozła mnie Mickey i pan Thurley, i widziałem je na własne oczy. Dlatego właśnie wiedziałem, że ty... i tata... no, wiesz, o co chodzi, mamo. Że w nocy byliście razem.

Policzki Sary pobladły jeszcze bardziej. Podejrzewała, czego domyśla się Alex, ale fakt, że mówił jej o tym, wprawił ją w zażenowanie.

- Alex...

- Nie ma sprawy, mamusiu. Wiem, że tata jest dla ciebie bardzo ważny. Ja już wszystko kapuję, nie jestem taki dzieciak. Powiedz lepiej, czy... czy on naprawdę jest aresztowany? Dlatego do nas nie wrócił? Musimy teraz jechać do miasta, żeby go uwolnić, prawda?

- Tak, synku. - Sara już wkładała swoje skórzane sandały, rozglądając się za torebką. - O, cholera, nie mamy

samochodu! - zatrzymała się nagle, zaciskając pięści. -
Czekaj, może tata zostawił kluczyki w jaguarze!

Szybko wybiegli z domu. Kluczyki na szczęście tkwiły w stacyjce. Niestety, gdy wsiedli, okazało się, że samochód nie ma automatycznej skrzyni biegów, a Sara nie umiała prowadzić europejskich wozów z ręczną przekładnią.

- Trudno, musimy iść drogą i liczyć, że ojciec zdążył zmienić gumę w jeepie, zanim zgarnął go szeryf - zarządziła.

- Jeśli tata nie zdążył, to ja ci pomogę. Jestem silny, mam, i wiem, jak to się robi.

- Jasne, synuś! - Sara z uśmiechem ujęła jego dłoń w swoją i ścisnęła ją dla dodania mu otuchy.

Zgodnie maszerowali w skwarze i wkrótce dotarli do porzuconego auta. Ku swojej ogromnej uldze, Sara przekonała się, że Renzo zdążył zmienić oponę i nawet zostawił kluczyki w stacyjce. Musiał widocznie akurat ruszać, kiedy dopadli go Laidlaw z Truettem. Biorąc na muszkę, jak prześcępcę. Nie wątpiła, że tak było.

Wskoczyła z Alexem do wozu i za chwilę już gnała w stronę miasta.

- Hoag, ostrzegam cię. Albo zdecyduj się na oskarżenie, albo zaraz zdejmij te kajdanki i wypuść mnie na wolność - mówił Renzo groźnym, gniewnym głosem. Pomimo skutych rąk, rozpiął się na krześle i patrzył przed siebie dumnym wzrokiem.

- Nie prowadź tu ze mną takich gierek, chłopcze. Znam prawo. Mogę cię przetrzymać przez dwadzieścia cztery godziny bez postawienia zarzutów. Dobrze mówię, panie sędzi

dzio? - odwrócił się do Pierce'a, nie wyjmując wykałaczki z ust.

- Tak - potwierdził sucho Pierce, wyciągając białą chustkę i przystępując do starannej procedury czyszczenia mocnych dwuogniskowych szkieł w metalowej oprawie. - Ale jednocześnie dobrze wiesz, Hoag, że Renzo ma prawo do adwokata i może po niego zadzwonić.

- Zgadza się - potwierdził z tłumioną irytacją Renzo. - Jestem reporterem, specjalistą od afer, i też znam prawo, Hoag. Lepiej więc posłuchaj sędziego. Ponieważ może się zdarzyć, że każdy z was - powiódł spojrzeniem po mężczyznach zebranych w biurze szeryfa: Truettcie, sędzim oraz obu Holbrooke'ach - może zostać uznany za świadka wykroczenia przeciw procedurze obowiązującej po zatrzymaniu. Zwróćcie uwagę, panowie, że Hoag nawet nie odczytał praw, jakie mi przysługują! A powinien.

- No i co z tego? Jeszcze cię o nic nie oskarżyłem, chłopcze. Jeszcze nie. - Wycelował w niego długopisem i popatrzył mu zimnym wzrokiem prosto w oczy. - Na razie doprowadziłem cię na przesłuchanie na okoliczność morderstwa, to wszystko. Mam takie prawo, może nie? Dlatego jeśli nie masz ochoty odpocząć sobie w jednym z moich numerów - gestem kciuka wskazał na rząd cel z tyłu pomieszczenia - to lepiej zmyśl i zacznij gadać, im prędzej, tym lepiej dla ciebie, chłopcze. Naprawdę nie mam już ochoty cię upominać, że sprawa będzie wyglądać bardzo marnie, jeśli nie powiesz mi, co robiłeś i gdzie byłeś dzisiejszej nocy.

- Już ci mówiłem, Hoag - nie twój śmierdzący interes!
- warknął Renzo, uparcie odmawiając informacji, która

wprawdzie wyratowałyby go z opresji, ale której przecież nie mógł publicznie ujawnić.

Wystarczyło, że z jego powodu Sara cierpiała przez dwa-
naście lat z powodu złośliwych języków. Nie chciał zruj-
nować pozycji, którą z takim trudem sobie wypracowała,
i narazić jej znowu na obelgi i niewybredne epitety. Poza
tym nie wiedział - i to być może było najważniejsze - czy
Sara chciałaby, żeby wszyscy dowiedzieli się o ich upojnej
nocy.

- Ty pieprzony makaroniarzu! - Bubba ożywił się nagle
i gwałtownie wychylił na krzesło, mierząc go wściekłym
wzrokiem. - Nie obchodzi mnie, że sąd umorzył kiedyś to
cholerne śledztwo! Dla mnie zawsze będziesz mordercą
Sonny'ego i nic tego nie zmieni! A teraz zniżyłeś się jeszcze
do zastrzelenia jakiegoś głupiego murzyńskiego ćpuna! Tym
razem się nie wywiniesz, Cassavettes, obiecuję ci to!

Renzo chłodno zignorował Bubbę.

- Hoag, chcę zadzwonić - odezwał się do szeryfa.

- Tak, Hoag, lepiej zdejmij mu te kajdanki i pozwól
zadzwonić - ostrzegł sędzia Pierce. - Z pewnością nie
chciałbyś zrobić niczego, co przesądziłoby sprawę jeszcze
przed procesem.

- Dobra, skoro takie jest zdanie szanownego sędziego...
- szeryf burknął niechętnie i zanurzył rękę w kieszeni
w poszukiwaniu kluczyka do kajdanków, które więziły ręce
Renzo. - To był tylko środek zapobiegawczy, na wypadek
gdyby był agresywny - dodał.

Po długim szukaniu Hoag wyciągnął wreszcie kluczyk,
ale zanim zdążył włożyć go do zamka, drzwi biura otwo-
rzyły się i stanęła w nich Sara. Z wahaniem postąpiła parę

kroków, rozszerzonymi oczami wpatrując się w skutego Renzo i wszystkich obecnych.

Bubba zerwał się z krzesła i podszedł do niej, zaskoczony.

- Sara, kochanie, co się stało? Dlaczego nie jesteś w firmie? Po co tu przyszłaś?

Odsunęła się, usiłując uniknąć pocałunku. Nie chciała patrzeć ani na niego, ani na Renzo, który zrobił się błydy z wściekłości, widząc wylewne powitanie Bubby. Najważniejsze było złożenie oświadczenia. Chciała to zrobić jak najprędzej, ale...

Cóż, liczyła, że obaj Holbrooke'owie już pójdą, a ona będzie mogła porozmawiać z sędzią Pierce'em na osobności. Hoaga nie lubiła i nie ufała mu na tyle, by zwracać się do niego w tak osobistej sprawie.

- Muszę porozmawiać z panem, panie sędzio. Prywatnie - oznajmiła, uparcie nie zauważając ostrzegawczych spojrzeń, jakie rzucał jej Renzo.

- O czym, kochanie? - dopytywał się troskliwie Bubba, jakby była nierozsądnym dzieckiem. - Mamy tu bardzo ważną sprawę, wiesz? Nie możesz poczekać? Zdarzył się wypadek i...

- Muszę. Muszę wyjaśnić, że...

- Sara, zamknij się! - przerwał jej Renzo, doprowadzony do ostateczności.

- To ty lepiej zamknij swą niewyparzoną gębę, chłopcze! - ryknął Hoag, urzędowym gestem poprawiając ciężki pas. - A ty, moja panno - zwrócił się do Sary, przeczesując dłonią rzędniejące włosy - musisz poczekać, bo sędzia jest w tej chwili zajęty. Chyba że ma masz coś ważnego do

powiedzenia na temat wydarzeń ostatniej nocy. Jeśli tak, to proszę bardzo, wyduś z siebie szybko. Mamy cholernie nie-miłe morderstwo. Ten naćpany czarnuch był wprawdzie tylko zakałą naszego miasta, ale zabójstwo jest zabójstwem, muszę postępować zgodnie z prawem.

Sarze udało się wreszcie wyrwać z opiekuńczych rąk Bubby, które teraz wywoływały w niej wstręt. To, a także jawnie wroga i pogardliwa postawa, jaką wraz z Hoagiem zajmował wobec Renzo, dały jej wreszcie wściekły impet, którego potrzebowała. Jeśli zagrożona była wolność ojca jej dziecka - a może nawet jego życie - opinia miasta kompletnie przestawała się liczyć.

- Radzę, szeryfie, żebyś po prostu wziął się do roboty - powiedziała chłodno, zdziwiona własnym opanowaniem. Tylko Renzo był w stanie wyczuć, jak przerażona i zdennerwowana jest naprawdę. - Szukaj od nowa, ponieważ człowiek, którego chcesz aresztować, jest niewinny.

- Cooo? - Hoag spojrział na nią z niedowierzaniem. - O czym ty gadasz, panienko? Każdy w mieście wie, że ta podstępna świnia, co tu siedzi, to morderca, który ma już na sumieniu jedną duszę. Może nie wiesz, że kiedy przyjechał tu po latach, wrócił na miejsce zbrodni, wdrapał się na tamtą skałę i wykonał dokładnie taki sam skok, jak wtedy. Jak dla mnie to wystarczający dowód, że ukartował wtedy wszystko z zimną krwią. Dobry Bóg sprawił, że patrolowałem akurat stary kamieniołom i widziałem, jak skacze. Na dodatek, jak tylko wyciągnął tyłek z wody, od razu pokazał się Rollins. Musiał już tam na niego czekać. Kiedy podszedłem, szwargotali ze sobą w najlepsze. Szkoda, że nie słyszałaś, jak oni gadali, kiedy się pokazałem! Najpierw

ten zawszony przybłąda próbował mnie przekupić, a później groził, że spuści mnie do kamieniołomu, jak Sonny'ego. A jakby tego było mało, ta gnida, Lamar, tak się przy nim ośmielił, że podpuszczał mnie i prowokował. No co? Wystarczy, panienko? Po czymś takim jeszcze będziesz mi wmawiać, że przyhaczyłem niewłaściwego faceta?

- Nie odpowiadaj na to, Sara! - ostrzegł Renzo, usiłując zerwać się z krzesła.

Dwayne Truett natychmiast usadził go z powrotem. Zaślepca szeryfa miał figurę zawodowego zapaśnika i wyglądał dokładnie tak, jak jeden z tych śmiesznych, wielkich facetów, którzy na pokaz rzucają sobą po ringu, robiąc straszne miny ku uciesze publiki.

- Nie zmieniam zdania, szeryfie - odparła spokojnie Sara. - Chce pan aresztować niewinnego człowieka. Lamar Rollins został zamordowany tej nocy, a ja wiem z całą pewnością, że Renzo Cassavettes nie mógł tego zrobić. Proszę go wypuścić.

- Sara...? Co chcesz nam powiedzieć, Sara? - zapytał Bubba, popatrując podejrzliwie to na nią, to na Renzo, jakby nagle zaczął coś podejrzewać i jakby za żadną cenę nie chciał uwierzyć we własne domysły.

- Panie sędzio, czy mogłabym porozmawiać z panem na osobności? - Sara zwróciła się błagalnie ku sędziemu.

- Nie chciałabym, żeby...

- Nie ma mowy! - Hoag znacząco poklepał wielki rewolwer, wiszący mu u pasa. - Ja rządę w tym biurze i zeznania składa się tu, przede mną, a nie po kątach, w tajemnicy. Jak masz coś do powiedzenia, to gadaj szybko, panienko, bo mam już dosyć tego zawracania głowy!

Widząc, że nic nie wskóra, Sara wzięła głęboki oddech i powiedziała szybko, bojąc się, że za chwilę opuści ją odwaga:

- Chcę powiedzieć, że Renzo Cassavettes nie mógł nikogo zamordować, bo tej nocy był ze mną... przez cały czas... - ostatnie słowa wypowiedziała z naciskiem, czerwieniąc się jednocześnie i spuszczać oczy. - Wyszedł dopiero dzisiaj po obiedzie.

- Co takiego? - wykrzyknął Bubba. - Sara, błagam, powiedz, że to nieprawda! Nie uwierzę!

Ale zanim zdążyła odpowiedzieć, drzwi otworzyły się i stanął w nich zaniepokojony Alex, któremu wcześniej przykazała, by pod żadnym pozorem nie ruszał się z jeepa, dopóki ona nie wróci.

Nie mogłeś wybrać lepszej chwili, synku, pomyślała, nie wiedząc już, czy ma śmiać się, czy płakać.

- Mamo? Tak długo nie wracałaś... nic się nie stało?

- Cóż, to nareszcie wyjaśnia podejrzenia, które żywiłem już od dawna. - W ciszy, która nagle zapadła, odezwał się J.D. Holbrooke. Dotychczas siedział spokojnie w kącie, teraz jego niebieskie oczy rozbłysły autentycznym zainteresowaniem, przenosząc się raz po raz ze śniadej twarzy Renzo na opaloną twarz chłopca.

- Zawsze byłeś bystrzejszy niż twój syn, Holbrooke - skomentował Renzo cynicznie. - A jeśli o ciebie chodzi, Bubba, to jak widzisz, mamy identyczne gusty co do kobiet!

Teraz już wszystko stało się jasne dla wszystkich. A kiedy to nastąpiło, w gabinecie szeryfa rozpętało się istne piekło. Bubba z wściekłym okrzykiem nienawiści rzucił się Renzo do gardła, Renzo zaś, który spodziewał się tego ataku

od dłuższej chwili, błyskawicznie zanurkował z krzesła na podłogę. Miał wprawdzie nadal uwięzione ręce, ale i tak umiał się bronić. W następnym ułamku sekundy stał już na nogach, za ochronną gardą skutych kajdankami rąk. I tak jak kiedyś, na szkolnym trawniku, przeciwnicy zajadle rzucili się na siebie.

- Bubba! Przestań natychmiast! - ryknął J.D., zrywając się z miejsca.

- Daj mu w mordę, tato! - wrzasnął w podnieceniu Alex, zaciskając chłopięce piąstki. I pewnie rzuciłby się ojcu na pomoc, gdyby Sara w porę nie złapała go za kołnierz.

- Hoag... możemy mieć wszyscy kłopoty, jeśli czegoś nie zrobisz. Jeśli cała sprawa dotrze do prokuratora, będzie marnie - powiedział z naciskiem sędzia Pierce, wycofując się dyskretnie w najdalszy róg.

Jednak szeryf, tak zwykle mocny w słowach, był bezradny. Krążył wokół walczących, trzęsąc brzuszyskiem, aż wreszcie, zdesperowany, ryknął na Dwayne'a:

- Dwayne, ty cholerny durniu! Na co czekasz? Bierz się za nich, do jasnej...!

Truett chwycił pałkę i dzielnie wkroczył pomiędzy walczących, próbując ich rozdzielić. Tymczasem oberwał sam, i to tak potężnie, że aż się zachwiał. Bubba, korzystając z tego, wyrwał mu pałkę z ręki i przyłożył nią w głowę. Zastępca szeryfa osunął się na ziemię jak zaszlachtowany wieprzek, za to Bubba, teraz uzbrojony, ze zdwojoną zjadłością ruszył na Renzo.

Sara czuła, że jeszcze chwila i wybuchnie histerycznym, bezradnym śmiechem. Cała ta walka wydawała się jej czymś nierealnym, idiotycznym, zupełnie nie na miejscu. Gdyby

nie dotyczyła dwóch mężczyzn, którzy coś znaczyli w jej życiu i którzy wyraźnie mieli ochotę pozabijać się wzajemnie, uznałaby ją za świetną scenę, godną dobrego filmu akcji.

Renzo krwawił z rozbitego nosa, a Bubba mrużył podbite oko, które zalewała krew z rozbitej brwi. Choć jednak miał wolne ręce i policyjną pałkę, coraz bardziej tracił przewagę nad skrępowanym przeciwnikiem. Renzo używał nóg w sposób, który świadczył, że musiał ćwiczyć wschodnie sztuki walki. Jego ruchy przypominały Sarze wojowników z gier komputerowych Alexa. Bubba wprawdzie trenował w koledżu boks i chodził regularnie na siłownię, ale przecież pamiętała, jak Alex tłumaczył jej kiedyś, że kick-bokser czy karateka zawsze wygra ze zwykłym bokserem, gdyż ten ostatni nie używa w walce nóg, a poza tym łatwo jest go podciąć.

- Hoag, jeśli nie umiesz poradzić sobie z bójką we własnym biurze, to nie myśl, że ktokolwiek w tym mieście wybierze cię znów na szeryfa! - ryknął zirytowany J.D. - Sam się do tego przyłożę, możesz być pewny!

- Zlituj się - jęknął szeryf. - Widzisz, co zrobili z Dwayne'em? Chryste Panie!

Renzo udało się wydrzeć Bubbie pałkę i właśnie trzasnął nią przeciwnika w podbrzusze tak, że ten zwinął się z bólu. Zanim jednak zdążył spuścić następny cios na jego głowę, Hoag ruszył wreszcie do akcji. Wyszarpnąwszy rewolwer z kabury, wycelował w sufit, nacisnął spust i wystrzelił z hukiem, aż posypał się tynk. Wszyscy, łącznie z walczącymi, zamarli na moment.

- Rzuć tę pałkę, chłopcze, bo następną kulkę umieszczę w tobie! Bubba! Ej, Bubba, w porządku z tobą?

- W porządku - wymamrotał Bubba przez zaciśnięte zęby. Trzymając się za brzuch, pokuśtykał do przewróconego krzesła, ustawił je i usiadł, ciężko dysząc.

Renzo również z trudnością łapał oddech. Rzucił pałkę na podłogę i nie przestając czujnie zerkać na przeciwnika, oddał z dołu postrzępionej koszuli pas, którym usiłował zatamować krew, płynącą z rozbitego nosa.

- Wszystko w porządku, tato? - zapytał Alex w ponurej ciszy.

Od strony krzesła dobiegł niski, rozpaczliwy jęk Bubby, który uzyskał właśnie ostateczne potwierdzenie swoich najgorszych podejrzeń. Renzo zaś skinął głową, odrzucił zaimprovizowany tampon i postąpił krok ku szeryfowi.

- Zdejmij mi to - warknął, wyciągając skute rękę do Hoaga. - Nie masz powodu dłużej mnie przetrzymywać.

- Zrób to, Hoag - nakazał sędzia Pierce. - Cassavettes ma rację. Ma tak zwane żelazne alibi i dopóki nie udowodnisz kłamstwa panie Kincaid, musisz go wypuścić.

Szeryf, klnąc pod nosem, niechętnie otworzył kajdanki.

- Tylko nie myśl sobie, że to koniec sprawy, ty makaroniarzu! - powiedział, czyniąc obraźliwy gest w stronę Alexa i Sary, przytulonych do siebie z drżeniem. - Jeszcze dojdę, dlaczego ta pieprzona dziwka dla ciebie skłamała!

Renzo drgnął niczym dźgnięty ostrogą. Błysk zwężonych nagle oczu był jedynym ostrzeżeniem dla Hoaga, zanim otrzymał potężny cios pięścią, prosto w tłuśną, nabrzmiałą wściekłością twarz. Cios był tak silny, że od razu posłał szeryfa na deski. Nie oglądając się więcej za siebie, Renzo otoczył jednym ramieniem Sarę, drugim Alexa i wyprowadził swoją rodzinę z posterunku.

- Sara! - zawył rozpaczliwie Bubba. - Sara, jeśli odejdziesz z tym zawszonym bękartem, to z nami koniec, rozumiesz? Sara! Cholera, mam dla ciebie pierścionek zaręczynowy! Miałem ci go jutro dać! Sara, kochanie, błagam! Sara, niech to szlag! Zwalniam cię, słyszysz? Zwalniam!

- Zamknij się, Bubba! - powiedział z niesmakiem J.D.
- Dosyć się już skompromitowałeś!

Sara zignorowała ich obu. Otoczyła Renzo ramieniem i wymaszerowała z nim na zalany słońcem chodnik, na którym zdążyli się już zgromadzić pierwsi ciekawscy.

Wsiedli do samochodu. Renzo usiadł za kierownicą i wsadził do stacyjki kluczyk, który mu podała. Nie uruchomił jednak od razu silnika. Długą chwilę trwał nieruchomo w milczeniu, zapatrzony przed siebie, a potem nagle, bez ostrzeżenia, przygarnął Sarę do siebie i pocałował długo, zachłannie.

Wreszcie puścił ją i popatrzył pełnym miłości wzrokiem na tę kobietę, która odtąd na zawsze miała należeć do niego. Czułym gestem odgarnął pasmo włosów z jej twarzy i pogładził ją dłonią po policzku. Wiedział, ile musiało kosztować ją to publiczne wyznanie, potwierdzenie, że była z nim - i że jest z nim, bo przecież wszyscy będą musieli wkrótce sobie to dopowiedzieć.

A kiedy zobaczył we wzroku Sary, że domyśla się jego uczuć, zrezygnował z powiedzenia czegokolwiek. Przekreślił tylko kluczyk i jeep ruszył powoli ulicą.

Wracali do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Powrót do domu

*Przychodzą dni, odchodzą dni,
A pamiątka nasza tka wytrwale
Piękną materię dawnych chwil.*

George Cooper, *Słodka Genowefa*

Renzo włączył radio w samochodzie, by wypełnić ciszę. Starannie przeszukiwał kolejne stacje, aż wybrał powolny, uspokajający i tęskny utwór grany - jakże by inaczej! - na saksofonie. Wszyscy potrzebujemy chwili uspokojenia, myślał. Wiedział, że teraz zaczną się prawdziwe kłopoty. Wieści o nim, o Sarze i o Aleksie na pewno rozchodzą się teraz w mieście z szybkością błyskawicy. Zagryzł zęby na myśl o plugawych słowach Hoaga Laidlawa.

- Saro, czy ta stara szopa jest pusta? - zagadnął, wjeżdżając na podjazd, wiodący do farmy.

- Tak, a czemu pytasz?

- Chcę tam wprowadzić nasze auta. Po tym, co się zdarzyło, lepiej być ostrożnym. Alex, dasz radę otworzyć te drewniane wrota?

- Chyba tak, tato.

- W takim razie pomęcz się z nimi, a ja wysadzę mamę pod domem.

Renzo zatrzymał jeepa i wysadził chłopca, a potem podjechał z Sarą pod dom.

- Wiem, Sarenko, że masz zastrzeżony numer telefonu, ale chcę, żebyś od razu w poniedziałek go zmieniła. Bubba go ma, i Bóg wie kto jeszcze, a ja nie chcę, żebyś znów przeżywała to, co kiedyś. Zadzwoń też od razu do tej swojej lojalnej sekretarki, która nie chciała umówić mnie na wywiad. Nazywała się chyba... Kate Alcott. Powiedz jej, żeby zabrała wszystkie twoje rzeczy z biura w FYI, bo na pewno już tam nie wrócisz. Zresztą nawet gdyby Bubba cię nie wylał, to i tak po tym, co się stało, nie pozwoliłbym ci wrócić do pracy. Z góry uprzedzam, Saro, że jeśli zaczniesz marudzić i powtarzać, że nie będziesz miała z czego utrzymać siebie i Alexa, to znów wpadnę w dziką furję. Wiesz cholernie dobrze, że miałem zamiar się z tobą ożenić już w wieku lat dwunastu, i teraz nic mnie przed tym nie powstrzyma!

- Ja nawet nie wiem, czy nie byłeś już kiedyś żonaty, Renzo - powiedziała cicho Sara, choć serce zabiło jej gwałtownie na jego słowa. - Jeśli na przykład się rozwiodłeś...

- Nie, nic z tych rzeczy. Miałem zamiar o tym z tobą porozmawiać, ale zgarnął mnie Hoag i... sama wiesz. W każdym razie pewnie się domyślasz, że nie żyłem przez te lata jak mnich. Pewnie też wiesz, że mężczyzna, pragnąc zapomnieć o tej jedynej kobiecie, często rzuca się w ramiona innych, przypadkowych, które nic dla niego nie znaczą. Wiem, nie byłem tak wierny, jak ty. Wiem też, że to właśnie cię boli. Mogę tylko powiedzieć, że byłem przekonany, że

wysłaś za męż. I to już w trzy miesiące po tym, jak wyjechałem z miasta. Zapewniam cię, Saro, że gdybym znał choć cień prawdy, gdybym wiedział, co się z tobą dzieje, nic - nawet groźba wyroku za zabicie Sonny'ego Holbrooke'a - nie powstrzymałoby mnie od wrócenia tu po ciebie. Przecież wiesz, *cara*, że tak bym zrobił.

- Och, Renzo... - zaczęła i jak zwykle w ostatnich dniach łzy napłynęły jej do oczu. Po chwili łkała tak mocno, że Renzo nie nadążył szałowywać łez z jej policzków.

- Cicho, kochanie, wypłaczesz sobie te piękne oczy. No, proszę, przecież potrafisz być dzielna. Idź do domu, a ja zajmę się samochodami.

Sara przytaknęła w milczeniu, pociągnęła nosem i dzielnie wysiadła z jeeпа. Zadzwońiła do Kate, by poinformować, że pokłóciła się z Bubba, a ten w rezultacie ją zwolnił. Kate zmartwiła się mocno i próbowała pocieszać, że sprawa rozejdzie się po kościach, ale w końcu obiecała, że zrobi to, o co ją proszono.

Po tym wszystkim Sara czuła się tak brudna, tak zbrukana, że poszła do łazienki na górze, by wziąć długi prysznic. Kiedy zaś skończyła i usiadła przed toaletką, by rozczesać długie włosy, dostrzegła w lustrze, że Renzo wchodzi do sypialni. Przyniósł ze sobą czarną, skórzaną torbę podróżną, na którą Sara zerknęła podejrzliwie.

- Spokojnie, Saro. - Gestem uprzedził jej słowa. - Tylko nie zaczynaj płakać i nie rozpaczaj, że porzucę cię po weekendzie - powiedział ze śmiechem. - Sprawa jest trywialna: po prostu przez łata, w takim zawodzie jak mój, musiałem przywyknąć do ciągłego i niespodziewanego przerzucania się z miejsca w miejsce. Dlatego przyzwyczai-

łem się, że zawsze mam w bagażniku spakowaną torbę, tak na wszelki wypadek. Teraz właśnie mi się przydaje.

Renzo rozsunął suwak i zaczął rozkładać na łóżku swoje rzeczy - zmianę ubrania, maszynkę do golenia, wodę kolońską i inne drobiazgi. Wreszcie na koniec, ku przerażeniu Sary, wyjął pistolet automatyczny dużego kalibru i z wprawą przeładował magazynek.

- O Boże, Renzo! - Sara pobladła. - Po co ci to?

- Żeby bronić mojej rodziny w razie potrzeby - odparł z twardą, zaciętą miną.

- Wiem, ale... Zastanawiam się, do czego wcześniej potrzebne ci było coś takiego?

Wbrew sobie zaczęła nagle myśleć o tamtym dniu w kamieniołomie i o ostatnim wieczorze, kiedy usłyszała trzask zamykanych drzwiczek samochodu. Jeszcze nie wiadomo, z jakiej dokładnie broni został zastrzelony Lamar; najpierw muszą znaleźć łuski - próbowała się uspokoić. Była wściekła na siebie za ten cień wątpliwości, za to chwilowe zwątpienie, za tę podłą myśl, że Renzo rzeczywiście mógł kogoś zastrzelić.

Ale skoro zdolny był wciągnąć kiedyś Sonny'ego Holbrooke'a w śmiertelną grę... A wczoraj mało brakowało, a wyważyłby jej drzwi. Gdyby zaś zaczęła mu się opierać, pewnie wziąłby ją siłą. Poza tym o mało nie pobił Bubby na śmierć w biurze szeryfa...

Och, do czego jeszcze zdolny był mężczyzna, którego kochała?

- Posłuchaj, Saro - Renzo odezwał się łagodnie, jakby domyślał się niepokojących myśli, które nagle ją opadły - od czasu afery Racket Club mnóstwo ludzi w Waszyngtonie,

i w innych okolicach, poprzysięgło mi zemstę. Siedzą wprawdzie za kratkami, ale ich władza sięga daleko poza więzienne mury. No i są to w większości ludzie, którzy potrafią dotrzymać słowa.

- Chcesz powiedzieć, że mogliby - albo mogą - próbować cię zabić?

- Mało prawdopodobne, dziecinko. W tym kraju raczej nie zabija się dziennikarzy. Ale byłbym głupio nieostrożny, gdybym nie brał pod uwagę i takiej możliwości, nie sądzisz?

- Renzo otworzył szufladkę nocnego stolika i umieścił tam broń, by była pod ręką. Gestem wskazał rzeczy, rozłożone na łóżku. - Przydzielisz mi jakieś miejsce?

Dopiero teraz dotarło do niej, że Renzo naprawdę zamierza zostać tu na zawsze - w jej domu i w jej łóżku.

- Renzo... - odezwała się niepewnie - wiesz, nie jestem pewna, czy to dobry pomysł... przykład dla Alexa...

- Daj spokój, przecież jestem jego ojcem - przerwał jej. - Nawet nie próbuj mi mówić, że nie będę od dzisiaj z tobą spać. Czy sądzisz, że zgodzę się na to, zwłaszcza po ostatniej nocy?

Dreszcz podniecenia mieszał się z dreszczem obawy. Renzo nie był Bubbą należał do mężczyzn, których nie da się trzymać na dystans. Sara zerknęła na łóżko, skrycie pragnąc, by wróciły cudowne chwile, kiedy trzymał ją w ramionach.

W jednej sekundzie podjęła ostateczną decyzję i świadomie, z determinacją wyrzuciła z umysłu straszliwe podejrzenia, że Renzo mógłby być zdolny do zabójstwa.

- Używam głównie garderoby. Ta komoda jest praktycznie pusta.

- Fajnie, w takim razie wmelduję się do niej, okay? A teraz pójdę pod prysznic. - Ściągnął z siebie poszarpaną, zakrwawioną koszulę i wrzucił ją do kosza. - Dzwoniłem do Morse'a. Powiedziałem mu, że dzisiaj sam musi wypchnąć numer. A ty, dzwoniłaś do Kate?

- Tak. Przywiezie mi rzeczy w poniedziałek, w porze lunchu. Dziwnie mi, kiedy pomyślę, że nie będę już musiała jechać rano do pracy. Pracowałam od siedemnastego roku życia.

- Wiem, przeze mnie - przyznał Renzo, po raz kolejny wściekły na siebie za wszystko, co się stało przed laty.

- Nie chciałam, żebyś to tak odebrał, przepraszam. Po prostu ostatnio byłam tak zaganiana, że niemal zapomniałam, co znaczy wolny czas.

- W takim razie mogę wziąć cię do „Trib”. Ale równie dobrze możesz zostać w domu. Myślę, że na razie przydałoby ci się trochę oddechu. A potem się zastanowisz. Nic już nie mogę poradzić na to, że musiałaś przeżyć beze mnie kilkanaście ciężkich lat, ale przynajmniej od tej chwili będę mógł przejąć opiekę nad tobą i Alexem. Zadbam o was dobrze, Saro. Już nie musisz o nic się martwić.

- A swoją drogą, gdzie jest Alex? - zainteresowała się nagle.

- Lepiej dla niego, jeśli znajdę go w swoim pokoju, jak sprząta ten sakramencki bałagan, który z taką dumą mi zademonstrował. - Renzo pokręcił głową z uśmiechem. - Zdaje się, że nie takiej reakcji się po mnie spodziewał. Rozpuściłaś go do ostatnich granic, Sarenko. Rozumiem, że nie mogło być inaczej, ale teraz to musi się skończyć. Chłopak powinien się nauczyć, że nikt w życiu nie poda mu niczego

na tacy, że do wszystkiego trzeba dojść samemu, ciężką pracą i wytrwałością. Że trzeba odpowiadać za własne czyny, zarówno wtedy, kiedy przynoszą uznanie, jak i wtedy, kiedy ponosi się konsekwencje własnych błędów.

- Wiem. Myślisz, że nie próbowałam go tego uczyć?

- Na pewno, Saro. Ale musiałaś też robić wiele innych rzeczy. A teraz ja jestem tutaj i nigdzie już nie odjadę. Dlatego Alex nie będzie więcej potrzebował drogich zabawek, żeby zrekompensować sobie brak ojca. Już go ma. Tyle tylko że to moje wejście na domową scenę odbywa się trochę dziwnie... może nieco zbyt burzliwie - dodał i roześmiał się cicho.

Zanim Sara zdążyła odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Podskoczyła ze strachu, a z jej twarzy odpłynęła nagle cała krew. Patrzyła na aparat na nocnym stoliku, jak gdyby był złośliwą bestią, a ona sama miała siedemnaście lat.

Widząc jej reakcję, Renzo zaklął i sięgnął po słuchawkę.

- Tak? - Słuchał przez dłuższy czas rozmówcy po drugiej stronie, a potem powiedział chłodno: - Jesteś pijany, Bubba. Lepiej idź spać. - Po czym odsunął słuchawkę od ucha, ze zdegustowaną miną słuchając potoku wyzwisk. - Bubba - znów się odezwał - naprawdę nie mam zamiaru się z tobą kłócić i nie poproszę Sary do telefonu. Sam powiedziałeś, że wszystko między wami skończone, nie pamiętasz? Dlatego nie dzwoń do nas więcej - dodał i odłożył słuchawkę.

- Dlaczego nie odłożyłeś jej od razu? - zapytała Sara, nerwowo przygryzając wargę.

- Pewnie mi nie uwierzysz, ale szkoda mi drania. Wiem, co czuje, tracąc ciebie. - Renzo podszedł nagle do toaletki,

przy której Sara ciągle siedziała, i łagodnym gestem zanurzył dłonie w jej włosy, a potem uniósł ku sobie jej twarz. - Będziesz musiała na jakiś czas zniknąć mu z oczu, dopóki nie ochłonie. Jest wściekły i rozżalony. Jeśli przedtem odgrywał dżentelmena, teraz zapomni o tej roli.

- Dlaczego tak myślisz?

- Wierz mi, Saro, sam jestem mężczyzną, a my mamy zwierzęcą naturę. Czy chcemy tego, czy nie, nie zawsze kontrolujemy swoje emocje. Gdy chodzi o sprawy najważniejsze, jesteśmy tacy sami, jak ci, którzy łązili z maczugami i spali w jaskiniach. Kiedyś powiedział mi o tym ojciec i później, w życiu, przekonałem się, że miał rację. W odpowiednich warunkach każdy z nas zrzuci z siebie otoczkę cywilizacji i wróci do stanu dzikości, będzie gotów na najbardziej okrutne i pierwotne czyny.

Renzo pochylił się nad nią i pocałował ją żarliwie, ze stanowczym zamiarem zduszenia w zarodku wszystkich słów, jakie jeszcze miała zamiar wypowiedzieć. Oderwał się od jej ust dopiero wówczas, kiedy zaczął uporczywie dzwonić telefon.

Tym razem po prostu wyciągnął wtyczkę z gniazdka, a potem poszedł do łazienki wziąć prysznic. Sara zaś patrzyła w lustrze na odbicie nocnej szafki, w której schował broń. Nie mogła się ruszyć, zmrożona straszliwą myślą, że zabójstwo jest właśnie takim okrutnym i pierwotnym czynem.

O dziwo, popołudnie tego dnia minęło wyjątkowo spokojnie. Renzo, odkrywszy w kuchni Sary składniki do spaghetti i chleb czosnkowy, przyrządził ku zdumieniu Alexa smakowitą kolację.

Zjedli ją w jadalni, przy świecach i butelce dobrego wina, którego odrobinę Renzo nalał także synowi, by mogli wzniesć wspólny toast „za naszą trójkę”. Przy deserze uraczył ich opowieściami o swojej pracy. O tym, jak żmudnie wspinał się po kolejnych szczeblach kariery, przenosząc się z jednego dziennika do drugiego, i jak wylądował wreszcie w samym Waszyngtonie. A także o tym, jak opierając się na wiadomościach otrzymanych od głęboko utajnionego informatora, rozpracował aferę Racket Clubu, co przyniosło mu w rezultacie Nagrodę Pulitzera.

Po kolacji Alex grał na saksofonie, a Renzo dawał mu wskazówki, mające ulepszyć jego technikę. Po każdym zagranym przez chłopca kawałku klaskał entuzjastycznie, wprawiając go w niesłychaną dumę. Potem sam przejął instrument i Alex zrozumiał, że słucha mistrza. Sara pomyślała nawet, że to właśnie swoją grą ojciec zrobił chyba na synu największe wrażenie.

Kiedy chłopiec poszedł wreszcie do łóżka i szybko zasnął po dniu pełnym wrażeń, Sara rozsunęła drzwi do pokoju telewizyjnego i pokazała Renzo rząd wideokaset na półce.

- Nagrywałam je przez wszystkie lata - oznajmiła spokojnie. - Och, Renzo, to była jedna z najdziwniejszych rzeczy, jakie mi się zdarzyły. Do dziś nie potrafię tego wyjaśnić. Pewnego dnia przysłano mi duże pudło, a kiedy otworzyłam je, zobaczyłam, że wewnątrz jest kamera wideo i list, w którym napisano: „Dla dziecka i jego ojca - bo ty będziesz miała swoje wspomnienia”. Nie było żadnego podpisu, niczego, nie mogłam więc tej kamery nikomu zwrócić. Z początku myślałam, że to ty w jakiś sposób dowiedziałeś się, że jestem w ciąży. Ale po namyśle stwierdziłam, że to nie-

prawdopodobne... I w końcu nie wiem, komu powinnam dziękować. Filmowałam Alexa w miarę jak dorastał, bo uznałam, że ten nieznanany ktoś miał rację - ja będę miała swoje wspomnienia, ale on będzie zbyt mały, by coś zapamiętać. A ty, jeśli się kiedyś znajdziesz, będziesz również wiedział, jak żyliśmy, gdy cię z nami nie było. Renzo, domyślasz się, kto mógł mi zrobić taki prezent? Mi przyszli do głowy jedynie twoi rodzice, ale tak naprawdę trudno mi uwierzyć, że to oni.

- Chyba rzeczywiście nie oni. - Renzo obrócił w palcach kieliszek wina. Oczywiście, był ktoś, kto jeszcze wiedział o nim i o Sarze: Papa Nick. Tylko dlaczego dziadek nie zawiadomił go o tym, że ma syna? Przecież musiał wiedzieć, skoro przysłał ten list i kamerę.

Renzo pomyślał o tym z żalem i ze smutkiem, po chwili jednak znalazł odpowiedź na to trudne pytanie. Papa Nick chciał, żeby jego wnuk stanął najpierw na własnych nogach i osiągnął coś, z czego mógłby być potem dumny, i czego nigdy by nie osiągnął w tym dusznym, prowincjonalnym miasteczku. Renzo zrozumiał, że cena, jaką zapłacił za prostą z pozoru, niewinną pomoc, okazaną mu wtedy na drodze ucieczki, w lśniącej czarnej limuzynie, była o wiele wyższa niż sobie wyobrażał.

- Nie zdążysz przejrzeć wszystkich w jeden wieczór. Może zresztą na razie nie masz ochoty ich oglądać. - Sara zerknęła na niego z wahaniem - W każdym razie wiedz, że tu są.

Renzo nie odpowiedział. W milczeniu zapalił papierosa, a potem pociągnął łyk wina. Ciekawa była, o czym myśli, ale wyczuwała, że nie należy pytać.

- Idę na górę - oznajmiła. - Wykąpię się, a potem poczytam sobie i posłucham moich dzwonek. - Speszyła się nagle, widząc jego badawcze spojrzenie. - Bo ja ich słucham, Renzo. Wyobrażam sobie, że przemawiają do mnie - jak motyle i kwiaty. Wiem, to brzmi głupio, romantycznie i dziecinnie, ale zawsze lubiłam taką bajkową atmosferę.

Ku jej zdumieniu, Renzo przytaknął poważnie i ze zrozumieniem.

- Pewnie tego nie wiesz, ale kiedy zobaczyłem cię, Sarrenko, po raz pierwszy, też myślałem, że jesteś postacią z bajki; taką piękną bajkową dziewczynką, której nigdy, przenigdy nie zapomnę. To było jeszcze na długo przedtem, zanim Evie zrobiła ci awanturę o ten kuferek. Późne lato tamtego roku było piękne i ciepłe, pamiętasz? Chodziłaś po łące, tańcząc i śpiewając tę śmieszoną piosenkę o bananach. Miałaś na sobie luźną, spłowiała sukienkę, brązowe włosy, długie chyba do pasa i rozpuszczone na plecy, no i bose stopy. W rączce ścisłaś wielki bukiet kwiatów. Nagle wypuściłaś je, wyciągnęłaś ręce i przymknęłaś oczy, szepcząc coś, jak magiczne zaklęcie. I na twoich dłoniach przysiadł wielki żółty motyl. To właśnie wtedy się w tobie zakochałem, Saro Beth Kincaid... nie wiem jak, ale już wtedy czułem, że kiedy dorosnę, będę cię kochał do końca życia...

Głos Renzo ucichł i zamarł w nie zakłócaną niczym ciszy. Palił teraz papierosa i w milczeniu popijał wino, patrząc, jak łyżki płyną z zielonych oczu jego ukochanej.

Po bardzo długiej chwili Sara odwróciła się bez słowa i wstąpiła na schody. Nie powiedziała nic, bo przez ściśnięte ze wzruszenia gardło nie przeszłoby jej żadne słowo. Renzo zaś - również nic nie mówiąc - wstał i skierował się do

półki z kasetami. Sięgnął po pierwszą z nich, na której siedemnastoletnim, niewyrobnym pismem napisała: „Sara - Cięża”.

Włączył aparaturę i wsunął kasetę w kieszeń. Ekran rozbłysnął i przed jego oczami zaczęły przesuwać się obrazy; obrazy, które powinien znać, a których dotąd nie oglądał.

Sara musiała mieć kamerę ustawioną na statywie. Filmowała się, siedząc na łące, pod starym sykomorem. Miękki, słodki głos przemówił do niego, podając daty i zdarzenia:

- Dziś zrobiłam USG. Och, Renzo, będziemy mieli syna. Tak powiedział doktor. Jestem taka szczęśliwa. Nie mogę się doczekać tego maleńkiego chłopczyka, który będzie podobny do ciebie. Wiem, to pewnie brzmi dla ciebie dziwnie, ale prawda... ale prawda jest taka, że nawet jeśli cię tu nie ma, nie mogę przestać cię kochać i pragnąć, abyś był ze mną na zawsze. Mama i tata chcą, żebym usunęła ciążę, ale ja tego nie zrobię! Chcą też, żebym w najgorszym razie oddała dziecko do adopcji. Tego też nie zrobię! Tak żałuję, że ciebie tu nie ma, bo czasami brak mi sił przeciw nim wszystkim. Trudno, muszę sobie jakoś radzić. Ale bywa czasem ciężko. Bo wiesz, nie byłeś dla mnie tylko chłopakiem, którego kocham, ale i najlepszym przyjacielem. Nie wiem, czy kiedykolwiek obejrysz tę kasetę, i inne, które będę nagrywać. Muszę je ukryć przed rodzicami, tak samo jak i kamerę. Wiesz... wyrzucono mnie ze szkoły, za ciążę. To było straszne! Pan Dimsdale powiedział, że ogromnie się na mnie zawiódł. Więc pracuję wieczorami jako kelnerka, a za pierwsze pieniądze, które zarobiłam, kupiłam stalową kasetkę i ukryłam ją w domku na drzewie. Tam trzymam kamerę

i taśmy. To chyba najlepsze miejsce, jakie mogłam wymyślić...

Renzo patrzył w milczeniu na kolejne nagrania, kolejne dni, kolejne miesiące. Patrzył, jak ich dziecko rośnie w brzuchu Sary, jak jej twarz promienieje radością i dumą, jak podkrążone oczy zdradzają ogromny wysiłek i determinację, która każe jej nie poddawać się i walczyć.

Wreszcie po dwóch godzinach ekran zrobił się pusty, a z głośników rozległ się szum. Za to popielniczka Renzo pełna była niedopałków, butelka wina zaś - pusta. Podniósł się, wyłączył wideo i odłożywszy kasetę na półkę, zgasił światła.

Sara spała, skulona, w powiewnej, długiej koszuli, której jedwab lśnił srebrnym blaskiem w świetle księżyca. Renzo rozebrał się w półmroku i wsunął do łóżka, delikatnie zdejmując śliski materiał z nagiego ciała ukochanej. Nachylił się nad nią i zaczął pieścić ją - czuły księżycowy kochanek - delikatnymi jak muśnięcie motyla pocałunkami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Spadek po Lamarze

Dziwnie pociągająca jest myśl o bogatym spadku, czy nadzieja na uzyskanie nieruchomości. W cudowny sposób łagodzą one ból, jaki ludzie odczuwają po stracie swych bliskich.

Miguel Cervantes, *Don Kichot*

Paczuszkę doręczono do redakcji „Tri State Tribune” w sobotę po południu, ale Renzo zobaczył ją na swoim biurku dopiero w poniedziałek, gdy zjawił się w redakcji po odwiezieniu Alexa do letniej szkoły. Choć była zaadresowana do niego, nie rozpoznał ręcznego pisma. Przed otwarciem obejrzał ją starannie - od czasu Racket Clubu bał się bomby ukrytej w liście. Stwierdziwszy jednak, że nie wyczuwa niczego podejrzanego, otworzył przesyłkę.

Wypadł z niej krótki list, napisany na firmowym papierze Field-Yield, Inc., oraz druga, mniejsza koperta.

Cześć, Renzo Cassavettes!

Miałeś rację w tym, co powiedziałeś tamtego dnia w starym kamienioomie, że nie byem mądry i nie wziąłem se do

serca twojej rady. Wtedy faktycznie o tym nie myślaem, bo kombinowaem tylko, jak szybko dobić do forsy. A ten, co zrobił tak straszne rzeczy, musi przybulić. Ale na wypadek gdyby coś było nie tak, przesyam ci te dyskiety. Gdyby mnie dziabli na amen, wiesz co masz zrobić. Facet co dostaje Pulicera musi być łąpski i na pewno robi w jajo te tustą, wredną dupę i jego pomagiera.

Narazka, koleś

Lamar Rollins

Renzo miał mieszane uczucia. Uczciwość nakazywała natychmiast, bez oglądania, oddać dyskiety sędziemu Pierce'owi. I tylko jemu, gdyż Hoag nie wchodził w ogóle w rachubę. Z drogiej strony, dziennikarska ciekawość kazała mu otworzyć kopertę, zgodnie z życzeniem Lamara.

Po błyskawicznym namyśle sięgnął po nóż i przeciął oklejającą pakiecik taśmę. Było w nim kilkanaście starannie ponumerowanych dyskietek. Renzo był pewien, że to właśnie informacje, które były na nich zapisane, doprowadziły Lamara do zguby.

Włożył pierwszą do komputera i momentalnie się rozczarował, gdyż na ekranie wyświetliła się prośba o hasło.

- Cholera! - zaklął cicho. - Jak mam załatwić sprawę, Lamar, jeśli nie zaufałeś mi na tyle, by podać hasło? - mruknął do siebie. - Jasne. Zabezpieczyłeś się na wypadek, gdybym sam chciał dostać się do tych danych, a ty jeszcze byś żył, co?

Na chybił-trafił wystukał kilka słów, które przyszły mu do głowy, oczywiście bez skutku. Wreszcie sięgnął do interkomu i wcisnął jeden z klawiszy.

- Morse? Zajrzyj tu do mnie, dobra? - Morse Novak wiedział o komputerach więcej niż ktokolwiek w tym mieście.

- Już lecę, szefie. - Po chwili Morse wtoczył się na swoim wózku do gabinetu Renzo. - Co się stało? Czy coś spaprałem na sobotnim dyżurze, kiedy zabawiałeś się z Hogiem, Dwayne'em i Bubbą? - zapytał ze śmiechem, wyraźnie żałując, że nie dane mu było zobaczyć tej rozróby.

- Nie, nic z tych rzeczy. Jesteś stara dziennikarska wyga, Morse, i nie musisz niczego się bać. Choć twój ostatni artykuł o mojej małej przygodzie z prawem był paskudnie tendencyjny. - Mrugnął do Morse'a, po czym spoważniał i wytłumaczył mu, o co chodzi. - Zerknij na tę pierwszą dyskietkę i powiedz, co się da zrobić.

- Hmm, prosi o hasło? - Morse pochylił się nad klawiaturą. - Kłopot w tym, że hasłem może być dosłownie wszystko - coś, co mogło mieć znaczenie dla Lamara, albo przypadkowa kombinacja liter czy cyfr. Zresztą wiesz, jak się chroni dane, także w wielkich sieciach.

- Jasne. Czy jest szansa, żebym znalazł hasło Lamara?

- Cóż, możesz tylko siedzieć i wpisywać wszystko, co przyjdzie ci do głowy. Może się uda - wyjaśnił radośnie Morse, dobrze wiedząc, że nie takiej odpowiedzi oczekiwał Renzo. - No dobra. Pozwól, szefie, że ja pobawię się trochę tą dyskietką. Może coś znajdę - dodał litościwie. - Przypomnę sobie stare, dobre czasy. Też bawiłem się kiedyś w hackera.

- W porządku. I żeby było jasne, Morse - to sprawa tylko między nami. Musisz wiedzieć, że popełniam przestępstwo, przetrzymując dowody w sprawie zbrodni. Zwłaszcza że Lamar napisał, że zagraża mu niebezpieczeństwo.

- Myślisz, że zabito go z powodu tych dyskietek?

- Jestem pewien. Najwyraźniej chciał się posłużyć nimi, a raczej informacją, którą zawierały, by szantażować kogoś w mieście. Zginął, a to oznacza, że ten materiał musi być cholernie wybuchowy. Bo nie sądzę, żeby chodziło na przykład o to, że Lamar nakrył czyjąś żonę, jak wymyka się z facetem do „Rest-Rite” za każdym razem, kiedy jej ślubny wyjeżdża z miasta. Tu chodzi o coś naprawdę poważnego, coś, dla czego można zabić.

- Racja - przyznał Morse, poważniejąc. - Dobra, wezmę te dyskietki do domu i pobawię się nimi wieczorem. Mam nadzieję, że nie spodziewasz się natychmiastowych wyników, bo tego nie mogę ci obiecać.

- Dzięki, Morse. Pracuj spokojnie.

W ten sam poniedziałkowy rano Jolene McElroy zasiadła przy swoim biurku w recepcji Field-Yield, Inc., a pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było wypisanie zapotrzebowania, które zaplanowała już w piątek.

Poza obsługą centrali telefonicznej, zadaniem Jolene było również czuwanie nad stanem biurowych zapasów. W rezultacie w Field-Yield, Inc. permanentnie brakowało spinaczy, papieru i taśmy klejącej. Pracownicy narzekali ciągle na tę sytuację, dlatego też w piątek po dyżurze Jolene zmobilizowała się wreszcie i zdjawszy z uszu słuchawki, poszła do magazynu, by sprawdzić, czego brakuje. Ku swemu zdumieniu, odkryła, że poza różnymi, zwykłymi brakami, występuje kompletny brak dyskietek, używanych w biurowych komputerach. Dziwne, do niedawna ich zapasy wyczerpywały się w bardzo wolnym tempie. Zaczęła nawet podej-

rzewać, że niektórzy z pracowników musieli je wynosić do domu.

Jolene wróciła do centrali i nie przestając żuć gumy, założyła z powrotem na uszy telefoniczne słuchawki, a następnie wystukała numer do firmy De Fazio Computers & Electronics.

- Pan De Fazio? Tu Jolene McElroy z FYI. Prosiłabym o przysłanie nam dwóch paczek dyskietek, tych co zawsze.

Zamówiwszy towar, ruszyła korytarzem do biura Bubby. Zapukała do drzwi i weszła do środka pewnym krokiem.

- O, przepraszam, Bubba, nie wiedziałam, że jesteś zajęty - powiedziała, widząc w głębi gabinetu Evie i J.D.

Od razu pomyślała, że przerwała im rodzinną kłótnię. Założyłaby się o miesięczną pensję, że ich rozmowa musiała mieć coś wspólnego z sobotnią rozróbą w biurze szeryfa. Nawet dziś Bubba wyglądał strasznie z podbitym okiem i opuchniętą, rozciętą wargą, a pewnie i z kosmicznym kacem. Uśmiechnęła się w duchu na myśl o nowej porcji plock, które będzie mogła rozpowszechnić.

Chyba że Bubba wynagrodzi jej milczenie.

Nikt jej nie powie, że nie warto czasem być gadułą! Niektórym tak zależało, aby nie puszczała dalej pewnych informacji, że gotowi byli dawać jej nawet prezenty, byle tylko zapewnić sobie dyskrecję. Dawniej, kiedy Sara Kincaid doprowadzała go do białej gorączki, Bubba przychodził właśnie do niej, Jolene, aby wyzalić się i pocieszyć. I zawsze potem kupował jej jakiś ładny prezent.

- Może wpadnę później, Bubba, jeśli jesteś zajęty...

- Nie, zostań, Jolene. - Ze zbolałą miną masował sobie skronie. - Co mogę dla ciebie zrobić, kotku?

- Chciałam cię tylko zawiadomić, że z magazynu pojeżdżanie szybko znikają dyskiety. Wiem, że ludzie podkradają różne rzeczy, ale to już chyba przesada. Niedawno zamawiałam całe dwa pakiety. Pomyślałam nawet, że może to sprawka Thaddeusa Rollinsa i tego jego głupawego bratanka, którego zamordowano w piątek, ale nie bardzo sobie wyobrażam, po co oni akurat mieliby je wynosić. No, chyba że na sprzedaż. Ale gdzie tam. Thaddeus pewnie nawet nie umie się podpisać, nie mówiąc o pisaniu na komputerze, a Lamara wyrzucono kiedyś ze szkoły, więc...

- W porządku, sprawdzę to później - przerwał jej Bubba. - A teraz, koterńku, bądź tak dobra i przynieś mi jeszcze jedną mocną kawę, a może nawet aspirynę, jeśli gdzieś znajdziesz. Łeb mi zaraz pęknie!

- Dobrze. Zaraz przyniosę, Bubba. - Jolene wzięła od niego pustą filiżankę i zamaszystym krokiem wyszła z gabinetu, wydymając bąbel z gumy. Pomyślała już sobie o fajnej kiece, którą niedawno widziała w Fashion Boutique.

- Nie łupałoby cię we łbie, Bubba, gdybyś nie chlał przez cały weekend z żalu za tą węglarą. Ostrzegaliśmy cię z ojcem! - Evie skrzywiła się pogardliwie. - Mój Boże, w życiu bym nie pomyślała, że mój szanowny braciszek publicznie wyjdzie na głupa z powodu takiej dziwki!

- Zamknij się, Evie! - warknął wściekle Bubba. - Ja przynajmniej nie pakuję się w głupie małżeństwa i nie rozwodzę jak ty! Jeszcze nie masz trzydziestki, a już trzeci mąż na horyzoncie! Nie możesz poprzestać na braniu facetów do łóżka? Musisz od razu brać ich za mężów?

- A tobie co do tego? - głos Evie był szyderczo lodowaty. - Robię, co mi się podoba, braciszku, ale w przeci-

wieństwie do tej twojej dziwki z kopalnianych baraków, moi eks-mężowie są zdolnymi i szanowanymi ludźmi. I powiem ci coś jeszcze, Bubba: żadnemu z nich nie przyszłoby do głowy, żeby robić ze mnie wała i dupczyć się za moimi plecami z jakimiś przybłędami o śniadym tyłku!

- Evie! - ryknął J.D., poczerwieniawszy nagle na twarzy. Nie znosił, kiedy kobieta, a zwłaszcza jego córka, wyrażała się w ten sposób.

- Ty suko! - Bubba zerwał się z fotela, zaciskając pięści. - Lepiej zabierz ją stąd, tato! I to szybko, bo zaraz uduśzę tę zołzę, ostrzegam!

- Tatuniu, usiądź, proszę... nie denerwuj się. - Ignorując rozwścieczonego brata, Evie uspokajająco pogłaskała ojca po ramieniu. Z niepokojem dostrzegła nabrzmiałą niebieską żyłę, pulsującą na jego czole, i uśmiechnęła się do niego, skruszona. - Przepraszam, że wyraziłam się nie tak, jak przystoi córce przyszłego senatora. Naprawdę, bardzo mi przykro. Ale Bubba nie miał powodu mnie obrażać, dobrze o tym wiesz, tato. W końcu to nie ja przynoszę wstyd naszemu nazwisku. Naprawdę bardzo się starałam, żeby utrzymać swoje małżeństwa, wierz mi. Cóż z tego jednak, skoro mężczyźni, których wybrałam... no, po prostu żaden nie dorastał ci do pięt. Wyobrażam sobie, jakby wyglądali, gdyby przyszło im robić własną kampanię wyborczą! Chodź, tato, zostawmy w spokoju moje małżeństwa, a Bubba niech dalej topi w piwsku swoje żale. Zaraz przyjdzie Taggart Evanston. Będziemy mogli popracować w spokoju nad następnym etapem twojej kampanii. Mam świetne pomysły na reklamę i promocję, wiesz? Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego wolałeś słuchać tej cholерnej Kincaid, zamiast

mnie. Ona nigdy nie miała serca do twoich interesów. Robiła, bo jej płaciłeś, a ja... Zobaczysz, jak dalej będzie nam tak dobrze szło, przeniesiemy się wkrótce do Białego Domu. A ludzie nie będą już się do ciebie zwracali „panie gubernatorze” ani nawet nie „panie senatorze”, ale „panie prezydencie”. Wyobrażasz sobie, tato? Ale będzie fajnie!

- Byłoby o wiele fajniej, gdybym mógł się przenieść do Białego Domu z Sonnym, córciu! - opryskliwie zauważył J.D. - Ale jak Bóg da, dojdę tam i tak, właśnie ze względu na jego pamięć. Choć pewnie i to nie pomoże... - westchnął. - Nigdy nie przestanę żałować mojego złotego chłopca. Boże, nic już nie przywróci go do życia... A wy... - spojrzał po nich z niesmakiem i doprowadzony do ostateczności wszystkimi tymi rodzinnymi niepowodzeniami, wyrzucił z siebie pełne gorczy słowa: - ...a wy za nic nie możecie się z nim równać. Uch, oddałbym was oboje natychmiast, byle tylko znów mieć Sonny'ego przy sobie! Miał w sobie szlachetną krew, wartą dziesięciorga takich mułów, jak wy! Dlatego daj mi wreszcie spokój, Evie! Prze stań wreszcie krążyć koło mnie jak troskliwa kwoka i idiotycznie mi nadskakiwać. Wracam do biura i chcę mieć spokój. A ty lepiej idź stąd i zostaw Bubbę w spokoju. Zresztą, wszystko mi jedno, czy się pozabijacie, czy nie. Nie będę już tracił dla was czasu!

I tak oto J.D. Holbrooke, wypuściwszy tę zatrutą ojcowską strzałę, wyszedł sztywnym krokiem z gabinetu, zostawiając dwójkę swoich dzieci w bolesnym szoku. I Bubba, i Evie nie po raz pierwszy przekleli pamięć zmarłego brata.

W wielkim, eleganckim gabinecie jarzył się w półmroku ekran komputera. W cieniu oparcia skórzanego fotela operowały na klawiaturze szybkie, sprawne ręce, a jeszcze sprawniejszy mózg pracował na pełnych obrotach.

Lamar Rollins nie był tak głupi, na jakiego wyglądał. Na jego dyskietkach nie było żadnych danych. Ale przecież kiedyś musiały zawierać jakieś informacje. Do takiego wniosku doszedł morderca, gdy na obudowie dyskietek dostrzegł ślady po starych nalepkach.

A więc Lamar używał ich wcześniej do swoich celów, zanim skasował zawartość. Dobrze byłoby wiedzieć, jakie informacje zawierały.

Na szczęście dla mordercy, Lamar był jednak tylko zdolnym komputerowym amatorem. Nie zdawał sobie sprawy, że tylko komenda „erase” jest w stanie wyczyścić wszystko. Chłopak tymczasem zadowolili się zwykłą komendą „delete” - a w tej sytuacji, przy pomocy odpowiedniego programu, dobry fachowiec miał szansę po dość żmudnych operacjach odtworzyć skasowane dane.

W ciszy letniej nocy umysł mordercy pracował ze sprawnością, o którą nikt by go nie podejrzewał. Posłuszne palce błyskawicznie przebiegały po klawiaturze, wypisując kolejne komendy, aż wreszcie ekran rozbłysnął, ściemniał, a potem zapełnił się informacjami na temat narkotykowych transakcji, które Lamar wprowadzał do komputera.

Na ten widok skupioną twarz mordercy rozjaśnił demoniczny uśmiech.

- Co za fart! Co za fantastyczna okazja - szepnął do siebie. - Sama pcha się w ręce!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Śledztwo

*Czekaj końca; nie dopuszczaj zwątpienia;
Rozwiązanie wynagrodzi trud poszukiwania.*

Robert Heniek, *Hesperides: Seek and Find*

- I co znalazłeś, Virgil? - zapytał Renzo, zerkając znad biurka na młodego, czarnoskórego człowieka, który wszedł do jego przeszklonego gabinetu. Virgil Bodine kończył dziennikarstwo na uniwersytecie, Renzo zaś zatrudnił go niedawno na letni staż w swojej gazecie.

Virgil otworzył mały notes i zaczął relację o wszystkim, czego się dowiedział, prowadząc małe dochodzenie na zlecenie szefa.

- Lamar Rollins, wiek - siedemnaście. Matka, Tonette Rollins, nic bliżej o niej nie wiadomo. Ojciec nieznany. Lamar mieszkał z babką, Mabel Rollins, w zrujnowanym domu na peryferiach miasta. To slumsy, za przeproszeniem, szefie, nie lepsze niż te, w których mieszkają niektórzy twoi ziomkowie. Mam adres, a nawet numer telefonu. Nie wiadomo zresztą, czy będzie można się dodzwonić, bo pani Rollins stale zalega z rachunkiem. Inni członkowie rodziny

to: Thaddeus Rollins, wuj Lamara, i Keisha Rollins, jego siostrzyczka, opóźniona w rozwoju. Pani Rollins pracowała kiedyś w fabryce psiej żywności, ale później zmuszono ją, by zwolniła się ze względu na stan zdrowia. Teraz żyje z renty. Thaddeus od lat jest nocnym stróżem w FYI. Lamar został w wieku lat szesnastu wyrzucony ze szkoły i dzięki wstawiennictwu wuja został jego pomocnikiem w FYI. Mówi się, że pracował wieczorami, a w dzień zajmował się uprawianiem marihuany i rozprawdzaniem jej po okolicy. Podobno miał klientów również z włoskich dzielnic, szefie. Kiedy Lamar nie był zajęty sprząaniem i uprawami, prześadywał w kółku podobnych mu Leserów, przeważnie w klubie bilardowym Zeke Folsoma albo w lombardzie Isleya zwanego „Rabanką”. Ponoć u niego kupił na lewo jakiegoś gnata, którego miał ze sobą w noc morderstwa. Miał też lornetkę noktowizyjną, którą najprawdopodobniej zwędził ze sklepu myśliwskiego Druckera. Z jego broni nie strzelano. Sekcja wykazała, że został trafiony dwa razy, z dużej odległości - za każdym razem w pierś - z broni myśliwskiej, kaliber dziewięć milimetrów, co potwierdziły znalezione łuski. Na samochodzie Lamara znaleziono odciski palców, ale zbyt niewyraźne, by nadawały się do analizy. Prawdopodobnie morderca miał rękawiczki.

- Virgil, jesteś niesamowity! - rozpromienił się Renzo.
- Jak tak dalej pójdzie, masz szansę zostać świetnym reporterem.

- Dzięki, szefie. - Murzyn uśmiechnął się z dumą.

Gdy Renzo patrzył na tego chłopaka, Virgil bardzo przypominał mu jego samego w czasach, gdy dopiero zaczynał robotę w dziennikarskim fachu i bardzo chciał się wykazać.

- Daj mi ten adres i telefon, a potem wpisz mi swoje notatki do komputera, dobrze? No i zajrzyj do Morse'a. Zobacz, czy wreszcie na coś trafił. Aha, Virgil, i zamknij za sobą drzwi.

Praktykant przytaknął i wyszedł, Renzo zaś podniósł słuchawkę i zadzwonił do dziadka. Mówił długo i z ożywieniem, a kiedy skończył, Papa Nick odchrząknął sceptycznie.

- Renzo, rusz głowa. Ten chłopak Rollinsów przejechał się przez narkotyki. Powiem ci coś. To nikt z naszego interesu. Chryste Królu, kto słyszał, żeby nasi walili z takiej spluwy? Krótka broń, szóstka, najwyżej siódemka... Nowe chłopaki, może być, mają inną szkołę, ale tu są stare porządki. W dawnych czasach ludzie mieli zasady. A ty ciągle siedzisz jedną nogą w Waszyngtonie. Za daleko patrzysz, synek. Bliżej trzeba... bliżej domu...

Po tych tajemniczych słowach Papa Nick odłożył słuchawkę. Znów, jak kiedyś w czarnej limuzynie, Renzo miał uczucie, że stary człowiek chce mu coś przekazać. Niestety, Renzo nie miał nawet cienia pomysłu, co to by miało być. Zastanawiał się nad tym równie długo, co bezskutecznie. Wreszcie z zamyślenia wyrwała go Sara, która zapukała w przeszklone drzwi, a potem weszła do jego gabinetu i zapytała:

- Wspólny obiad nadal aktualny?

- Hmm... nie wiem... - Ciemne oczy Renzo prześliznęły się po włosach splecionych we francuski warkocz, prostej letniej sukience i bosych stopach, odzianych w sandały. Wyglądała w tym stroju tak dziewczęco, jak w dniu, w którym kochali się po raz pierwszy. - Może raczej zasunę żaluzje w biurze i zrobimy coś ciekawszego od jedzenia - za-

proponował, wstając i przyciskając ją do drzwi w niedwuznaczny sposób.

- Renzo! Zobaczą nas!

- I co z tego? Jak im się nie spodoba, zostaną wylani. Tak, tak, zmieniłem zamiar. Chodźmy na górę, zrobię kanapki z salami.

- Dziś obiadek na miejscu, szefie? - uśmiechnął się Morse, gdy szli przez hol ku schodom prowadzącym na górę - do apartamentu, w którym mieszkał sam, zanim nie przeprowadził się do Sary i Alexa.

- Też bym został na obiad w domu, gdybym miał takie towarzystwo - dodał Virgil.

Sara spieszyła się, a Renzo objął ją mocniej. Wiedział, że wszyscy pracownicy polubili ją za jej uprzejmość i bezpośredniość, i cieszył się z tego.

- Oni są straszni! - syknęła, kiedy weszli do mieszkania.

- Przesadzasz. Nie mieli nic nieprzyzwoitego na myśli, chcieli po prostu wyrazić swoją sympatię - zapewnił. - Zresztą myślę, że nieraz jadałaś z Bubbą w jego biurze.

- Nie miał tam łóżka!

- Zawsze twierdziłem, że jest tępy. - Renzo wziął ją w ramiona i pchnął na posłanie. - W przeciwieństwie do mnie - dodał i po chwili już całował ją, pieścił i rozbierał. Nie zapomniał oczywiście o rozpleceniu warkocza, by cieszyć się burzą długich włosów. Kiedy zaś oboje byli już nadzy, Sara pociągnęła go ku sobie pożądliwie.

Gdy nasycyli się sobą i zaspokoili głód miłości, ubrali się i z apetytem zjedli kanapki.

- Chcesz się ze mną przejechać? - zagadnął.

- A nie robiłam tego przed chwilą? - zachichotała.

- Lepiej nie żartuj, bo zaraz znów zacznę. - Błysnął ku niej znaczącym spojrzeniem. - Miałem na myśli jazdę samochodem, kochanie. Chcę odwiedzić babkę Lamara Rollinsa, a podejrzewam, że tobie łatwiej będzie nawiązać z nią kontakt.

- Po co w ogóle chcesz z nią rozmawiać? - Świątełko szczęścia w oczach Sary zgąsło momentalnie. - Renzo, po co? Nie rozumiem, dlaczego mieszasz się w to wszystko. Przecież wiesz, że Hoag nadal uważa, że to ty jesteś winnym śmierci tego chłopaka.

- Robię to, ponieważ Lamar mi zaufał. A wierz mi, Saro, niewielu ludzi tak naprawdę ufało mi w życiu. Nie zapominaj też, że jestem dziennikarzem i obowiązuje mnie etyka zawodowa. On na mnie liczył, wiedział, że zrobię to, co trzeba, jeśli zostanie zabity. I jeszcze jedno: gdyby nie dziwne zrządzania losu, gdyby matka nie przywiozła mnie tu przed laty, skończyłbym zapewne tak samo jak ten nieszczęsny Lamar. Przecież wiesz o tym, *cara*. Dlatego uważam, że takim właśnie Lamarom Rollinsom jestem coś winien - bo mnie się udało, a oni zostali na dnie. A jeśli chodzi o Hoaga, to znasz go przecież, więc możesz się domyślać, że wcale nie szuka prawdziwego mordercy. On szuka haka na mnie. Marzy o tym, żeby mnie wpuścić w morderstwo Lamara, a najchętniej jeszcze Sonny'ego. Rozumiesz, Saro? Prawdziwy morderca musi być gdzieś tu, w mieście, być może nawet śmieje się z nas w tej chwili. Bezwzględny morderca, który w każdej chwili może uderzyć jeszcze raz!

Ta myśl nie przysłała dotąd Sarze do głowy. Teraz, gdy usłyszała słowa Renzo, przeszył ją lodowaty dreszcz.

- Dobrze - powiedziała cicho. - Pojadę z tobą.

Lamar Rollins mieszkał w tej części miasta, którą pogardliwie nazywano Niggerville, czyli Czarnuchowo. Było to zbiorowisko ruder, skupiające się na granicy miasta, prawdziwe brudne i biedne getto. Oczywiście, istniały też inne podrzędne dzielnice, jak Miners Row albo Dagotown - dzielnica nisko płatnych białych robotników i biednych włoskich imigrantów. Ale czarne getto stanowiło najniższy stopień w tutejszej hierarchii. Tu ludzie żyli niemal wyłącznie z zasiłków.

Dom Rollinsów niewiele różnił się od otoczenia, które stanowiły tu prawie bez wyjątku skromne małe domki z dwiema sypialniami, kuchnią i łazienką. Biały tynk odpadał płatami, odsłaniając szare deski. Przegniłe werandy osiadły, a dachy, w których brakowało dachówek, zaczynały się zapadać. Okiennice wisiały na jednym zawiasie albo w ogóle ich nie było; wypaczone okna zaś straszły łuszczącą się farbą. Niewielkie ogródki, gdzie nie hodowano już ani kwiatów, ani warzyw, były zarośnięte chwastami i zaśmiecone puszkami od piwa oraz pudełkami po papierosach.

Kiedy wyjeżdżali, Renzo wyjął ze schowka w samochodzie swój pistolet i wsadził go sobie za pasek. Sara z początku była przerażona, jednak teraz, gdy wjechali w tę murzyńską dzielnicę nędzy, zrozumiała, że postąpił słusznie. Zrozumiała też, że Renzo nie po raz pierwszy wybiera się w podobne okolice.

- Patrz pod nogi - ostrzegł, gdy szli przez zaśmiecone podwórze ku betonowym, wykruszonym schodkom werandy.

Na schodkach siedziała otyła dziewczynka. Zbyt ciasna i zbyt krótka sukienka opinała jej tłustawe, niekształtne ciało.

Czarne, grube włosy były zaplecione w kilka warkoczyków, które sterczały z głowy pod najdziwniejszymi kątaami, zaś końce owych warkoczyków były spięte jaskrawymi, tanimi gumkami. Dziewczynka bawiła się spokojnie brudną, spoiniewieraną szmacianą lalką, którą czule tuliła w ramionach.

Sara zauważyła, że Renzo zamyślił się i zasmucił. Zapewne gdzieś na horyzoncie jego pamięci kryły się ponure wspomnienia nieszczęśliwego dzieciństwa. Jeszcze nie widziała takiego wyrazu na jego twarzy. Wyglądał, jakby wrócił po latach w miejsce, w którym kiedyś mieszkał. Jasne, pomyślała, przecież mieszkał w takim miejscu.

Przemówił do dziewczynki, ale ta nawet na niego nie spojrzała. Jej buzia miała dziwnie nieobecny wyraz. Nuciała jakąś kołysankę, kołysząc lalkę, a Sara uświadomiła sobie nagle, że ma przed sobą upośledzone dziecko, o którym opowiadała kiedyś w „Spichlerzu” Krystal Watkins.

Nie mogąc nawiązać kontaktu z dziewczynką, Renzo zapukał we framugę drzwi z obdartą siatką. Pomimo pragnienia, by morderca Lamara został jak najszybciej ujęty, a Renzo uwolniony z zarzutów, Sara miała skrytą nadzieję, że nikt nie otworzy i odjadą stąd jak najprędzej. Miała świadomość, że elegancki Renzo, ze swoim czerwonym jaguarem zaparkowanym przy zaśmieconym chodniku, wygląda tu absurdalnie. Czuła na sobie spojrzenia ciekawych oczu, wyzierających zza brudnych zasłon, i czuła się nimi w trudny do wytłumaczenia sposób skrepowana.

Wreszcie jednak, gdy stracili już prawie nadzieję, na ganek wyszła starsza kobieta z posiwiałymi włosami. Na nogach miała przydeptane kapcie, poruszała się ciężko i niezgrabnie.

- Czego chcecie? - zapytała podejrzliwie, patrząc na nich przez grube szkła okularów.

- Pani Rollins? Jestem Renzo Cassavettes z „Tri-State Tribune”. A to moja znajoma, Sara Kincaid. Chcielibyśmy porozmawiać z panią o pani wnuku, Lamarze.

- Po co? Przecie on nie żyje.

- Tak, proszę pani, i proszę przyjąć wyrazy najgłębszego współczucia. Ale Lamar, zanim zginął, zdażył skontaktować się ze mną. Prosił o pomoc, na wypadek gdyby coś się z nim stało. Dlatego chciałybyśmy znaleźć tego, kto go zabił, pani Rollins. Może pani coś wie? Coś, co byłoby pomocne? Wystarczy nawet drobna informacja, z której ważności nie zdaje pani sobie sprawy.

Babcia Lamara milczała przez dłuższą chwilę. Wreszcie z westchnieniem opadła ciężko na stojący na werandzie stary bujany fotel.

- Posiedzę tu, dobrze? Nie mogę tak długo stać - wyjaśniła zmęczonym głosem. - Stawy mi puchną, zwłaszcza w ten gorąc. Ciśnienie też mam wysokie. A zresztą, jak kto ma takie śliczne auto, i tak nie będzie wchodzić do domu, no nie? Jak by wrócił, to by już nie było radia ani dekli. Ja już mówiła szeryfowi wszystko, co wiem... znaczy, nie za dużo. Lamar... on mie nie wierzył i mie nie słuchał. Wylali go ze szkoły, wpadł w lewe towarzystwo - wiecie, ten „Rąbanka”, Zeke Folsom i inne cholery, co się dziwię, że jeszcze ich Hoag nie zapuszkował...

- Pani Rollins, niech pani posłucha. Szeryf prawdopodobnie uważa, że Lamar używał narkotyków, że nimi handlował - powiedziała łagodnie Sara, odgadując z pozornie obojętnej twarzy kobiety, że jednak mocno przeżyła śmierć

wnuka. - Czy myśli pani, że naprawdę zginał z powodu narkotyków?

Pani Rollins wzruszyła ramionami.

- Kto go wie? Może? W jego pokoju widziałam czasem woreczki z marihuaną. Ale jak szeryf raz przyszedł, to ich nie było. Znalazł tylko w pokoju Lamara schowek - taką dziurę w podłodze, ale pustą. A ja tyle razy ostrzegała Lamara, że to cholerne zielsko napyta mu kiedyś biedy. Ale gdzie tam, nie słuchał. Wie pani, jakie chłopaki są w tym wieku. Zdawało mu się, że zjadł wszystkie rozumy, że zrobi majątek. E, jak kto chce być za bogaty, zawsze marnie kończy...

- Czy na jakiś czas przed śmiercią pani wnuk nie zachowywał się dziwnie, inaczej niż zwykle? - zapytał Renzo.
- Czy wydawał się czymś zdenerwowany, a może przestraszony?

- Czy ja wiem? Niby nie... - Kobieta pokręciła głową, zastanawiając się usilnie. - Ale faktycznie, był trochę taki, wie pan, podkrecony... zupełnie jakby nic tylko myślał o czymś bez ustanku. Gadał takie tam dziwne rzeczy, że się wszystko zmieni w naszym życiu, że Keisha... ona po pierwsze... będzie mieć, co się jej należy, że on to załatwi... Kto by tam słuchał.

- Keisha? - Sara zerknęła na dziewczynkę z lalką.

- Moja wnusia, siostrzyczka Lamara. Nie znam ani jednego z ich ojców. Moja córka, Tonette, ni cholery nie dba o te sprawy. Parę lat temu wybyła z akwizytorem od odkurzaczy i tyleśmy ją widzieli. Powiedziała mi tylko, że Lamar jest już duży i że zaraz sam o siebie zadba, a Keisha... i tak, biedula, zostanie na całe życie z tą swoją chorą głową.

Coś z nią nie tak. Nie gada, nawet nie umie się przedstawić, tylko woła na siebie „Kiss-Kiss”... - Pani Rollins uśmiechnęła się blado, w jej starych oczach pojawiły się łzy. - Oj, ten Lamar... on zawsze myślał, że jest taki sprytny. I jeśli naprawdę o coś dbał, to tylko o tę swoją siostrzyczkę, o Keiszę. Ona była dla niego jak słońeczko. Współczuł jej, tak sobie myślę...

- Cóż, pani Rollins, zabraliśmy pani dużo czasu. - Renzo zrozumiał, że starsza kobieta nic więcej już im nie powie. Udawał, że nie widzi, jak pod pretekstem poprawiania na nosie grubych szkieł Murzynka ociera wilgotne od łez oczy. Nawet nie próbował dawać jej pieniędzy, czując instynktownie, że jest zbyt dumna, by je wziąć. - Dziękujemy pani za tę rozmowę. Bardzo nam się przydadzą wszystkie te informacje.

Odchodząc do samochodu, Sara obejrzała się na pozostawioną na werandzie panią Rollins, i na Keiszę, tulącą szmacianą lalkę i mruczącą jej do ucha jakieś przez siebie tylko zrozumiałe śpiewanki.

Renzo zaś myślał w tej chwili o małym chłopcu, ścisnącym w objęciach wyleniałego, jednookiego pluszowego misia. Nie po raz pierwszy w życiu pomyślał, że czuje wdzięczność dla Sofie i wujka Vinnie - za to, że nie chcieli go wychowywać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Niszczący ogień

*Żaden człowiek nie wybiera zła dlatego, że jest złem;
myli je tylko ze szczęściem - dobrem, którego szuka.*

Maij Wollstonecraft, *Obrona praw człowieka*

Morderca Lamara znów siedział w biurze, przy komputerze, którego ekran lśnił w półmroku. Modem łączył go z siecią komputerową, która oplatała cały niemal świat. Pomyślał, że komuś obdarzonemu bujną wyobraźnią taki modem może się jawić jako długa łapa pająka, pociągająca za nitkę pajęczyny.

Ale dzisiaj złowrogi pająk nie musiał sięgać daleko - tylko do komputerów redakcji „Tri-State Tribune” i innych komputerowych systemów w tym niewielkim mieście. Przeszukiwał więc metodycznie wszystkie cyberkorytarze, jeden po drugim, nie znajdując w nich nic ciekawego. Na razie - bo przecież tryby tego precyzyjnego, bystrego umysłu kręciły się niezmordowanie, a sprawne palce biegały po klawiaturze. Wiedział, że prędzej czy później znajdzie to, czego szukał.

Klik, klik, klik...

Tajne pliki, które Lamar wykradł i przekazał swojemu przyjacielowi jako zabezpieczenie, musiały tkwić gdzieś, ukryte na jakimś twardym dysku. W końcu w mieście nie było aż tak wiele komputerów przyłączonych do sieci, żeby poszukiwanie miało trwać w nieskończoność.

Ha! Pająk zrobił się nagle czujny. Jest sygnał, słaby jeszcze i niewyraźny, ale już go namierzał, już nad nim pracował...

Postaci siedzącej przy komputerze wyrwało się pełne okrutnej satysfakcji westchnienie:

- Ach, mój biedny Morse... Więc znalazłeś dostęp. Żle dla ciebie, przyjacielu. I cudownie dla mnie.

Uśmiechnął się do siebie, wystukał jeszcze na klawiaturze kilka komend i posłał elektroniczną pocztą komunikat, który odebrać miał ów nieszczęśnik o nazwisku Morse:

*** MAM CIE!***

Morse Novak wpatrywał się w przekaz na ekranie komputera, nie bardzo wiedząc, co ma oznaczać - czy ktoś na przykład nie robi sobie żartów i jakiego rodzaju są to żarty. Uznał jednak, że jest już za późno, by Virgil był jeszcze w redakcji. Renzo ostatnio też wychodził równo o piątej, spiesząc się zawsze do swojej rodziny.

Od chwili powrotu do domu, samotnie stojącego na uboczu starej drogi, Morse bez przerwy zajmował się dyskietkami, które Renzo otrzymał od Lamara. Przeszedł tę samą drogę, co Lamar, kiedy pracował nad hasłem, które w Field-Yield, Inc. blokowało dostęp do tajnych plików. Wreszcie udało mu się je rozszyfrować, wyświetlił więc pliki i właśnie miał je przejrzeć, kiedy stwierdził, że jego woreczek na mocz jest pełen.

Zostawił włączony komputer i pojechał wózkiem do łazienki. Kiedy uporał się już ze swymi potrzebami, zahaczył jeszcze o kuchnię i wziął z lodówki kolejną puszkę piwa. Nie potrafił określić, ile czasu nie było go przy biurku.

Wróciwszy, przekonał się, że w czasie jego nieobecności ktoś za pośrednictwem modemu dostał się do jego komputera. Takie rzeczy czasem się zdarzały, gdyż jego domowy sprzęt podłączony był do sieci „Trib” - nikt jednak nie zostawił mu wcześniej tak dziwnego komunikatu, jak ten, który właśnie nadszedł. Znów pomyślał, że to pewnie Virgil się wygłupia, a jeśli nie on, to pomimo zabezpieczeń, do jego komputera - a może i całej redakcyjnej sieci - wkradł się wirus.

Na wszelki wypadek włączył program antywirusowy, lecz ten niczego nie wykrył. Wobec tego wysłał do „Trib” przekaz następującej treści:

*** CHOLERNIE ZABAWNE, VIRGIL.

ALE CO TO MA ZNACZYĆ?***

Nie doczekał się odpowiedzi i dopiero teraz włosy zjeżyły mu się na karku, tak jak wtedy, w Wietnamie, kiedy idąc na akcję, czuł, że za zieloną ścianą dżungli czyha okrutny nieprzyjaciel. Nigdy z taką pasją nie przeklinał swojego kalectwa. Nie był tchórzem, ale teraz, uwięziony na wózku, czuł, że jego szanse są mniejsze niż kiedykolwiek. Odepchnął się od biurka, chcąc jak najszybciej przejechać do sypialni, gdzie w nocnej szafce trzymał pistolet.

W tej samej chwili kula strzaskała szybę jego niewielkiego salonu i wbiła mu się prosto między oczy, wychodząc z tyłu głowy. Ciało Morse'a drgnęło konwulsyjnie, a potem osunęło się gwałtownie, wypadając z przewracającego się wózka.

Morderca zjawił się obok trupa niedługo potem. Nawet nie zatrzymał się przy kalekich zwłokach, rozciągniętych na dywanie. W jednej ręce niósł urządzenie, które wetknął do kontaktu i włączył, aby szybko, z pomocą silnego pola magnetycznego, zniszczyć i wykasować cały twardy dysk w komputerze Morse'a oraz wszystkie jego dyskietki. Po chwili odłączył urządzenie i wycofał się na werandę, wcześniej jednak zostawił dyskietki z odpowiednio spreparowanymi plikami Lamara, dotyczącymi jego narkotycznego biznesu.

Podrzucił je w pobliżu ciała, pod oparcie wózka, by wydawało się, że Morse trzymał je tam w ukryciu i że wypadły przypadkiem, uchodząc uwagi mordercy, który ich nie skasował. Dyskietki spięte były gumką, pod którą wetknięta była kartka, zapisana maszynowym pismem.

Wypełniwszy swoje zadanie, cicho wyślizgnął się z domu, śmiejąc się bezgłośnie do siebie na wspomnienie komunikatu, który wysłał wcześniej.

*** MAM CIE!***

Po tym morderstwie w mieście zawrzało. Fakt, że ktoś ośmielił się zastrzelić z zimną krwią weterana wojny wietnamskiej, w czasie której - choć nie była popularna - Amerykanie walczyli dzielnie w imię ojczyzny, był dodatkowo bulwersujący.

Szeryf Laidlaw, rozumiejąc, że dołączona do dyskietek notatka może mieć decydujące znaczenie dla śledztwa, w pośpiechu wezwał kolegę Morse'a z kursów komputerowych - wykładowcę Tully'ego O'Neill. Tully, wstrząśnięty brutalnym morderstwem przyjaciela, ofiarował szczerze

swój czas i umiejętności do dyspozycji szeryfa. Ponieważ twardy dysk w komputerze Morse'a został całkowicie zniszczony, Hoag zawiózł Tully'ego wraz ze znalezionymi dyskietskami do swojego biurowego komputera.

Już w pół godziny później szeryf Laidlaw zajechał wraz z zastępcą do redakcji „Tri-State Tribune”, gdzie aresztował Renzo Cassavettesa pod zarzutem morderstwa Lamara Rollinsa oraz Morse'a Novaka. A kiedy umieścili go już bezpiecznie za kratkami, udali się na starą farmę, do Sary Kincaid, którą również aresztowali pod zarzutem współudziału w zbrodni. To przecież ona zapewniła mordercy fałszywe alibi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Koszmar

*Między spełnieniem okropnego czynu
A pierwszym jego wszczęciem się w umysł,
Wszystko pośrednie jest jako fantazma
Lub sen straszliwy.*

William Szekspir, *Juliusz Cezar*
(przełożył Józef Paszkowski)

Renzo był wściekły i zrozpaczony. Hoag i Dwayne prowadzili Sarę do celi, a on mógł tylko na to patrzeć. Tym razem nawet jej zeznania nie były w stanie mu pomóc.

Milczał. Nie chciał, by widziała go siedzącego za kratkami jak pospolity przestępca. Szeryf musiał już jej powiedzieć, pod jakimi zarzutami tym razem go zatrzymał, gdyż płakała. Gdy jednak zobaczył kajdanki na jej drobnych dłoniach - nie wytrzymał. Zaczął krzyczeć i przeklinać, żądając, by natychmiast ją uwolniono.

- Nie możemy tego zrobić, chłopcze - uśmiech Hoaga był pełen złośliwej satysfakcji. - Dała ci fałszywe alibi. Ta dziwka jest twoją współniczką, a za to się siedzi. Dwayne, może obszukamy ją trochę, zanim wsadzimy za kratę?

- Dobry pomysł, Hoag! - Dwayne uśmiechnął się obłędnie.

- Nie ważcie się jej dotykać! - zawył Renzo, widząc, jak dobierają się do Sary niby w poszukiwaniu broni lub narkotyków. Macali jej piersi, uda, pośladki, usiłowali wcisnąć ręce pod obcisłe dzinsy, a Sara drżała tylko na całym ciele i płakała bezgłośnie. - Zabiję cię, Hoag, ty pieprzony draniu! Zabiję! Obaj jesteście już martwi, ty i Dwayne! Słyszysz, Hoag? Zabierz od niej te łapy! - Rzucił się na kratę i zaczął kopać ją i szarpać z taką siłą, że obaj policjanci odstąpili wreszcie od aresztantki, bojąc się, by Renzo nie wyłamał drzwi.

Hoag wyjął broń i nakazał mu cofnąć się pod ścianę, w głąb celi. Renzo posłuchał, choć wszystko się w nim gotowało z wściekłości i nienawiści. Wiedział aż za dobrze, że Hoag czeka tylko na okazję, by go sprowokować i zastrzelić, a potem wytłumaczyć użycie broni koniecznością obrony własnej. Stał więc spokojnie, gdy szeryf trzymał go na muszce, i potem, gdy Dwayne otworzył drzwi i wepchnął zapłakaną Sarę do środka.

- Masz mały prezent, chłopcze - powiedział Hoag z beczelnym uśmiechem i wraz z zastępcą przeszedł do biura, zostawiając ich samych.

Renzo przeklinał kajdanki, które nie pozwalały mu objąć Sary i pocieszyć. Wtuliła się w niego, łkając histerycznie, a on mógł tylko gładzić ją po włosach i scałowywać łzy z jej twarzy. Przemawiał do niej łagodnie, choć w jego głosie ciągle jeszcze wibrowała wściekła chęć mordy. Po jakimś czasie Sara zaczęła się uspokajać.

- Sara, kochanie, czy oni... zrobili ci coś wcześniej?

Pokręciła głową, wtuloną w jego pierś, a potem wyszeptała z przerażeniem:

- Ale chyba by zrobili, gdyby... gdyby nie bali się, że powiem o wszystkim Bubbie.

Udręczony, gorzki śmiech wyrwał się z ust Renzo. Doszło więc do tego, że sam nie mógł jej obronić. Musiała polegać na Bubbie!

- Boże, nie myślałem, że dożyję dnia, w którym będę musiał podziękować Bubbie Holbrooke'owi! - westchnął gorzko i otoczywszy ją skutymi rękami, przyciągnął do siebie i zaczął całować. Robił to jeszcze żarliwiej niż zwykle, w bolesnym poczuciu winy, że Sara znów przez niego cierpi.

- Och, Renzo, co z nami będzie? - pytała.

- Nie wiem, kochana. Pozwolili ci zadzwonić?

- Nie, a tobie?

- Też nie. Ale wcześniej czy później będą musieli. Wtedy poruszę niebo i ziemię, wszystkie moje waszyngtońskie znajomości. Tego właśnie obawia się Hoag. Więc nie martw się, *cara*. Nie jesteśmy tak całkiem na ich łasce. Mam pieniądze i znam odpowiednich ludzi. Jeszcze wygramy z tym miastem, zobaczysz!

Wkrótce okazało się, że mają sojuszników nie tylko w Waszyngtonie. Po jakiejś godzinie od uwięzienia do celi weszła z szeryfem Liz - wściekła, a jednocześnie zimna i konkretna.

- Spływaj, Hoag! - warknęła. - Mam prawo porozmawiać z moimi klientami na osobności, więc nie chcę więcej widzieć twojego tłustego tyłka, dopóki sama nie uznam za stosowne cię wezwać! Tylko nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi! Lepiej nie zapominaj, Hoag, że moim teściem jest Kingston Delaney. Pracuję dla niego i dla sędziego Pierce'a.

Spróbuj tylko wyciąć jakiś numer, a zjawią się tu za mną jak kaczki za panią matką. Zresztą i tak prędzej czy później znajdę na ciebie jakiegoś haka, obiecuję ci to! Dobra, teraz spadaj!

Mamrocząc coś wściekle pod nosem, Laidlaw wycofał się do biura, a wtedy Liz odwróciła się ku Sarze i Renzo.

- Spokojnie, Sara, przyjechałam zaraz, jak tylko się dowiedziałam. Co mogę dla was zrobić?

- Powiedz mi, jaki dowód zdobył Hoag, że z miejsca aresztował mnie pod zarzutem ciężkich morderstw, których nie popełniłem? - zapytał Renzo, zanim Sara zdążyła odpowiedzieć.

- Ma komplet dyskietek znalezionej na miejscu zbrodni. Całą serię dat i nazwisk, z których można wysnuć wniosek, że byłeś w układach z Lamarem i handlowałeś trawą z połową miasta! Boże! Nawet Parker jest na tej liście, jako twój klient! Hoag chce tu wezwać kogoś z biura śledczego, więc sprawa jest poważna.

Liz szybko opowiedziała im, co się stało od czasu, gdy Renzo, nie widząc rano Morse'a w pracy, posłał do jego domu Virgila, który odkrył ciało. Bystry chłopak od razu zadzwonił do szefa, żeby uprzedzić go o niebezpieczeństwie, jednak Renzo był już w tym czasie poza redakcją, szukając materiałów do artykułu w miejskim archiwum. Kiedy zaś wrócił, czekali na niego Dwayne i Hoag.

- Pogadam z Pierce'em i zobaczę, co się da zrobić, żebyście mogli jak najszybciej wyjść stąd za kaucją- ciągnęła.

- Dzięki, Liz, jesteś wspaniała. - Renzo pokiwał głową z uznaniem. - Czy mogłabyś zrobić dla nas jeszcze jedną rzecz? Możesz dziś odebrać Alexa z letniej szkoły, powie-

dzieć mu oględnie, co się dzieje, i zawieźć go do Papy Nicka, żeby przechował go, dopóki nie wyjdziemy?

- Do Papy Nicka? - Sara i Liz zapytały jednym głosem.

- Tak, Saro - potwierdził Renzo z miną, ucinającą wszelką dyskusję. - Tam właśnie będzie bezpieczny. Bo ty, Liz, mimo najlepszych chęci, nie byłabyś w stanie go ochronić. A po tym, co Hoag i Dwayne chcieli zrobić Sarze, sądzę, że musimy cholernie uważać na naszego syna.

- W porządku, zrobię, o co prosisz - obiecała Liz.

Jej przenikliwy, bystry umysł już zaczął spekulować i dociekać, co też Renzo może mieć wspólnego z Papą Nickiem i jaki to może mieć wpływ na zarzuty, jakie mu wytoczono.

- Saro... - odezwała się do przyjaciółki. - Tak mi przykro z powodu zachowania tych bydlaków. Możesz być pewna, że kiedy wrócę do pracy, podkreję odpowiednio kogo trzeba. Te dwa skurczybyki pełnią swoje funkcje od tylu lat, że chyba zaczęło im się wydawać, że mogą tu ustanawiać własne prawa! Swoją drogą to ciekawe, jakim cudem ciągle są wybierani, skoro wszyscy ich nienawidzą. Nie... - pokręciła głową z determinacją - teraz posunęli się stanowczo za daleko i przejadą się na tym! Już ja o to zadbam - oświadczyła i wyszła w pośpiechu z celi.

Pomimo ostrych sprzeciwów prokuratora okręgowego Franka Bannistera, sędzia Pierce zarządził, by Renzo i Sara - oboje będący właścicielami nieruchomości położonych w granicach miasta - wyszli z aresztu za kaucją. Renzo szybko wpłacił wymaganą sumę i opuścili znieawidzony komisariat. Od razu pojechali do Papy Nicka, odebrali roz-

radowanego ich uwolnieniem Alexa i wrócili do domu, by zastanowić się nad strategią obrony.

Niestety, jedynym dowodem mogącym świadczyć o ich niewinności był list Lamara do Renzo - niewiele wart bez dyskietek, które zapewne zostały zniszczone.

W nocy kochali się rozpaczliwie i gorączkowo, przeniknięci jakąś fatalistyczną desperacją. Potem zaś Sara długo jeszcze łkała w ramionach Renzo.

We śnie dręczyły ją koszmary. Obudziła się nad ranem, złana zimnym potem, i zobaczyła, że Renzo siedzi w fotelu, popija szkocką whisky i pali papierosa za papierosem. Pozbawiony emocji wzrok utkwiony miał w sufit. Czy myślał o tym, że wrócił do tego miasta nie po to, by rozpocząć ich wspólne nowe życie, lecz po to, by je zniszczyć?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Ustami dzieci

*Sprawileś, że usta dzieci i niemowląt oddają ci chwałę,
na przekór Twym przeciwnikom,
aby poskromić nieprzyjaciela i wroga.*

Księga Psalmów 8,2 (przekł. *Biblia Tysiąclecia*)

Sara wpadła na rozwiązanie zagadki dzięki Alexowi. Było bowiem coś w sprawie dyskietek Lamara, co nie dawało jej spokoju. Wiele o tym myślała, ale nie mogła dojść, o co właściwie chodzi, choć gdy już to zrozumiała, wiedziała, że sprawa od początku była więcej niż oczywista.

Tego wieczora, kiedy przyszło owo olśnienie, siedziała z Alexem przy kuchennym stole, jedząc kolację. Renzo był jeszcze w redakcji. Zostawał tam długo, gdyż bez Morse'a ledwo radził sobie z robotą. Ponadto wiele firm, w związku ze sformułowaniem wobec niego oskarżenia o morderstwo, wycofało nagle swoje reklamy.

Alex był tym wszystkim straszliwie przejęty, choć po męsku starał się panować nad sobą. W zamyśleniu rozgrzebywał widelcem jedzenie na talerzu, aż wreszcie podniósł wzrok na matkę.

- Wiesz, mamó, nie rozumiem, jak to naprawdę było z tym Lamarem - zaczął. - Przecież ten chłopak pochodził z biednej rodziny i mieszkał w slumsach, skąd więc miał forszę na taki drogi sprzęt?

Rzeczywiście, pomyślała Sara, jakim cudem Lamar mógł mieć komputer? Przyszła jej do głowy tylko jedna możliwość - z Field-Yield, Inc., gdzie pracował jako nocny sprzątac.

Wiedziała już wcześniej i nie miała żadnych wątpliwości, że wszystkie postawione Renzo zarzuty są z gruntu fałszywe i że ktoś w tym mieście sprytnie i skutecznie go wra-bia. Teraz z namysłem zadała sobie pytanie, czy skoro Lamar nie miał własnego sprzętu, to trefne dane mogły pochodzić z firmowego komputera FYI.

Jak najbardziej!

I czy morderca próbowałby wykorzystać te dane jako dowód przeciw Renzo, gdyby sam był zamieszany w narkotykowy biznes, gdyby sam hodował i sprzedawał marihuanę okolicznym amatorom „dymków”.

Odpowiedź musiała być negatywna. Przecież w spisach Lamara było podobno całe miasto. Hoag miał zadzwonić do biura śledczego - a to oznaczało obszerne śledztwo, które mogłoby narazić tego intryganta na odkrycie. Łajdak nie bał się tego, bo też z marihuaną nie miał zapewne nic wspólnego. A skoro tak, to na dyskietkach, które Lamar wysłał do Renzo, było coś innego, wcale nie lista odbiorców narkotyków... jakieś tajne dane, na które chłopak natknął się w komputerowej sieci Field-Yield, Inc.!

Serce zaczęło jej bić gwałtownie, gdyż przypomniała sobie ni z tego ni z owego spostrzeżenia Krystal Watkins na temat chorób i upośledzeń wśród dzieci z najbiedniejszych

dzielnic oraz słowa Lamara, które zrelacjonowała jego babka - że ktoś będzie musiał zwrócić Keishy to, co się jej należy.

Czyżby więc...?

Decyzję podjęła natychmiast: musi pojechać do FYI i dostać się do komputera! Na szczęście po tym, jak Bubba ją wylał, zdarzenia biegły tak szybko, że w zamieszaniu nikt nie poprosił ją o zwrot kluczy, a sama również o tym zapomniała. Nadal miała więc dostęp do firmowych budynków. Bo nie przypuszczała, by Bubba zdążył zmienić system alarmowy.

Przed wyjazdem z farmy wykonała trzy telefony.

W „Trib” nikt nie odpowiadał, pomyślała więc, że Renzo musiał wyskoczyć na chwilę do „Fritzchen's Kitchen”, żeby coś zjeść. Tiffany Haskell nie była zajęta i zgodziła się przyjść i popilnować Alexa. Natomiast Tully O'Neill, przyjaciel Morse'a i dawny wykładowca Sary z zajęć komputerowych na uniwersytecie, był szczęśliwy, mogąc udzielić jej wyczerpujących instrukcji, dotyczących znajdowania i otwierania ukrytych katalogów w komputerowych sieciach. Wystarczyło, że powiedziała, iż jest na tropie zabójcy Morse'a, a podyktował jej dokładnie, co ma robić.

Sara nie ufała swej pamięci ani pospiesznie robionym notatkom, dlatego też powtarzała głośno wszystko, co mówił profesor, nagrywając jednocześnie jego polecenia na reporterski dyktafon, który Renzo zostawił rano na komodzie.

Tuż przed wyjściem z domu powiedziała Alexowi, dokąd i po co jedzie, i poprosiła, aby przekazał tę wiadomość Renzo, jak tylko ten się pojawi. Wreszcie chwyciła kluczyki i torebkę i wybiegła do wozu.

Zaparkowała w tej części parkingu, którą oddzielał od drogi żywopłot, by jej jeep nie był widoczny z daleka. Choć

nie widziała wokół żywej duszy, cicho zamknęła drzwiczki, a potem rozglądając się czujnie, skierowała się do wejścia.

Gdy wkładała w zamek swój klucz i otwierała masywne, szklane drzwi, drżały jej ręce. Wszedłszy do środka, wyłączyła system alarmowy, wystukując kod, który na szczęście nie został zmieniony, i od razu przemknęła pustymi korytarzami do gabinetu Bubby.

Serce biło jej jak szalone, a w ustach miała nieznośną suchość. Już czuła się jak przestępca, a przecież czekało ją jeszcze włamanie do komputera!

Nerwowo zapaliła małą lampkę na biurku Bubby, choć miała ochotę włączyć wszystkie światła, by z kątów nie wychodziły podejrzanе cienie. Łagodne światło nie powinno być widoczne z za żaluzji, pocieszała się. A nawet gdyby ktoś je zauważył, powinien pomyśleć, że szef wpadł w dniu wolnym do biura, bo miał pilną robotę; albo że sprzątacze wykonuje właśnie swoją pracę.

Prawdę mówiąc, to właśnie myśl, że stary Thaddeus chodzi gdzieś z odkurzaczem w głębi budynku, dodawała jej trochę otuchy. Był wprawdzie przygłuchy i powolny, ale gdyby zaczęła głośno krzyczeć, na pewno by usłyszał i zadzwonił po pomoc czy chociażby do strażnika.

Rozsiadła się wygodnie w kręconym fotelu Bubby i włączyła komputer. Ekran rozbłysnął ciepłym, kolorowym blaskiem. Kiedy weszła do systemu, wyjęła z torby magnetofon i zaczęła odtwarzać kolejne polecenia.

Profesor O'Neill był bez wątpienia wybitnym ekspertem, ale dla Sary cała ta procedura była nieznośnie żmudna i powolna. Dodatkowo napięcie stwarzał fakt, że nie wiedziała dokładnie, czego szuka. Po godzinie wyczerpującej pracy,

która polegała na błędzeniu wśród plików, zawierających dane z magazynów, produkcji czy księgowości, była tak zniechęcona, że miała już ochotę wyłączyć komputer i wrócić do domu.

I właśnie wtedy natknęła się na coś, co przykuło jej uwagę - dziwny katalog, ukryty w przemyślny sposób przed niepowołanymi użytkownikami sieci.

Kiedy jednak zażądała wyświetlenia listy zawartych w nim plików, na ekranie rozbłysła prośba o hasło.

- Niech to szlag! - zaklęła cicho, teraz już więcej niż pewna, że na to samo musiał natknąć się Lamar.

Na chybił-trafił wpisała „Field-Yield”, potem „nawozy” i „Bubba Holbrooke”. Kiedy nic to nie pomogło, przez kilka minut próbowała każdego słowa, które tylko przyszło jej do głowy. Znowu nic. Tajemniczy katalog nadal był niedostępny. Jak miała sobie dać z tym radę, skoro nie udało się to - o ile wiedziała - samemu Morse'owi Novakowi?

Wpatrzyła się w monitor, myśląc intensywnie. Lamar, urodzony hacker, jakoś tu wszedł. Jak podejrzewała, chciał dać szantażowanej osobie dowód swego włamania, pozostawiając jednocześnie jej pliki nietknięte, by w razie potrzeby znowu móc do nich wejść. Poza tym musiał pilnować, żeby ofiara szantażu sama nie zlikwidowała swoich danych... Jak zrobił to wszystko?

A jak ty byś to zrobiła, Sara? - zadała sobie chłodno pytanie.

Pomysł pojawił się natychmiast. Jasne! Lamar musiał zmienić hasło tej osoby na swoje własne, aby zamknąć jej dostęp do plików, pozostawiając zarazem sobie tę możliwość.

Jakie więc hasło mógł wybrać Lamar? „Marihuana”

i wszystkie inne określenia tego narkotyku? Wydawało się to zbyt oczywiste, ale wypróbowała je dla porządku - oczywiście bez powodzenia.

Sfrustrowana, z rozpaczą wpatrywała się w ekran, gdy nagle, zupełnie podświadomie i pozornie bez związku, przypomniała sobie, co mówiła babka Lamara, gdy odwiedzili ją z Renzo. Jedyną miłością Lamara była jego upośledzona siostrzyczka, jego ukochane słoneczko, jego Keisha. A to dziecko, niezdolne wymówić swego imienia, nazywało siebie...

Z sercem bijącym w podnieceniu, Sara wystukała starannie na klawiaturze dwa słowa: „KISS-KISS”...

I tak jak przeczuwała, to właśnie one okazały się właściwym hasłem. Teraz już lista plików wyświetliła się bez przeszkód. A kiedy zapełniły ekran i otworzyła pierwszy z nich, zmartwiła ze zgrozy. Zawierały dokładnie to, co już zaczynała podejrzewać.

Nic dziwnego, myślała oszołomiona, że Lamar i Morse musieli zginąć. Te informacje stwarzały śmiertelne zagrożenie dla każdego, kto je posiadał. Wiedziała już więc, jaki był motyw działania mordercy. Teraz musiała tylko zabezpieczyć dowód dla policji. Szybko wyszperała jakieś dyskietki w szufladzie Bubby i zaczęła w pośpiechu przegrywać wszystkie dane.

Była tak zaabsorbowana tym, co robi, że nie usłyszała odgłosu otwieranych w oddali drzwi i cichych, przyczajonych kroków, nieubłaganie zbliżających się korytarzem do gabinetu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Rozwiązanie

Czas rozwiązuje wszelkie sprawy.

Desiderius Erasmus, *Adagia*

- Czy znalazłaś już to, czego szukałaś, węglaro?

Wypowiedziane cicho i z nienawiścią słowa zjeżyły włos na głowie Sary. Nagle poczuła, że czas się cofnął. Że znów ma siedem lat i stoi na szkolnym boisku, kurczowo przyciskając do piersi odrapany śniadaniowy kuferek.

- Evie! - wykrzyknęła ze zdławionym gardłem, patrząc, jak w drzwiach gabinetu staje zmora jej dzieciństwa, nie dbale kołyszając w ręku myśliwską broń.

Podobnie jak Sara, Evie ubrana była w obcisłą koszulkę na ramiączkach, džinsy i sandały. Jej szyję zdobił sznur ciasno zamotanych pereł - jakby wybierała się właśnie do „Spichlerza” na drinka albo do country klubu. W przyćmionym świetle lampy perły lśniły jak opalizujący wąż, owinięty wokół smukłej szyi. Na rękach Evie miała chirurgiczne rękawiczki, jej niebieskie oczy zaś błyszczały chłodnym, okrutnym spojrzeniem.

- Evie, oszalałaś? Co chcesz zrobić?

- Po co pytasz, skoro już wiesz, węglaro? Dostałaś się do moich plików - tak jak Sonny, Lamar i Morse. Musisz więc zginąć, tak jak zginęli oni, dokładnie w ten sam sposób. Zabiję cię. Mój tata musi być bezpieczny. To wspaniały człowiek i warto było zabić dla niego te trzy szczury, żeby go nie gryzły. A teraz zabiję czwartego. Nikt nie ma i nie miał takiego ojca, ty też, smoluchu. Kiedyś zostanie prezydentem, a ja będę mieszkała w Białym Domu. Nie pozwolę więc, żeby taki śmieć stanął nam na drodze. Wyłącz ten komputer, węglaro. Oddaj dyskiety, a potem wstań z krzesła. Tylko powoli. Żadnych gwałtownych ruchów, bo rozwałę ci łeb tu, w gabinecie Bubby, i pobrudzimy tę jego piękną wykładzinę.

Sara czuła, jak jej ciało drży ze strachu w oczekiwaniu na najgorsze. Usta zrobiły się suche, a oddech szybki i płytki. Zaczęła się nawet bać, że zaraz zemdleje, bo już słaby pod nią kolana.

Za to jej umysł pracował na najwyższych obrotach, pobudzany potężną dawką adrenaliny. Myśl goniła myśl i były one niczym wozy wyścigowe na symulatorze w salonie gier, w którym przesiadywał Alex. Odruchowo czekała, że za chwilę na monitorze komputera rozbłyszczą ostateczne słowa: „Game Over”.

Spokojnie. Musi się opanować.

Musi, bo inaczej Evie ją zabije.

Oblizała usta i przełknęła ślinę, by uwolnić gardło od dławiącego skurczu. Trzeba grać na czas, myślała, podpuścić Evie do zwierzeń. Nie szarpać się i nie wrywać.

- Trzy trupy? - powtórzyła, udając niedowierzanie. - Nie wierzę, żeby było cię na to stać. W dodatku Sonny. Jakim cudem? A więc on pierwszy odkrył tajemnice FYI?

- Tak - ściągnięte rysy Eveline Holbrooke złagodniały, a oczy przybrały nieobecny wyraz. Wiedziona jakąś niejasną potrzebą zwierzeń, zaczęła opowiadać: - Tamtego lata przyjechał z Harwardu z głową nabitą szlachetnymi ideami. Chciał, biedak, zbawić cały świat - jak gdyby komukolwiek przed nim się to udało! Wierzył, że człowiek jest istotą szlachetną, obdarzoną rozumem, który pozwala mu zrealizować najbardziej zawrotne marzenia. Sonny zawsze nosił głowę w chmurach - książki, poezja, muzyka... Szukał doskonałości, a nie widział, że jeśli nawet ją osiągnie, to nie będzie w stanie żyć z nią wśród innych. Nie rozumiał, że ludzie są i byli tacy sami - że jedynym prawem jest prawo dżungli, a silniejsi eliminują słabszych w walce o przetrwanie. Bo przetrwać mają szansę tylko ci, którzy potrafią walczyć, zdobyć wszystko, co zechcą. Tacy jak tata i ja. Mówiłam mu to, ale nie chciał słuchać. A kiedy natknął się na te dane, nie miał zamiaru zostawić ich w spokoju. Wymyślił sobie pewnie, że je ujawni, choćby miało to zrujnować wszystko, do czego tata doszedł z takim trudem. Strasznie szlachetne... - wydeła pogardliwie wargi.

- I zabiłaś własnego brata? Ale jak, Evie? Przecież zginął w kamieniołomie, złamał sobie kark, gdy spadł ze skały. Byłaś przy tym.

- To nie był wypadek. - uśmiechnęła się Evie.

Mówiła to wszystko z przedziwną szczerością, jaka zdarza się czasem tylko w konfesjonale albo na chwilę przed śmiercią. Tyle że to Sara była skazańcem, który za chwilę miał zabrać ze sobą na zawsze słyszane po raz pierwszy i ostatni tajemnice.

- Dobrze pamiętasz, Saro Beth. Byłam tam, ale potem

zniknęłam. Miałam ze sobą strzelbę, w bagażniku wozu, bo rano strzelaliśmy z tatą do rzutków. Kiedy więc Renzo zaczął podpuszczać Sonny'ego, a potem poszli skakać, uznałam, że okazja sama pcha mi się w ręce. I strzeliłam, bez żadnego ryzyka, bo wiedziałam, że całą winę będzie można zrzucić na Renzo. Kto uwierzy jakiemuś włoskiemu przybłędzie, synowi gangstera, kiedy będzie zapewniał, że jest niewinny? Nikt mnie nie widział, bo wszyscy obserwowali pojedynek. A ja poszłam na krawędź lasu, weszłam na drzewo, skryłam się w gałęziach. Nie mogłam oczywiście tak po prostu władować mu kulki między oczy. Z początku zresztą nie bardzo wiedziałam, co zrobić. Kiedy jednak zobaczyłam, że stoją tuż obok siebie na samym szczycie najwyższej skały, pomyślałam, że wystarczy tylko, żeby któryś drgnął, stracił równowagę, a obaj polecą w dół. Do tego wszystkiego napatoczył się Barlow z tą swoją starą landarą, która waliła z rury na każdym zakręcie. Sama widzisz, że miałam komfortową sytuację. Przymierzyłam tak, żeby drasnąć ramię Renzo. Trafiłam. Spadli obaj.

- Tyle że Sonny już nie wypłynął.

- Bo tak miało być, smoluchu. A Renzo uciekł i wszyscy przestali mieć wątpliwości. Oskarżyli go o morderstwo, dokładnie tak jak przewidywałam. Po prostu zbrodnia doszła, no nie? No i zobacz, mój świętej pamięci braciszek, podobno taki mądry, nigdy nie był równie sprytny, jak ja. Ty też jesteś za głupia, żeby mi zagrozić, węglaro! Myślisz, że nie wiem, co kombinujesz? Chcesz mnie podpuścić na gadanie, tak? Poczekać, aż nadejdzie pomoc? Dobra, możemy sobie pogadać. Lubię patrzeć, jak ze strachu wyłupiasz gały. Ale nie łudź się, nikt ci już nie pomoże.

- Ja też wiem, co kombinujesz, Evie - Sara z trudem powstrzymywała drżenie głosu. - Ale to ci się nie uda. Nie uda ci się zwalić mojej śmierci na Renzo.

- Dlaczego nie? Oczywiście, że się uda. Muszę tylko zasugerować, że zwątpiłaś przed śmiercią w jego niewinność. Powiem, że bałaś się jego zemsty, którą ci obiecał, gdybyś zaczęła zeznawać przeciw niemu. I że przysłałaś do mnie któregoś dnia zrozpaczona, pytając o Bubbę, bo Renzo cię zaatakował i próbował zabić, a ty szukałaś opieki i wsparcia. Co, może mi nie uwierza? Każdy wie, jak gwałtowny charakter ma Cassavettes, jak próbował zatłuc Bubbę na śmierć i jak znokautował samego Hoaga, kiedy ten nazwał cię dziwką. Nikomu nie przyjdzie do głowy, by mi nie wierzyć, zwłaszcza gdy będę ciągle o tym mówiła. Sama więc widzisz, węglaro, że obrócę na swoją korzyść i to morderstwo. No dobrze, starczy tego gadania. Wyłącz program, zbij dyskietki i oddaj mi je.

Sara sięgnęła do komputera, a wtedy ze zdumieniem dostrzegła, że dyktafon Renzo, który leżał wciąż na biurku, włączył się i przez cały czas nagrywał wyznania Evie. Słyszała o takich urządzeniach, które uruchamiają się same na dźwięk ludzkiego głosu, ale nie wiedziała dotąd, jak bardzo mogą okazać się potrzebne.

Pochyliła się, żeby wyciągnąć dyskietkę, na moment zasłoniła komputer ciałem i niepostrzeżenie wyciągnęła kasetkę z taśmą, mając nadzieję, że Evie niczego nie zauważy.

Udało się! Po chwili ukryła kasetkę w dłoni, a potem wsunęła ją do kieszeni dżinsów.

- A tak dla ciekawości, jakie jest hasło Lamara? - zagadnęła niedbale Evie, gdy Sara wyłączała komputer.

- Dlaczego mam ci ułatwiać zadanie? I tak mnie zabijesz.

- Racja, węglaro. - Evie uśmiechnęła się tak, że dreszcz przebiegł Sarze po plecach. - Dobra, a teraz wstań, weź swoją torbę i oddaj mi wszystko. Idziemy.

Sara w milczeniu zrobiła, co jej kazano. Dyskietki nie były ważne; w razie czego mogła znów wejść do katalogu i skopiować jego zawartość na nowo. Teraz liczyła się tylko kasetka z nagraniem. To był dowód, który za żadne skarby nie mógł wpaść w ręce Evie. Od tego drobiazgu zależał przecież los Renzo!

Po raz pierwszy w życiu Renzo przeklinał fakt, że Sara kupiła farmę odległą od granic miasta. Do Field-Yield, Inc. był stąd spory kawałek, a dosłownie każda sekunda była teraz cenna.

Nie mógł sobie darować, że jej nie upilnował. Morderca jest zbyt sprytny, by po tym wszystkim nie dojść do wniosku, że ktoś może się domyślić, iż fabryka jest kluczem do całej sprawy. Po jakiego diabła Sara tam pojechała?

Jasne - po to, żeby szukać dowodów jego niewinności. Boże, dlaczego nie zadzwonił do domu przed wyjściem do „Fritzchen's Kitchen”? Od razu dowiedziałyby się wszystkiego od Alexa.

Kolejne przekleństwa posypały się na wąskie i kręte boczne drogi. Miał ochotę wcisnąć gaz do dechy, wyciągając wszystko z dwunastu cylindrów potężnego wozu, ale rozsądek nakazywał zwalniać na ciasnych, żwirowych zakrętach i nie ryzykować kolizji ze zwierzętami, często przebiegającymi drogę. Jechał więc tak szybko, jak tylko

mógł, gnany narastającym przecuciem, że życie Sary wisi na włosku.

Gdy weszły w ciemnawe korytarze FYI, Sara zaczęła odzyskiwać nadzieję, że to jeszcze nie koniec. Pierwszy, najgorszy lęk minął i poprzysięgła sobie, że nie podda się bez walki. Kiedy mijały drzwi do jej dawnego gabinetu, przyklękła na jedno kolano, udając, że rozluźnił się jej sandał. Gdy zaś Evie podejrzliwie pochyliła się nad nią, wyprostowała się gwałtownie, waląc przeciwniczkę z całej siły torebką w twarz. Evie zachwiała się, zaskoczona, i zanim zdążyła przyłożyć broń do oka, Sara zniknęła w swoim gabinecie i zabarykadowała się od środka.

Nie czekając, co zrobi morderczynie, pognała bocznym wyjściem ku awaryjnym schodom i już po chwili znalazła się na głównym parkingu. Wyciągnęła nerwowo z kieszeni kluczyki od jeepa i w tym samym momencie zamarła - opona auta była przebita. Jej prześladowczym była bardziej przewidująca niż myślała.

Sara zawahała się, czy ryzykować jazdę na obręczy. Nie, zdecydowała. Tamta miała swój wóz i dogoniłaby ją z łatwością.

Już zresztą dogoniła. To wahanie kosztowało cenne sekundy, w czasie których Evie zorientowała się w zamierzeniach ofiary. Potężnym kopniakiem otworzyła główne wejście i wybiegła na parking z bronią w rękę.

Sara rozejrzała się desperacko jak osaczone, szukające ucieczki zwierzę. Fabryka zajmowała duży teren, cały ogrodzony był wysoką siatką i oddalony od ludzkich siedzib. Nie miałyby dokąd pobiec po pomoc, nawet gdyby udało

jej się uciec. Z nadzieją przekradła się w stronę oświetlonej budki strażnika.

Niestety. Nikogo w niej nie było. Być może Evie i jego zabiła, podobnie jak starego Thaddeusa. Tak, najprawdopodobniej była teraz na wielkim terenie fabryki sama - oko w oko z szaloną kobietą, która chciała ją zastrzelić jak na polowaniu.

Boże, jak to możliwe, że nikt się nie zorientował, nie zauważył wcześniej, że ta dziewczyna jest obłąkana!

Ponura fabryka rozciągała się w ciemnościach jak ciemnowy, obcy statek kosmiczny przybyły z jakiejś pozaziemskiej cywilizacji. Wokół wysokich lamp halogenowych krążyły ćmy, a chrabąszcze buczały w powietrzu, lądując na asfalcie. Tu, na granicy otwartej przestrzeni, była dla Evie tak łatwym celem, jak sarna na polanie. Szósty zmysł ostrzegł ją, że jest już na muszce i nagłym skokiem rzuciła się w cień obok budki.

W samą porę. Kula zaświstała jej koło ucha niczym dokuczliwy owad i uderzyła w szklaną, wzmocnioną szybę, rozsiewając na niej pajęczynę pęknięć.

Sara poderwała się i pobiegła skulona ku fabrycznym zabudowaniom. Oddech palił jej gardło, a w boku narastał kłujący ból. Nagle wydała z siebie przeraźliwy krzyk i omal nie potknęła się o ciało strażnika, bezwładnie opartego o ścianę budynku. Szybko pochyliła się, by sprawdzić puls. Na szczęście żył, był tylko nieprzytomny. Evie musiała go jedynie zamroczyć.

Odczekała chwilę, ukryta za załomem, a potem przebiegła jeszcze desperacko kilkanaście metrów i przywarła całym ciałem do innego spośród bocznych wejść prowadzących do fabrycznych pomieszczeń.

Przekręciła klucz, pchnęła ciężkie wrota, usłyszała przeraźliwe wycie alarmowej syreny...

Cholera! Pamiętała, by wyłączyć alarm w budynku biu-
ra, lecz zapomniała o tym, który strzegł fabryki. Zoriento-
wała się za późno, że powinna go zablokować.

Niech to szlag!

I co teraz? Alarm z pewnością przyciągnie szeryfa albo
Bubbę, myślała w narastającej panice. Pierwszemu absolut-
nie nie ufała, a drugi był jednym z szefów tej firmy i choć
nie wierzyła, by był zamieszany w całą aferę, to wątpiła,
czy stanąłby po jej stronie. Niestety, nic już nie dało się
zrobić. Miała teraz kilka minut, w czasie których mogła
szybko pobiec w głąb fabrycznych hal, korzystając z hałasu
i wiedząc, że Evie nie usłyszy, dokąd zmierza.

Srebrny blask księżycy, sączący się przez okna hali pro-
dukcyjnej, zalewał upiornym blaskiem nieruchomą maszy-
nerię, nadając jej wygląd czyhających w mroku potworów
- takich samych, jakich bała się w dzieciństwie. I bała się
nadał - bo najgroźniejszym z nich była Evie, ożywiony ko-
szmar sprzed lat, ścigający ją w ciemnościach.

Ku jej zdziwieniu, alarm nagle ucichł. Kroki Sary roz-
legły się głośnym echem w ciszy, zwolniła więc i zaczęła
ostrożnie przekradać się między maszynami w stronę ma-
gazynu nawozów i ramp załadowniczych. Może tam uda jej
się ukryć?

Pociła się ze strachu tak obficie, że bluzka lepiła się jej
do ciała, co chwila musiała też ocierać oczy. Urywany od-
dech stawał się głośny i spazmatyczny i coraz trudniej było
go tłumić. Zaczynała tracić siły.

- Saaarraa... Saarraa...! - straszliwy, zwielokrotniony,

przenikający jak syk węża szept zaatakował ją nagle ze wszystkich kątów ogromnej hali. Sara rozejrzała się w panice, usiłując zlokalizować jego źródło. - Saarraa...! - znów ją oplótł zimny głos.

Spokojnie, tylko spokojnie. Pewnie Evie dostała się do fabrycznego radiowęzła i uruchomiła wszystkie głośniki. Próbuje wypatrzeć ją ze szklanej budki na podwyższeniu, a przy okazji nastraszyć.

Opadła na czworaki, by w razie czego nie stanowić zbyt łatwego celu, i popełzła przed siebie. Wiedziała, że za wszelką cenę musi dotrzeć do magazynu nawozów.

Pierwszy na parking FYI zajechał Bubba Holbrooke. Zapachniało swędem gumy, szerokie opony jego corvetty zapiszczały efektownie na asfalcie. On sam wysiadł, zatoczywszy się nieco, gdyż był już po trzeciej czy czwartej whisky, kiedy ochrona zawiadomiła go o alarmie w fabryce.

Dopiero teraz zaczął kojarzyć, co mogły znaczyć wszystkie te narzekania Jolene na znikające z magazynu dyskiety. Wyobraził sobie, że do fabryki wdarł się jakiś złodziejski gang, polujący nie tylko na dyskiety. Pewnie mają podstawioną z tyłu ciężarówkę i ładują teraz na nią komputery i co cenniejszy sprzęt. Na tę myśl Bubba prychnął z wściekłością i bez wahania ruszył w stronę biura. Był tak zaabsorbowany swoimi domysłami, że nie zauważył zaparkowanego za krzewami samochodu Sary Kincaid.

Ku jego zaskoczeniu, szklane drzwi głównego wejścia były otwarte, a alarm wyłączony.

A więc Jolene miała rację. To ten cholerny Rollins musiał kraść w FYI! To dopiero skandal! Stary przepracował w fir-

mie dwadzieścia lat, brał nagrody za nienaganną służbę - i oto jak się odwdzieczył!

- Thaddeus! - Bubba wrzasnął wściekle, wbiegając do środka. - Hej, Rollins, gdzie jesteś? Rusz tę czarną, wredną dupę i chodź tu do mnie! Wiem, że tam jesteś, ty wszawy złodzieju!

Poszedł korytarzem, wiedziony odległym odgłosem odkurzacza, jednak zamiast przy sprzątaniu albo w trakcie kradzieży, znalazł Thaddeusa leżącego bez przytomności na podłodze. Wielka rana na jego głowie krwawiła obficie.

O, cholera! Ktoś musiał nieźle go trzepnąć.

Bubba wyłączył odkurzacza i sięgnął po słuchawkę, by wezwać karetkę. Miał wyrzuty sumienia, że tak pochopnie posądził poczciwca o uprawianie złodziejskiego procederu.

Renzo patrzył prosto w długą, potężną lufę rewolweru i doskonale zdawał sobie sprawę, że Hoag w każdej chwili może pociągnąć za spust. Zaciśnął szczęki, aż zadrgały mu mięśnie. Ręce go świerzbiały, tak wielką miał ochotę znów ulokować pięść na tej wstrętnej gębie.

- Zejdź mi z drogi, draniu! - warknął. - Bubba zamordował Lamara i Morse'a, a teraz jest gdzieś tam z Sarą i zaraz ją zamorduje!

- Uważaj, bo uwierzę w tę gównianą gadkę!

- Hoag? - zawołał Bubba, wyłaniając się z budynku. - Co tu się, do cholery, dzieje? - zapytał, widząc szeryfa i Renzo, stojących twarzą w twarz na parkingu.

Kiedy zaś Hoag odruchowo zerknął w kierunku głosu, Renzo błyskawicznym zamachem nogi wykopał mu rewolwer z ręki i zaatakował go z furją. Bubba skoczył ku nim

z przekleństwem. Po chwili trzej mężczyźni skłębili się w gwałtownej, dzikiej bójce.

W magazynie nawozów było ciemniej niż w fabrycznej hali. Wpadające przez wąskie okna światło przesłaniały stopy worków i puszek, piętrzących się pod sam sufit. Dlatego też wzrok Sary musiał przyzwyczajać się przez chwilę do półmroku, poprzecinanego cienkimi smugami księżycowego światła, w których wirowały drobiny pyłu.

- Wiem, że tam jesteś, węglaro! - głos Evie znów rozbrzmiał gdzieś w pobliżu, roznosząc się echem po budynku. - Myślisz, dziwko, że nie wyczuję śmierdzącego potu tego twojego przybłądy? Śmierdzisz nim, smoluchu! I tak cię dopadnę, więc lepiej oszczędź nam wysiłku! Strzełę ci w łeb, słyszysz? Trafię prosto między oczy, tak jak trafiłam tego kalekę. Nie zdążysz nawet poczuć bólu. Ale jeśli nie wyjdiesz, zabiję cię jak Lamara - a on nie umarł łatwo. Szkoda, że nie widziałas, jak tańczył! No, jak chcesz umierać, węglaro?

Sara nie odważyła się nawet westchnąć, wiedząc, że Evie tylko czeka, by wziąć ją na cel. Przeciskając się między regałami pełnymi nawozów i pestycydów, drżała, dręczona okropnym uczuciem, że za chwilę ze strachu zmoczy się w spodnie. Obrzydliwy smród wszystkich zgromadzonych tu substancji i preparatów drapał w gardle i dusił ją aż do mdłości. Oczy łzawiły, a w nosie narastało drażniące śwędzenie. Starła się oddychać głęboko, całą siłą woli powstrzymując się od kichnięcia, zakrztuszenia czy kaszlu.

Nie udało się.

Evie odwróciła się natychmiast w stronę dźwięku, który

zakłócił martwą ciszę, i wypaliła. Sara zaś, wiedziona jakimś nieokreślonym instynktem, rzuciła się do szaleńczego biegu. Płuca wypełnione pyłem paliły ją niczym ogniem. Kula świsnęła jej obok głowy i uderzyła w elektryczną mufę, grzęznąc w gęstej płataninie przewodów.

Momentalnie rozbłysła fontanna iskier, które rozsypały się wokół po podłodze. Na nieszczęście obok mufy stała beczka z paliwem, z której uzupełniano zbiornik generatora oraz baki ciężarówek. W upale, jaki panował tego dnia, opary benzyny uchodziły pod ciśnieniem obficie niż zwykle i trzeba było tylko iskry, by zdetonować tę bombę.

I ta iskra padła.

A wówczas eksplodował cały pełen chemikaliów magazyn.

- O Boże, Sara! - Renzo jęknął boleśnie, szarpiąc się w objęciach przeciwnika, gdy wielka, stalowa brama otworzyła się z potwornym hukiem pod naporem burzy dymu, płomieni i iskier.

Odruchowo zacisnął pięści na koszuli Bubby Holbrooke'a. Obaj mężczyźni znieruchomieli i popatrzyli sobie w oczy. We wzroku Bubby pojawiło się straszne, pełne niedowierzania zrozumienie. W jednej chwili pozostawili leżącego na ziemi, jęczącego szeryfa i obaj ruszyli pędem w stronę budynku.

Eksplozja zbiła ją z nóg, ciskając na twardą, betonową podłogę. Impet uderzenia wycisnął powietrze z jej płuc, w uszach zaś tak jej dzwoniło, że nie słyszała nawet, jak zawył alarm przeciwpożarowy. Usiłowała chwiejnie podnieść się na nogi, ale zaraz upadła z powrotem, obezwła-

dniona nagłą falą mdłości i zawrotów głowy. Nie bardzo wiedziała, co właściwie się stało. Domyślała się tylko, że jest w szoku i że wybuch wysadził część budynku. Pozostała część miała zamienić się za chwilę w morze ognia.

Czy tak właśnie wygląda piekło? Gryzący, rozgrzany dym atakował oczy, nos i płuca. Rozkaszała się gwałtownie, myśląc z rozpaczą, że jeśli natychmiast nie zdoła się stąd wydostać, udusi się, zanim spłonie żywcem.

Szarpnęła się raz jeszcze, żałośnie i już tylko po to, by nie umrzeć bez walki. Poczwała, że przed jej oczami otwiera się ciemność.

- Sara!!! Saraaa...!

Z początku myślała, że głos, który słyszy, dochodzi już nie z tego świata. Zaraz jednak obudzona nadzieja dodała jej sił. Uniosła głowę.

Renzo!

Jak szaleniec miotał się wśród dymu i płomieni, a gdy dostrzegł wreszcie skuloną, nieruchomą postać, natychmiast rzucił się w jej kierunku, porwał ją w ramiona i poniosł do wyjścia.

- Sara! Sara, słyszysz mnie? Och, Sara - jęknął z ulgą, gdy otworzyła oczy - żyjesz! Dzięki Bogu, kochana, żyjesz! - powtarzał, dysząc z wysiłku.

- Evie... - odezwała się z trudem, gdy otrzeźwiło ją świeże powietrze. - To była... Evie... od początku. Ratuj ją... Renzo...

- Bubba! - wrzasnął co sił w płucach, usiłując przekrzywić huk płomieni i trzask walących się regałów. - Bubba! Jest jeszcze Evie! Bubba, słyszysz? Ratuj ją!

Bubba wyłonił się z kłębow dymu. A gdy zobaczył Sa-

rę bezpieczną w ramionach Renzo, rzucił się w ogień, za siostrą.

Przyfabryczny parking przypominał środek cyklonu. Dźwięki i chaotyczne pokrzykiwania mieszały się ze sobą, błyskały światła, wyły syreny. Wozy strażackie pluły strumieniami wody, stopniowo gasząc jaskrawe języki ognia. Lekarze z ambulansów udzielali pierwszej pomocy poszkodowanym. Dwayne Truett dwoił się i troił, posyłając z wrzaskiem ochotników do akcji.

Tymczasem Hoag Laidlaw stanął powoli na nogi i powłókł się do swojego wozu patrolowego, przygnieciony poczuciem klęski - nie tylko z powodu lania, jakie otrzymał, ale i świadomości, że jego dni na stanowisku miejskiego szeryfa są policzone.

Oczywiście na miejscu zjawił się także J.D. Holbrooke. Stanął na uboczu i patrzył w transie na płonący magazyn. Gdzieś w środku był jego syn, była córka, nie zwracał więc uwagi na telewizyjne kamery, które kręciły ujęcia do dziennika o jedenastej, ani na reportera lokalnej rozgłośni „K-104”, który na żywo relacjonował wydarzenia. Reporterów, radiowych i prasowych, było zresztą więcej; wśród nich Virgil Bodine, który szybko i sprawnie nagrywał na kieszonkowy dyktafon notatki dla „Tri-State Tribune”.

Scena zapełniała się coraz bardziej. Obok Liz i Parkera, którzy jako jedni z pierwszych dotarli na miejsce, ustawiali się wciąż nowi mieszkańcy, którzy przybywali tłumnie, węsząc sensację. W ciągu pół godziny na autostradzie utworzył się korek.

Renzo trafił z Sarą w sam środek tego zamieszania,

a wtedy natychmiast otoczyły ich kamery, mikrofony i podekscytowane pytania dziennikarzy. Chciał przebić się przez ten rozgorączkowany tłum, lecz Sara, bojąc się, że J.D., Hoag i Dwayne zechcą uciszyć sprawę i zmusić ją do milczenia, słabym, lecz stanowczym gestem nakazała mu stanąć.

Gdy zaś to zrobił, wykrzyczała tak głośno, na ile pozwalały jej poparzone gardło i płuca:

- To są toksyczne odpady! Field-Yield wyrzuca toksyczne odpady do starych szybów! Ta trucizna podmywa nasze domy! Truje nas, słyszycie?! Mam dowód! Jest w komputerze! To dlatego zginęli Sonny, Lamar Rollins, Morse Novak! Zamordowała ich Evie! Wszystkich, własnego brata też! Żeby tylko nikt się nie dowiedział, co robi jej ojciec! Mam dowód! Na taśmie... - urwała, wstrząśnięta nagłym atakiem bolesnego kaszlu.

Tłum zawrzał. Pomruk grozy, niedowierzania i gniewu narastał niebezpiecznie z każdą sekundą. Dziennikarze natychmiast osaczyli zdruzgotanego tymi słowami J.D. Holbrooke'a, a potem równie oszołomionego Bubbę, który wypadł właśnie z kaszlem z dogasającego magazynu, trzymając w ramionach Evie. Zdażył usłyszeć ostatnie słowa Sary i zanim przepalona konstrukcja budynku runęła z przeraźliwym hukiem za jego plecami, zawołał jeszcze:

- Rany boskie! Nie wiedziałem! Sara, uwierz mi! Nie wiedziałem...

Jego głos zginął w łoskocie walących się ścian magazynu. Gdy zaś wybrzmiały do końca jęki blach i zgrzyty stalowych dźwigarów, w nagłej ciszy odezwał się dziecinny lament Evie Holbrooke:

- Tato, tatusiu, robiłam to dla ciebie... Wszystko dla ciebie.

Bubba spojrział na nią z niedowierzaniem, przerażeniem, ale przede wszystkim z bezgranicznym smutkiem. Sarze zrobiło się go żal. Wiedziała, że mówi prawdę; wiedziała też, że Bubba pomimo wszystko kocha Evie na swój sposób, i że ta miłość wystawiona została właśnie na najtrudniejszą próbę.

- Cieszę się, Bubba. Bardzo się cieszę, że nie wiedziałeś - powiedziała do niego szczerze i serdecznie.

Zaś Renzo, rozumiejąc, że ten gest współczucia był jej pożegnalnym prezentem dla Bubby, przytulił ją mocno i zaczął całować. Odwzajemniła pocałunek gorączkowo, żarliwie. Przyłgnęli do siebie, jak gdyby nie chcieli się już nigdy rozłączyć.

A potem uniósł ją w ramionach, delikatnie umieścił na siedzeniu wozu i uruchomił silnik. Wielki jaguar skoczył w letnią noc, wioząc ich krętą, pylistą drogą do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Ostatnie pożegnanie

*Choć młodość daje nam miłość i róże,
Z latami dojrzewa przyjaźń i wino.*

Thomas Moore, *Melodie irlandzkie: Wiosna i Jesień*

Renzo patrzył na potężną, najeżoną metalowymi pikami bramę, która powoli otwierała się przed nim. Ten widok przeniósł go na moment w najwcześniejsze lata dzieciństwa, do pamiętnej chwili sprzed trzydziestu prawie lat. Zastanawiał się przez chwilę, co też działo się z Sofie i wujkiem Vinnie od chwili, gdy przywieźli go, wystraszonego siedmiolatka, do posiadłości Papy Nicka. Trudno było uwierzyć, że minęło już tyle czasu. Zdawać by się mogło, że jeszcze wczoraj wjeżdżał tu, skulony, na tylnym siedzeniu dwubarwnego kabrioletu.

Teraz minął bramę swoim eleganckim jaguarem i sunął krętą drogą wśród wzgórz ku domostwu z czerwonej cegły, skrytemu za szpalerem starych drzew. Nie wydawało mu się już tak imponujące jak kiedyś.

Zaparkował wóz przed frontem, wszedł na taras i nacisnął dzwonek. Ku jego zdziwieniu, drzwi otworzyła bab-

cia. Twarz Mamy Rosy była wynędzniała i smutna - starszuszka musiała niedawno płakać. Ale na jego widok smutek ustąpił miejsca ożywieniu i radości.

- Wejź, Renzo! Papa mówił, że przyjedziesz. Jest na werandzie, czeka na ciebie. Nie jesteś głodny?

- Nie, dziękuję, babciu. Jak się czujesz? - Pocałował ją w policzek i uściśnął serdecznie, ze wzruszeniem myśląc, jak bardzo jest drobna i krucha. - Nie wyglądasz za dobrze. Co się dzieje? Chorujesz?

- Nie tak, jak myślisz. Jestem po prostu stara i niedołączna, a cierpi moje serce. Och, Renzo! - głos załamała jej się płaczliwie. - Chodzi o Papę! On... udaje przede mną, że wszystko jest w porządku... że osłabił go tylko upał. Ale ja wiem. Tu - położyła sobie rękę na piersi - tu wiem na pewno: on umiera, Renzo. Mój Papa umiera.

- Jesteś pewna, babciu?

Renzo był zaskoczony, że niespodziewana wieść wywarła na nim tak przygnębiające wrażenie. Przecież miał wobec tego człowieka tak bardzo mieszane uczucia; przecież wmaślał sobie, że nie powinien czuć do niego nic poza pełną dystansu czujnością, obawą i zaciekawieniem.

Teraz jednak zaszokowały go własne, głęboko dotąd skrywane emocje - wdzięczność i miłość. Tak, miłość, bo wiem kimkolwiek był Papa Nick, był również jego dziadkiem. Kochanym dziadkiem, który dbał o niego, choć z daleka, podobnie jak czuwał przez długie lata nad Sarą i Alexem. Czy to mało?

- Rozmawiałaś z nim, babciu?

- Nie. - Mama Rosa potrząsnęła głową, uśmiechając się łagodnie na widok przejętej miny Renzo. - Papa nie chce,

żebym wiedziała. Dlatego próbuję być silna, próbuję udawać, że wszystko jest po staremu. Ale jesteśmy w końcu małżeństwem od pół wieku i... i wiem, że on wkrótce odejdzie, a ja będę musiała wytrwać samotnie, aż nadejdzie mój czas. Proszę, Renzo, nie mów Papie, że się domyślam. Niech wierzy do końca, że to on się mną opiekuje. Zawsze pozwalałam mu w to wierzyć. Jest prawdziwym mężczyzną, bardzo dumnym.

- Dobrze, babciu, jeśli tak sobie życzysz.

- Właśnie tak. A teraz idź.

Wchodząc na werandę, Renzo znów miał ulotne wrażenie, że czas zatoczył pełne koło i wszystko wróciło do punktu wyjścia. Papa Nick na pierwszy rzut oka wyglądał zupełnie jak wtedy, gdy Renzo patrzył na niego oczami siedmiolatka - bujał się lekko na fotelu z żarzącym się cygarem w ustach, a zreumatyzowane, starcze dłonie spoczywały na srebrnej główce trzcinowej laski. Kiedy jednak przyjrzał mu się uważniej, ze ściśniętym sercem zrozumiał, że Mama Rosa miała rację - Papa Nick umierał.

Uleciała z niego ta dawna, potężna iskra życia. Teraz był już tylko zmęczonym starym człowiekiem, drzemiącym w fotelu, z popiołem z zapomnianego cygara, sypiącym się na gors białej koszuli. Nie chcąc mu przeszkadzać, Renzo już zamierzał zawrócić, gdy zatrzymał go tak charakterystyczny, zrzędlawy głos:

- Dokąd to, chłopiec? Niech siada. Jeszcze nie umieram, a ty nie fatygował się tu w ten upał dla lemoniady Mamy Rosy. - Wskazał mały stoliczek obok fotela, na którym stał dzban z bladeżółtym płynem, w którym pływały plasterki cytryny.

- Nie, ale gdybym wiedział, że jesteś chory, nie zwracałbym ci głowy. Dlaczego mnie nie zawiadomiłeś?

- A na co? To tylko starość. Jestem jak sprężyna w zegarze, co się rozciągnęła i już nie da się nakręcić. Śmierć mocna, nikt nie ucieknie, ani ja, ani ty. Każdy trafi na koniec pod kosę. Ale stary Papa Nick za dużo widział, by się bać. Ja i śmierć... to stare kumple. Bliżej mi do niej niż do święta. To dlatego przyjechał, co?

- Tak. Rozumiem, że czytałeś poranne wydanie. - Gdy Papa Nick skinął głową, ciągnął z obawą, która go irytowała: - Przetaksowałem wczoraj ten artykuł do Associated Press . Pójdzie na cały kraj, bo uważam, że tak powinno być. Chyba nie sądziłeś, Papo, że nie rozpowszechnię takiej historii i zrezygnuję z niej ze względu na ciebie?

- Nie. Dawniej mówili: „Mężczyzna musi robić swoje”. Ty dobry reporter, chłopiec, może najlepszy. Może nawet dadzą ci drugiego Pulitzera za to, czego się dogrzebałeś w FYI.

- Może... Ale nie dlatego napisałem ten artykuł i napiszę kolejne. Robię to, bo jestem dziennikarzem, tak mi każe zawodowa etyka. Niewinni, zwykli ludzie mają prawo wiedzieć, jaką krzywdę wyrządzają im bogaci i skorumpowani. To tylko kwestia dni, a może godzin, kiedy zwałą się tu wszystkie media, rządowi oficjele i faceci z FBI. Ale zanim to się stanie, chciałbym wcześniej wiedzieć, choćby dla zaspokojenia własnej ciekawości... *co* znajdą w starych szybach i kamieniołomach?

* Associated Press (AP) - jedna z największych na świecie agencji prasowych - (przyp.red.)

- A co ty myśla| że znajdą? Może nogę Jimmy'ego Hoffy? - Papa Nick zaśmiał się, a po chwili zaniósł ostrym kaszlem, po którym długo łapał oddech.

- To też przyszło mi do głowy.

- Wiem... Wiem, po to mnie chciał widzieć. Ale los marnych szczątków Jimmy'ego to jedna z tych tajemnic, co ich nikt nigdy nie rozwiąże. Tak zostanie, chłopiec. Nie chcę, żeby ludzie potem mówili o Papie Nicku, że... kablował - zakończył z naciskiem na ostatnie słowo.

Renzo drgnął, słysząc to słowo, i nagle spojrzął olśniony na uśmiechniętego słabym uśmiechem dziadka.

- To byłeś ty! - Wycelowwał w niego oskarżycielsko palec. - Ty, prawda? Właśnie ty byłeś Kablem, a ja nigdy się tego nie domyśliłem!

Ciemne oczy Papy Nicka ożyły na chwilę.

- Ja? Upał ci chyba padł na głowa, chłopiec! Co mnie do jakiegoś twojego Kabla? Niby jaka racja?

- Ludzie przed śmiercią często chcą się wypowiedzieć z własnych grzechów - powiedział spokojnie Renzo. - A ty nadal nie odpowiedziałeś na żadne z moich pytań.

- Nie. I nie czekaj, że odpowiem, synek. Jak ten twój Kabel chciał wszystko wygadać - jego sprawa. Jak stare szyby chcą wydać swoje tajemnice - ich sprawa. Ale ja zabieram swoje do grobu, wszystkie! Widzisz, biznes teraz, a kiedyś - to niebo i ziemia, Te wszystkie chłopaki dzisiaj, młode, nadęte, te Kolumbijczyki, Chińczyki, Ruskie i inne cholery... za nic u nich lojalność i honor. Pewnie mi nie wierzy, ale kiedyś my mieli kodeks. Kiedy człowiek wchodził z nami do gry, znał reguły, Renzo. Znał korzyści, kiedy ich przestrzegał, i wiedział, co z nim będzie, jak złamie.

W moich czasach chłopaki nie strzelali do kobiet i dzieci na ulicy, nie było takich wojen gangów, walenia do siebie dla sportu. Nikt mi nie powie, że to profesjonalna robota. Albo dobra dla interesu.

- I to ma być według ciebie usprawiedliwienie dawnych przestępstw? Ten sielankowy obrazek ze starych, dobrych czasów, ta etyka zabijania i honor mafii?

Papa Nick posłał Renzo ostre spojrzenie spod krzaczastych brwi. Po chwili skromnie spuścił głowę i powiedział cichym, zgaszonym, tak rzadkim u niego głosem:

- Niech mi teraz powie, co jest gorsze, chłopiec? Stary włoski mafioso, jak ja, co nigdy się nie wybielał? Czy ktoś jak Holbrooke, co pucował się na wzór cnót, a latami wpuszczał zatrute ścieki do kamieniołomów i truł biednych ludzi? I patrzył spokojnie, jak chorują i umierają, starzy i młodzi, jak kobiety rodzą kaleki, potworki, jak coraz to więcej gorszych chorób. Zabijał ich, tylko powoli, prawda? Milczy, chłopiec? Widzisz, życie nie czarne i białe, ale jak cienie szarego. To rzadki diament - człowiek, co mierzy wysoko i uczciwie bierze sławę, pieniądze i władzę, co nie jest skorumpowany jak inni. Ty taki człowiek, Renzo. I jeszcze ten Sonny Holbrooke, jakby żył... A większość? Za mało sił, odwagi, za mało wiary w dobrego Stwórcę. Nie nam być takie diamenty. To pewno dla ciebie nic, chłopiec, ale i tak ci powiem: ja z ciebie dumny, Renzo. Ty moja nadzieja, że obojętnie, gdzie pójde po śmierci, choć jedną mam zasługę na koncie.

Papa Nick zamilkł, przymykając oczy. Oddychał tak ciężko i powoli, że przerażony Renzo zaczął myśleć, że dziadek umiera właśnie tu, w swoim fotelu. Ale zanim zdą-

żył wysunąć rękę, by dotknąć jego dłoni, stary człowiek znów otworzył oczy i znów przemówił.

- Nalej nam lemoniady Mamy Rosy, synek - nakazał, a potem osłabłą ręką, która teraz mocno drżała, sięgnął do kieszeni spodni, wyjął dwie zawinięte w złotą folię czekoladki i poczęstował jedną Renzo. Była tak nadtopiona, że musiał ją zlizać z papierka. Po chłodnej, kwaskowatej lemoniadzie nie wydawała mu się nawet słodka. - Kiedyś, dawno, powiedziałem, że nie masz do mnie żadnych długów - zaczął Papa Nick, popijając ukochany napój małymi łykami. - Ale kłamałem. Teraz są dwie sprawy, które chcę, żebyś dla mnie zadbał, jak już będę w grobie. Chcę żebyś opiekował się za mnie Mama Rosa. Jesteś jedyny wnuk, Renzo, moja krew z krwi i kość z kości.

- Oczywiście, dziadku. Nie musiałeś o to prosić.

- Wiem, że nie. Ale lżej na duszy, jak to słyszę. To dobra kobieta. Szczęściarz ze mnie, zem na nią trafił. Mężczyzna rodzi się samotnie i umiera samotnie, ale jak znajdzie tę jedyną, co stoi przy nim całe życie, to bogatszy niż inni. Będzie się żenić z ta dziewczyna, Renzo?

- Jeśli tylko mnie zechce.

- To dobrze. Bardzo dobrze. Sara to porządna dziewczyna, jak Mama Rosa. Ona nawet nie wie - uśmiechnął się - ile jej przez te lata pomagał Papa Nick. Stypendium na uniwersytecie, bo byłem tam w radzie nadzorczej, i renta po ojcu, i opieka dla jej chora mama, kamera... To ja poradziłem J.D., żeby ją wziął do Field-Yield, Inc., kiedy skończyła nauki. Wiem, dałaby radę i bez tej pomocy, ale by było jej ciężej. Dobra dziewczyna. Kochała i była wierna. Dała syna, a mnie wnuka... chłopaka, co można być z niego

dumnym. I to jest druga rzecz, co byś dla mnie zrobił. - Z wysiłkiem wychylił się za poręcz fotela i wyciągnął butelkę wina, wręczając ją Renzo. - Sam je zrobiłem, w mojej winnicy. Kiedy odejdę, chcę, żebyś ty z tą twoją *cara* otworzyli i wypili dla mnie toast... za *amore*, za miłość. Bo tak naprawdę, Renzo, tylko jedna rzecz na tym świecie robi, że życie coś warte. Inaczej, na co to wszystko? Co warte bogactwo, jak nie ma go z kim dzielić?

Papa Nick umarł spokojnie we śnie, jeszcze tej nocy. Pochowano go cztery dni później na starym cmentarzu na obrzeżach miasta. Ku zaskoczeniu Sary, stojącej z Alexem i Renzo u grobu, wśród tłumu żałobników widoczny był J.D. Holbrooke. Sara nie widziała go od czasu tamtej pamiętnej nocy, kiedy spłonął magazyn, a Evie została aresztowana pod zarzutem morderstwa.

Nawiasem mówiąc, niedługo później trzech psychiatrów wydało orzeczenie o niepoczytalności Eveline Holbrooke i jej niezdolności do uczestnictwa w procesie. Dyskretnie przeniesiono ją do zamkniętego ośrodka, gdzie miała spędzić resztę życia. J.D. musiał oczywiście porzucić marzenia o senacie, nie mówiąc o jakimkolwiek udziale w życiu publicznym. Czekał właśnie na proces, lecz nie ukończono jeszcze zbierania materiału dowodowego.

Patrząc teraz na niego, Sara pomyślała, że wygląda, jakby postarzał się o dwadzieścia lat. W mieście krążyły zresztą plotki, że drugi rzut raka rozwinął się u niego z zabójczą siłą.

Po pogrzebie odszedł samotnie, ciężkim krokiem i wówczas po raz ostatni Sara widziała go żywym. Umarł w szpi-

talu w pół roku później - zostawiając Bubbie wątpliwej wartości spadek w postaci firmy, oskarżonej o przestępstwo. Dopiero teraz dowiadywał się kolejnych przerażających faktów. Swoja droga, Evie miała rację - Bubba nie przystałby nigdy na ten zbrodniczy proceder.

- Alex, odprowadź Mamę Rosę do wozu, dobrze? - poprosił Renzo, kiedy rzucili czerwone róże na ozdobną kasetkę z brązu z prochami Papy Nicka i grabarze wzięli się do roboty. - Przyjdziemy z mamą za chwilę.

- Tak, tato. Niech pani idzie ze mną, Mama Rosa. - Chłopiec wziął czule pod rękę łkającą staruszkę. - Niech się pani na mnie oprze.

Na widok wysokiego, przystojnego syna, z powagą wypełniającego swoje obowiązki, łzy zakręciły się w oczach Sary.

- Zupełnie jakby wiedział, że to jego babcia - szepnęła do Renzo, który po śmierci Papy Nicka opowiedział jej wszystko. - Ale zgadzam się z tobą, jeszcze nie czas, by mu o tym powiedzieć.

- Może sam to w jakiś sposób wyczuwa i wcale sobie nie życzy, żeby mu o tym mówić. Dzieci mają niesamowity instynkt, Saro. Ja miałem kiedyś niejasne poczucie, że Papa Nick jest mi bliski, i to od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyłem, choć wtedy jeszcze mnie przerażał. Sofie, moja matka, nazwała go starym, złym pajakiem, więc drżałem z lęku. Gdybym się wtedy dowiedział, że Papa Nick jest moim dziadkiem, pewnie bym go znienawidził. Wiesz, właściwie dopiero teraz zrozumiałem, że oprócz zła było w nim też ogromne dobro. I możesz mi nie wierzyć, ale będzie mi go naprawdę brak, choć przecież reprezentował to,

z czym w życiu najbardziej zajadłe walczyłem. Boże, nie było w moim życiu poza tobą nikogo, kto by tak dobrze mnie rozumiał. On cieszył się z moich sukcesów, choć oznaczały jego porażki, rozumiesz? I na swój własny sposób mnie kochał, był dla mnie jak ojciec. Gdyby nie on, gdyby nie oddał mnie tym wspaniałym ludziom, Martinellim, gdyby nie wspierał ich, żeby niczego mi nie było brak, nie wiedziałbym, co to miłość, rodzina... I chyba nie byłbym tym, kim jestem. - Renzo urwał na chwilę. - Chodźmy się przejść, Sarenko. Jest jeszcze coś, co chciałbym zrobić, zanim stąd odejdziemy.

Poszła za nim. Z początku myślała, że może Renzo, który odkąd dowiedział się o Aleksie, ani razu nie wspominał o małżeństwie, zrobi to właśnie teraz. Szybko jednak skarciła się za tę myśl. Jak mógłby wybrać taki moment, na cmentarzu, świeżo po pogrzebie dziadka?

Prowadził ją w milczeniu przez cmentarne alejki, wśród starych nagrobków, na których widniały daty nawet z końca ubiegłego wieku. Wreszcie zatrzymał się obok starej, pochylonej wierzby.

Dwanaście lat upałów, słońca, mrozów i wiatrów spatynowało szary, polerowany granit na grobie Sonny'ego Holbrooke'a, ale nie zatarło jej o nim pamięci. Sonny pojawił się we wspomnieniach Sary jak żywy, jak gdyby znów stał przed nią, z grzywą jasnych włosów, opadających na oczy o niebieskim, miłym spojrzeniu, z tą wiecznie zamyśloną miną, jak gdyby wsłuchiwał się w coś w oddali. Uświadomiła sobie nagle, że podobny wyraz widuje na przystojnej, śniadej twarzy Renzo.

Jej ukochany ukląkł na jedno kolano przed mogiłą i dłu-

go trwał w milczeniu ze schyloną głową. Jedynymi dźwiękami były odgłosy pracy grabarzy, szum liści poruszanych wiatrem i brzęczenie owadów. Wreszcie Renzo przemówił. Powiedział tylko dwa nieoczekiwane słowa:

- W porządku, Holmesie - i złożył na grobie książkę, którą trzymał przez cały czas pogrzebu dziadka.

Sara sądziła, że jest to Biblia. Dopiero teraz zobaczyła tytuł, wypisany prostymi, złotymi literami na ciemnozielonej okładce.

Nie rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi, ale instynktownie milczała, nie pytając o nic. Ta sprawa miała na zawsze pozostać jego tajemnicą. Są czasem rzeczy zbyt prywatne, by dzielić je nawet z najbliższymi, nawet z tymi, których się kocha.

Najważniejsze, że Renzo należał do niej. Zawsze należał.

Wstając z klęczek, popatrzył na nią badawczo - jak gdyby dziwił się, że w przeciwieństwie do większości kobiet, nie zadaje pytań, ale stoi, cierpliwie czekając na niego.

I zawsze tak będzie, pomyślał ciepło, z sercem przepełnionym miłością. Bez słowa wziął Sarę za rękę i w ciszy zaczęli iść w stronę limuzyny. Popołudniowe słońce ogrzewało miękkim, łagodnym blaskiem ich dwoje i tych wszystkich, których prochów nie unosił wiatr, gdyż spoczywały w ciemnej, spokojnej ziemi mogił.



EPILOG

Za miłość!

*Człowiek zjeździ świat w poszukiwaniu
tego, co znajdzie w domu, gdy wróci.*

George Moore, *Brook Kerith*

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Dzwoneczki na wietrze

*Cała ziemia spoczywa, jak dla gwiazd Danae,
I całe twoje serce otwiera się dla mnie.*

Alfred Tennyson, *Księżniczka*
(przełożył Zygmunt Kubiak)

Stara farma, Środkowy Zachód
Czasy współczesne

Renzo wszedł na taras z butelką wina i dwoma kieliszkami w dłoni. Sara jak zwykle wyczuła jego obecność, nie musiała się więc odwracać. Nadal patrzyła w nocne niebo, wysrebrzone pełnią księżyca i gwiazdami. Wystawiła twarz na podmuchy ciepłego, łagodnego wiatru, a ten rozwiewał jej długie, brązowe włosy i lekką, białą nocną koszulę. Stojąc tam, smukła jak elf, wydawała się Renzo istotą z baśni, piękną leśną księżniczką.

Albo motylem.

Postawił wino i kieliszki na szerokim obramowaniu tarasu i sięgnął po powiewne pasma jej włosów. Zadrżała leciutko pod jego dotknięciem, tak jak drży motyle skrzydło,

gdy owad usiadzie na kwiecie. Jej oddech stał się szybszy, gdy zsunął dłonie po nagich ramionach ku piersiom, przyciskając się pod cienką tkaniną. Nad ich głowami dzwoneczki dźwięczały delikatnie na wietrze, grając im magiczną muzykę nocy.

- Lubię te twoje rytuały, ten spokojny czas na myślenie i wspomnianie - szepnął jej do ucha, muskając wargami jego koniuszek, a potem sięgnął po butelkę i nalał do kieliszków wina, czerwonego i słodkiego jak ich serca.

- Dostałeś je od Papy Nicka, prawda? - zapytała, oglądając staromodną nalepkę na smukłej, ciemnozielonej butelce.

- U-hm - Renzo opowiedział jej o ostatnim życzeniu dziadka. - Pomyślałem, że otworzymy je dzisiaj i wypijemy. Wydało mi się odpowiednie na tę okazję.

- A jaka to okazja? - zapytała, starając się nie stracić lekkiego tonu, choć jej serce zabiło radośnie, ożywione nagłą nadzieją.

- Nie drażnij się ze mną, Saro - ostrzegł czule i szorstko zarazem. - Przecież serce musi ci podpowiadać, czego pragnę. Kocham cię, Sarenko. Istniałaś dla mnie zawsze tylko ty. Chcę spędzić z tobą resztę życia, chcę się z tobą zestarzeć, chcę mieć cię zawsze przy sobie...

Patrzył na nią intensywnym spojrzeniem ciemnych oczu, które nie miały nic do ukrycia i w których mogła wyczytać całą tęsknotę i miłość - i żal za straconymi latami, za dniami młodości, które przepadły na zawsze, zamieniając się w pusty czas, pełen nie spełnionych pragnień.

Miękkim ruchem odgarnął pasmo włosów z jej twarzy i pogładził ją dłonią po policzku.

- Chcę więc cię spytać, Saro, teraz już naprawdę i całym sercem. Czy wyjdiesz za mnie?

- Och, Renzo, tak! Przecież wiesz, że tak - odpowiedziała żarliwie, wtulając się w silne ramiona mężczyzny i ochoczo podając usta do pocałunku.

Po długiej chwili oderwali się od siebie, lecz trwali nadal objęci. Sara oparła głowę na piersi Renzo, nasłuchując bicia jego serca. Tam jest moje miejsce, myślała. Teraz wreszcie naprawdę wróciłem do domu, myślał Renzo.

Po chwili sięgnął do kieszeni i wyjął pierścionek, który kupił dla niej w Goldberg's Fine Jewelry - ten sam, który kiedyś Bubba uznał za nie dość reprezentacyjny i zbyt staroświecki jak na jej gust. Była to prosta obrączka z ciemnego złota z subtelnym kwiatowym ornamentem, otaczającym pojedynczy diament. Renzo bez słowa wsunął go na jej palec, a Sara schyliła głowę, przypatrując mu się ze wzruszeniem i zachwytem.

- Czekałem na ciebie dwadzieścia dwa lata, Saro. Dlatego teraz chcę, żeby ślub odbył się jak najszybciej.

- Ja też tego pragnę. Nie tylko dlatego, że cię kocham, ale i dlatego, że jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. Coś, czego nie miałam szansy powiedzieć ci przed laty. Tamtego nic ci już nie wynagrodzi... - urwała, przygnieciona wspomnieniami - ...ale tyle się zdarzyło tego lata, że nie mieliśmy nawet kiedy porozmawiać... W każdym razie chcę ci powiedzieć, że będziemy mieli dziecko, Renzo.

- Och, Sarenko... - Jego ciemne oczy otworzyły się szeroko, rozbłyskując w mroku jak dwa ogniki, z dumą, zachwytem i szczęściem. - Sarenko... - powtórzył bezsilnie, niezdolny wykrztusić nic więcej.

Zsunął rękę na jej brzuch, przykładając ją płasko, jakby chciał wyczuć ruchy dziecka. Sara przykryła jego dłoń swoją. Teraz i ona wyobraziła sobie, że maleńka istotka, ich wspólne, cudowne dzieło, porusza się delikatnie jak motyl pod ich splecionymi palcami.

Po długiej, bardzo długiej chwili Renzo przemówił znowu:

- Po południu rozmawiałem z rodzicami. Powiedziałem im, że chcę się z tobą ożenić. Przyjadą na ślub. Tata był jak zwykle spokojny, ale mama się popłakała. Mówiła, że wyrządziła nam straszną krzywdę i bardzo by chciała, żebyśmy jej wybaczyli. Prosiła też, żeby ci powiedzieć, że przywiezie wszystkie swoje przepisy, abyś mogła się nauczyć włoskiej kuchni i od czasu do czasu coś mi ugotować. Chętnie ci pomoże, nie ma córki, której mogłaby zostawić swoje tajemnice. Biedna mama. Chce ci ofiarować to, co ma najcenniejszego. Czy zgodzisz się jej wybaczyć?

Sara uśmiechnęła się, choć łzy napływały jej do oczu.

- Wszyscy popełniamy błędy, Renzo. Oczywiście, że przebaczę. Będę dumna, mogąc mówić jej „mamo”. A nie będą mieli nic przeciwko naszemu małżeństwu?

- Nie, teraz przecież wiedzą, że przeszliśmy próbę czasu, że kochamy się i zawsze będziemy się kochać. Wiedzą, że jesteś kobietą, której pragnę i której zawsze pragnęłam.

- A ty jesteś mężczyzną, którego pragnę i którego zawsze pragnęłam, Renzo - powiedziała z powagą, a potem dodała z leciutkim uśmiechem: - Nie wiem, czy wiesz, że masz znakomite wyczucie czasu? Dziś rano Alex zapytał mnie, czy kiedyś wreszcie się pobierzemy.

- Serio? I co mu powiedziałaś?

- Że mam taką nadzieję, a nawet pewność. Wtedy za-

pytał, czy jest jakaś szansa, by został twoim drużbą. - Popatrzyła na niego z oczekiwaniem i ze wzruszeniem spostrzegła, że w ciemnych oczach szklą się łzy, a gęste, czarne rzęsy mrugają rozpaczliwie. To właśnie w nim kochała: że był tak silnym, twardym mężczyzną, a mimo to nie wstydził się swoich uczuć. - Powiedziałam, że może na to liczyć. Miałam rację?

- Przecież wiesz. Och, Saro, tak bardzo cię kocham!
- wybuchnął, z pasją szukając jej ust.

Pocałunek wyraził wszystko, co jeszcze mieli do powiedzenia - i dużo więcej. Na koniec zaś, kiedy oderwali się od siebie, by złapać oddech, Renzo sięgnął po napełnione kieliszki.

- *Za amore* - powiedział czule, wręczając jej kryształ, wypełniony rubinowym płynem.

- *Za miłość* - odpowiedziała, leciutko trącając jego kieliszek.

Wypili do dna i otoczyła ich magiczna, letnia noc. A powiew wiatru wygrywał na dzwoneczkach miłosną melodię.

KONIEC